YAAKOV KATZ i AMIR BOHBOT

CZARODZIEJE BRONI

IZRAEL - TAJNE LABORATORIUM TECHNOLOGII MILITARNYCH

REBIS

YAAKOV KATZ i AMIR BOHBOT

CZARODZIEJE BRONI

IZRAEL – TAJNE LABORATORIUM TECHNOLOGII MILITARNYCH

Przełożył
Norbert Radomski

DOM WYDAWNICZY REBIS

Spis treści

Dedykacja

Przedmowa

Wprowadzenie

ROZDZIAŁ 1. Podziemne początki

ROZDZIAŁ 2. Zmyślne drony

ROZDZIAŁ 3. Aktywne opancerzenie

ROZDZIAŁ 4. Hucpiarskie satelity

ROZDZIAŁ 5. Technika rakietowa

ROZDZIAŁ 6. Inteligentne maszyny

ROZDZIAŁ 7. Cyberwirusy

ROZDZIAŁ 8. Oręż dyplomatyczny

ZAKOŃCZENIE. Armagedon i broń przyszłości

Podziękowania

Przypisy

Dla naszych rodzin,
które dają nam inspirację i nadzieję

Przedmowa

Nasza praca nad tą książką zaczęła się od pewnej rozmowy, którą odbyliśmy wiosną 2012 roku. System obrony przeciwrakietowej *Kipat Barzel* (Żelazna Kopuła) dowiódł niedawno swojej wartości w walkach wzdłuż Strefy Gazy, a Izrael robił imponujące postępy w innych dziedzinach techniki. Tak jak jego wrogowie. W lutym tamtego roku Iran samodzielnie wystrzelił w kosmos trzeciego satelitę, a Hezbollah gromadził bezprecedensowo duże zapasy wysokiej klasy pocisków rakietowych, podczas gdy sąsiednią Syrią wstrząsała nieustająca wojna domowa.

Jako doświadczeni izraelscy korespondenci wojskowi codziennie informowaliśmy o toczących się w szybkim tempie wydarzeniach i konfliktach w Izraelu, za jego granicami oraz w całym regionie. Mieliśmy jednak wrażenie, że coś nam umyka. Izrael prowadził właśnie jedne z największych przygotowań wojennych w swej historii, pozyskując nowe drony, niewidzialne dla radarów samoloty, okręty podwodne, precyzyjne pociski rakietowe i solidniej opancerzone czołgi. Wrogowie Izraela, głównie Iran i Hezbollah, robili to samo. Był to imponujący wyścig zbrojeń o potencjalnie zabójczych konsekwencjach.

Przez lata izraelskie siły zbrojne były głównym przedmiotem naszego zainteresowania. Obaj jesteśmy weteranami Sił Obronnych Izraela (Cwa Hagana le-Jisra’el – Cahal) i wciąż służymy w rezerwie. Nie tylko obserwowaliśmy konflikty Izraela – byliśmy też częścią tej historii. Druga intifada, wycofanie wojsk z Libanu, opuszczenie Strefy Gazy, druga wojna libańska i rozmaite późniejsze operacje Cahalu w Gazie to wydarzenia, które relacjonowaliśmy z linii frontu, a niekiedy także zza linii wroga.

Nasza praca zaprowadziła nas na izraelskie okręty podwodne i korwety rakietowe, do izraelskich śmigłowców i samolotów transportowych oraz do transporterów opancerzonych wiozących żołnierzy piechoty Cahalu na nocne rajdy w Strefie Gazy i na Zachodnim Brzegu Jordanu.

Przez lata bacznie śledziliśmy ewolucję Cahalu. Obserwowaliśmy, jak izraelskie siły zbrojne adaptują się do nowych zagrożeń – czy byli to

palestyńscy zamachowcy samobójcy, rakiety Hezbollahu, czy irański program nuklearny. Ostatnio, gdy w regionie zaczęło dochodzić do bezprecedensowych, historycznych zmian, nasze wojsko stało się jeszcze czujniejsze. Nazywane początkowo niosącą nadzieję Arabską Wiosną, to regionalne trzęsienie ziemi zrodziło nowych wrogów Izraela, takich jak ISIS, rozlokowanych wzdłuż jego północnej i południowej granicy.

Izrael bardzo liczy na groźną reputację, którą pracowicie budował przez lata. Naszym zdaniem reputacja ta wspiera się na trzech głównych filarach – domniemanej izraelskiej broni jądrowej, strategicznym sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi oraz konwencjonalnym potencjale Cahalu.

Książka ta opowiada – po raz pierwszy – o tym, jak Izrael projektował i tworzył zaawansowaną technologię i broń dla swojej armii. Jest to opowieść, która obejmuje cały okres istnienia Izraela, od jego początków jako nowo utworzonego państwa aż po dzień dzisiejszy, gdy to wciąż stawia ono czoło zagrożeniom i wyzwaniom z całego regionu.

Uznaliśmy, że najlepiej przedstawimy tę historię, jeśli podzielimy ją na rozdziały poświęcone poszczególnym technologiom i broniom, które stały się specjalnością Izraela. Na ogół trzymamy się porządku chronologicznego, niekiedy jednak przeskakujemy też od lat sześćdziesiątych XX wieku do chwili obecnej, a potem znów do lat sześćdziesiątych lub siedemdziesiątych. Zrobiliśmy to celowo, aby dać wam, czytelnikom, kompletny obraz każdej broni – jak powstała, kim byli jej twórcy i co stanowi o jej wyjątkowości. Choć każda z tych historii jest niezwykła, cała opowieść jest czymś więcej niż ich sumą.

Wprowadzenie

– Podaj mi lornetkę – powiedział szef Sztabu Generalnego Sił Obronnych Izraela, generał porucznik Binjamin „Beni” Ganc, do stojącego obok oficera. Podniósł szkła, mrużąc oczy w zimowym słońcu. Odległe o wiele kilometrów obiekty ukazały się z pełną ostrością.

Ganc stał wysoko na szczycie góry Kabir, robiąc to, co lubił najbardziej: omiatając wzrokiem swoje włości i przyglądając się każdej piędzi kraju, który miał za zadanie bronić.

Zwróciwszy się na północ, zobaczył jak na dłoni pokryty śniegiem szczyt góry Hermon na granicy izraelsko-syryjskiej. Ćwierć obrotu na wschód i ujrzał Jordanię. W dole, pochylając lornetkę, mógł zajrzeć do miasta Nablus, domu około 130 tysięcy Palestyńczyków.

Widoki te przypomniały mu, jak mały jest w rzeczywistości Izrael. Brakuje nam zupełnie strategicznej głębi, pomyślał Ganc. Wrogowie siedzą tuż obok nas.

– Co to jest? – zapytał pułkownika Nimroda Aloniego, dowódcę brygady terytorialnej, który, tak jak i on, zaczynał służbę wojskową jako spadochroniarz. – Tam – dodał, wskazując palcem – ten duży biały budynek z mnóstwem okien?

Odłożywszy broń, Aloni wyregulował własną lornetkę.

– Och, to galeria handlowa – odparł.

Nablus nie jest pierwszym lepszym palestyńskim miastem. Podczas zamieszek z 2000 roku, zwanych drugą intifadą lub intifadą Al-Aksy, stał się schronieniem dla najbardziej poszukiwanych przez Izrael ludzi. Ganc był wtedy dowódcą dywizji Cahalu odpowiedzialnej za Zachodni Brzeg. Terroryści z Islamskiego Dżihadu i Hamasu urządzali laboratoria bombowe i centra dowodzenia w zawiłym kamiennym labiryncie nabluskiej kasby, czyli starego miasta. Założona przez Rzymian, a następnie rozbudowana przez Mameluków i Turków, kasba cieszyła się złą sławą z powodu swej sieci tuneli i zakamarków, jakby stworzonych dla ukrywającego się terrorysty.

Oddziały Cahalu posyłane były często do rajdów na miasto i tropienia terrorystów. Ale w ostatnich latach Nablus odżył. Terroryzm utrzymywał się na niespotykanie niskim poziomie, a Cahal znacząco ograniczył swoje ingerencje w mieście.

Po zakończeniu intifady kolejne izraelskie rządy próbowały wynegocjować układ pokojowy z Palestyńczykami. Ehud Olmert w 2008 roku złożył palestyńskiemu prezydentowi Mahmudowi Abbasowi historyczną ofertę, która jednak została odrzucona. W 2009 roku premier Izraela Binjamin Netanjahu, dążąc do wznowienia rozmów pokojowych, zgodził się zamrozić rozbudowę żydowskich osiedli. Był to bezprecedensowy krok, ale choć rozmowy podjęto na nowo, one również nie zaowocowały ugodą.

W czasie wizyty Ganca w 2012 roku Palestyńska Giełda Papierów Wartościowych z siedzibą w Nablusie odnotowywała rekordowo wysokie obroty, choć rynki w całym arabskim świecie tkwiły w zapaści. Wkrótce spodziewano się nowej rundy negocjacji pokojowych i czuć było powiew nadziei.

Jednak wyprawa Ganca na Zachodni Brzeg miała inny cel.

Dwa lata wcześniej coś, co zaczęło się jako uliczne protesty w Tunezji, rozprzestrzeniło się niczym pożar, dając początek ruchowi nazwanemu Arabską Wiosną. W Libii pojmano i stracono Muammara Kaddafiego, w Egipcie w dramatycznych okolicznościach obalono Husniego Mubaraka, w Syrii zaś Baszar al-Asad wciąż zmagał się z rebeliantami w zaciętej, krwawej i kontrowersyjnej wojnie, która doprowadziła do narodzin ISIS i globalnego dżihadu. W Libanie Hezbollah nieprzerwanie gromadził wyrafinowaną, zaawansowaną broń, zagrażając Izraelowi już nie jako organizacja partyzancka, ale armia z prawdziwego zdarzenia.

W izraelskich kręgach wojskowych narastały obawy, że niestabilność może ogarnąć kolejne obszary, i Ganc chciał się upewnić, że na Zachodnim Brzegu utrzyma się spokój, a gdyby miało być inaczej – że Cahal będzie na to przygotowany.

Początkowo nie był on typowany na szefa sztabu; otrzymał to stanowisko dość przypadkowo, gdy pierwszy kandydat został uznany za nieodpowiedniego. Tak więc odwołany z emerytury Ganz znów przywdział mundur i objął tę zaszczytną funkcję.

– Najbardziej lubię być w polu – mawiał – z moimi żołnierzami.

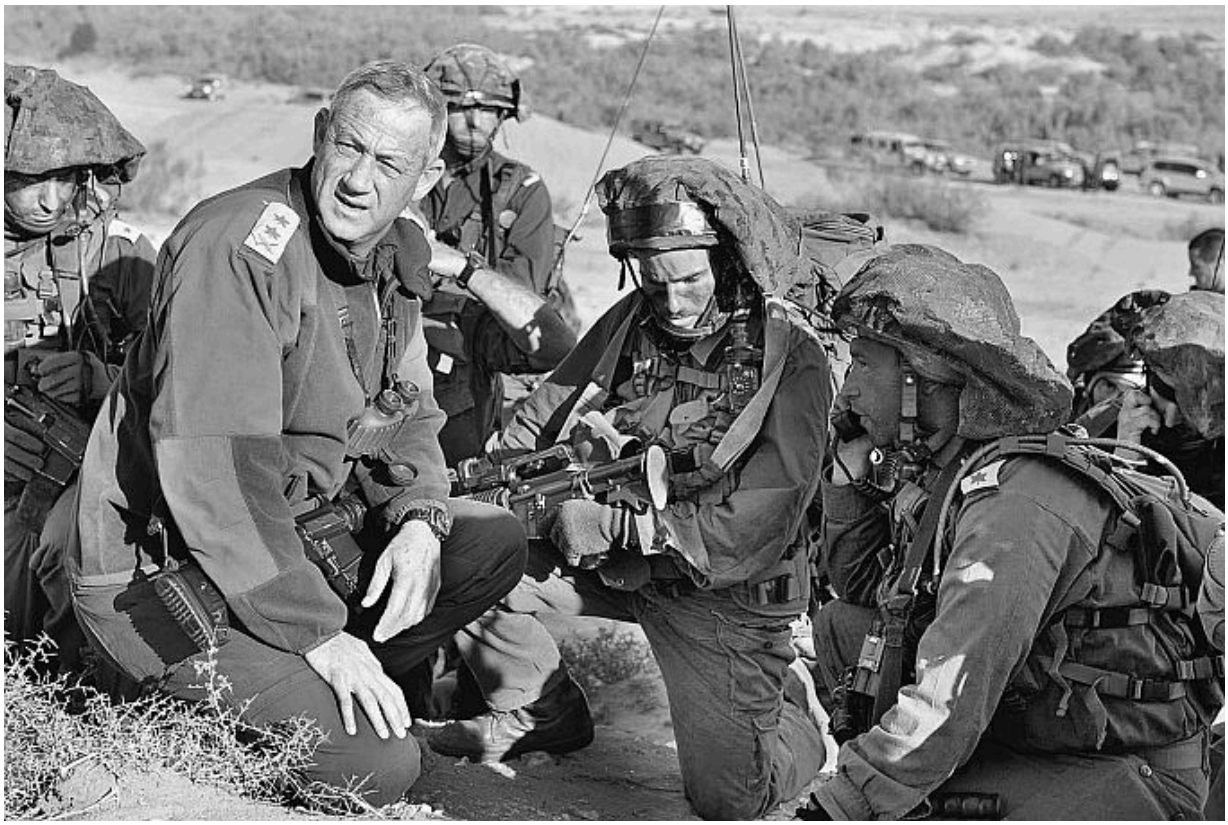

Szef sztabu Cahalu generał porucznik Beni Ganc rozmawia z żołnierzami podczas manewrów. 2001 r.
Fot. Cahal

Po kilku spotkaniach informacyjnych wizytacja dobiegła końca. Ganc zajął miejsce na tylnym siedzeniu opancerzonego dżipa, który miał go zabrać na pobliskie lądowisko dla śmigłowców. Jego adiutant był podenerwowany. Jak zwykle w takie dni szef sztabu znacznie przedłużył wizytę. Dżip opuścił bazę i skręcił na wyboistą boczną drogę, która omijała łukiem pobliskie osiedle żydowskie, skupisko biało tynkowanych domów z czerwonymi dachami, usadowionych na wzgórzu ponad szosą.

– Zatrzymaj samochód – powiedział nagle Ganc do kierowcy.

– Co? – zapytał żołnierz, patrząc na pustą drogę w samym środku Zachodniego Brzegu Jordanu.

– Powiedziałem: zatrzymaj samochód – powtórzył bardziej stanowczo szef sztabu. – Stań na poboczu.

Kierowca ostro zahamował i zatrzymał się przy estakadzie.

– Połącz mnie z Nimrodem – powiedział Ganc do adiutanta, mając na myśli dowódcę brygady terytorialnej, który towarzyszył mu podczas

wizytacji. Przejął słuchawkę. – Nimrod, mój dżip najechał na minę. Jestem ranny, a jeden z moich żołnierzy został uprowadzony – powiedział i natychmiast przerwał połączenie. Aloni nie miał nawet szansy odpowiedzieć.

Ganc wysiadł z dżipa, spojrzał na zegarek, srebrnego breitlinga, i usiadł na pobliskim głazie. Podniósł z ziemi patyk, otrzepał go z pyłu i zaczął obracać w dłoniach.

– Teraz zaczekamy – oznajmił.

Niebawem szosa zaroiła się od uzbrojonych po zęby żołnierzy wezwanych na poszukiwanie „uprowadzonego”. Na wzgórzach zajęły pozycje opancerzone hummery wyposażone w terminale systemu wspomagania dowodzenia. Ich plazmowe monitory ukazywały położenie wszystkich okolicznych wojsk. Dało się słyszeć ciche buczenie dronów rozpoznawczych unoszących się nad całą tą sceną.

Mijały minuty. Ganc jednym okiem obserwował żołnierzy, drugim zerkał na zegarek. Gdy dziesięć minut później na miejsce przybył wreszcie Aloni, szef sztabu nie rozwodził się długo.

– Okej, dzięki. Widzimy się wkrótce – powiedział i wsiadł do dżipa. Wóz odjechał, ciągnąc za sobą obłok pyłu.

Dla Ganca był to zwyczajny dzień pracy, ale dał mu sposobność, żeby czegoś dowieść. Na Bliskim Wschodzie panowało silne wrzenie i dowódca Cahalu chciał się upewnić, że jego żołnierze są przygotowani do wojny, która może wybuchnąć lada chwila.

– Przy tym poziomie niepewności w regionie nie możemy liczyć na to, że otrzymamy ostrzeżenie, gdy wojna znów zapuka do drzwi – stwierdził. – Jednak zwyciężymy, bo nasi żołnierze będą gotowi i będą mieli do pomocy najlepszą technikę.

* * *

Sprzęt uczestniczący w wydarzeniach tamtego popołudnia, podczas improwizowanego próbnego alarmu Ganca, był tylko drobnym wycinkiem techniki wojskowej pochodzącej z Izraela i zalewającej globalny rynek broni.

Monitory plazmowe w pędzących na miejsce akcji hummerach stanowiły element *Cajadu*, wykorzystywanego przez Cahal rewolucyjnego systemu wspomagania dowodzenia i kontroli. *Cajad*, co po hebrajsku

znaczy „łowca”, działa nieco podobnie do systemu nawigacji GPS w samochodzie, tyle tylko, że wyświetla dokładną lokalizację wszystkich wojsk na danym obszarze, z podziałem na siły własne i wroga. Jeśli żołnierz wykryje nieprzyjacielską pozycję, wystarczy, że naniesie jej położenie na mapę cyfrową, a pojawi się ona natychmiast na monitorach wszystkich innych użytkowników *Cajadu*.

Technologia ta zmienia sposób prowadzenia wojen, z oczywistymi konsekwencjami dla pola bitwy – skracając czas potrzebny na wykrycie nieprzyjaciela i otwarcie ognia, określany też jako cykl sensor-to-shooter. Dokładność *Cajadu* i jego skuteczne użycie przez Cahal zostały zauważone. W 2010 roku Australia zapłaciła za ten system 300 milionów dolarów, a w roku 2014 pewien kraj w Ameryce Łacińskiej kupił go za 100 milionów dolarów.

Żołnierze śpieszący zapewnić bezpieczeństwo szefowi sztabu podczas próbnego alarmu uzbrojeni byli w tawory, nowe karabinki szturmowe opracowane przez Israel Weapon Industries (IWI). Z powodu małej wagi, dużej precyzji i niewielkiej długości tawory zastąpiły amerykańskie M16 jako ulubiona broń Cahalu. Od czasu, kiedy weszły do służby w Izraelu, dotarły w każdy zakątek globu, od Kolumbii po Azerbejdżan i od Macedonii po Brazylię.

Dżip Ganca, który rzekomo ucierpiał w wyimaginowanym wybuchu bomby, był chroniony pancerzem opracowanym i wyprodukowanym przez Plasan Sasa, izraelską firmę działającą w małym kibucu w Górnej Galilei, przy niespokojnej granicy z Libanem.

Firma ta powstała w latach osiemdziesiątych XX wieku wśród krytych białym tynkiem zabudowań kibucu i jego plantacji kiwi. Szybko zwróciła na siebie uwagę Cahalu za sprawą innowacyjnych pancerzy z gęstego materiału kompozytowego, które mogły chronić pojazdy przed granatami rakietowymi i improwizowanymi ładunkami wybuchowymi, nie zwiększając znacząco ich wagi.

Kiedy Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny z Afganistanem, a później z Irakiem, improwizowane ładunki wybuchowe szybko okazały się przyczyną największych strat w ludziach. Do Plasanu lawinowo zaczęły spływać zamówienia i dynamicznie rosły zyski przedsiębiorstwa – od 23 milionów dolarów w 2003 roku do przeszło 500 milionów w roku 2011.

Na niebie nad Nablusem drony Cahalu bacznie śledziły palestyńskie miasto oraz stacjonujące w pobliżu izraelskie oddziały. Wcześniej w tym

samym roku Cahal uruchomił program Sky Rider, w ramach którego bataliony polowe wyposażono w lekkie drony Skylark, produkowane przez Elbit Systems, głównego izraelskiego dostawcę sprzętu dla wojska. Wypuszczany w powietrze niczym piłka futbolowa rzucona przez rozgrywającego, Skylark dostarcza cennych danych zwiadowczych, niezwykle ważnych dla działań piechoty. Przekazanie go Cahalowi potwierdziło po raz kolejny pozycję Izraela jako światowego lidera w dziedzinie rozwoju dronów i systemów bezzałogowych.

Dron *Skylark* wypuszczany w powietrze podczas ćwiczeń w południowym Izraelu. 2013 r.
Fot. Cahal

* * *

Od satelitów po systemy obrony przeciwrakietowej i od dronów po wojnę cybernetyczną – Izrael przoduje we wdrażaniu nowych technik wojskowych na współczesnym polu walki. Ta książka opowie, jak doszło do tego, że ten maleńki, zaledwie ośmiomilionowy kraj stał się jednym

z najbardziej znaczących militarnych supermocarstw świata i opracowuje technologie, które zmieniają sposób prowadzenia wojen na całym globie.

Sukces Izraela sprawił, że giganci przemysłu lotniczego i kosmonautycznego, producenci broni, a nawet całe kraje ciągną gromadnie do państwa żydowskiego, by analizować tę wyjątkową kombinację innowacyjności, zmotywowania i techniki.

Wielkie korporacje ze Stanów Zjednoczonych, Francji, Wielkiej Brytanii, Indii, Rosji i Australii regularnie tworzą spółki joint venture z producentami sprzętu wojskowego z Izraela, firmami niekiedy znacznie mniejszymi od swych zagranicznych partnerów.

Historia ta staje się jeszcze bardziej frapująca, gdy weźmie się pod uwagę, że zaledwie sześćdziesiąt lat temu głównymi towarami eksportowymi Izraela były pomarańcze oraz sztuczne szczęki. Dziś jest to elektronika, oprogramowanie i zaawansowane urządzenia medyczne.

Według Jane's, brytyjskiego wydawnictwa specjalizującego się w tematyce militarnej, Izrael jest jednym z sześciu największych eksporterów broni na świecie. Sam sprzęt wojskowy stanowi około 10 procent całego eksportu tego kraju, a od roku 2007 Izrael eksportuje w formie broni około 6,5 miliarda dolarów rocznie. W 2012 roku tysiąc tamtejszych przedsiębiorstw obronnych ustanowiło nowy rekord, eksportując broń wartą 7,5 miliarda dolarów [1].

Malutki Izrael inwestuje w badania i rozwój (B+R) więcej niż jakikolwiek inny kraj – około 4,5 procent produktu krajowego brutto (PKB) – i nieprzerwanie zajmuje czołowe miejsce na liście najbardziej innowacyjnych państw świata. Choć izraelskie nakłady na B+R są imponujące same w sobie, około 30 procent kierowane jest na produkty o zastosowaniu militarnym. Dla porównania, jedynie 2 procent niemieckich i 17 procent amerykańskich wydatków na prace badawczo-rozwojowe przeznaczanych jest dla wojska [2].

Jak napisał o Izraelu popularny felietonista i prezenter CNN Fareed Zakaria: „Jego broń jest znacznie bardziej zaawansowana, często o pokolenie wyprzedzająca tę używaną przez jego przeciwników. Przewaga techniczna Izraela ma głębokie konsekwencje dla współczesnego pola walki" [3].

* * *

W jaki sposób Izrael tego dokonał?

Oto główne pytanie, na które będziemy się starali odpowiedzieć w tej książce, opowiadając, jak Izrael opracowywał swoje wyjątkowe bronie i taktyki. Każda z broni powstawała w innej epoce i w innych okolicznościach. Ich wynalazcy kierowali się różnymi pobudkami, znajdowali różne źródła inspiracji i czerpali z różnych cech narodowych, które wspólnie złożyły się na jedyną w swoim rodzaju izraelską kulturę innowacyjności. Żadna z tych cech nie jest ważniejsza od innych. To, że Izrael wyrósł na militarne supermocarstwo, sprawiły wszystkie razem.

Izrael opisywany jest często jako kraj sprzeczności. Od dziesiątków lat próbuje zawrzeć pokój z Palestyńczykami, ale jak dotąd nie udało mu się powtórzyć sukcesu, który osiągnął z Egiptem w roku 1979 i Jordanią w 1994. Ma obowiązkową służbę wojskową dla mężczyzn i kobiet, ale zamiast uczyć dyscypliny społecznej, wojsko jest uważane za główne źródło niesławnej swobody bycia i bezpośredniości Izraelczyków.

Izrael liczy zaledwie 8 milionów mieszkańców i nie ma żadnych bogactw naturalnych, a jednak zajmuje trzecie miejsce na świecie, po Stanach Zjednoczonych i Chinach, pod względem liczby przedsiębiorstw notowanych na giełdzie NASDAQ. W każdej dekadzie od swojego powstania prowadził jakiś konflikt zbrojny, a mimo to przyciąga około 3 milionów turystów rocznie.

Wyjaśnienie gospodarczego i militarnego sukcesu Izraela wiąże się po części z mozaiką zagrożeń, wobec których stoi ten kraj, i z nieustającą walką o byt, jaką toczy od początków swego istnienia.

Matka generała Ganca, na przykład, przeżyła Holokaust jako więźniarka nazistowskiego obozu koncentracyjnego Bergen-Belsen i przyjechała do Izraela po wojnie. Była jedną z dziesiątków tysięcy żydowskich uchodźców z powojennej Europy szukających nowego domu. Dołączyły do nich setki tysięcy Żydów sefardyjskich, którzy zostali zmuszeni do opuszczenia swych domów w okolicznych krajach arabskich po proklamowaniu niepodległości Izraela.

Walka o przetrwanie toczyła się non stop. W całym kraju była racjonowana żywność, nie istniał transport publiczny, a służba zdrowia działała na pół gwizdka. Istnienie Izraela wciąż stało pod znakiem zapytania.

Kiedy w 1948 roku wybuchła pierwsza wojna izraelsko-arabska, wielu z tych ocalałych z Holokaustu witano w porcie, dawano im do ręki karabiny

i wysyłano na front. Ludzie ci nie znali ani słowa po hebrajsku i wielu z nich poległo w walkach. Ale ich towarzysze broni opowiedzieli innym o bohaterstwie i zapale, z jakim bronili swojego narodu i ojczyzny.

I chociaż warunki były ciężkie, przeciwności, z jakimi Izraelczycy zmagali się od samego początku, zmusiły ich do wypracowania niezbędnych narzędzi – takich jak umiejętność improwizowania i adaptowania się do zmiennych okoliczności – potrzebnych im, by przeżyć.

„W tych nowo powstałych Siłach Obronnych Izraela początkowe niedostatki liczebności, uzbrojenia i wyszkolenia kompensowane były poświęceniem i motywacją, inteligencją i improwizacją – wyjaśnia Reuwen Gal, były izraelski wicedoradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. – Z czasem cechy te stały się atrybutami izraelskiego żołnierza” [4].

Nie mając niemal żadnych zasobów poza kapitałem ludzkim, który napłynął do młodego państwa, Izraelczycy musieli wykorzystać do maksimum te skromne środki, którymi dysponowali. Wrogość i nieustające, począwszy od powstania Izraela, wezwania do jego zniszczenia – nawet dziś, z miejsc takich jak Iran – sprzyjają kreatywności. Innymi słowy, jeśli Izrael nie będzie myśleć kreatywnie, grozi mu zagłada.

Jest to proste równanie. Jak powiedział nam Chaim Eszed, pomysłodawca izraelskiego programu satelitarnego: „Cień gilotyny wyostrza umysł”.

Jednak nie może to być cała odpowiedź. Izrael nie jest jedynym krajem na świecie, który prosperuje mimo przeciwności. Korea Południowa na przykład stoi w obliczu podobnych zagrożeń dla bezpieczeństwa narodowego i ma szybko rozwijającą się gospodarkę, ale pozostaje w tyle, jeśli chodzi o projektowanie zaawansowanej broni.

Tym, co wyróżnia Izrael na tle innych państw, jest zupełny brak struktury. Choć może dziwić przedstawianie tego jako zalety, to właśnie ten rozpad hierarchii społecznej pobudza wynalazczość.

Brak hierarchii jest w Izraelu widoczny wszędzie – w wojsku, na ulicach, a nawet w biurach rządowych, gdzie pracownicy niższego szczebla zwracają się do ministrów, używając przezwisk.

A Izrael jest krajem przezwisk – premier Binjamin Netanjahu publicznie nazywany jest Bibi. Na byłego ministra obrony Mosze Ja’alona mówi się Bogie. Prezydent Izraela, Reuwen Riwlin, znany jest jako Ruwi, a szef opozycji, Icchak Herzog, nosi ksywkę Buzi.

W życiu codziennym Izraelczycy chętnie idą na skróty. Mieszkając w niewielkim kraju, często ze znikomym dystansem dzielącym ich od ich przywódców i innych wybitnych osób, są mistrzami w korzystaniu z – jak określają to polskim słowem – „protekcji”, czy to próbując dostać się na uniwersytet, czy zabiegając o wizytę u znanego kardiologa.

Jak już wspomniano, za główne źródło tej bezpośredniości uważana jest obowiązkowa służba w Cahalu. Izraelczycy przesiąkają tam głęboką niechęcią do hierarchii i żywym wyczuciem hucpy, słynnego żydowskiego słowa luźno tłumaczonego jako „bezczelność”, „tupet” i „zuchwalstwo”.

Jako świeży rekruci żołnierze Cahalu muszą się zwracać do przełożonych per „panie kapralu”, „panie sierżancie” i tak dalej. Ale po kilku miesiącach oficerowie rozpoczynają proces określany jako „przełamywanie dystansu”, po którym żołnierze mogą mówić do dowódców po imieniu i nie mają już obowiązku im salutować.

Zastanówmy się nad tym przez chwilę: izraelskie wojsko, instytucja, po której można by się spodziewać, że będzie wpajać swoim żołnierzom porządek i dyscyplinę, urządza ceremonię sankcjonującą burzenie hierarchii.

– To połączenie bezpośredniości i braku hierarchii jest największą przewagą, jaką Izrael ma nad innymi państwami Zachodu – powiedział nam Martin Van Creveld, znany historyk wojskowości. – Izrael to stosunkowo mały kraj, gdzie wszyscy się znają, a ponieważ niemal każdy służy w Cahalu, bardzo łatwo jest zniwelować dystans.

Z pozoru mogłoby się wydawać, że pozbawiona hierarchii kultura luzu umniejsza zdolność państwa lub organizacji do prowadzenia długofalowej strategii. W Izraelu jednak przyniosła ona przeciwny skutek. Brak barier tworzy atmosferę, która sprzyja swobodnej wymianie poglądów. Kiedy oficerowie różnych rang mogą komunikować się na równym poziomie i rozmawiać ze sobą bez przeszkód, rodzą się nowe pomysły.

Rozważmy na przykład, co się dzieje, kiedy dowódca Sił Powietrznych Izraela uczestniczy w misji szkoleniowej. Można by sądzić, że będzie leciał z pilotami dorównującymi mu rangą. Tymczasem zwykle zajmuje on tylny fotel za mniej doświadczonym pilotem, czasami o połowę młodszym od niego.

– W kokpicie nie ma stopni wojskowych – powiedział nam generał major Ido Nechusztan, były dowódca sił powietrznych, po jednym z takich lotów na F-16 z dwudziestopięcioletnim porucznikiem.

Młodzi uczą się od starszych i vice versa. Po tych lotach niżsi rangą piloci mogą nawet krytykować działania przełożonych bez ryzyka degradacji, utraty awansu czy jakiejkolwiek innej kary. Są wręcz do tego zachęcani.

– Ciężko pracujemy nad stworzeniem tego typu kultury – wyjaśnił Nechusztan. – Kultury otwartości, profesjonalizmu i uczciwości.

Dla zagranicznych oficerów, którzy odwiedzają Izrael, kultura ta często okazuje się wielkim szokiem.

Tak się właśnie stało, kiedy w 1992 roku swoją pierwszą podróż do Izraela odbywał generał porucznik Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych Ron Kadish, były dyrektor Agencji Obrony Antybalistycznej.

Kadish pełnił w owym czasie funkcję dyrektora amerykańskiego programu F-16. Liczba wypadków myśliwców F-16 rosła i Kadish przyjechał skonsultować się z Izraelskimi Siłami Powietrznymi, które miały jedną z największych flot F-16 poza USA.

Kiedy przybył do bazy, jego izraelski gospodarz oprowadził go po poszczególnych eskadrach i zaprezentował samoloty, z których wiele nosiło symbole zestrzeleń – małe czerwone kółka z niebieską kropką – z walk w pierwszej wojnie libańskiej sprzed dziesięciu lat. Jeden z izraelskich F-16 zestrzelił aż siedem syryjskich samolotów.

Po wycieczce Kadisha zaprowadzono do biura dowódcy bazy na techniczną dyskusję na temat myśliwca. Na stole czekał zwyczajowy poczęstunek – chrupiące cieplutkie burki z serem i ziemniakami oraz gęsta czarna kawa po turecku. Obie strony przedstawiały swoją mechaniczną i techniczną ocenę samolotu.

Nagle jeden z uczestników zaczął się spierać z dowódcą bazy na temat wad myśliwca. Kadish poprosił go, żeby się przedstawił. Był to podoficer, zwykły mechanik, który sprzeczał się z jednogwiazdkowym generałem. Jednak przedstawił swoje zdanie i został wysłuchany, ponieważ, pomijając kwestię rangi, miał słuszność.

– Byłem pod wrażeniem – wspominał Kadish. – W Stanach wszystko jest znacznie bardziej zorganizowane i ludzi tam trzeba nakłaniać, żeby powiedzieli, co myślą. Nie widziałem tego w izraelskim wojsku, a już na pewno nie w siłach powietrznych.

Kadish był właśnie świadkiem klasycznej izraelskiej hucpy. W amerykańskim wojsku odezwanie się bez pytania jest rzeczą

niesłychaną, zwłaszcza jeśli oznacza to sprzeczanie się ze swym dowódcą w obecności przybyłego z wizytą zagranicznego oficera. W Izraelu jednak nikt nie myśli w takich kategoriach. Ów mechanik robił dokładnie to, czego go nauczono i czego, jak uważał, od niego oczekiwano – mówił wprost, co myślał.

* * *

W izraelskiej rezerwie postawa ta zaznacza się jeszcze wyraźniej. Oficer, który chce otrzymać awans, musi nie tylko zrobić wrażenie na przełożonych, ale także zyskać przychylność podkomendnych.

– Jeżeli rezerwista nie otrzyma pożądanej odpowiedzi, pójdzie prosto do dowódcy dowódcy – powiedział nam emerytowany generał brygadier Szuki Ben Anat, były szef korpusu rezerwy Cahalu. – Nie robi tego, żeby podkopać system, ale żeby dostać to, czego chce. Dla rezerwisty hierarchia nie ma żadnego znaczenia.

Pułkownik Szlomi Kohen, dowódca Brygady „Aleksandroni" – jednej z elitarnych jednostek rezerwy piechoty Cahalu – doświadczył tego na własnej skórze, kiedy po drugiej wojnie libańskiej w 2006 roku zwołał swoich żołnierzy na odprawę.

Kiedy wybuchła wojna, rezerwiści z Brygady „Aleksandroni" licznie zgłosili się do służby. Dwaj żołnierze zostali uprowadzeni przez Hezbollah, a terytorium Izraela znalazło się pod ostrzałem rakietowym. Była to walka o przetrwanie.

Jednak kiedy ogłoszono zawieszenie broni i rezerwiści wrócili do kraju, ich frustracja i gniew były zbyt wielkie, by można je było powstrzymać. Wysłano ich do Libanu z przestarzałym i wadliwym sprzętem. Musieli prywatnie zbierać fundusze na zakup kamizelek kuloodpornych i latarek. Byli także niezadowoleni ze sposobu, w jaki Kohen dowodził nimi w walkach. Rozkazy zmieniały się nieustannie i brakowało im stanowczości. W niektóre dni po prostu tkwili na obrzeżach południowolibańskich wiosek, jakby czekali na atak Hezbollahu. Do rezerwistów nie docierało zaopatrzenie, w związku z czym byli zmuszeni włamywać się do libańskich sklepów spożywczych w poszukiwaniu jedzenia. Niektórzy czuli się winni i odchodząc, zostawiali na ladzie pliki banknotów.

Dwa dni po zakończeniu wojny Kohen zwołał swoich żołnierzy, by podjąć próbę rozwiązania niektórych kwestii. Spotkanie odbyło się w sosnowym lesie pod starożytnym miastem Safed w Dystrykcie Północnym, które w czasie wojny wielokrotnie atakowane było przez rakiety Hezbollahu. Kohen ostrzegł rezerwistów, jakie mogą być konsekwencje ich skarg. W pewnym momencie oskarżył ich o niską motywację.

Tego było im już za wiele. Jedni zaczęli krzyczeć, inni gwizdać, aż Kohen w końcu wstał i opuścił zebranie. Rezerwiści byli wściekli i kilku postanowiło skierować protest do Gabinetu Premiera w Jerozolimie.

Negatywne nastroje żołnierzy Kohena dotarły do najwyższego dowództwa i zamiast awansu ten niegdyś obiecujący oficer został wysłany jako izraelski attaché wojskowy do jednego z państw Europy Wschodniej, co położyło kres jego karierze.

Zachodni wojskowi wzdrygnęliby się na samą myśl o wygwizdaniu wysokiej rangi oficera, ale w Izraelu nie widziano w tym nic niestosownego. Dla rezerwistów to, co zrobili, było zupełnie naturalne. Oficer popełnił błędy i byli oburzeni. To, że był on ich przełożonym, a oni wciąż nosili mundury, było niewiele znaczącym szczegółem.

Ben Anat rozumiał frustrację i rozgoryczenie rezerwistów. Sam miał podobne odczucia w 1973 roku po wojnie Jom Kipur, której prowadzenie państwowa komisja dochodzeniowa uznała za pełne systematycznych zaniedbań i błędów. Choć odbywał wtedy jeszcze obowiązkową służbę wojskową, wojna i jej fuszerki – w pewnym momencie licząca zaledwie garstkę czołgów kompania Ben Anata starła się z pięćdziesięciokrotnie liczniejszym wrogiem – sprawiły, że uświadomił sobie znaczenie inwestowania w korpus rezerwowy i pojął, że Izrael nie może pozwolić sobie na to, by znów dać się zaskoczyć.

Po wojnie, choć został oficjalnie zdemobilizowany, postanowił kontynuować służbę. Podczas gdy większość rezerwistów była powoływana na dwa–trzy tygodnie ćwiczeń w roku, Ben Anat służył przez 120 dni, co pozwoliło mu piąć się po szczeblach kariery, mimo że nie był zawodowym żołnierzem i pracował dla jednej z izraelskich agencji wywiadowczych. W 2008 roku, po trzydziestu pięciu latach służby, otrzymał awans na generała brygadiera i został mianowany szefem rezerwy Cahalu.

W odróżnieniu od niektórych ze swych zachodnich odpowiedników Siły Obronne Izraela polegają w dużej mierze na rezerwistach zarówno w czasie wojny, jak i podczas rutynowych działań. Ta zależność datuje się od utworzenia Cahalu jako „armii narodowej” z obowiązkowym werbunkiem. Choć celem powołania korpusu rezerwowego było zapewnienie odpowiedniej liczby żołnierzy w razie zagrożenia, Ben Anat twierdzi, że obecność rezerwistów ma korzystny wpływ na biurokrację wojskową.

– Rezerwiści przychodzą na ustalony okres i nikt nie chce, aby mieli poczucie, że marnują czas – wyjaśnił. – W rezultacie cały system staje się bardziej efektywny.

Oparcie sił zbrojnych na rezerwie oznacza, że nawet kiedy poborowi ukończą obowiązkową służbę, pójdą na studia i podejmą pracę, w dalszym ciągu co rok wracają do wojska. Piloci zwykle nadal latają jeden dzień w tygodniu, podczas gdy zwykli żołnierze są powoływani na dwa lub trzy tygodnie każdego roku – połowa tego okresu przeznaczona jest na ćwiczenia, a druga połowa na rutynowe patrole i operacje graniczne.

Oznacza to, że inżynierowie zatrudnieni w przemyśle obronnym stykają się z wojskowymi nie tylko w salach konferencyjnych, gdzie prezentują im nowe projekty broni, ale także podczas służby w rezerwie, kiedy sami wkładają mundury i na powrót stają się żołnierzami.

Bojowe doświadczenie izraelskich inżynierów, a także ich regularne ćwiczenia i walki w rezerwie pomagają im lepiej zrozumieć, jaki sprzęt będzie potrzebny Cahalowi w następnej wojnie oraz jak go zaprojektować. W rezultacie wszelkie „wymogi operacyjne” stawiane przez wojsko wobec nowych systemów uzbrojenia są zwięzłe, jasne i określone w najdrobniejszych szczegółach. Ci ludzie byli na wojnie, brali udział w walkach i dobrze wiedzą, czego im potrzeba.

– Wiemy, co to znaczy siedzieć w pojeździe wojskowym – wyjaśnia pracownik Plasan Sasa, firmy produkującej opancerzenie dla izraelskich i amerykańskich czołgów – jak to jest najechać na minę albo znaleźć się pod ostrzałem [5]. – Takie przeżycia pozostają w pamięci na zawsze.

– Ten niemal osobisty związek między obronnymi potrzebami Izraela a tym, czego może dostarczyć nauka i technika, nie ma odpowiednika w innych krajach – twierdzi Dan Peled, profesor biznesu z Uniwersytetu w Hajfie [6].

W Stanach Zjednoczonych na przykład oficerowie wchodzą w skład zespołów badawczo-rozwojowych firm produkujących sprzęt wojskowy,

ale są oni często postrzegani jako intruzi. W Izraelu są natomiast swojakami. Wspomnienia z wojska towarzyszą ludziom przez całe życie. Ta podwójna tożsamość jest narodowym skarbem.

Van Creveld ujął to bardziej dosadnie: „Jeśli 95 procent waszych obywateli nigdy nie służyło w wojsku i nigdy nie uczestniczyło w działaniach zbrojnych, jak można oczekiwać od was innowacji w dziedzinie uzbrojenia?”.

* * *

Tym, co jeszcze zwróciło uwagę generała porucznika Kadisha podczas wizyty w Izraelu z 1992 roku, był młody wiek pilotów i żołnierzy, których spotykał w bazie lotniczej. Wykonywali oni zadania, jakie w USA i w Europie powierza się oficerom niekiedy dwukrotnie starszym od nich.

W Siłach Zbrojnych Stanów Zjednoczonych średnia wieku wynosi dwadzieścia dziewięć lat. W Cahalu jest to nieco ponad dwadzieścia lat.

W praktyce oznacza to, że izraelscy oficerowie niższych rang i zwykli poborowi otrzymują w młodym wieku ogromną władzę i odpowiedzialność. Mają też nad sobą mniej wysokich oficerów – w Izraelu na jednego starszego oficera przypada dziewięciu szeregowych, podczas gdy w USA pięciu – w związku z czym młodzi żołnierze chcąc nie chcąc muszą samodzielnie podejmować ważne decyzje.

W Izraelu młodzi analitycy wywiadu po raptem dwóch latach służby często mają bezpośredni dostęp do ministra obrony i premiera. Dwudziestotrzyletnich oficerów stawia się na czele kompanii i powierza im odcinki granic lub sektory Zachodniego Brzegu. Jeśli terroryści przenikną przez podległy im obszar i przeprowadzą poważny atak, to ich pociąga się do odpowiedzialności.

Powierzanie odpowiedzialnych funkcji tak młodym ludziom wyrabia w nich zdolności przywódcze, z których korzystają nie tylko w wojsku, ale i w późniejszym życiu. Ponieważ Izrael jest niemal permanentnie w stanie konfliktu zbrojnego, jego żołnierze wcześnie stykają się z niebezpieczeństwem i są zmuszeni, niekiedy wielokrotnie, do podejmowania decyzji na wagę życia i śmierci.

– Absolwenci Harvardu mogą mieć pierwszorzędne wykształcenie i doktoraty, ale ich wiedza jest tylko teoretyczna – powiedział nam Dawid

Iwri, były dowódca Sił Powietrznych Izraela i dyrektor generalny Ministerstwa Obrony. – W Cahalu żołnierze uzyskują doktorat z życia.

Inwestowanie tak wiele w żołnierzy ma jeszcze inny skutek: są oni uważani za bezcennych i postrzegani jako dzieci wszystkich Izraelczyków. I znajduje to odbicie w czynach. W 2011 roku Izrael uwolnił przeszło tysiąc więźniów w zamian za jednego żołnierza przetrzymywanego przez Hamas w Strefie Gazy. Podobne wymiany jeńców są dokonywane przez izraelski rząd od lat osiemdziesiątych XX wieku.

Jest to rzecz wyjątkowa nie tylko na Bliskim Wschodzie, ale nawet wśród innych zachodnich sił zbrojnych. Wartość przypisywana pojedynczemu żołnierzowi czyni każdego z nich ważnym nie tylko dla jego krewnych, ale i dla całego narodu. Gdy jakiś żołnierz zostaje uprowadzony, każda rodzina odczuwa ból, wiedząc, że mógł to być ich bliski.

Obowiązkowa służba wojskowa wpływa na izraelskie społeczeństwo w jeszcze jeden sposób: pełni rolę tygla. Zjawisko to nie występuje w zachodnich siłach zbrojnych, które opierają się na ochotnikach. W Stanach Zjednoczonych mniej więcej dziesięć lat temu 44 procent żołnierzy pochodziło z terenów wiejskich, 40 procent z Południa, a niemal dwie trzecie wywodziło się z hrabstw, w których przeciętny dochód gospodarstw domowych plasował się poniżej średniej krajowej [7].

W Izraelu do wojska trafia niemal każdy. Mężczyźni powoływani są na trzy lata, a kobiety na dwa. Bogaty dzieciak z Tel Awiwu, który dostaje przydział do jednostki bojowej, przechodzi szkolenie razem z etiopskim Żydem z nowo powstałego miasteczka na południu kraju, rosyjskim imigrantem z północy i pobożnym żołnierzem z osiedla na Zachodnim Brzegu. Służba w Cahalu nie toleruje barier społecznych. Ubogie izraelskie dzieciaki, które nigdy nie miałyby okazji posługiwać się zaawansowanym technicznie sprzętem, dostają tę szansę w Cahalu. Młodzi ludzie, którzy dorastali bez smartfona w domu, są nagle szkoleni na cyberoperatorów. Kiedy obywatel wkłada mundur, na etykietki socjoekonomiczne i rasowe nie ma miejsca.

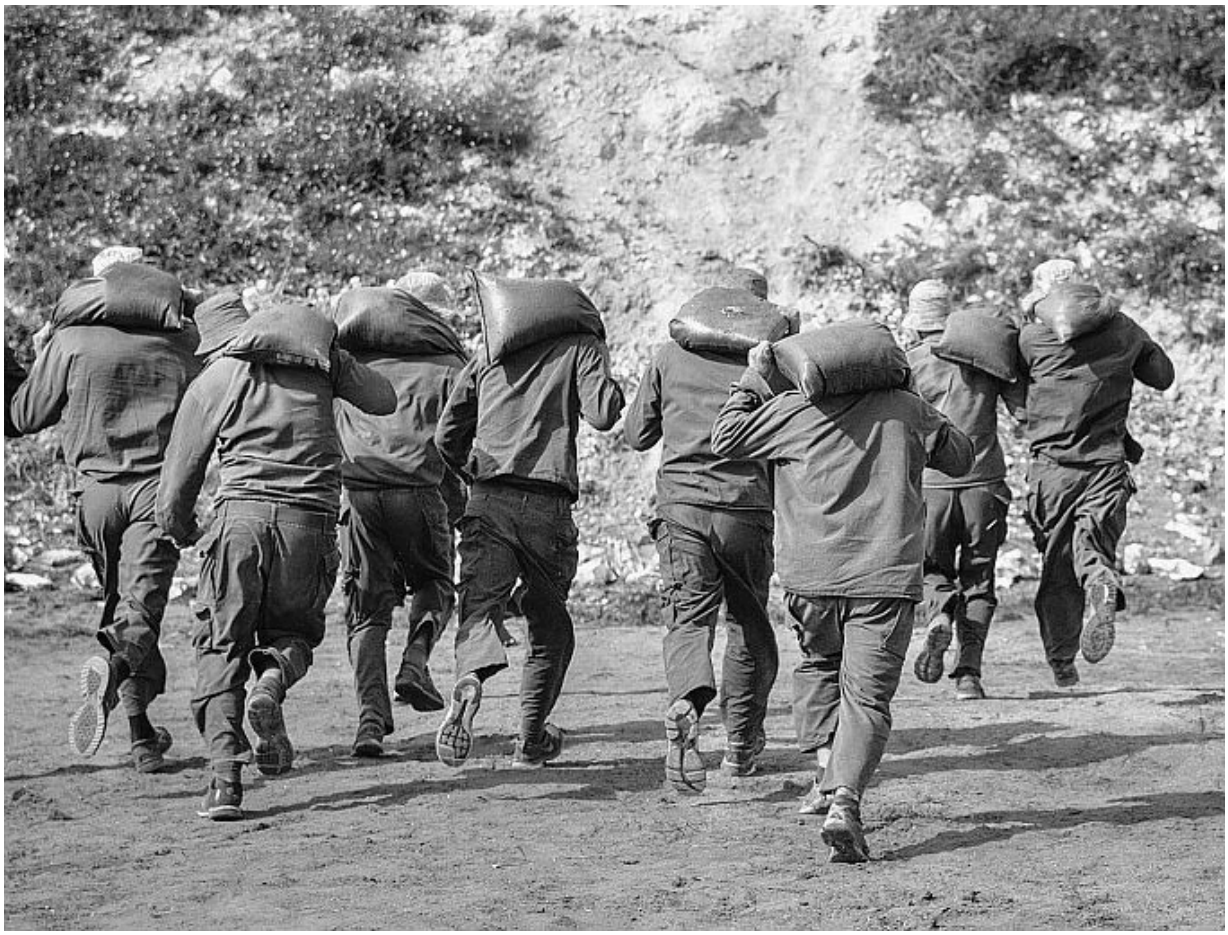

Szkolenie rekrutów Brygady „Golani”. Marzec 2016 r.
Fot. Cahal

Ów tygiel jest częścią recepty na nowatorstwo. Kreatywność może pojawić się tylko tam, gdzie ludzie zbierają się razem i wymieniają pomysłami. Do tego zaś muszą znać się nawzajem oraz mieć wspólny język i kulturę. W Izraelu zapewnia im to wojsko.

Cahal zachęca też swoich oficerów do zdobywania „multidyscyplinarnego wykształcenia”. Wynika to z ograniczonych zasobów, jakimi dysponuje Izrael, w kategoriach nie tylko surowców, ale i ludzi. W zagranicznych koncernach lotniczych, jak chętnie żartują Izraelczycy, są osobni specjaliści od każdej śrubki i bezpiecznika. W Izraelu inżynierowie wykraczają poza wąskie dziedziny i specjalizują się w więcej niż jednym zadaniu.

To dlatego właśnie wielu wysokich oficerów i dyrektorów izraelskich firm zbrojeniowych ma kilka różnych stopni naukowych z różnych

dziedzin. Oficera Cahalu zachęca się na przykład do uzyskania licencjatu z elektroniki, a następnie magisterium z czegoś zupełnie innego, jak fizyka albo polityka publiczna.

Generał brygadier Dani Gold, mózg stojący za opracowaniem rewolucyjnego systemu obrony przeciwrakietowej Żelazna Kopuła, jest tego dobrym przykładem. W połowie swej kariery w siłach powietrznych wziął urlop naukowy i zrobił dwa doktoraty – jeden z zarządzania biznesem, a drugi z inżynierii elektrycznej. Jak zobaczymy, potrzebował obydwu, żeby nadać rozpęd pracom nad nowatorską Żelazną Kopułą.

* * *

Jeśli istnieje jedna jednostka, która najlepiej unaoczniałaby inwestycje Cahalu w zasoby ludzkie i nacisk, jaki kładzie on na multidyscyplinarne wykształcenie, to jest nią Talpijot, gdzie służy intelektualny kwiat Izraela.

Talpijot – słowo to pochodzi z jednego z wersów Pieśni nad Pieśniami i odnosi się do murów twierdzy – jest przodującą jednostką techniczną Izraela. Każdego roku o przyjęcie do niej ubiegają się tysiące, ale tylko około trzydziestu dostępuje owego zaszczytu, z którym wiąże się zaciągnięcie na dziewięcioletnią służbę, trzykrotnie dłuższą niż normalna.

Żołnierze ci mają zwykle kwalifikacje i zdolności, które mogłyby zapewnić im miejsce w charakterze pilotów lub operatorów w elitarnych oddziałach komandosów. Ale Talpijot przebija konkurencję i bierze, kogo chce. Aż tak wiele znaczy.

Jednostka ta zrodziła się z katastrofy – wojny Jom Kipur z 1973 roku. Izrael okazał się nieprzygotowany, kiedy Syria i Egipt zaatakowały go w wielkie żydowskie święto. Przeszło 2 tysiące żołnierzy poległo, zniszczone zostały też niezliczone samoloty i czołgi. Jeśli aż do tej pory Izrael przekonany był o wyższości swojej armii, to teraz ogarnęło go poczucie bezbronności, jakiego nie znał od czasu utworzenia państwa ćwierć wieku wcześniej.

Choć Izrael ostatecznie utrzymał swoje terytorium, traumatyczna wojna brutalnie mu uświadomiła, że nowatorska taktyka nie wystarczy do zachowania przewagi militarnej. Potrzebny był też prymat na polu techniki. Pytanie brzmiało, jak go osiągnąć.

Krótko po wojnie pułkownik Aharon Bet Halachmi, ówczesny szef działu technicznego sił powietrznych, odebrał telefon od Saula Jaciwa,

fizyka z Uniwersytetu Hebrajskiego, którego poznał wcześniej tego roku, kiedy odwiedził uczelnię, żeby obejrzeć laser o dużej mocy, który budował Jaciw. Rosjanie i Amerykanie również pracowali nad laserami, i Bet Halachmi uznał, że Cahal powinien zainwestować w podobny sprzęt. Nad jego przydatnością dla wojska można się było zastanowić później.

Jaciw powiedział, że ma do omówienia pewną ważną sprawę i że przyprowadzi ze sobą kolegę. Kilka dni później pojawił się w gabinecie Bet Halachmiego z Feliksem Dotanem, również fizykiem. Bet Halachmi miał wrażenie, że ma do czynienia ze współczesną wersją biblijnych Mojżesza i Aarona – podobnie jak Mojżesz, Dotan miał wadę wymowy. Jaciw służył mu za rzecznika.

Dotan, powiedział Jaciw, napisał raport postulujący utworzenie instytutu, który nazwał Talpijot. Program ten, jak wyjaśnili obaj, miał być przeznaczony wyłącznie dla izraelskich geniuszy. Żołnierze ci odbywaliby czterdziestomiesięczne szkolenie – najdłuższe w Cahalu – i każdy robiłby dyplom z fizyki, matematyki i informatyki, jednocześnie przechodząc szkolenie bojowe w elitarnej jednostce spadochroniarzy.

Absolwenci odbywaliby następnie służbę w każdym z rodzajów wojsk. Po czterdziestu miesiącach byliby przydzielani do konkretnej jednostki, z naciskiem na lotnictwo lub wywiad.

Bet Halachmi był zaintrygowany. On również ubolewał nad tym, jak Izrael spisał się w tej wojnie, i szukał sposobów na zwiększenie technicznego potencjału Cahalu. Zgodził się przedstawić tę propozycję przełożonym.

O wyjątkowości Talpijotu zadecydował jego profil. Zamiast szkolić się w jakiejś jednej dziedzinie, uczestnicy mieli otrzymywać wykształcenie multidyscyplinarne i zaznajamiać się z całością technicznego potencjału Cahalu. Zamysłem było wyposażenie ich w umiejętności potrzebne do znajdowania rozwiązań, które przekraczałyby biurokratyczne bariery i ograniczenia technologiczne.

Jednak nie wszystkim spodobał się ten pomysł. Oficerowie sił powietrznych i wywiadu wojskowego sprzeciwiali się temu programowi. Chcieli, by najlepsi rekruci służyli jako piloci i dowódcy polowi. „Byłoby marnotrawstwem wysyłać ich gdzie indziej” – to typowa reakcja, z jaką Bet Halachmi spotykał się w całym Sztabie Generalnym. Na swoim stanowisku w siłach powietrznych niewiele mógł zdziałać. Musiał czekać.

Parę lat później Bet Halachmi został mianowany szefem Dyrekcji do spraw Badań i Rozwoju Cahalu i otrzymał własne krzesło przy stole obrad Sztabu Generalnego. Oznaczało to, że zyskał swobodny dostęp do szefa sztabu Rafula Ejtana. Podczas jednego z ich cotygodniowych spotkań przedstawił pomysł Talpijotu i Raful połknął haczyk. Nie zawracał sobie nawet głowy zwoływaniem zebrania. W ciągu trzech miesięcy uruchomiono fazę pilotażową.

Już wkrótce Bet Halachmi zdał sobie sprawę, że program jest sukcesem. Kilka lat po jego wdrożeniu premier zwołał specjalne posiedzenie Komitetu do spraw Bezpieczeństwa Narodowego, aby podyskutować na jego temat. Kilku generałów skarżyło się, że absolwenci nie są sprawiedliwie rozdzielani pomiędzy poszczególne rodzaje wojsk. Wszyscy, włącznie z izraelskimi agencjami szpiegowskimi, chcieli „talpijona", jak nazywano absolwentów. Było to trudne zebranie, po którym premier zarządził, że talpijonowie mają być przydzielani do wszelkich organów bezpieczeństwa w kraju, z policją włącznie. Dziś o jednego talpijona ubiega się przeciętnie pięć jednostek.

– Dowiedliśmy, że aby dokonywać przełomów, nie potrzeba wcale wielu ludzi – powiedział nam Bet Halachmi. – Wszystko, czego było nam trzeba, to odpowiedni ludzie z odpowiednim wyszkoleniem.

Przykładów sukcesu jest bez liku, a większość z nich pozostaje ściśle tajna. Jeden z talpijonów odkrył sposób na dziesięciokrotne zwiększenie prędkości lotu pocisków dzięki napędzaniu ich energią elektryczną zamiast chemicznej.

Inny talpijon, który rzucił studia medyczne, żeby wstąpić do tej jednostki, opracował nowy fotel dla pilotów helikopterów. Odbywając pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku służbę wojskową, dowiedział się, że znaczna liczba pilotów skarży się na bóle kręgosłupa. Zaprojektował więc nowy fotel, zainstalował go w symulatorze helikoptera, wyciął otwór w oparciu i wycelował długopis w plecy pilota. Następnie, używając superszybkiej kamery, zarejestrował wpływ, jaki mają wibracje na jego kręgosłup [8].

Jeszcze inny talpijon odegrał decydującą rolę w opracowaniu systemu wykrywania tuneli przekopywanych przez terrorystów przy granicy Izraela ze Strefą Gazy.

Choć Talpijon jest niewielką jednostką – w ciągu mniej więcej czterdziestu lat wypuścił raptem około tysiąca absolwentów – jego wpływ

daje się odczuć w całym Cahalu i nie tylko. Jego absolwenci formują elity izraelskiego środowiska akademickiego i przemysłu zaawansowanych technologii, zajmując najwyższe stanowiska w dziesiątkach firm, z których wiele notowanych jest na giełdzie NASDAQ.

– Na całym świecie nie ma nic podobnego do tego programu – mówi Ewiatar Matania, były członek Talpijonu, który został później szefem izraelskiego Narodowego Urzędu Cyberbezpieczeństwa. – Talpijon często w pojedynkę rewolucjonizuje swoją jednostkę. Dwaj lub trzej w tej samej jednostce to już odmienny świat [9].

* * *

Wydaje nam się, że tajemnica sukcesu Izraela jest kombinacją wszystkich wspomnianych czynników, ale sięga także głębiej, do samej istoty izraelskiego charakteru narodowego.

Mało który kraj na świecie, o ile jakikolwiek, był uwikłany w konflikt przez tak długi czas albo tak głęboko jak Izrael. Margines błędu jest niewielki, kiedy wróg, z którym walczycie, znajduje się zaledwie o kilka minut jazdy od waszych drzwi – kiedy terrorystyczne ugrupowania tuż za waszymi granicami regularnie ostrzeliwują rakietami wasze domy i szkoły i wysyłają zamachowców samobójców do waszych autobusów.

W takich realiach bezpieczeństwo nigdy nie jest uważane za oczywistość. Niektórzy Izraelczycy stają się nerwowi po długim okresie spokoju. To niemożliwe, mówią. To musi być cisza przed burzą.

Izrael był pierwszym zachodnim krajem, który walczył z sowiecką machiną wojenną w Egipcie i Syrii, oraz pierwszym współczesnym państwem, które doświadczyło samobójczych zamachów terrorystycznych na swych ulicach, lata wcześniej niż Nowy Jork czy też Londyn, Madryt i inne stolice Europy. Od potencjalnego zbrojnego uderzenia na Iran po sporadyczne polowania na terrorystów na Zachodnim Brzegu – Izrael stoi w obliczu liczniejszych zagrożeń niż większość krajów i nieustannie rozwija zaawansowane technologie wojskowe, by stawić im czoło.

– Na naszą korzyść działa połączenie trzech czynników – powiedział nam Udi Szani, były dyrektor generalny Ministerstwa Obrony, kiedy spotkaliśmy się w Tel Awiwie. – Mamy obdarzonych inwencją ludzi, doświadczenie bojowe, dzięki któremu znamy swoje potrzeby, oraz

natychmiastowe zastosowanie operacyjne dla naszych wynalazków, gdyż niemal nieustannie jesteśmy w stanie konfliktu.

Jednak choć izraelskie wynalazki w dziedzinie uzbrojenia rewolucjonizują współczesną sztukę prowadzenia wojen, nie powstają one w próżni, ale na Bliskim Wschodzie, w najbardziej chyba niespokojnym regionie świata. Izrael może uważać swoją potrzebę posiadania najnowocześniejszej broni za reakcję na zewnętrzne zagrożenia, ale to właśnie owo zaawansowanie techniczne częstokroć napędza ten właśnie wyścig zbrojeń, który usiłuje powstrzymać.

W 2010 roku, na przykład, Izrael użył Stuxneta, by przeprowadzić jeden z pierwszych znanych wojskowych cyberataków na świecie. Izraelski wirus komputerowy był tak skuteczny, że uszkodził około tysiąca wirówek w głównym irańskim zakładzie wzbogacania uranu i według niektórych szacunków cofnął tajny program nuklearny tego kraju niemal o dwa lata. Po owym incydencie Iran utworzył jednak własną jednostkę cybernetyczną i inwestuje przeszło miliard dolarów rocznie w rozwój potencjału ofensywnego. Wojna cybernetyczna na pełną skalę wydaje się teraz tylko kwestią czasu.

Dziś, gdy na Bliskim Wschodzie szerzy się chaos, a coraz więcej państw, zwłaszcza w Europie, mierzy się z groźbą miejskich zamachów ze strony ISIS i innych organizacji terrorystycznych, doskonalone przez Izrael taktyki i technologie są wielce poszukiwane.

I tak, na przykład, system obrony przed rakietami krótkiego zasięgu Żelazna Kopuła pomógł Izraelowi przekształcić strategiczne zagrożenie – ostrzał rakietowy ze Strefy Gazy – w dający się znieść problem taktyczny. Pozwala to izraelskim przywódcom skupić się na poważniejszych wyzwaniach i zagrożeniach, wobec których stoi ten kraj.

System obrony aktywnej *Trophy*, instalowany na należących do Cahalu czołgach *Merkawa*, zdolny do przechwytywania nadlatujących granatów rakietowych oraz pocisków przeciwpancernych, pozwala tym wielkim stalowym machinom bojowym zachować znaczenie w epoce konfliktów asymetrycznych i walk toczonych na terenach miejskich. W czasie, kiedy większość państw redukuje swoje siły pancerne, Izrael robi coś przeciwnego.

Historia Izraela zawsze zdumiewała świat. Jest to opowieść o tym, jak słaby prastary naród powrócił do swej ojczyzny, założył państwo i, na przekór wszystkiemu, nie tylko przetrwał, ale i rozkwitł.

Ta książka uzupełnia ową historię o kolejną warstwę. Nie będzie to wyłącznie opis technologii, które przyniosły Izraelowi zwycięstwo i sukces na polu walki; przybliży ona również ludzi oraz jedyną w swoim rodzaju izraelską kulturę, dzięki którym było to możliwe.

W świecie pełnym niepewności i zagrożeń jest to historia, której powinniśmy poświęcić szczególną uwagę.

ROZDZIAŁ 1

Podziemne początki

Był rok 1945, trzy lata przed utworzeniem Państwa Izrael, a żydowscy przywódcy w Palestynie już mieli przeczucie tego, co nadciąga. Było kwestią czasu, nim zniesiony zostanie Mandat i Brytyjczycy opuszczą Palestynę. Żydzi wiedzieli, że gdy tylko to nastąpi, Arabowie zaatakują.

Broni było mało, ale największy problem polegał na tym, że pod brytyjskimi rządami Żydom przyłapanym na jej posiadaniu groziło więzienie, a niekiedy kara śmierci. Hagana – żydowska organizacja paramilitarna, z której ostatecznie wyewoluowały Siły Obronne Izraela – potrzebowała amunicji i uzbrojenia. Pytanie brzmiało, jak je zdobyć.

Człowiekiem, któremu powierzono znalezienie rozwiązania, był Josef Awidar, wysokiej rangi dowódca Hagany. Awidar urodził się w Rosji i jako dziewięciolatek otrzymał podstawowe szkolenie wojskowe za sprawą nieżydowskiego sąsiada, który wrócił do domu ze służby w carskiej armii. Umiejętności te pozostały mu na całe życie. Po przybyciu do Izraela wyróżniał się i szybko awansował w szeregach Hagany. Podczas arabskich zamieszek z 1929 roku dowodził żydowskimi siłami na jerozolimskim Starym Mieście i udało mu się odeprzeć atakujących Arabów przy użyciu jednego karabinu i zaledwie jedenastu nabojów. W depeszy, którą wysłał później do sztabu Hagany, zganił to, jego zdaniem, niepotrzebne zużycie amunicji. Jego skarga uzmysławia, jak niewiele jej miała żydowska społeczność.

„Można było powstrzymać ich siedmioma kulami – stwierdził. – Zmarnowaliśmy cztery”.

Rozruchy były dzwonkiem alarmowym dla Awidara, który rozumiał, że jeśli Izrael ma przetrwać, Żydzi potrzebują szkolenia, i to solidnego. Tak właśnie pewnego sobotniego ranka znalazł się w amfiteatrze niedaleko kampusu Uniwersytetu Hebrajskiego na górze Skopus, gdzie zaczął uczyć pięćdziesięcioosobową grupę, jak rzucać granaty. Hagana nie miała prawdziwych granatów, tak więc Awidar demonstrował to na chałupniczo

wyprodukowanym pocisku z przemytu. Kiedy uniósł rękę, żeby rzucić granat, ten przedwcześnie eksplodował. Wybuch słychać było na wiele mil i było tylko kwestią czasu, kiedy zjawią się brytyjscy żołnierze. Mimo poważnej rany Awidar nie pozwolił się ewakuować, dopóki wszyscy jego ludzie nie wymknęli się bezpiecznie.

To był decydujący moment. Żydowska społeczność potrzebowała broni wysokiej jakości, takiej, która nie wybuchałaby żołnierzom w rękach. Jednak Brytyjczycy sprawowali ścisłą kontrolę nad krajem. Wystarczająco trudne było już przemycanie morzem żydowskich imigrantów, a co dopiero broni. W rezultacie Awidar wpadł na radykalny pomysł, by wybudować fabrykę amunicji, pierwszą tego rodzaju, w Palestynie. Był to karkołomny projekt. Po pierwsze, Jiszuw – jak nazywano wówczas społeczność żydowskich osadników – nie miał praktycznie żadnego doświadczenia w produkcji broni. Po drugie, Brytyjczycy byli wszechobecni. Trudno byłoby ukryć przed nimi fabrykę amunicji.

Ale Awidar był zdeterminowany. Sukces, jak wiedział, zależał w dużej mierze od znalezienia odpowiedniego miejsca. Objeżdżał kraj, aż w końcu jego wybór padł na wzgórze pod miastem Rechowot, znanym dziś jako siedziba Instytutu Naukowego Weizmanna, jednej z najważniejszych instytucji akademickich Izraela. W 1932 roku niewielka grupa Żydów osiedliła się na szczycie wzgórza, ostatecznie jednak przeniosła się do miasta, aby skoncentrować siły w obliczu wzmagających się arabskich ataków.

Wzgórze miało dwie oczywiste zalety – było odosobnione, ale wystarczająco bliskie miasta i jego sieci energetycznej. Łatwiej też było tu zbudować fabrykę pod ziemią, z dala od oczu brytyjskiej armii.

Awidarowi podobało się i to, że wzgórze leżało niedaleko stacji kolejowej Rechowot, na której zawsze roiło się od brytyjskich żołnierzy. Uznał, że Brytyjczycy nie będą się spodziewać, że tuż pod ich nosem ktoś mógłby zbudować fabrykę broni.

Potrzebował jednak przykrywki tłumaczącej, dlaczego grupa Żydów nagle postanowiła się osiedlić właśnie na tym wzgórzu. Dowiedział się, że grupa nowych imigrantów – powiązanych z żydowskim ruchem skautowym – planuje założyć kibuc. Pewnego dnia pojawił się w ich stołówce i poprosił, żeby nieco zmodyfikowali swoje plany. Zasugerował, żeby zamiast zakładać kibuc, wspomogli wysiłek wojenny. Mieli zamieszkać na

wzgórzu, Hagana postawiłaby wszelkie niezbędne budynki i pracowaliby w fabryce. Grupa wyraziła zgodę.

Nim nastała wiosna, kilkudziesięciu dwudziestolatków osiedliło się na wzgórzu i rozpoczęło na pozór zwyczajne życie wśród sadów cytrusowych i wspólnych zajęć rekreacyjnych.

Jednocześnie ruszyła budowa podziemnej fabryki broni, nazwanej Instytutem Ajalon. Odremontowano niektóre z istniejących budynków – sanitariaty, kurnik, kuchnię i stołówkę.

Do budowy podziemnej hali Awidar zwerbował jerozolimską firmę, która w latach dwudziestych XX wieku współpracowała przy wznoszeniu Uniwersytetu Hebrajskiego na górze Skopus, jednej z najbardziej okazałych budowli owych czasów, na którego terenie Awidar kilka lat wcześniej odniósł poważną ranę dłoni. W ciągu dwudziestu dwóch dni ekipa wydrążyła blisko dziewięć metrów pod ziemią pomieszczenie trzydziestometrowej długości.

Każdemu, kto o to pytał, pionierzy mówili, że budują podziemny magazyn do przechowywania owoców i warzyw, które będą zbierać w okolicznych sadach i na polach. Jak wyjaśniali, potrzebowali go, żeby utrzymać produkty w świeżości.

Tajną halę nakrywał gruby betonowy strop z dwoma otworami, z których każdy prowadził do nowo postawionego budynku: jeden do piekarni, a drugi do pralni. Linię produkcyjną zmontowano na dole ze sprzętu z czasów pierwszej wojny światowej, który zakupiono w Warszawie i przemycono do Izraela przez Bejrut. Mosiężne tuleje potrzebne na łuski szmuglowano do Palestyny w skrzynkach, które według listów przewozowych zawierały oprawki do szminek.

Aby zagłuszyć hałas maszyn do wyrobu nabojów, pralnia musiała pracować całą dobę, a do tego potrzeba było klientów. Tak więc Awidar polecił kibucnikom otworzyć jej filię w centrum Rechowotu. Wkrótce zaczęła ona obsługiwać większość regionu. Pralnia wygrała przetarg na usługi dla pobliskiego szpitala, a później jej klientem została… brytyjska armia – której zwodzenie było głównym powodem tych zabiegów.

Niczego nie zdawano na przypadek. W podziemnej hali zainstalowano lampy kwarcowe, żeby „kibucnicy” produkujący naboje wyglądali na opalonych, jak gdyby całe dnie spędzali na polach.

Wejście w piekarni zamaskowane było potężnym, dziesięciotonowym kamiennym piecem zbudowanym na szynach, dzięki czemu można go było

przesuwać, zasłaniając lub odsłaniając ukryte schody. Wejście w pralni schowane było za pralką, która również przemieszczała się za pociągnięciem dźwigni.

Awidar, który z czasem został jednym z pierwszych generałów Cahalu i ambasadorem Izraela w Związku Radzieckim, ukradkiem podłączył fabrykę bezpośrednio do pobliskiej sieci energetycznej, aby uniknąć pytań o to, dlaczego mały, nowy kibuc zużywa aż tyle prądu.

Kobiety pracujące w zbudowanej pod pralnią fabryce amunicji zwanej Instytutem Ajalon. Fot. Instytut Ajalon

I wreszcie, by zniechęcić do składania im wizyt, członkowie kibucu rozpuścili po mieście plotkę, że w ich osadzie wybuchła epidemia pryszczycy. Umieścili przy bramie kibucu tablicę ostrzegawczą, nakazującą przyjezdnym przed wejściem zanurzyć buty w środku dezynfekującym.

Plan działał znakomicie i Brytyjczycy nigdy nie nabrali żadnych podejrzeń. Kilka razy jednak o mało nie doszło do wpadki. Na początku 1948 roku pociąg wiozący brytyjskich żołnierzy ze Strefy Gazy do Lod został wykolejony przez wybuch miny pod samym kibucem. Dwudziestu ośmiu żołnierzy zginęło, a dziesiątki innych zostało rannych. Atak przeprowadziła Lechi, organizacja syjonistyczna zwana także bandą Sterna, bardziej radykalna i bojowa niż Hagana.

Główną obawą zaangażowanych w produkcję amunicji było to, że Brytyjczycy, podejrzewając, iż kibuc odegrał jakąś rolę w ataku bombowym, przeszukają zabudowania. Prace w podziemnej hali produkcyjnej zostały zawieszone, a wszystkim robotnikom kazano wyjść na zewnątrz.

Co jednak można było zrobić, by powstrzymać Brytyjczyków przed przeszukaniem kibucu? Pracownicy postanowili pobiec do pociągu i zaoferować pomoc – żywność, wodę i opiekę medyczną. Brytyjczycy naturalnie uznali, że niemożliwością jest, by kibuc, który okazał tak dobre chęci, mógł być organizatorem ataku.

Instytut Ajalon funkcjonował niemal trzy lata – od 1945 roku aż do utworzenia Państwa Izrael w roku 1948 – i wyprodukował przeszło 2 miliony nabojów kalibru 9 mm. W szczytowej fazie pracownicy fabryki wytwarzali dziennie 40 tysięcy nabojów, na których wytłoczone były dwie litery: E od „Erec Jisrael” (po hebrajsku „Ziemia Izraela”) i A od „Ajalon”.

* * *

Po wojnie Instytut Ajalon został włączony do Israel Military Industries (IMI), pierwszej izraelskiej firmy zbrojeniowej, która jest dziś uznanym światowym liderem w dziedzinie projektowania pocisków, rakiet i opancerzenia.

To było jednak dopiero kwestią przyszłości. Tymczasem rodzące się państwo musiało znaleźć sposób na zdobycie uzbrojenia, a wobec perspektywy bliskiej wojny potrzebowało go szybko. Sęk w tym, że niemal nikt nie chciał sprzedawać broni znękanemu przyszłemu państwu – ani Stany Zjednoczone, ani Wielka Brytania, ani Związek Radziecki.

Jedynym wyjątkiem była Czechosłowacja.

Pierwszymi samolotami, jakie służyły w Siłach Powietrznych Izraela, były cztery messerschmitty pozyskane z resztek nazistowskiej Luftwaffe w Czechosłowacji [1]. Każdy z samolotów został rozebrany na części, przewieziony w tajemnicy do Izraela, ponownie złożony i uzbrojony w broń maszynową oraz cztery siedemdziesięciokilogramowe bomby.

Inne samoloty, sprowadzone trasą przez Włochy, miały zainstalowane w miejscu foteli zbiorniki paliwa, aby umożliwić im przelot do Izraela.

Czesi zgodzili się również zaopatrzyć Izrael w karabiny i cztery działa, których po raz ostatni używano w pierwszej wojnie światowej. Nie miało to znaczenia. Izraelczycy brali wszystko, co nadawało się do strzelania.

Oprócz umów na dostawy broni, w celu pozyskania sprzętu uciekano się też do podejrzanych, przemyślnych sztuczek. Grupa izraelskich handlarzy bronią udała się do Anglii i założyła tam fikcyjną wytwórnię filmową, żeby nakręcić, jak twierdzili jej członkowie, film o drugiej wojnie światowej. Zaangażowali całą obsadę i ekipę – aktorów, producentów – a nawet kupili samoloty, które miały zostać użyte w filmie.

W jednej z początkowych scen walki powietrznej samoloty wzbiły się w pochmurne londyńskie niebo. Kamery filmowały z dołu, jak maszyny lecą w dal, a następnie skręcają na południowy wschód, w stronę Izraela.

Takie fortele miały swój urok, ale izraelscy przywódcy wiedzieli, że nie da się ich stosować w nieskończoność. Izrael musiał znaleźć pewniejszy sposób zaopatrywania się w broń. To musiało jednak poczekać. Najpierw trzeba było stoczyć walkę o przetrwanie.

* * *

Spodziewana wojna wybuchła w maju 1948 roku. W skoordynowanym ataku wtargnęło na terytorium Izraela pięć arabskich armii z całego Bliskiego Wschodu. Wydawało się, że młode państwo nie ma żadnych szans. Arabowie mieli czołgi, artylerię i zorganizowane lotnictwo. Izraelczycy nie mieli ani dział, ani czołgów.

Szanse Izraela oceniano różnie, ale zdecydowanie brano pod uwagę możliwość klęski. W raporcie dla izraelskiego przywództwa pewien wysoki dowódca wojskowy dawał młodemu państwu pięćdziesiąt procent szans na przetrwanie. „Jest równie prawdopodobne, że zwyciężymy, jak to, że zostaniemy pokonani", stwierdził [10].

Wojna była brutalna. Izrael był słabszy liczebnie i sprzętowo. Przeszło 6 tysięcy Izraelczyków zginęło, a 15 tysięcy odniosło rany. Ostatecznie jednak państwo żydowskie przetrwało, co zawdzięczało połączeniu niekonwencjonalnej taktyki, zdumiewającego poświęcenia i bezprecedensowych improwizacji. Izrael dokonał rzeczy niemożliwej.

Jednym z przykładów był Jad Mordechaj, mały kibuc na wybrzeżu Morza Śródziemnego na północ od Strefy Gazy, gdzie około 150 Izraelczyków przez sześć dni odpierało całą egipską dywizję zmechanizowaną, mając zaledwie 75 karabinów, 300 granatów i jedną wyrzutnię rakiet przeciwpancernych.

I była też historia Lou Lenarta.

Urodzony na Węgrzech w roku 1921 Lenart w wieku dziewięciu lat wyemigrował z rodzicami do Stanów Zjednoczonych i stał się regularnym celem antysemickich napaści i szyderstw w małym pensylwańskim miasteczku, gdzie się osiedlili. Wcześnie nauczył się, że aby przetrwać, musi być silny, a żeby być silnym, zaciągnął się do piechoty morskiej.

Lenart został pilotem, a pod koniec swej siedmioletniej służby wziął udział w bitwie o Okinawę i uczestniczył w nalotach na Wyspy Japońskie. Po wojnie dowiedział się, że jego krewni, którzy pozostali na Węgrzech, zginęli w Auschwitz. Lenart wrócił do Los Angeles i zaczął myśleć o Izraelu, a właściwie Palestynie, bo tak nazywano go w owym czasie.

– Moja rodzina została wymordowana w Auschwitz i wydawało mi się, że niedobitki Holokaustu mają prawo do życia i odrobiny szczęścia – a nie chciał ich nikt poza ich rodakami w Izraelu – wspominał w rozmowie z nami wiele lat później.

Dołączył do grupy żydowskich pilotów formowanej w Los Angeles, aby wspomóc Izrael. Przybył do tego kraju w kwietniu 1948 roku, zaledwie miesiąc przed wybuchem wojny. Natychmiast zaprzęgnięto go do pracy przy montażu czeskich samolotów myśliwskich Avia S-199, nazywanych przez pilotów „mułami".

W połowie maja wybuchła wojna, a samoloty były wreszcie gotowe. Po około tygodniu walk Izrael był bliski rozpaczy. Na biegnącej brzegiem

Morza Śródziemnego szosie pod Aszdod, raptem kilkadziesiąt kilometrów na południe od Tel Awiwu, została zatrzymana kolumna 15 tysięcy egipskich żołnierzy z 500 pojazdami, wśród których były też czołgi. Izraelscy żołnierze poprzedniej nocy wysadzili most, ale Egipcjanie mogli go naprawić w ciągu paru godzin. Gdyby tak się stało, rano byliby już w Tel Awiwie. Gdyby Tel Awiw upadł, Izrael byłby stracony.

Lenart usłyszał o zatrzymanej egipskiej kolumnie i skrzyknął swych pilotów. Polecicie na południe i zbombardujecie Egipcjan, powiedział im. Problem był dwojakiej natury. Po pierwsze, samoloty zostały dopiero co zmontowane i nie uczestniczyły jeszcze w prawdziwych misjach, nie było więc stuprocentowej gwarancji, że dobrze się spiszą. Po drugie, samo ich istnienie było wciąż tajemnicą. Nie tak Izrael planował zaprezentować światu swoje nowe siły powietrzne.

Nie zrażało to jednak pilotów. Stawka była zbyt wysoka. Jako dowódca formacji Lenart pierwszy nadleciał nad egipską kolumnę. Nurkując nad grupą pojazdów, zrzucił bomby i szczęśliwie trafił w cysternę, wywołując szereg wtórnych eksplozji. Pozostali piloci poszli w jego ślady i wspólnie zaczęli ostrzeliwać wojska naziemne z karabinów maszynowych.

Egipcjanie, wzięci przez zaskoczenie, po kilku godzinach zrezygnowali z prób dotarcia do Tel Awiwu i skręcili na wschód, by dołączyć do jordańskich wojsk walczących pod Jerozolimą. Tel Awiw został ocalony. Most, przy którym zatrzymano Egipcjan, został później nazwany Ad Halom, co po hebrajsku znaczy „dotąd”.

Lenart nie miał czasu zastanawiać się nad konsekwencjami tej udanej operacji. Jak mówił, nie miało znaczenia, czy było to szczęście, przeznaczenie, czy niezwykły instynkt. Wciąż jeszcze trwała wojna, którą trzeba było wygrać.

* * *

– Mamy specyficzny problem militarny – powiedział „Stary”. – Jest nas niewielu, a nasi wrogowie są liczni.

Był rok 1953. Jedna wojna się skończyła, ale „Stary” – Dawid Ben Gurion, pierwszy premier Izraela i żydowski odpowiednik Jerzego Waszyngtona – wiedział, że jest tylko kwestią czasu, nim dojdzie do następnej.

Ben Gurionowi nie dawało spokoju zasadnicze pytanie, jak Izrael, maleńki kraj liczonych w tysiącach tysięcy Żydów otoczonych przez miliony wrogich Arabów, ma zachować byt.

Oderwał się więc od pracy w Jerozolimie i wyjechał do skromnego domku, który zajmował w Sede Boker, małym kibucu położonym nad kraterem Ramon, cudem przyrody w południowej części pustyni Negew.

Kilka dni później wrócił do Gabinetu Premiera w Jerozolimie z dokumentem zatytułowanym „Doktryna obronna a stan sił zbrojnych", który wciąż, z drobnymi zmianami, stanowi podstawę izraelskiej strategii obrony narodowej [11].

Argumentacja była prosta i jest aktualna także dziś: Izrael potrzebuje silnej jakościowej przewagi militarnej.

Ponieważ Izrael miał mniej żołnierzy niż Syria, musiał ich lepiej wyszkolić; ponieważ miał mniej czołgów niż Egipt, potrzebował bardziej nowoczesnych; a ponieważ miał ostatecznie zakupić te same myśliwce F-15, co Arabia Saudyjska, wersja przeznaczona dla Sił Powietrznych Izraela musiała zostać wyposażona w specjalnie zaprojektowane inteligentne bomby oraz zaawansowane systemy walki elektronicznej. Izrael po prostu musiał zadbać o to, by zawsze mieć pierwszorzędny sprzęt i ludzi. Niekoniecznie w większej liczbie – po prostu lepszej jakości.

Pozostawało jednak pytanie, jak to osiągnąć. Nikt sobie wówczas nie wyobrażał, że ten nowy, ubogi w surowce kraj zdoła wypracować i utrzymać niezależny potencjał badawczy, rozwojowy i produkcyjny [12].

Dlatego też Ben Gurion uznał, że Izrael musi znaleźć państwa gotowe sprzedać mu broń. Niestety w latach pięćdziesiątych nie było na to żadnych szans. Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Francja podpisały deklarację trójstronną, międzynarodowe zobowiązanie do zawieszenia handlu bronią z Bliskim Wschodem. Sygnatariusze uważali, że jeśli zaopatrzą Izrael w broń, Związek Radziecki dostarczy uzbrojenie krajom arabskim. Jeśli tego nie zrobią, ZSRR także się powstrzyma.

To pozostawiało Izraelowi tylko jedną realną możliwość: zapomnieć o uczciwości i zdobywać broń lewymi sposobami, niekiedy dobierając sobie najbardziej nieprawdopodobnych wspólników.

Realizację tego zadania – i los kraju – Ben Gurion złożył w ręce dwudziestosześcioletniego urodzonego w Polsce kibucnika Szymona Perskiego, który zhebraizował swoje nazwisko na Peres.

Peres zrobił wrażenie na Ben Gurionie, kiedy pełnił funkcję jego asystenta podczas pierwszej wojny izraelsko-arabskiej, i zdaniem izraelskiego przywódcy był typem człowieka, który mógł chodzić na wytworne przyjęcia, ale później, nocą, zakasywać rękawy i ładować nielegalnie zakupioną broń do kontenerów w porcie. Peres został mianowany zastępcą szefa delegacji Ministerstwa Obrony do Nowego Jorku, gdzie miał się wystarać o uzbrojenie dla Cahalu.

Eskapady Peresa prowadziły go na spotkania z szemranymi typami pokroju Jimmy'ego Hoffy, niesławnego przewodniczącego mafijnego związku zawodowego Teamsters, i do miejsc takich jak Bogota w Kolumbii, gdzie wylądował awaryjnie samolotem z płonącymi silnikami. Wynegocjował umowę na zakup czterdziestu sześciu czołgów od Meksyku i nawet dostał do nich kluczyki. Dopiero później dowiedział się, że czołgi te nie istnieją – ulotniły się gdzieś na meksykańskiej granicy.

W trakcie swych podróży Peres przekonał się, że problemy Izraela nikogo tak naprawdę nie obchodzą. Jak wielu wielkich komiwojażerów odkrył, że aby uzyskać to, czego chce, musi sprawić, by jego partnerzy zrozumieli, dlaczego współpraca – w tym wypadku z młodym i odizolowanym państwem żydowskim – jest w ich interesie.

W Hawanie Peres próbował nakłonić czołowych dygnitarzy kubańskich tajnych służb do zakupu broni w imieniu otoczonego przez wrogów Izraela. Pojawił się w komendzie głównej policji w samo południe – w porze, na którą, jak sądził, został zaproszony – i usłyszał od chichoczącej sekretarki, że jego gospodarz, señor Efraimo, nigdy nie odbywa spotkań za dnia.

– Señor miał na myśli dwunastą w nocy – wyjaśniła kobieta.

Peres wrócił na komendę dwanaście godzin później, ale zamiast poprosić go do gabinetu, jego kubański gospodarz zabrał go do pobliskiego klubu nocnego. Po paru drinkach i odrobinie flirtu z miejscowymi dziewczynami Peres i Efraimo przeszli do rzeczy.

– Co mogliśmy zrobić? – tłumaczył później Peres. – Musieliśmy często wchodzić w układy z ciemnymi typami, nawet z gangsterami. Nie mieliśmy innego wyjścia [13].

Rok później Peres dowiedział się, że Kanada wyprzedaje działa z drugiej wojny światowej, akurat takie, jakich rozpaczliwie potrzebował Cahal. Krótkie rozpoznanie ujawniło, że Kanada jest skłonna sprzedać działa Izraelowi, chce jednak za nie 2 miliony dolarów, a takiej sumy Izrael nie miał.

Peres postanowił zdobyć te pieniądze. Pojechał do Montrealu, gdzie spotkał się z Samuelem Bronfmanem, znanym żydowskim filantropem i właścicielem jednej z największych wytwórni trunków na świecie.

Bronfman zgodził się porozmawiać z kanadyjskim rządem i spróbować wynegocjować zniżkę. Gdy tego dokonał – obniżając cenę o milion dolarów – zapytał Peresa, kto da mu pozostały milion.

– Pan – odparł Izraelczyk.

Bronfman był nieco zaskoczony tupetem tej odpowiedzi, ale szybko odzyskał panowanie nad sobą i zawołał żonę, by podyktować listę pięćdziesięciu gości, których należało zaprosić tego wieczoru na kolację. Następnie spojrzał na Peresa i zauważył, że ma on na sobie granatowy garnitur i białe skarpetki.

– Nie może pan zjawić się na kolacji w takich skarpetach – oświadczył, w związku z czym jego gość w drodze do domu wstąpił do sklepu, by kupić wizytowe skarpetki.

Gdy tego wieczoru podawano główne danie, Peres wygłosił żarliwą mowę na temat dział oraz ich znaczenia dla Cahalu i bytu Izraela. Goście sięgnęli po książeczki czekowe.

* * *

Ta bojowa kultura była specyficzną cechą Izraela, kraju, który powstał na przekór wszystkiemu i wbrew wszystkiemu wciąż istniał. W poczynaniach Peresa – kombinowaniu i szmuglowaniu broni – nie było nic dziwnego. Skoro przyszłość państwa żydowskiego wisiała na włosku, niemal wszystkie chwyty były dozwolone.

Będąc w Nowym Jorku, Peres odnowił kontakt ze swoim starym przyjacielem Alem Schwimmerem, żydowskim inżynierem lotnictwa. Przed pierwszą wojną izraelsko-arabską pomógł on przemycić do Izraela samoloty, w tym czeskie myśliwce, które dowodzone przez Lenarta zbombardowały Egipcjan.

Peres poznał Schwimmera w czasie wojny, gdy służył u boku Ben Guriona, i już wtedy ujęła go wizja Amerykanina, jego zaangażowanie i lojalność wobec swego narodu.

Schwimmer pracował w TWA, ale kiedy wybuchła druga wojna światowa, zaciągnął się do Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych i do końca konfliktu odbył przeszło 200 lotów przez Atlantyk. W owym czasie

nie przywiązywał wielkiej wagi do swego żydowskiego pochodzenia, jednak wizyta w wyzwolonym obozie koncentracyjnym i spotkanie z grupą ocalałych z Holokaustu spowodowały, że gorąco zapragnął pomóc Żydom w wybiciu się na niepodległość w ich historycznej ojczyźnie. Żydzi, jego zdaniem, mogli być bezpieczni, jedynie mając własne państwo.

Po powrocie do Stanów Schwimmer odszukał przedstawiciela Hagany w Nowym Jorku i zaoferował mu swoje usługi. Nie skorzystano z nich od razu, ale po pewnym czasie Hagana zwróciła się do niego z jasną, lecz ryzykowną prośbą – pomóż nam zbudować siły powietrzne. Było to niezupełnie legalne. Na mocy ustawy o neutralności obywatelom Stanów Zjednoczonych nie wolno było, bez zgody rządu, sprzedawać broni do toczących wojnę krajów.

Jednak Schwimmer był zdecydowany pomóc. Jako weteran miał prawo do zakupu samolotów z demobilu po obniżonych cenach. Zebrał grupę żydowskich pilotów i mechaników, z którymi służył podczas drugiej wojny światowej, i razem zaczęli skupować samoloty – wszystko, co wpadło im w ręce, a mogło się utrzymać w powietrzu. Tylko nieliczni z nich znali prawdziwy powód; większości powiedziano, że Schwimmer pomaga Panamie zbudować państwową flotę powietrzną do transportu bydła do Europy.

Samoloty trafiały do hangaru pod Los Angeles, gdzie naprawiano je, rozbierano na części, pakowano do skrzyń i wysyłano drogą powietrzną lub morską do Włoch. Tam Hagana znalazła porzucone lotnisko i gromadziła maszyny przed lotem do Izraela.

Po pierwszej wojnie izraelsko-arabskiej Schwimmer, mimo czekającego na niego aktu oskarżenia, wrócił do USA. Wspólnie ze swoją ekipą wynajął rezydencję należącą do Jeanette MacDonald, hollywoodzkiej gwiazdy znanej z licznych musicali z lat trzydziestych.

Schwimmer stanął przed sądem i został uznany za winnego, jednak uniknął więzienia. Ukarano go grzywną w wysokości 10 tysięcy dolarów, utratą praw wyborczych i przywilejów weterana oraz zakazem piastowania stanowisk w organach federalnych. Choć nigdy nie zabiegał o rehabilitację, otrzymał ją w 2001 roku od ustępującego prezydenta Billa Clintona.

Wyrok nie ostudził zapału Schwimmera. Wkrótce znów zajął się on szmuglem, w dużej mierze za zachętą Peresa. W charakterze przykrywki założył nową firmę o nazwie International Airways. Biuro mieściło się w kącie fabryki Lockheeda Martina w Burbank, na północ od Los Angeles.

Jedną z pierwszych wspólnych operacji Peresa i Schwimmera było przemycenie do Izraela samolotów P-51 *Mustang*. Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych wycofały te jednomiejscowe myśliwce ze służby, ale nie zgodziły się sprzedać ich Izraelowi. Zamiast tego sprzedały je teksaskiej składnicy złomu. Władze nie wiedziały jednak, że właściciel natychmiast przekazał je Schwimmerowi za tę samą cenę, jaką za nie dał.

Kiedy samoloty dotarły do Burbank, Schwimmer i jego ludzie złożyli je, aby się upewnić, że są sprawne, po czym je zdemontowali, zapakowali w skrzynie opisane jako „sprzęt chłodniczy” i wyekspediowali do Izraela.

Przed rokiem 1951 grupa zaczęła potajemnie wysyłać z USA do Izraela lekkie bombowce De Havilland *Mosquito*. Niektóre z samolotów były rozbierane na części i wywożone do Izraela w kontenerach. Inne leciały samodzielnie do Tel Awiwu, z kilkoma przystankami na tankowanie po drodze. Podczas takiej właśnie przemytniczej misji jeden z samolotów zaginął w Kanadzie nad prowincją Nowa Fundlandia.

Pilotem był Ray Kurtz, amerykański Żyd z Brooklynu, który podczas drugiej wojny światowej służył w amerykańskich Siłach Powietrznych. Po wojnie Kurtz został strażakiem w remizie gaśniczej 250 przy Foster Avenue na Brooklynie, ale w 1947 roku rzucił tę pracę, by dołączyć do ekipy szmuglerów Schwimmera.

W pewnej pamiętnej operacji, najdalszej z przeprowadzonych wówczas przez Izrael misji bombowych, Kurtz przeleciał bombowcem B-17 *Flying Fortress* z bazy sił powietrznych w Czechosłowacji aż do Kairu. Bomby były przeznaczone dla pałacu Abidin, jednej z oficjalnych rezydencji prezydenta Egiptu, ale chybiły i spadły na okoliczne tereny. Mimo to nalot był ogromnym sukcesem młodego państwa, którego siłom powietrznym udało się przeniknąć daleko w głąb egipskiego terytorium.

Kurtz, uważany w Izraelu za bohatera, zaginął, przemycając kolejne samoloty do Izraela. Peres i Schwimmer postanowili niezwłocznie zorganizować misję poszukiwawczą i założyli bazę operacyjną w subarktycznym mieście Goose Bay na Labradorze.

Poszukiwania opierały się na informacjach uzyskanych od miejscowych Eskimosów, którzy twierdzili, że widzieli, jak mosquito pikuje w śnieg. Choć ekipy ratunkowe przez siedem dni krążyły nad lodowcami i górami, niczego nie znalazły.

Pomimo fiaska misji w Goose Bay narodził się pomysł, który miał odmienić Izrael. Podczas długich nocy polarnych Peres i Schwimmer

godzinami rozmawiali, marząc o dniu, kiedy Izrael nie będzie już musiał ukradkiem sprowadzać statków powietrznych. Pewnego dnia, oświadczył proroczo Peres, Izrael będzie miał własne zakłady lotnicze i będzie budował własne samoloty.

Większość członków ekipy ratunkowej patrzyła potem na niego z politowaniem. Uważali, że bredzi. Jakim cudem maleńki kraj zmuszony przemycać samoloty nad Arktyką miałby kiedyś produkować własne maszyny? Jednak Schwimmer potraktował go poważnie i zapewnił, że to możliwe.

– W Goose Bay – powiedział później Peres – zostały położone podwaliny pod izraelski przemysł lotniczy [14].

Po powrocie do Nowego Jorku Peres dowiedział się, że Ben Gurion, który odbywał w USA oficjalną wizytę państwową, właśnie przybył do Kalifornii. Razem ze Schwimmerem wsiadł do samolotu, by zameldować Staremu o nieudanej misji ratunkowej.

Schwimmer i Peres spotkali się z Ben Gurionem w zakładach Lockheeda Martina w Burbank i zaprowadzili go w kąt, gdzie mieścił się warsztat Schwimmera. Premier szedł przez pomieszczenie ze zdumioną miną. Nie pojmował, jak Schwimmer to robi, że montuje i demontuje tu samoloty, dysponując tak skromnym sprzętem.

– Może przyjechałby pan do Izraela? – zapytał. – Potrzebujemy własnego przemysłu lotniczego. Potrzebujemy niezależności.

Dla Ben Guriona niezależny przemysł lotniczy był właśnie tym, co miał na myśli, gdy kilka lat wcześniej mówił o jakościowej przewadze militarnej. Izraelska wytwórnia samolotów zapewniłaby młodemu państwu panowanie w powietrzu nad całym Bliskim Wschodem.

Potrzeba było nieco perswazji, ale Schwimmer rozumiał, o co toczy się gra. Przyjął propozycję Ben Guriona pod kilkoma warunkami – przedsiębiorstwo musiałoby być wolne od kumoterstwa i funkcjonować jak amerykańskie korporacje.

Ben Gurion zgodził się.

– Potrzebujemy pana w Izraelu – powtórzył. – Proszę przyjechać.

W ciągu tygodnia Schwimmer sporządził trzydziestostronicowy plan prac, w którym wyszczególnił cały sprzęt potrzebny mu, żeby mógł ruszyć z miejsca – od podnośników hydraulicznych po śruby i nity.

Teraz przyszła kolej na najtrudniejszą część – nakłonienie rządu, by zgodził się sfinansować ten projekt. Peres i Schwimmer polecieli do Izraela

i zaczęli promować swój pomysł – założenie Israel Aerospace Industries (IAI) – na spotkaniach z dygnitarzami rządowymi i wojskowymi.

Jak się spodziewali, od początku napotkali opór. Szef sił powietrznych oświadczył, że Izrael nie potrzebuje wytwórni lotniczej, Ministerstwo Finansów odmówiło funduszy, a minister transportu nie chciał nawet o tym myśleć. Izrael nie produkuje własnych samochodów, powiedział im. Jak może choćby marzyć o budowaniu samolotów?

Peres nie dawał za wygraną. Udało mu się zebrać nieco pieniędzy, które uzupełnił środkami z budżetu obronnego. W ciągu paru miesięcy na obrzeżach miasta Lod, w sąsiedztwie międzynarodowego lotniska, ruszyła budowa nowego hangaru. Schwimmer wrócił do USA, by zakupić niezbędny sprzęt.

W 1955 roku przedsiębiorstwo działało już pełną parą. Sprowadzano tam do naprawy latające fortece, dakoty, mosquito, stearmany i inne samoloty – kupione od każdego, kto był gotów je sprzedać.

Po roku firma miała przeszło tysiąc pracowników. W połowie lat sześćdziesiątych zatrudniała 10 tysięcy robotników i była największym pracodawcą w Izraelu.

Israel Aerospace Industries nie poprzestawały tylko na naprawach samolotów. Już w roku 1960 wypuściły samodzielnie wyprodukowany samolot bojowy, zbudowany według francuskiego projektu. Ten ważny kamień milowy dodał IAI odwagi do szukania nowych, trudniejszych wyzwań. Izraelskie przedsiębiorstwo było na najlepszej drodze, by się stać międzynarodową potęgą.

* * *

Pod koniec 1951 roku Peres wrócił do Izraela. Ben Gurion był pod wrażeniem wyników, jakie jego protegowany osiągnął w Nowym Jorku, i mianował go dyrektorem generalnym Ministerstwa Obrony. Było to najwyższe niepolityczne cywilne stanowisko w izraelskim establishmencie obronnym. Choć IAI już istniały, dopiero rozpoczynały działalność. Izrael wciąż nie miał możliwości samodzielnego zaopatrzenia się w broń. Potrzebował stałego dostawcy. Jakiegoś państwa.

– Powinniśmy zarzucić tyle wędek, ile się da – mówił w owym czasie Peres swoim współpracownikom. – Być może coś się złapie [15].

Dopóki jednak obowiązywała amerykańsko-brytyjsko-francuska deklaracja trójstronna, możliwości Izraela były ograniczone. I nagle, w 1955 roku, wszystko się zmieniło. Związek Radziecki postanowił dostarczyć Egiptowi nowoczesną, zaawansowaną broń wartości 250 milionów dolarów za pośrednictwem Czechosłowacji, tego samego kraju, który zaopatrywał Izrael przed pierwszą wojną izraelsko-arabską. Potencjalny konflikt wisiał w powietrzu i Zachód uświadomił sobie, że nie może już dłużej stać z boku.

Na Jerozolimę wieść ta spadła jak grom z jasnego nieba. Umowa egipsko-radziecka obejmowała nowoczesne myśliwce odrzutowe MiG, bombowce dalekiego zasięgu oraz setki czołgów i transporterów opancerzonych. Izrael potrzebował jakiegoś sojusznika. Jednym z pomysłów, forsowanym przez Mosze Szareta, ówczesnego premiera Izraela, było poprosić o pomoc Stany Zjednoczone. USA były pierwszym krajem, który uznał Izrael w ONZ, a jako dom około 5 milionów Żydów miały bliskie kulturowe powiązania z państwem żydowskim.

Szaret uważał, że gdyby Izrael prowadził bardziej powściągliwą politykę, być może udałoby się przekonać Stany, by dostarczyły mu równie dużo równie dobrej broni ja ta, w którą ZSRR wyposażał Egipt.

Problemem było to, że USA twardo trzymały się przyjętej przez prezydenta Eisenhowera zasady, by nie stać się znaczącym dostawcą broni dla Bliskiego Wschodu. Amerykanie byli gotowi udzielić Izraelowi pomocy gospodarczej, ale nie zamierzali go zbroić.

Była też Anglia, którą Pinchas Lawon, ówczesny minister obrony, uważał za realną kandydatkę na głównego dostawcę broni dla Izraela. Peres poleciał do Londynu, ale spotkał się tam z chłodnym przyjęciem. Brytyjczycy, oburzeni niedawną akcją Cahalu w Strefie Gazy, wstrzymali dostawę czołgów, które Izrael zamówił wcześniej tego roku. Co więcej, Anglia zgodziła się już sprzedać Egiptowi dwa niszczyciele i nie sprawiała wrażenia skłonnej do zmiany stron.

Pozostawała więc tylko jedna realistyczna opcja – Francja. Poza Anglią była ona wówczas jedynym europejskim państwem, które produkowało większość swojego arsenału – w tym myśliwce odrzutowe, czołgi i działa.

W owym czasie współpraca Izraela z Francją w dziedzinie obronności formalnie nie istniała. Zakupiono nieco uzbrojenia za pośrednictwem pewnego barwnego polskiego hrabiego, który mieszkał w jednym z paryskich pałaców i służył Izraelowi za przykrywkę, ale nie było żadnych

oficjalnych powiązań. Tak więc Peres poleciał do Paryża i zorganizował spotkanie z wicepremierem. W ciągu paru tygodni udało mu się wynegocjować zakup dział kalibru 155 milimetrów.

Wizyta Peresa w Paryżu przypadła na jeden z najbardziej chaotycznych okresów w dziejach republiki. Rządy powstawały i upadały jeden po drugim, toteż Izrael obawiał się, że owa niestabilność uniemożliwi wypracowanie klarownych strategicznych stosunków partnerskich z Francją. To, w czym niektórzy widzieli mankament, Peres postrzegał jako szansę. Zdawał sobie sprawę, że niestabilność i nieład pozwalają mu lawirować wśród rozmaitych urzędów państwowych i nawiązywać osobiste kontakty, bez których żadna umowa nie mogłaby dojść do skutku, bez względu na to, która partia była u władzy.

Szimon Peres (po lewej) i premier Izraela Lewi Eszkol (w środku) witani przez francuskiego premiera Georges’a Pompidou (po prawej). Francja, 1964 r.
Fot. Ministerstwo Obrony Izraela

Peres liczył też na sympatię dla Izraela, którą wyczuwał we francuskich kręgach wojskowych. W latach pięćdziesiątych XX wieku Francja walczyła w Algierii o utrzymanie kontroli nad tym północnoafrykańskim krajem. Arabowie, w tym Egipt, popierali algierskich powstańców. Zdaniem Peresa był to klasyczny przykład zasady „wróg mojego wroga jest moim przyjacielem”.

Podczas gdy Peres szlifował bruki w Paryżu, w Izraelu szerzyło się przeczucie bliskiej zagłady. Z początkiem 1956 roku radziecka broń zaczęła docierać do Egiptu. Jerozolima ogłosiła „Izraelski Ład”, wzywając obywateli, by ochotniczo zgłaszali się do pracy przy wzmacnianiu fortyfikacji w całym kraju. Ludzie przychodzili do Ministerstwa Obrony z biżuterią i zegarkami, wszystkim, co mogło powiększyć budżet na zbrojenia. Panowało przekonanie, że gdy tylko egipski prezydent Gamal Abdel Naser dostanie radziecką broń, przystąpi do ataku.

Potrzeba było wielu podróży, ale Peresowi w końcu udało się nawiązać we Francji niezbędne kontakty i mimo sporadycznych niepowodzeń broń zaczęła napływać.

Powiązania Izraela z Francją szybko wyszły poza samą tylko sprzedaż uzbrojenia. W lipcu 1956 roku, gdy Naser ogłosił nacjonalizację Kanału Sueskiego, Peres dostrzegł w tym szansę dla Izraela i postanowił wykorzystać ten kryzys, aby pchnąć sojusz z Francją na nowy, wyższy poziom – skłonić Paryż do sprzedania Jerozolimie reaktora jądrowego.

Nim minął dzień, Peres spotkał się z francuskim ministrem obrony Maurice’em Bourgèsem-Maunourym, który chciał wiedzieć, ile czasu zajęłaby Izraelowi przeprawa przez Synaj i odzyskanie kontroli nad kanałem. Kiedy Bourgès-Maunoury zapytał, czy Izrael byłby skłonny przyłączyć się do Francuzów i Brytyjczyków w trójstronnej operacji wojskowej, Peres skwapliwie wykorzystał okazję.

– Sądzę, że pod pewnymi warunkami bylibyśmy na to gotowi – odparł.

Owymi „warunkami” było coś, na czym Izraelowi zależało najbardziej – sprzedaż reaktora jądrowego, który miał zostać zbudowany w pustynnym miasteczku Dimona i zapewnić Izraelowi niezrównany potencjał odstraszający na Bliskim Wschodzie. Francuzi wyrazili zgodę i kilka

tygodni później przywódcy Francji, Wielkiej Brytanii i Izraela spotkali się w Sèvres, by sfinalizować plany inwazji. Tuż przed podpisaniem porozumienia Peres odbył prywatne spotkanie z francuskim premierem i ministrem obrony.

– To właśnie tu sfinalizowałem z tymi dwoma przywódcami umowę co do budowy reaktora nuklearnego w Dimonie, na południu Izraela, oraz dostaw naturalnego uranu jako paliwa – powiedział później [16].

Jeszcze w tym samym miesiącu Cahal dokonał inwazji na Egipt. Mustangi, które Schwimmer i Peres przemycili do Izraela kilka lat wcześniej, leciały pierwsze, z podczepionymi do kadłubów stalowymi linami do przecinania egipskich napowietrznych przewodów telefonicznych. To genialne posunięcie spowodowało straszliwy zamęt wśród egipskich wojsk na Synaju. Dwa dni później do Cahalu dołączyli żołnierze francuscy i brytyjscy. Wojna nie potoczyła się zgodnie z planem, ale Izrael osiągnął swój cel, którym było zacieśnienie stosunków z Francją.

* * *

W roku 1958 z Francji do Izraela regularnie napływały transporty broni, a oba kraje omawiały możliwość sprzedaży zaawansowanych myśliwców odrzutowych. Wydawało się, że na Bliskim Wschodzie zostaje przywrócona równowaga sił.

Izrael chciał pogłębić te powiązania. Tak więc Ministerstwo Obrony zapytało, czy jeden z jego pilotów wojskowych mógłby wziąć udział we francuskim kursie dla pilotów oblatywaczy. Paryż wyraził zgodę i rozwinął czerwony dywan.

Wytypowanym pilotem był Dani Szapira, obiecujący lotnik urodzony i wychowany na Ziemi Izraela. Szapira zakochał się w lotnictwie jeszcze w dzieciństwie, kiedy zobaczył niemiecki sterowiec pasażerski *Graf Zeppelin* przelatujący nad jego rodzinnym miastem, Hajfą.

Piętnastoletni Szapira wymykał się do kina, żeby obejrzeć każdy film, w którym pojawiali się piloci myśliwców, samoloty albo choćby krótkie scenki lotów. Latał na lotni i pożerał łapczywie wszelkie książki na temat lotnictwa w klubie dla chłopców w pobliskim kibucu. W roku 1944, w wieku dziewiętnastu lat, uzyskał licencję pilota.

W maju 1948 roku, gdy społeczność żydowska szykowała się do wojny, Szapira wraz z grupą pilotów został wysłany do Czechosłowacji na

szkolenie bojowe. Grupa opuściła Izrael 13 maja na pokładzie ostatniego cywilnego samolotu pasażerskiego, któremu pozwolono opuścić Palestynę przed proklamowaniem przez Ben Guriona niepodległości dokładnie następnego dnia. Był to pierwszy kurs pilotów Sił Powietrznych Izraela (SPI).

Do roku 1959 Szapira wsławił się jako jeden z najlepszych pilotów myśliwskich kraju, latając dzielnie podczas pierwszej wojny izraelsko-arabskiej oraz kryzysu sueskiego.

Siły powietrzne rozpaczliwie potrzebowały własnego pilota oblatywacza, tak więc ich dowódca, generał major Ezer Weizman, wysłał Szapirę do Francji na zaawansowany kurs dla oblatywaczy. Szapira ukończył go z wyróżnieniem. Następnie Weizman poprosił, żeby został we Francji, aby ocenić nowy samolot bojowy – *Mirage III*.

Opracowywany przez wytwórnię Dassault, myśliwiec ten wciąż był objęty ścisłą tajemnicą, ale Francuzi zbudowali dwa prototypy i byli zainteresowani podpisaniem dużego kontraktu z Izraelem. *Mirage III* był jak na owe czasy nowatorską konstrukcją. Miał skrzydło typu delta i był pierwszym zaprojektowanym w Europie samolotem zdolnym do osiągnięcia dwukrotności liczby Macha, co zawdzięczał unikatowemu pomocniczemu napędowi rakietowemu.

Weizman powiedział Francuzom, że jest zainteresowany samolotem, chciałby jednak, żeby obejrzał go i oblatał jeden z jego własnych pilotów. Francuzi sprzeciwili się, twierdząc, że jedynie francuscy piloci mają kwalifikacje do latania na mirage’ach.

Z typową izraelską hucpą Weizman oświadczył dyrektorowi generalnemu Dassault, Benno-Claude’owi Vallièresowi:

– Wysłałem Daniego Szapirę do waszej szkoły oblatywaczy, a wy daliście mu zaświadczenie, w którym jest napisane, że może latać na wszystkich waszych samolotach, więc niech leci! Jeśli Dani Szapira nie siądzie za sterami, nici z umowy.

Francuz wyraził zgodę.

Pierwszy lot przebiegł gładko i Szapira był pod wrażeniem możliwości samolotu. Prawdziwy sprawdzian przeprowadził jednak później, 26 czerwca 1959 roku, na oczach Weizmana.

W dzień lotu Szapira przybył do bazy przed czasem, żeby się przygotować. Piloci mirage’ów musieli nosić specjalne kombinezony przeciwprzeciążeniowe i maski tlenowe. Presja była ogromna i dopiero idąc

po płycie lotniska do samolotu, Szapira uświadomił sobie, że zapomniał zmienić buty na lotnicze. Trudno. Nie było już na to czasu. Pierwsza część lotu poszła gładko i Szapira z łatwością wzniósł się na 12 tysięcy metrów. Następnie włączył silnik rakietowy. Nagły wzrost prędkości zaskoczył go.

– Mam 1,1 macha, 1,3 macha, 1,9 macha, 2 machy – meldował do pomieszczenia kontroli lotów, skąd Weizman śledził lot, nie mogąc opanować podniecenia.

– 2 machy po raz pierwszy od 2 tysięcy lat! – wykrzyknął do kierowników Dassault, mając na myśli 2 tysiące lat, jakie zajęło Żydom ponowne utworzenie suwerennego państwa na Ziemi Izraela.

Ale kiedy Weizman skakał z radości, Szapira przygotowywał się na najgorsze. Samolot wciąż się wznosił. W pewnym momencie pilot obejrzał się przez ramię i mruknął pod nosem: „Dani, opuszczasz Ziemię".

Nagle w kokpicie zapaliła się czerwona lampka – sygnał, że Szapira przekroczył maksymalną prędkość samolotu. Na wysokości 19,5 tysiąca metrów wyłączył silnik rakietowy, ale zwalniał zbyt szybko i samolot wpadł w wibracje. Szapira przeraził się, że kadłub się rozpadnie. W końcu udało mu się odzyskać panowanie nad maszyną i przywyknąwszy do kaprysów prędkości naddźwiękowych, wylądował bezpiecznie na fabrycznym lotnisku.

Mimo że przeżył chwile grozy, Szapira, tak jak Weizman, zakochał się w tym samolocie. Następnym wyzwaniem było dla niego skłonienie Francuzów do zmiany paru szczegółów technicznych pod kątem potrzeb Izraela. Dassault *Mirage III* miał operować na dużych wysokościach jako myśliwiec przechwytujący i jego projekt nie przewidywał przenoszenia bomb i prowadzenia nalotów.

Izrael jednak potrzebował samolotu uniwersalnego – który toczyłby walki powietrzne z maszynami wroga i bombardował obiekty na ziemi, a wszystko to podczas jednej misji. Francuzi zaprojektowali tę maszynę do przechwytywania radzieckich bombowców, ale zapewnili Szapirę, że można zmodyfikować go tak, by mógł również przenosić bomby.

– Będziemy też potrzebowali działka zamontowanego na kadłubie – powiedział francuskim inżynierom.

Prośba ta wprawiła ich w konsternację.

– *Passé* – odpowiedzieli mu. – Po co wam działko? To przeżytek.

Ale Szapira, który później miał stać się w Izraelu tym, kim dla Amerykanów był Chuck Yeager, nie ustępował. Wiedział, że w potyczkach

z egipskimi i syryjskimi samolotami odległości są zbyt małe, by używać pocisków powietrze-powietrze. Piloci SPI potrzebowali broni skutecznej na krótki dystans. Potrzebowali działek pokładowych.

Szapira był uparty i Francuzi ostatecznie ulegli, wyposażając samolot w dwa działka kalibru 30 milimetrów. Dani Szapira zademonstrował klasyczną izraelską hucpę. Zwykły pilot izraelskich sił powietrznych w pojedynkę nakłonił jeden z największych i najbardziej cenionych koncernów zbrojeniowych świata do zmodyfikowania swojego myśliwca po prostu dlatego, że tak sobie zażyczył.

Pierwsza partia nowych mirage'ów dotarła do Izraela w 1962 roku; wzięły one udział w walkach już kilka lat później, podczas wojny sześciodniowej, kiedy to strąciły pięćdziesiąt jeden nieprzyjacielskich samolotów, wszystkie ogniem z działek.

* * *

Romans Izraela z Francją dobiegł końca po wojnie 1967 roku. Charles de Gaulle, francuski bohater wojenny i ówczesny prezydent, wykorzystał wojnę sześciodniową jako pretekst do zerwania związków z Izraelem w ramach prób odbudowania stosunków ze światem arabskim. Nałożył surowe embargo na dostawy jakiegokolwiek uzbrojenia na Bliski Wschód, a zwłaszcza do Izraela.

Za prezydentury Lyndona Johnsona Stany Zjednoczone zastąpiły wreszcie Francję w roli głównego dostawcy nowoczesnej broni dla Izraela.

Ale choć te nowe powiązania z USA miały stać się głębokie i nadzwyczaj silne, francuskie doświadczenie udzieliło Izraelowi ważnej lekcji: aby przetrwać, państwo żydowskie nie mogło polegać wyłącznie na pomocy z zewnątrz. Musiało znaleźć sposób na zbudowanie własnego potencjału badawczo-rozwojowego i produkcyjnego. Była to kwestia życia i śmierci.

1. Owe 4 messerschmitty (Bf 109) wyprodukowano w Czechosłowacji pod nazwą Avia S-199 i stanowiły one pierwszą partię z 25 zamówionych przez Izrael maszyn. Oprócz tego Izraelczycy kupili z tego samego źródła 50 spitfire'ów (przyp. red.). [wróć]

ROZDZIAŁ 2

Zmyślne drony

– Agent wrócił – powiedział analityk, wtykając głowę do gabinetu Szabtaja Brilla. – Ma zdjęcia.

Był rok 1968 i w napiętej atmosferze owych czasów była to ważna nowina. Brill, major z Zarządu Wywiadu Wojskowego Cahalu – znanego pod hebrajskim akronimem Aman – odłożył na bok czytany właśnie raport i wstał.

Brill przywykł do oglądania tajnych danych wywiadowczych, ale ten dzień był wyjątkowy. Wspomniany agent był jednym z pierwszych izraelskich szpiegów, którym udało się przeniknąć do Egiptu od czasu zakończenia przed rokiem wojny sześciodniowej. Miał zdjęcia, które podobno ujawniały egipskie plany wojenne, w tym domniemane przygotowania za linią demarkacyjną.

Mały tłumek otaczał agenta w głównym ośrodku nerwowym wydziału, pomieszczeniu, do którego napływały wszelkie dane wywiadowcze, zanim zostały przekazane specjalistom odpowiedzialnym za poszczególne sprawy. Pułkownik Awraham Arnan, bezpośredni przełożony Brilla, skupił się na jednej z fotografii.

– Co to może być, waszym zdaniem? – zapytał grupę analityków. – Wygląda jak most wojskowy.

Tak właśnie było, a Egipt przemieścił ów most na niespełna półtora kilometra od Kanału Sueskiego, strategicznej drogi wodnej, która łączyła świat handlu, ale oddzielała Egipt od terytorium, które stracił na rzecz Izraela podczas wojny sześciodniowej. Most mógł zostać wykorzystany przez czołgi i transportery opancerzone do przeprawy przez kanał i inwazji na Izrael. Był o wiele za blisko, by można go było zlekceważyć.

Przed wysłaniem agenta do Egiptu Izrael zdobywał informacje na temat poczynań Egipcjan nad kanałem innymi drogami. Pewien oficer zaprojektował platformę montowaną na czołgach, na której oficer wywiadu mógł stać i zapuszczać żurawia ponad dziesięciometrowymi wałami

z piasku, które Egipcjanie usypali po swojej stronie kanału. Platformy wydawały się skuteczne, dopóki pewnego dnia egipski snajper nie wziął jednej z nich na cel.

Później SPI zaczęły wysyłać nad granicę samoloty rozpoznawcze, które fotografowały to, co działo się na ziemi. Ale z powodu egipskich rakiet ziemia-powietrze samoloty musiały latać na dużych wysokościach, toteż robione z nich zdjęcia były niewielkiej lub żadnej wartości. Cahalowi pozostała więc tylko jedna realna opcja – żywi agenci w Egipcie, udający Egipcjan i przybywający nad Kanał Sueski okrężną drogą przez Europę, by fotografować to, co dzieje się wzdłuż granicy.

Arnan zabrał zdjęcie na drugi koniec korytarza, żeby ostrzec szefostwo Amanu. Brill został. Przyszło mu do głowy, że to nienormalne, aby istnienie Izraela zależało od jednego jedynego zdjęcia.

„Musieliśmy przeprowadzić taką operację dla jednego zdjęcia tego, co dzieje się tuż za kanałem?” – zapytał sam siebie. Rozumiał wagę uzyskanych informacji, ale wydawało się, że coś jest nie tak. Po prostu nie mógł uwierzyć, że nie można się łatwiej dowiedzieć, co dzieje się kilkaset metrów dalej.

Jadąc tego wieczoru do domu, Brill nie mógł się wyzbyć wrażenia, że musi być prostszy sposób na uzyskanie zdjęć zza kanału. Przypomniał sobie film, który widział kilka tygodni wcześniej w Tel Awiwie. Przed właściwym seansem wyświetlono krótką kronikę filmową, a w niej scenkę o chłopcu, amerykańskim Żydzie, który dostał w prezencie na bar micwę zabawkowy samolot. Brill stracił zainteresowanie fabułą – zaczęła działać jego wyobraźnia. Pamiętał, że samolociki te były w różnych kolorach, latały bez kabla i bez pilota, a sterowano nimi przez radio. To, co wymyślił Brill, wydawało się niemal zbyt łatwe: należało kupić kilka zdalnie sterowanych samolotów, podczepić pod ich kadłubami aparaty fotograficzne i wysłać je nad kanał, żeby fotografowały pozycje egipskich wojsk.

Brill wiedział, że aby wprowadzić swój pomysł w życie, będzie potrzebował wsparcia. Udał się więc do sztabu sił powietrznych, powęszył nieco i tak odkrył Szloma Baraka, oficera, który spędzał weekendy, bawiąc się zdalnie sterowanymi modelami samolotów. Był on w owym czasie jednym z nielicznych Izraelczyków mających niezbędne doświadczenie przydatne do tego, co zamyślił Brill.

Brill próbował skłonić siły powietrzne do przejęcia odpowiedzialności za ten projekt. Spotkał się z zupełnym brakiem entuzjazmu.

– Zdalnie sterowane samoloty to zabawki i nie mamy dla nich zastosowania – oświadczyli mu oficerowie z działu technicznego.

W związku z tym wrócił do swojego dowódcy i próbował jemu sprzedać swój pomysł.

– Możemy kupić kilka takich samolotów za marne grosze, zainstalować aparaty fotograficzne i wypuszczać je nad Kanałem Sueskim, żeby szpiegować Egipcjan – powiedział Arnanowi.

Jednak Arnan nie był przekonany. Najpierw chciał zobaczyć te samoloty w akcji.

Jeszcze w tym samym tygodniu umówili się na małym lądowisku pod Tel Awiwem na pokazowy lot. Barak pilotował zdalnie sterowany samolot, wykonał parę manewrów, jeden czy dwa przewroty, i zgrabnie sprowadził go na ziemię. Armanowi spodobał się ten pomysł, ale chciał wiedzieć, ile to będzie kosztowało. Brill nie potrafił podać kwoty na poczekaniu, tak więc wspólnie z Barakiem sporządził listę: trzy samoloty, sześć układów zdalnego sterowania, pięć silników, kilka zapasowych opon i śmigieł. Łączny koszt wyniósł 850 dolarów.

Arnan zatwierdził budżet, a jeden z członków przebywającej w Nowym Jorku delegacji izraelskiego Ministerstwa Obrony wybrał się do sklepu z zabawkami na Manhattanie, kupił sprzęt i wysłał go do Izraela z pocztą dyplomatyczną ambasady. Dzięki temu nikt nie zadawał pytań, dlaczego jakiś Izraelczyk podróżuje z tyloma zabawkowymi samolotami w bagażu.

Gdy samoloty bezpiecznie dotarły do Izraela, przekazano je do dopracowania zespołowi technicznemu Zarządu Wywiadu. Zostały wyposażone w niemieckie małoobrazkowe aparaty fotograficzne z samowyzwalaczami zaprogramowanymi na automatyczne wykonywanie zdjęć co dziesięć sekund.

– Jesteśmy gotowi do akcji – oświadczył Brill Arnanowi kilka tygodni po przybyciu samolotów.

Starszy oficer wciąż jednak był sceptyczny. Obawiał się, że samoloty zostaną zestrzelone przez egipską obronę przeciwlotniczą, i zaproponował, żeby najpierw sprawdzić, czy uda się je strącić oddziałom przeciwlotniczym Cahalu.

Pewnego upalnego letniego dnia Arnan i Brill pojechali do bazy szkoleniowej wojsk obrony powietrznej Cahalu na pustyni Negew,

zamknęli dla ruchu jedną z dróg, żeby wykorzystać ją jako pas startowy, i nawet uprzedzili obsługę dział przeciwlotniczych, z którego kierunku nadlecą samoloty. Brill był cały w nerwach. Zestrzelenie któregoś z samolotów oznaczałoby koniec jego pomysłu.

Samolocik wzbił się w powietrze i zaczął krążyć nad spłachciem piasku, a artylerzyści otworzyli ogień. Huk był ogłuszający. Zdawało się, że trwa całą wieczność. Brill stracił samolot z oczu; obawiał się najgorszego. Ku jego zaskoczeniu, kiedy rozwiał się dym, samolocik wciąż unosił się w górze. Barak testował lot na wysokości 300, 200, a w końcu zaledwie 100 metrów. Artylerzystom wciąż jednak nie udawało się trafić. Zabawkowy samolot był zbyt małym celem. Kiedy wylądował, zdumiony Arnan odwrócił się do Brilla i dał mu pozwolenie na wykorzystanie go do lotów nad Egiptem.

Izraelski żołnierz montuje zdalnie sterowany samolot wykorzystywany do lotów w strefie Kanału Sueskiego. 1969 r.
Fot. Szabtaj Brill

Pierwszym celem, jaki wybrano, był rząd egipskich pozycji w pobliżu Ismailii, miasta nad Kanałem Sueskim na wysokości jeziora Timsah, zwanego również Jeziorem Krokodyli. Zespół wyznaczony do kierowania samolotem składał się z dwóch osób: „pilota", który obsługiwał nadajnik zdalnego sterowania, i „nawigatora", który obserwował samolot przez lornetę 20x120 i pilnował, by pilot nie stracił z nim łączności.

Dramatyczny pierwszy lot, w lipcu 1969 roku, nie przebiegł tak gładko, jak planowano. Po pierwsze, ze względu na wszechobecne wyboje, trudno było znaleźć fragment drogi, który mógłby posłużyć za pas startowy. Po odkryciu trzydziestometrowego płaskiego odcinka uzyskano wreszcie zgodę na start. Arnan dał pozwolenie na lot mniej więcej półtora kilometra w głąb Egiptu. Kiedy jednak samolot był już w powietrzu, dostał się w chmurę piaskową. Jego chwilowe zniknięcie wywołało panikę, że samolot rozbije się w Egipcie i nowa tajna broń Izraela zostanie odkryta. Barak, który pełnił funkcję nawigatora, kazał pilotowi zataczać samolotem kręgi i zwiększać wysokość.

– Nie stresuj się. Po prostu utrzymuj go w powietrzu, dopóki go nie zobaczymy – powiedział.

Po kilku pełnych napięcia minutach samolocik w końcu wychynął z chmury i pilotowi udało się sprowadzić go na ziemię w Izraelu. Film został natychmiast wywołany, a kiedy przyniesiono odbitki, Arnan i Brill byli oszołomieni. Rozdzielczość była zdumiewająca. Jak na dłoni widzieli okopy, które egipska armia zbudowała wzdłuż kanału. Widoczne były nawet przewody telefoniczne łączące poszczególne pozycje.

Po raz pierwszy Izrael dysponował wyraźnymi zdjęciami przeszkód, jakie Egipcjanie budowali nad Kanałem Sueskim, oraz ich przygotowań do wojny.

Po kolejnej misji, tym razem nad Synajem, Arnan wysłał zespół do Doliny Jordanu, gdzie przeprowadzono podobne loty nad pozycjami wojsk jordańskich. Sukces był oszałamiający i pod koniec lata generał major Aharon Jariw, szef wywiadu wojskowego, postanowił powołać oficjalny zespół projektowy, który zbudowałby mały, ale solidniejszy zdalnie sterowany samolot, który można by wprowadzić do regularnej służby. Jariw wysłał do Brilla list z podziękowaniami: „Pańska inwencja zasługuje na pochwałę, ponieważ bez nowatorstwa na wszystkich szczeblach hierarchii nie byłoby Cahalu".

Kilka tygodni później Brill został awansowany i powierzono mu dowództwo nad wszystkimi wywiadowczymi systemami wczesnego ostrzegania na Synaju. Był pewien, że zostawia swój ulubiony projekt w dobrych rękach. Mógł spokojnie odejść. Pewnego dnia, parę miesięcy później, zadzwonił do niego jeden z jego dawnych wspólników. Aman, powiedział mu, że stopuje przedsięwzięcie. Powołany przez Jariwa zespół, zamiast oprzeć się na istniejących rozwiązaniach, próbował zbudować samolot od nowa, a ten wciąż się rozbijał. W rezultacie szefostwo Amanu uznało, że projekt jest zbyt kosztowny i, tak czy inaczej, powinny nadzorować go siły powietrzne. Zdecydowano o zakończeniu prac.

Zdjęcie jednego z egipskich portów nad Kanałem Sueskim wykonane podczas pierwszego lotu samolociku Szabtaja Brilla.
Fot. Szabtaj Brill

Brill nie zamierzał odpuścić bez walki. Przez cały 1969 rok słał list za listem do Jariwa i pozostałych szefów izraelskiego wywiadu, ostrzegając przed zgubnymi konsekwencjami porzucenia projektu. Błagał swoich dowódców, by nie stopowali prac. Nie słuchali.

6 października 1973 roku, w święto Jom Kipur, egipska armia niespodzianie przypuściła udany atak przez Kanał Sueski i nie napotykając

niemal żadnego oporu, ruszyła przez półwysep Synaj. Choć Izrael ostatecznie, po krwawych walkach, utrzymał to terytorium, kraj nie mógł otrząsnąć się z szoku. Zginęło przeszło 2 tysiące żołnierzy, najwięcej od czasu pierwszej wojny izraelsko-arabskiej.

Brill kipiał z gniewu. Był pewien, że gdyby jego projekt nie został odwołany, Izrael wykryłby ruchy egipskich wojsk i miałby czas wzmocnić instalacje obronne, a nawet zapobiec wojnie. Wiedza, co się dzieje tuż za granicą, mogła ocalić tysiące ludzi.

– Gdybyśmy w dalszym ciągu fotografowali to, co działo się raptem pięć kilometrów za kanałem, widzielibyśmy egipskie czołgi, mosty i gromadzony sprzęt i zorientowalibyśmy się, że oni przygotowują się do wojny – powiedział. – Niestety stało się inaczej.

Aman zrozumiał, że popełnił błąd, odkurzył stare plany Brilla i zwrócił się do miejscowych zakładów zbrojeniowych, by rozpoczęły prace nad projektem izraelskiego lekkiego bezzałogowego statku powietrznego (BSP) – czegoś, co dziś powszechnie nazywa się dronem.

Musiało minąć jeszcze kilka lat, nim izraelski projekt osiągnął gotowość bojową, ale tymczasem jasne stały się dwie sprawy: Izrael potrzebował wysokiej jakości danych wywiadowczych, a to oznaczało konieczność budowy dronów. Brill nie mógł wówczas tego wiedzieć, ale to, co zaczęło się w 1969 roku nad brzegiem Kanału Sueskiego, miało się pewnego dnia rozwinąć w potężny, wart miliardy dolarów przemysł i zapewnić Izraelowi pozycję światowego supermocarstwa wojskowego.

* * *

Po kilku latach prac badawczo-rozwojowych oraz próbnych lotów pierwszy izraelski dron – *Scout* – został wreszcie, w 1979 roku, dostarczony siłom powietrznym. Pierwsza jego wersja była wystrzeliwana przez rakietę, ale dość szybko państwowa firma Israel Aerospace Industries ulepszyła model tak, że mógł startować i lądować na pasie startowym, jak zwykły samolot.

Niemal od razu scouty zostały użyte w walce.

Był czerwiec 1982 roku i Izrael postanowił dokonać inwazji na Liban, żeby położyć kres nasilającemu się terroryzmowi transgranicznemu oraz atakom rakietowym OWP. Największą przeszkodą było niemal dwadzieścia syryjskich baterii rakiet ziemia-powietrze radzieckiej produkcji

rozlokowanych w dolinie Bekaa w Libanie. Baterie te poważnie ograniczały swobodę ruchu wojsk powietrznych.

Siły Powietrzne Izraela szykowały się do wojny. W poprzedzających tygodniach scouty latały nad doliną, wychwytując częstotliwości sygnałów radarowych i telekomunikacyjnych baterii rakietowych. Były to cenne dane potrzebne do tego, co SPI planowały zrobić w następnej kolejności: elektronicznie unieszkodliwić te baterie.

Zmasowany izraelski atak rozpoczął się 6 czerwca. System walki elektronicznej oślepił i unieszkodliwił większość wyrzutni, a scouty wspomagały izraelskie myśliwce w rozpoznawaniu i bombardowaniu baterii. Operacja była wielkim sukcesem. SPI zniszczyły niemal wszystkie syryjskie wyrzutnie, a przy okazji strąciły osiemdziesiąt dwa syryjskie MiG-i, nie tracąc przy tym ani jednego własnego myśliwca.

Operacja ta zmieniła nastawienie Izraelczyków. Oficerowie, którzy wcześniej nie wierzyli w te nowe bezzałogowe samoloty, teraz spojrzeli na nie innym okiem. Potencjał tych miniaturowych maszyn nagle wydał się nieograniczony.

Tymczasem, podczas gdy izraelskie drony zaliczały sukces za sukcesem, największy sojusznik Izraela, Stany Zjednoczone, miał problemy z wypuszczeniem w powietrze własnych dronów. W projekty, które upadały jeden po drugim, pompowano miliardy dolarów. Nic się nie udawało.

Kilka lat wcześniej Pentagon finansował prace nad *Aquilą*, dronem budowanym przez firmę Lockheed Martin, który wymagał do startu kilkudziesięciu ludzi, ale wciąż spadał. W 1987 roku, utopiwszy przeszło miliard dolarów, Pentagon postanowił zakończyć ten program [17].

Także Boeing pracował nad dronem – *Condorem* – którego rozpiętość skrzydeł wynosiła sześćdziesiąt metrów, dwa razy więcej niż w załogowym samolocie rozpoznawczym U-2, który miał zastąpić. Ten program również zamknięto po zainwestowaniu w niego 300 milionów dolarów. Wyprodukowano tylko jednego condora; dziś wisi on w jednym z kalifornijskich muzeów [18].

W grudniu 1983 roku Stany Zjednoczone postanowiły w końcu poprosić Izrael o pomoc. Kilka tygodni wcześniej ich marynarka wojenna, w odwecie za zestrzelenie amerykańskiego samolotu szpiegowskiego, przypuściła nieudany atak na syryjskie baterie przeciwlotnicze stacjonujące w okolicach Bejrutu. Atak okazał się katastrofą: dwa amerykańskie samoloty zostały zestrzelone, jeden z pilotów zginął, a nawigator dostał się

do niewoli. Choć zniszczono kilka nieprzyjacielskich dział, syryjski ostrzał zmusił amerykańskich lotników do zrzucenia bomb daleko od wyznaczonych celów. Śledztwo w sprawie spartaczonego nalotu ujawniło, że działa znajdującego się w pobliżu amerykańskiego pancernika obejmowały swoim zasięgiem syryjskie systemy obrony powietrznej i mogły zostać użyte bez narażania amerykańskich pilotów. Problem polegał na tym, że załoga okrętu nie miała możliwości ustalenia, gdzie zlokalizowane są syryjskie baterie rakietowe. Potrzebowała oczu na niebie, które by je wskazały.

Kilka tygodni po tej nieudanej operacji sekretarz marynarki wojennej John Lehman wybrał się do Bejrutu i postanowił skorzystać z okazji, żeby polecieć do Tel Awiwu i wypytać o izraelskie doświadczenia z dronami. Słyszał o zastosowaniu, jakie znalazły scouty w 1982 roku, ale nigdy nie widział ich z bliska. Kiedy przybył do kwatery głównej izraelskich wojsk, zaprowadzono go do centrum dowodzenia i poproszono, by usiadł przed małym telewizorem. Dostał do ręki joystick i pozwolono mu sterować dronem w locie. Również dowódca Korpusu Piechoty Morskiej, generał P.X. Kelley, odwiedził Izrael, żeby przyjrzeć się pracom nad dronami. Pod koniec pobytu zaprezentowano mu film nakręconego przez latający w kółko dron. Część nagrania przedstawiała jego głowę tkwiącą w centrum siatki celowniczej kamery [19].

Obaj Amerykanie połknęli bakcyla. Teraz musieli jednak znaleźć sposób, jak przepchnąć umowę przez meandry amerykańskiej biurokracji. Lehman postanowił po prostu pominąć procedury i w imieniu marynarki wojennej zawarł bezpośrednio z Israel Aerospace Industries kontrakt na opracowanie nowego drona na bazie *Scouta*. Amerykanie chcieli czegoś większego i mocniejszego, z bardziej zaawansowaną awioniką, co mogłoby służyć jako wyszukiwacz celów dla okrętów wojennych. IAI wkrótce skonstruowało prototyp, któremu nadało nazwę *Pioneer*. Po pokazowym locie na pustyni Mojave Marynarka Wojenna USA wpadła w zachwyt. Zamówiła 175 maszyn.

Dostawy pioneerów rozpoczęły się w 1986 roku i nie trwało długo, nim drony te zostały użyte w walkach. W 1991 roku rządzony przez Saddama Husajna Irak najechał na Kuwejt. Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny, aby wyzwolić to leżące nad Zatoką Perską państwo. Podczas jednej z operacji dron *Pioneer* przeleciał nad grupą irackich żołnierzy, którzy dostrzegli maszynę i, nie wiedząc, co to takiego, zdjęli białe podkoszulki

i zaczęli nimi machać. Był to pierwszy wypadek w dziejach, kiedy oddział wojskowy poddał się robotowi.

Kilka miesięcy po powrocie do Stanów Lehman dowiedział się o opracowywanym właśnie w Los Angeles innym dronie, który, jak mu powiedziano, również mógłby służyć jako wyszukiwacz celów dla jednostek marynarki wojennej. Dron ten był dziełem izraelskiego inżyniera, który niedawno porzucił wysokie kierownicze stanowisko w Israel Aerospace Industries – gdzie powstał *Pioneer* – żeby spróbować szczęścia w USA.

Urodzony w 1937 roku w Bagdadzie Abe Karem przeniósł się do Izraela wkrótce po utworzeniu tego państwa, w roku 1948. Już jako ośmiolatek wiedział, że chce zostać inżynierem, a kilka lat później odkrył swoją prawdziwą miłość – lotnictwo. W wieku czternastu lat zbudował swój pierwszy samolot, a dwa lata później był instruktorem w szkolnym klubie modelarskim. Po szkole średniej studiował inżynierię lotniczą w Technionie, izraelskim odpowiedniku MIT. Następnie wstąpił do sił powietrznych, a po ukończeniu służby zatrudnił się w IAI [20].

Podczas wojny Jom Kipur, w roku 1973, Karem zbudował swój pierwszy samolot bezzałogowy. Siły Powietrzne Izraela miały problemy z przebiciem się przez radzieckiej produkcji systemy obrony powietrznej Egiptu, tak więc w ciągu paru tygodni zespół Karema opracował przynętę – był to w gruncie rzeczy pocisk sterowany za pomocą joysticka – którą SPI mogły wykorzystać do aktywowania egipskich radarów, by wykryć ich lokalizację, a następnie zniszczyć je pociskami przeciwradarowymi wystrzelonymi z pobliskich myśliwców. Choć pomysł zdał egzamin, po wojnie SPI postanowiły zakupić podobne pociski przynęty w Stanach Zjednoczonych. Wersja Karema została pogrzebana. Przekonywał on, jak ważne jest inwestowanie w krajowe rozwiązania i rozwój lokalnego przemysłu, jednak nadaremno. Sfrustrowany zwolnił się z pracy i postanowił spróbować szczęścia w Stanach.

Przeprowadził się z rodziną do Los Angeles, ale nie mógł sobie pozwolić na kupno domu i jednocześnie wynajęcie pomieszczeń dla swej nowej firmy. Zawarł więc z żoną kłopotliwy, ale realistyczny kompromis: dom będzie dla rodziny, a przyległy do niego garaż – dla dronów. Kilka miesięcy później otworzył w mierzącym pięćdziesiąt sześć metrów kwadratowych garażu w Hacienda Heights przedsiębiorstwo Leading Systems i wraz z dwoma półetatowymi pracownikami zaczął konstruować nowy dron.

Zamysłem było zbudowanie drona możliwie najmniejszym kosztem, tak jak nauczył się w IAI. Prototyp, o nazwie *Amber*, wykonany był ze sklejki oraz włókna szklanego i wyposażony w dwusuwowy silnik, który Karem wymontował z gokarta.

W połowie lat osiemdziesiątych drony *Amber*, wciąż jeszcze w fazie testowej, latały codziennie, niekiedy nawet trzydzieści godzin bez przerwy. Pod naciskiem Lehmana marynarka wojenna oznajmiła, że zamierza zakupić dwieście tych maszyn. Karem poczuł przedsmak sukcesu. Ale potem, w roku 1987, Kongres obciął fundusze. Karem, nie dając za wygraną, zaczął projektować wersję *Ambera* na eksport. Wtedy jednak odezwał się bank – przyszła pora spłacić pięciomilionową pożyczkę. Bez pieniędzy Karem nie miał innego wyjścia, jak tylko sprzedać Leading Systems firmie Hughes Aircraft, która wkrótce odstąpiła je przedsiębiorstwu General Atomics. Karem pozostał w roli konsultanta i opracował wariant *Ambera* o nazwie *Gnat 750*.

Przełom w karierze Karema nadszedł z dwóch najbardziej nieprawdopodobnych miejsc: Bośni i Izraela. W 1993 roku w byłej Jugosławii wybuchła wojna etniczna; walczący – żołnierze i ochotnicy – nosili cywilne ubrania, a rząd Stanów Zjednoczonych napotykał trudności w ocenie sytuacji w terenie.

Problem ten przedstawiono R. Jamesowi Woolseyowi, ówczesnemu dyrektorowi CIA. Podczas jednej z burz mózgów w Langley Woolsey przypomniał sobie odbytą kilka lat wcześniej podróż do Izraela, kiedy to po raz pierwszy zobaczył drony w akcji. W ramach tej wizyty paru dygnitarzy z Ministerstwa Obrony, których poznał jeszcze na swym poprzednim stanowisku podsekretarza marynarki wojennej, zaprezentowało mu utworzoną przez Cahal nową jednostkę dronów, odpowiedzialną za misje rozpoznawcze nad Libanem. Pułkownik Cahalu oprowadził go po bazie i przedstawił mu operatorów dronów.

– Te chłopaki naprawdę wiedzą, co robią, ale wyglądają strasznie młodo – zauważył Woolsey.

Izraelczyk uśmiechnął się szeroko.

– To Izraelski Klub Modelarstwa Lotniczego – odparł. – Po prostu powołaliśmy ich wszystkich do tej samej jednostki.

Następnie pułkownik zaprowadził Woolseya do pobliskiego namiotu i pokazał mu nagranie wideo z niedawnej operacji. Na ekranie Woolsey zobaczył konwój trzech mercedesów jadących szosą w południowym

Libanie. Wywiad, wyjaśnił gospodarz, zidentyfikował pasażera drugiego samochodu jako wysokiej rangi członka Hezbollahu. Dron, ciągnął oficer, „podświetlił" samolot laserowym wskaźnikiem celu, umożliwiając znajdującemu się w pobliżu helikopterowi SPI wystrzelenie pocisku i zniszczenie go.

Woolsey widział to zastosowanie naprowadzania laserowego – tak zwanego lasingu – podczas wojny wietnamskiej, kiedy pełnił funkcję generalnego doradcy senackiej komisji sił zbrojnych. W tamtych czasach lasing wykonywały myśliwce, ale Woolsey dobrze pamiętał, jak celne były naloty, które przeprowadzano w ten sposób. Wizyta dobiegła końca i Woolsey wrócił do kraju już zarażony entuzjazmem dla dronów.

Teraz, jako szef CIA, stojąc wobec poważnego problemu wywiadowczego w Bośni, wiedział, czego mu trzeba:

– Potrzebujemy drona zdolnego do długotrwałych lotów – oświadczył swoim podwładnym.

Wezwał z Pentagonu do Langley zespół od dronów i zapytał, ile czasu zajmie mu wypuszczenie drona nad Bośnią.

– Da się to zrobić – powiedzieli mu urzędnicy z Pentagonu – ale potrzeba będzie sześciu lat i 500 milionów dolarów.

To było zbyt długo i zbyt drogo.

Wtedy przypomniał sobie o Abe Karemie. Poznał tego izraelskiego inżyniera kilka lat wcześniej i był pod wrażeniem jego nowatorskiego myślenia. Zadzwonił do niego i przeszedł wprost do rzeczy.

– Ile by kosztowało i jak długo by trwało, nim mógłby pan wypuścić sprawnego drona nad Bośnią? – zapytał.

– Sześć miesięcy i 5 milionów dolarów – odparł Karem.

– No to żąda pan o dwa rzędy wielkości mniej niż Pentagon – stwierdził szef CIA. – Zobaczmy, co uda nam się zdziałać.

Woolsey przydzielił Karemowi do pomocy Jane, pracownicę CIA (jej nazwiska nie można podać do publicznej wiadomości), która opracowała specjalny system dowodzenia i kontroli dla dronów. Karem i Jane zabrali się do roboty i po sześciu miesiącach *Gnat 750* wykonywał już loty rozpoznawcze nad Bośnią. Kilka dni później w zlokalizowanym na siódmym piętrze gabinecie Woolseya w Langley zainstalowano bezpośredni podgląd z dronów i dyrektor CIA mógł śledzić pieszy ruch na moście w Mostarze, komunikując się przy tym ze stacją naziemną przez wczesną formę serwisu czatowego [21].

Pentagon był pod wrażeniem i czym prędzej postarał się obrócić sukces *Gnata* na swoją korzyść. Podpisał z General Atomics kontrakt na opracowanie wzorowanego na *Gnacie* drona o solidniejszej konstrukcji, z potężniejszym silnikiem i innymi skrzydłami.

Największą zmianą w stosunku do *Gnata* była decyzja General Atomics o wyposażeniu maszyny w łącze satelitarne. Firma uznała, że ten bardziej zaawansowany dron potrzebuje nowej nazwy, tak więc ogłosiła konkurs. Zwycięzcą został *Predator*. Dron ten z czasem zyskał złą sławę jako najbardziej śmiercionośna broń Ameryki w globalnej wojnie z terroryzmem, odpowiedzialna za niezliczone ataki w Pakistanie, Afganistanie, Iraku i Jemenie. Ale nie doszłoby do tego, gdyby nie Izrael i pewien izraelski inżynier.

* * *

Drony są atrakcyjne dla wojskowych, gdyż z powodzeniem mogą wykonywać misje „3D” – z angielskiego *dull*, *dirty*, *dangerous* (nudne, brudne i niebezpieczne). „Nuda” odnosi się do rutynowych, przyziemnych misji w rodzaju patroli granicznych albo obserwacji mórz i oceanów. Są one wyczerpujące fizycznie oraz nadzwyczaj nużące i monotonne. Podczas gdy ludzie męczą się po dziesięciu lub dwunastu godzinach, dron *Heron* – od 2005 roku główny wół roboczy Sił Powietrznych Izraela – może utrzymywać się w powietrzu przez pięćdziesiąt godzin.

„Brud” dotyczy wejścia w przestrzeń powietrzną skażoną środkami chemicznymi lub biologicznymi. Podczas gdy człowiek musiałby włożyć niewygodny strój ochronny, drony mogą latać bez ryzyka, co czyni je bardziej uniwersalnymi. A „niebezpieczeństwo”? To można rozumieć różnie, ale zasadniczo chodzi o misje, w których pilot mógłby zostać ranny lub zginąć.

Drony mają mnóstwo zalet, które decydują o ich wyższości nad samolotami załogowymi. Są mniejsze, lżejsze i tańsze, mogą też przez dłuższy czas unosić się nad celem. Myśliwce odrzutowe mają tę przewagę i mankament, że mogą pokonać barierę dźwięku, ale choć szybkość jest zaletą w walce powietrznej albo w misji wymagającej błyskawicznego pojawienia się i zniknięcia, oznacza to, że obecność takiego samolotu zostaje wykryta niemal natychmiast. Drony potrafią zawisać nad celem, podczas gdy buczenie ich silników wtapia się w hałas miejskiego ruchu.

Czyni je to idealną bronią do tropienia i eliminowania ruchomych celów, takich jak terroryści.

Od czasu otrzymania w 1979 roku pierwszych scoutów Siły Powietrzne Izraela używały i wycofały z eksploatacji wiele różnych dronów. Jednak w odróżnieniu od większych myśliwców odrzutowych, śmigłowców szturmowych i samolotów transportowych, które kupowane są za granicą, izraelskie drony są czysto niebiesko-białe, opracowane i wyprodukowane przez krajowe, izraelskie firmy.

Od 1985 roku Izrael jest największym eksporterem dronów na świecie. Należy do niego 60 procent globalnego rynku, w czym wyprzedza Stany Zjednoczone, których udział wynosi zaledwie 23,9 procent [22]. Klientami Izraela są dziesiątki państw, w tym USA, Rosja, Korea Południowa, Australia, Francja, Niemcy i Brazylia. W 2010 roku w Afganistanie izraelskich dronów używało pięć krajów NATO.

W Cahalu drony są dziś wykorzystywane przez wszystkie rodzaje wojsk. Siłom powietrznym na przykład maszyny takie jak *Heron* służą do misji rozpoznawczych na rozmaitych frontach – w Gazie, Libanie i Syrii.

Przy ośmiu i pół metra długości *Heron* jest tylko odrobinę krótszy od awionetek Cessny, choć rozpiętość skrzydeł ma zdecydowanie większą – różnica wynosi blisko sześć metrów. Napędzany jest umieszczonym z tyłu śmigłem pchającym i emituje warkot przypominający odgłos wydawany przez kosiarkę do trawy. Jego największym atutem jest autonomiczny system lotu, pozwalający operatorowi zaprogramować trasę przed startem, a następnie wynieść maszynę w powietrze przez naciśnięcie zaledwie czterech przycisków. Dron leci następnie do celu i może zostać zaprogramowany tak, by po wykonaniu zadania wrócił do wcześniej wyznaczonego punktu. Dzięki temu operator może skupić się na misji zamiast na sterowaniu maszyną.

Producent *Herona*, IAI, nie podaje do publicznej wiadomości dokładnego kosztu tego drona, ale w branży szacuje się ją na 10–15 milionów dolarów, kosztuje więc znacznie mniej niż załogowy samolot bojowy. Za cenę jednego myśliwca wielozadaniowego piątej generacji F-35, jednego z najnowszych nabytków SPI, siły powietrzne mogą kupić około dziesięciu heronów.

Heron może pracować w dwóch różnych trybach łączności: bezpośredniej lub satelitarnej. W trybie łączności bezpośredniej operator musi stale znajdować się w obrębie 400 kilometrów od drona. W trybie

satelitarnym sterowanie dronem odbywa się poprzez łącze satelitarne, w związku z czym jego zasięg ogranicza tylko ilość paliwa, jaką może zabrać. Jednak prawdziwe znaczenie każdego drona tkwi w jego ładunku. Herony, na przykład, mają kilka miejsc, gdzie można ulokować sprzęt – w kadłubie, pod skrzydłami i pod nosem, na zawieszeniu kardanowym. Na zawieszeniu tym montuje się sensory, różne w zależności od misji: kamery dzienno-nocne, kamery na podczerwień, celowniki laserowe, a także specjalne czujniki do wykrywania broni masowego rażenia (BMR).

Jeden z zaprojektowanych przez Izrael czujników obrazuje korzyści, jakie zapewniają te sensory. Nazwany Rydwanem Ognia, czujnik ten potrafi wykryć zmiany w terenie, ujawniając potencjalne lokalizacje podziemnych wyrzutni rakietowych – rzecz o decydującym znaczeniu w miejscu takim jak Strefa Gazy, gdzie Hamas ukrywa swoje rakiety. Mówiąc w skrócie, czujnik ten potrafi wykryć niewidzialne.

Izraelskie drony pierwotnie projektowane były pod kątem działań ISR (*intelligence, surveillance and reconnaissance*, czyli wywiad, obserwacja i rozpoznanie) – miały latać nad celami i monitorować rozwój sytuacji. Dość wcześnie jednak izraelscy planiści wojskowi zorientowali się, że mogą one robić coś więcej – że bezzałogowe statki powietrzne mają potencjał adaptacyjny.

Drony bywały już wyposażane w laserowe wskaźniki celu, którymi „podświetlały" obiekty ostrzeliwane następnie przez śmigłowce lub myśliwce. Dlaczego nie mogłyby przenosić również pocisków? Dziś izraelskie drony, z heronami włącznie, mają podobno możliwość nie tylko lokalizowania celów, ale i niszczenia ich [23]. Izrael nie przyznaje się do posiadania dronów zdolnych do działań zaczepnych. Jednak taka zdolność jest dobrze udokumentowana: na targach zbrojeniowych pojawiały się izraelskie drony z zamontowanymi pod skrzydłami pociskami rakietowymi, a w ujawnionych przez WikiLeaks depeszach Izrael potwierdzał, że niektóre z ataków na Strefę Gazy wykonywane były przez uzbrojone drony. *Heron* oraz *Hermes 450*, kolejny średniej wielkości dron opracowany przez izraelską firmę Elbit Systems, mogą podobno przenosić naprowadzane laserowo duże przeciwpancerne pociski rakietowe *Hellfire* lub mniejsze, na przykład produkowane w Izraelu *Spike*. *Spike* powoduje mniej strat ubocznych i podobno szczególnie nadaje się do precyzyjnych ataków na poszukiwanych terrorystów.

Strefa Gazy to centrum izraelskiej rewolucji dronowej. W tamtejszych wąskich zaułkach dzień w dzień można usłyszeć warkot latających „kosiarek do trawy” – dronów. Miejscowi nazywają je *zanana*, co po arabsku znaczy „brzęczenie” albo „zrzędliwa żona”.

W Strefie Gazy drony prowadzą zwiad i pomagają Cahalowi stworzyć „bank celów” na wypadek konfliktu. Podczas operacji Filar Obrony, w listopadzie 2012 roku, Cahal zaatakował niemal tysiąc podziemnych wyrzutni rakietowych oraz dwieście tuneli, które zostały zlokalizowane i zidentyfikowane dzięki danym pozyskanym przez drony. Pierwsza salwa tej operacji została wystrzelona w ataku wspomaganym przez drony. Ahmed al-Dżabari, dowódca wojskowego skrzydła Hamasu, jechał przez Gazę, kiedy w jego sedan Kia trafiła rakieta. Dżabari, który zajmował czołowe miejsce na izraelskiej liście najbardziej poszukiwanych osób i wyszedł cało z czterech wcześniejszych zamachów na swoje życie, został w końcu zlikwidowany przez drona [24].

Zanim Izrael zbombarduje Strefę Gazy w odwecie za atak rakietowy, BSP są tam, by namierzyć cel; gdy helikoptery i myśliwce lecą zrzucić bomby na samochód z zamontowaną katiuszą, BSP są tam, aby się upewnić, że do strefy śmierci nie zabłąkało się żadne dziecko; a kiedy siły lądowe Cahalu otaczają budynek, w którym ukrywają się terroryści Hamasu, BSP są tam, żeby zapewnić im wsparcie w czasie rzeczywistym i bezpiecznie wprowadzić żołnierzy do środka. A kiedy zajdzie potrzeba, drony podobno mogą również atakować.

Na mniejszym końcu skali dronów Cahalu są aparaty niewypuszczane z baz lotniczych, ale wyjmowane przez żołnierzy z plecaków i dosłownie rzucane tak, jak quarterback rzuca piłkę. Jeden z takich dronów, *Skylark*, wszedł na wyposażenie wojsk lądowych Cahalu w 2010 roku. Ten ważący niecałe sześć kilogramów dron mieści się w żołnierskim plecaku, ale kiedy już znajdzie się w powietrzu, może latać nieprzerwanie przez trzy godziny na wysokościach sięgających 900 metrów. Skylarki znajdują zastosowanie w operacjach wszelkiego typu, od rutynowych patroli na Zachodnim Brzegu po wielkie ofensywy lądowe w państwach takich jak Liban czy Syria.

To nowe osiągnięcie sztuki wojennej pozwala dowódcom szybko rozeznać się w najbliższym otoczeniu. Dowodzący nie są już zdani wyłącznie na siły powietrzne, które mogą z kolei skoncentrować się na większych, bardziej strategicznych misjach.

Miniaturowe BSP cieszą się taką popularnością, że w 2016 roku korzystały z nich już siły zbrojne Australii, Kanady, Stanów Zjednoczonych, Korei Południowej, Francji, Szwecji i Peru.

Drony wpływają nie tylko na sposób prowadzenia wojen, ale i na strukturę organizacyjną armii, wymuszając na wszystkich rodzajach wojsk adaptację do zmian, jakie przynosi nowa technologia. Po powstaniu Państwa Izrael 7. Brygada Pancerna utworzyła mały elitarny pododdział, Palsar, pełniący funkcje rozpoznawcze. Jego żołnierze posuwali się przed czołgami, obserwowali teren i informowali o pozycjach wroga. Jednak w 2010 roku, wraz z wprowadzeniem skylarków, Cahal uznał, że nadszedł czas zrewidować konieczność istnienia takiej jednostki, a przynajmniej przedefiniować jej funkcję. Mając drony, które mogą lecieć przed czołgami, po co narażać żołnierzy?

* * *

Jak wieść niesie, w 2009 roku Izrael wyniósł użyteczność dronów na nowy poziom [25].

Była połowa stycznia i izraelscy żołnierze prowadzili działania głęboko w Strefie Gazy, w ramach pierwszej większej operacji lądowej od czasu „ewakuacji” sprzed czterech lat – jednostronnego wycofania przez Izrael wojsk z palestyńskiego terytorium. Rząd rozpoczął niedawno operację Płynny Ołów w reakcji na wystrzelenie w samym tylko poprzednim roku przeszło 2 tysięcy pocisków rakietowych i moździerzowych. Premier Ehud Olmert stwierdził: tego już za wiele.

Podczas gdy uwaga kraju skupiona była na izraelskiej piechocie i brygadach pancernych operujących w Strefie Gazy, daleko od Izraela, w Sudanie, rodziło się nowe zagrożenie.

Informacje uzyskane przez Mosad, izraelską supertajną agencję wywiadowczą, wskazywały, że do Port Sudan nad Morzem Czerwonym zawinął statek wyładowany zaawansowanym irańskim sprzętem wojskowym, w tym rakietami *Fadżr*. Nie były to zwyczajne rakiety – była to broń zdolna zmienić reguły gry [1].

Aż do tej pory arsenał Hamasu pozwalał tej palestyńskiej organizacji terrorystycznej zagrażać domom miliona Izraelczyków zamieszkałych w południowej części kraju. Fadżry mogły lecieć znacznie dalej i osiągnąć Tel Awiw. Kontenery, jak dowiedział się Mosad, ładowano na ciężarówki,

które miały przewieźć je na północ, przez Sudan i Egipt, a następnie dostarczyć do pewnego składu przy granicy ze Strefą Gazy. Stamtąd rakiety przemycono by do Gazy tunelami.

Szef sztabu Cahalu, generał porucznik Gabriel „Gabi” Aszkenazi, zaczął szkicować plan ataku na konwój, ale czas naglił. Z chwilą przekroczenia przez ciężarówki egipskiej granicy opcja uderzeniowa nie wchodziłaby w grę. Izrael nie mógł dokonać napaści w Egipcie, kraju, z którym utrzymywał kruchy pokój. Gdyby później rakiety dotarły do Gazy, wchłonąłby je jeden z najgęściej zaludnionych obszarów świata. Choć izraelski wywiad w Strefie Gazy działał sprawnie, nie był niezawodny. Rakiety trzeba było zatrzymać, nim dotrą do Gazy, co oznaczało, że atak musiał nastąpić w Sudanie.

W najwyższych kręgach sektora obronnego wybuchł spór. Gołębie – przeciwnicy akcji – przestrzegały przed rosnącą międzynarodową izolacją Izraela. Kraj był już ostro krytykowany z powodu coraz liczniejszych ofiar śmiertelnych i ogromnych zniszczeń w Strefie Gazy. Wieść o ataku na terenie innego państwa byłaby trudna do wytłumaczenia. Jastrzębie przekonywały z kolei, że Izrael nie może siedzieć bezczynnie, pozwalając, by zaawansowana broń trafiła do Gazy. Zagrożenie było po prostu zbyt duże.

Ostateczną decyzję przedstawiono premierowi Olmertowi, który miał upodobanie do tajnych, półlegalnych operacji. W 2007 roku, pomimo sprzeciwu Stanów Zjednoczonych, zatwierdził podobno izraelski atak na reaktor jądrowy budowany potajemnie przez Syrię w północno-zachodniej części kraju. Uważa się także, że dał zielone światło dla wielu głośnych zamachów na czołowych terrorystów Hamasu oraz irańskich naukowców.

W tego rodzaju operacjach izraelski premier, nim wyrazi na nie zgodę, zadaje zwykle kilka technicznych pytań na temat misji i związanego z nią ryzyka. W tym wypadku, poza zwykłymi procedurami, istotne miało być dopilnowanie, by napaści nie udało się powiązać z Izraelem. Zadanie trzeba było wykonać, nie pozostawiając odcisków palców.

Pytanie brzmiało: jak? Wysłanie do Sudanu myśliwców było ryzykowne. Cała operacja spaliłaby na panewce, gdyby doszło do awarii albo gdyby któryś z samolotów został wykryty przez egipskie lub saudyjskie radary, które obserwowały tę część Morza Czerwonego.

Istniały także kwestie techniczne, gdyż cel – konwój ciężarówek – byłby w ruchu, a co za tym idzie, trudny do wyśledzenia. Kluczem do sukcesu

była synchronizacja. Dane wywiadowcze musiałyby być precyzyjne, bo myśliwce nie mogłyby przebywać w sudańskiej przestrzeni powietrznej zbyt długo, a ich zapas paliwa był ograniczony.

Następnym krokiem Aszkenaziego było wezwanie szefa wydziału operacyjnego sztabu i ułożenie planu misji. Obaj zapewne skonsultowali się z Zespołem Badań Operacyjnych lotnictwa – grupą inżynierów, naukowców i ekspertów od amunicji, która analizuje obiekty ataku i rekomenduje typy samolotów oraz bomb potrzebnych do ich zniszczenia. Brano pod uwagę rozmaite opcje, jednak Cahal wybrał podobno niekonwencjonalne rozwiązanie – atak na konwój z użyciem dronów [26].

Była to nowość. Choć Siły Powietrzne Izraela przypuszczalnie już wcześniej wykorzystywały drony do ataków na małą skalę – w rodzaju zlikwidowania pojedynczego terrorysty w Strefie Gazy – najczęściej używano ich do lotów rozpoznawczych nad bliższymi okolicami, takimi jak Gaza czy Liban. Nigdy wcześniej nie posłużono się nimi, by przeprowadzić dalekosiężne uderzenie w kraju tak odległym jak Sudan. Mimo wszystko decyzja ta miała sens. Drony mogły krążyć przez dłuższy czas nad danym obszarem, w tym wypadku nad rozległą sudańską pustynią. Mogły tam czekać na pojawienie się konwoju.

– Kiedy atakuje się nieruchomy cel, zwłaszcza duży, lepiej użyć myśliwców – powiedział po ataku w wywiadzie dla „Sunday Times” przedstawiciel izraelskich służb bezpieczeństwa. – Ale w wypadku celu ruchomego, którego czas przejazdu nie jest znany, BSP są najlepsze, gdyż mogą unosić się na ogromnej wysokości i pozostawać niewidoczne, dopóki cel nie znajdzie się w ruchu [27].

W miarę jak przygotowania posuwały się naprzód, lista zaangażowanych w nie osób się wydłużała. Tak więc Cahal przyjął strategię, jaką stosował często, przygotowując się do tajnych operacji: ścisły podział dostępu do informacji. Jedynie garstka oficerów znała wszystkie aspekty misji. Innym mówiono tylko tyle, ile było trzeba, by mogli robić swoje. Wszyscy wiedzieli, że jeśli choć słowo wydostanie się na zewnątrz, operacja zostanie odwołana, a irańskie rakiety dotrą do miejsca przeznaczenia w Strefie Gazy. Izrael nie zobaczy ich więcej, dopóki nie zaczną spadać na domy w Tel Awiwie.

Żółta, spalona słońcem pustynia Negew w większości jest jałowa, uboga w wodę i pozbawiona roślinności. Nieliczni Izraelczycy wybrali ją sobie na miejsce do życia, pozostawiając ten rozległy, suchy obszar Cahalowi jako

główny poligon. Izraelscy operatorzy dronów byli już ekspertami od tropienia poruszających się pojazdów, ale aż do tej pory koncentrowali się na jednym terroryście w samochodzie lub na motocyklu. Aby przygotować się do tej misji, musieli przećwiczyć lokalizowanie i śledzenie grupy ciężarówek wyładowanych rakietami. Na bezkresnej sudańskiej pustyni przypominało to szukanie igły w stogu siana.

Do operacji wybrano *Herona TP*, największy izraelski dron, o rozpiętości skrzydeł dorównującej sporemu samolotowi pasażerskiemu, oraz *Hermesa 450*, główny szturmowy dron Cahalu. Pierwszy miał lecieć heron, na wysokościach, na których byłby niewykrywalny, aby zlokalizować i śledzić konwój. Następna fala miała się składać z hermesów i, w razie potrzeby, załogowych myśliwców, które przeprowadziłyby atak z lotu nurkowego.

W noc akcji było nieco chmur, ale w większości niebo było czyste – typowa styczniowa pogoda w Sudanie. Gdy sudańscy i palestyńscy przemytnicy broni jechali przez pustynię, ostatnie, co mogło im przyjść na myśl, było to, że z wysokości setek metrów obserwują ich izraelskie drony. Nawet jeśli dostrzegli lecące w ich stronę pociski, było już za późno. Czterdziestu trzech przemytników zginęło, a wszystkie ciężarówki zostały zniszczone. Pierwsza misja zakończyła się sukcesem.

Start drona *Heron TP*.
Fot. IAI

Kilka tygodni później, w lutym, Iran spróbował ponownie. Olmert zatwierdził podobno kolejne uderzenie. Tym razem zabito czterdziestu szmuglerów i zniszczono dwanaście ciężarówek.

Sudańczycy byli w szoku. Wiedzieli, że Iran i Hamas wykorzystują ich kraj jako tajny szlak przemytniczy, jednak rząd prezydenta Sudanu Umara al-Baszira sądził, że Izrael nigdy nie ośmieliłby się napaść na suwerenne afrykańskie państwo. To rozumowanie doprowadziło sudański rząd do błędnego wniosku: za tym aktem agresji musiały stać Stany Zjednoczone. 24 lutego, kilka dni po drugim ataku, chargé d'affaires ambasady USA w Chartumie, Alberto Fernandez, został wezwany do sudańskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych nad brzegiem Nilu Błękitnego na spotkanie z Nasreddinem Walim, szefem Departamentu Ameryki [28].

– Mam panu do przekazania poufne i niepokojące informacje – powiedział Fernandezowi Wali.

Amerykański dyplomata zorientował się, co za chwilę usłyszy, ale zachował spokój. Spojrzawszy w swoje notatki, sporządzone odręcznym

arabskim pismem, Wali wyciągnął sfatygowaną mapę Sudanu i wskazał palcem pusty spłacheć pustyni we wschodniej części kraju. Fernandez słuchał, jak Sudańczyk odczytuje liczby zabitych ludzi i zniszczonych pojazdów.

– Przypuszczamy, że samoloty, które nas zaatakowały, były waszymi samolotami – oświadczył Wali.

Podejrzenie to nie było bezpodstawne. Kilka tygodni wcześniej Fernandez pojawił się tu, żeby potępić rząd Sudanu za to, że pozwala, by Iran wykorzystywał jego terytorium do szmuglowania broni dla Hamasu w Strefie Gazy. Sudańczycy uznali, że po oficjalnym proteście dyplomatycznym Stany Zjednoczone postanowiły podjąć działania zbrojne.

Fernandez głównie słuchał, kiedy Wali ubolewał nad decyzją USA o jednostronnym zaatakowaniu sudańskiego terytorium i podkopaniu „ścisłej współpracy" w dziedzinie obronności między obydwoma krajami.

– Protestujemy przeciwko temu aktowi i potępiamy go. Sudan zastrzega sobie prawo do podjęcia, w stosownym czasie, odpowiednich działań w celu ochrony swej suwerenności – zakończył Wali.

Fernandez nie zaprzeczył oskarżeniom Sudańczyka, ale obiecał przekazać skargę Departamentowi Stanu [29].

Nawet jeśli Stany Zjednoczone wiedziały, że atak, jak mówiły pogłoski, był dziełem Cahalu, Fernandez nie zdradził tego Chartumowi. Niemniej jednak Olmert nie mógł się powstrzymać od publicznych aluzji o możliwym udziale Izraela w tej operacji. Kilka dni po rozmowie Fernandeza premier wystąpił na odbywającej się pod Tel Awiwem konferencji poświęconej kwestiom bezpieczeństwa i wyjawił, że Izrael prowadził działania antyterrorystyczne w miejscach „dość oddalonych" od swoich granic.

– Uderzamy na nich w sposób, który wzmacnia potencjał odstraszający i, niekiedy nie mniej ważny, groźny wizerunek Państwa Izrael – powiedział premier. – Nie ma potrzeby wchodzić w szczegóły, każdy może skorzystać ze swej wyobraźni. Faktem jest, że ci, którzy powinni wiedzieć, wiedzą […], że nie ma miejsc, w których Państwo Izrael nie mogłoby podjąć takich działań.

Ale choć Izrael zachował milczenie, operacja ta rzuciła światło na rosnącą rolę dronów – wszelkiego rodzaju i różnej wielkości – w izraelskich wojnach. Obecnie loty dronów stanowią niemal połowę czasu wylatanego rocznie przez całe Siły Powietrzne Izraela, dzień w dzień

prowadząc kilkaset godzin obserwacji. Izraelskie operacje piechoty niemal zawsze odbywają się przy wsparciu dronów. Najwyżsi dowódcy sił powietrznych zebrali się niedawno na warsztatach o nazwie „2030”, aby przedyskutować i zdecydować, jak będzie wyglądało lotnictwo wojskowe w nadchodzących dekadach; na koniec tego dwudniowego seminarium większość uzgodniła, że przez następne kilka lat SPI będą stopniowo wycofywać swe starsze myśliwce F-15 oraz F-16 i w krótkim czasie będą wyposażone niemal wyłącznie w drony, niektóre na tyle małe, by zmieścić się w kieszeni [30].

* * *

Wizyta w Bazie Lotniczej Palmachim ujawnia kolejny aspekt tej historii. Wśród sfalowanych wydm kryje się kwatera główna 200. eskadry SPI, zwanej też pierwszą eskadrą dronów [2]. Młodzi operatorzy płci obojga, ubrani w zielone kombinezony, siedzą w klimatyzowanych wozach dowodzenia zaledwie o rzut kamieniem od piaszczystych śródziemnomorskich plaż, śledząc obrazy przesyłane przez drony, którymi poruszają za pomocą czarnych joysticków.

Gdy w grudniu 2008 roku rozpoczęła się operacja Płynny Ołów, izraelska ofensywa przeciwko Hamasowi, kapitan Gil (personel SPI można określać wyłącznie imionami), zastępca dowódcy eskadry, planował właśnie długo wyczekiwany urlop za granicą. Odwołał swoje plany i zwołał podwładnych, młodych mężczyzn i kobiety, którzy służyli jako operatorzy dronów.

– Mamy dwa cele – powiedział im. – Pierwszy: zapewnić wsparcie naszym jednostkom naziemnym. Drugi: zrobić wszystko, co możliwe, by zminimalizować straty wśród ludności cywilnej.

Pewnej niedzieli Gil pełnił dyżur w wozie dowodzenia. Ściśle współpracując z rozmaitymi agencjami wywiadowczymi Izraela, tropił człowieka, który ich zdaniem mógł być wysokiej rangi terrorystą Hamasu. Gdy człowiek ten wyszedł z domu w obozie uchodźców na północy Strefy Gazy, Gil śledził go z góry.

Nie wiedząc, że jest obserwowany, mężczyzna zaczął majstrować przy czymś, co wyglądało na druty. Gil przeraził się, że zabiera się on do budowy miny pułapki, przypuszczalnie aby przygotować zasadzkę na operujących w okolicy żołnierzy Cahalu.

– To wygląda podejrzanie – powiedział do mikrofonu.

W Dowództwie Południowym Cahalu specjaliści od identyfikacji celów zgodzili się z oceną Gila i nakazali znajdującemu się w pobliżu samolotowi atak. Ale potem Gil przyjrzał się dokładniej. Mężczyzna nie budował z drutów bomby. Rozwieszał pranie.

– Stać! – wrzasnął do mikrofonu. – Nie atakujcie!

Kilka dni później, na kolejnym dyżurze, Gil zauważył, jak mu się wydawało, żołnierza Cahalu idącego wąskim zaułkiem w północnej Gazie. Ale coś było nie tak. Owszem, mężczyzna miał na sobie oliwkowy mundur, ale był sam, a karabin M-16 niósł przewieszony przez ramię, a nie na ukos przez pierś, jak nakazuje regulamin Cahalu.

– Co on tam robi w pojedynkę? – zwrócił się Gil do innego operatora w wozie. Śledził mężczyznę, dopóki nie zniknął on w jednym z domów, skąd wyszedł kilka minut później w innym stroju. Momentalnie stał się celem.

W tych dwóch różnych sytuacjach Gil mógł docenić korzyści, jakie dają drony na polu walki – zapobiegając atakowi na niewinnego człowieka i pomagając ująć poszukiwanego terrorystę.

– Siedząc daleko od miejsca akcji, mam możność przyglądać się celowi przez długi czas i upewnić się, że jest to właściwy cel – powiedział nam Gil, kiedy spotkaliśmy się w siedzibie eskadry. Odpowiedzialność jest ogromna, a Gil, nieco po trzydziestce, jest jednym z najstarszych operatorów w jednostce. Większość ma po dwadzieścia parę lat.

– Odpowiedzialność za zrobienie, co tylko możliwe, aby zminimalizować straty wśród cywilów, nie daje mi spać po nocach – powiedział. – Z drugiej strony, jeśli powiem żołnierzowi, że teren jest czysty, a on zostanie trafiony przez snajpera, to również jestem za to odpowiedzialny. Zawsze istnieje ryzyko.

Żołnierze obarczeni w tak młodym wieku tak wielką odpowiedzialnością są zmuszeni błyskawicznie dorosnąć i myśleć kreatywnie. Operatorzy dronów i dowódcy Cahalu nie mają tego luksusu, by móc zajrzeć do podręcznika z gotowymi instrukcjami i planami operacyjnymi. Muszą myśleć błyskawicznie, podejmować w ułamku sekundy decyzje na wagę życia i śmierci, a po wszystkim wracać wieczorami do domu, do rodziny. Jak ujął to Gil: „Sterowanie dronami? To w tym najłatwiejsze”.

* * *

Ale w czym tkwił sekret izraelskiego sukcesu? W jaki sposób tak mały kraj zbudował przemysł dronowy wyprzedzający o krok resztę świata?

Nieustannie będąc w stanie wojny, Izrael jest zmuszony testować nowe taktyki i techniki, niekiedy lata wcześniej niż inne kraje Zachodu. Ponieważ wiele potrzebnych platform jeszcze nie istnieje, Izrael musi tworzyć je samodzielnie. Tak właśnie było z dronami.

Spoglądając wstecz na obejmującą przeszło pięć dziesiątków lat karierę inżyniera lotnictwa, Karem wskazuje dwa czynniki, które zdecydowały, że Izrael stał się światowym liderem w dziedzinie dronów.

Pierwszy wiąże się z naturalnym środowiskiem i otoczeniem Izraela.

– Pracowałem z inżynierami i technikami w Izraelu, Francji, Wielkiej Brytanii, USA, Niemczech i Japonii – powiedział. – Izraelczycy nie mają innych genów niż mieszkańcy tych krajów, ale odróżnia nas od nich presja, by zwyciężyć i przeżyć. To ona każe nam dążyć do perfekcji.

Drugim czynnikiem jest istniejąca w Izraelu „fuzja myśli”. Każdy Izraelczyk odbywa służbę wojskową. Ci, którzy podejmują później pracę w przedsiębiorstwach zbrojeniowych, pozostają w kontakcie z kolegami z wojska. Rozmawiają i dzielą się swoimi przemyśleniami. Wszyscy się znają. To skraca proces koncepcyjny i pozwala innowatorom szybko przerzucać się pomysłami. Jeśli coś zostało już wypróbowane, dowiedzą się o tym i będą szukać innego rozwiązania. A jeśli nie, mogą uzyskać rzeczowe opinie z pola walki, zwykle w jednej rozmowie telefonicznej.

Amit Wolff, młody inżynier lotnictwa z działu dronów IAI, jest przykładem tego zjawiska. W połowie lat dziewięćdziesiątych XX wieku, po szkole średniej, Wolff razem z kolegami z klasy otrzymał powołanie do wojska. Jak wielu innych młodych ideowców był ambitny, postanowił się więc ubiegać o przyjęcie do stosunkowo nowej elitarnej jednostki o nazwie Maglan, co po hebrajsku znaczy „ibis”. Utworzono ją kilka lat wcześniej do działań głęboko za liniami wroga, z użyciem specjalnego sprzętu. Niczym ptak, od którego wzięła nazwę, jej żołnierze uczyli się wtapiać w otoczenie, przemieszczać ukradkiem i lokalizować cele.

W czasie służby wojskowej Wolffa działania Maglanu koncentrowały się na Zachodnim Brzegu i południowym Libanie, gdzie jednostka prowadziła niemal dzień w dzień operacje przeciwko terrorystom Hezbollahu. Po zwolnieniu z wojska Wolff studiował inżynierię na Technionie i został zatrudniony przez IAI do pracy w dziale dronów.

Pewnego dnia w 2008 roku spotkał się z paroma kolegami w kafejce koło biura na nieformalnej burzy mózgów. Od czasów służby wojskowej rozważał możliwość zbudowania drona, który mógłby być bez trudu przenoszony na plecach żołnierza i szybko wypuszczany w powietrze dla przeprowadzenia bliskiego rozpoznania.

Pamiętał, jak był sfrustrowany, gdy szedł niebezpiecznymi wąskimi zaułkami w gęsto zaludnionych rejonach, takich jak Strefa Gazy czy niektóre obszary Zachodniego Brzegu, nie wiedząc, co czeka tuż za rogiem.

– Zaczęliśmy dyskutować nad możliwością stworzenia lekkiego drona, który dawałby się łatwo przygotować do pracy i startowałby oraz lądował pionowo, nie potrzebując pasa startowego – powiedział nam, kiedy spotkaliśmy się w siedzibie IAI pod Tel Awiwem.

W kafejce Wolff wyciągnął serwetkę spod swego cappuccino i naszkicował z grubsza projekt nowego drona. Kilka dni później poszedł z tym pomysłem do szefa działu badań i rozwoju, który wysłuchał propozycji i postanowił przeznaczyć na jej dopracowanie na początek 30 tysięcy dolarów. Inwestycja opłaciła się i dwa lata później IAI zaprezentowało drona *Panther*, jeden z pierwszych na świecie bezzałogowców typu tiltrotor (samolotów z odchylanymi wirnikami), który może startować i lądować jak śmigłowiec oraz zawisać nad celem na sześć godzin na wysokości 3 tysięcy metrów. *Panther* jest tak lekki, że żołnierz może go nosić na plecach.

– Generalnie czerpiemy pomysły z wielu źródeł – wyjaśniał łagodnym głosem Wolff, kiedy szliśmy przez zielone trawniki siedziby IAI. – Śledzimy nowinki techniczne w Internecie i jesteśmy w ścisłym kontakcie z establishmentem obronnym, żeby rozumieć potrzeby Cahalu. Wielu z nas inspiruje się jednak własnymi doświadczeniami z pola, a ponieważ tam byliśmy, wiemy, co może się przydać.

Wolff z jednej strony był żołnierzem z bogatym doświadczeniem bojowym, a zarazem inżynierem lotnictwa. Ta podwójna tożsamość dała mu wiedzę, doświadczenie i kwalifikacje niezbędne do wymyślenia i skonstruowania nowej broni.

Owe ścisłe relacje między światem cywilnym i wojskowym są bogactwem narodowym o niezmierzonej wartości.

Choć zakrawa to na ironię, do rozwoju izraelskich dronów przyczyniło się też przerwanie prac nad *Lawim*, najbardziej ambitnym projektem samolotu, jaki przedsięwziął rząd. Opracowywany przez IAI od 1982 roku

Lawi (po hebrajsku „lwiątko”) był wielozadaniowym, jednosilnikowym myśliwcem odrzutowym czwartej generacji, przewidzianym na przyszły podstawowy samolot bojowy Sił Powietrznych Izraela. Prace pochłonęły przeszło miliard dolarów – w większości pochodzących z amerykańskiej pomocy – i wyprodukowano oraz oblatano kilka prototypów. Jednak w 1987 roku izraelski gabinet, dwunastoma głosami przeciwko jedenastu, zadecydował o zakończeniu projektu, co do dziś budzi kontrowersje wśród weteranów sektora wojskowego. Program został anulowany po tym, jak koszty *Lawiego* – mówiąc obrazowo – strzeliły w niebo, i wśród ogromnych nacisków ze strony Stanów Zjednoczonych, które chciały, by Izrael zakupił zamiast niego myśliwce F-16.

Choć postawienie krzyżyka na *Lawim* było wielkim ciosem dla IAI, które musiało zwolnić setki inżynierów, praca nad myśliwcem dała Izraelowi zbiorową wiedzę, którą kraj mógł wykorzystać przy innych kiełkujących projektach – satelitów, systemów obrony przeciwrakietowej i dronów. Talent skupiony na jednym samolocie raptownie wybuchł, zalewając całą izraelską branżę zbrojeniową i przemysł wysokich technologii.

* * *

Izraelski wynalazek, dron, zrewolucjonizował współczesne pole bitwy [3]. Pozwolił siłom zbrojnym wysyłać w teren mniej żołnierzy, oceniać cele, pozyskiwać dokładniejsze dane rozpoznawcze i osiągnąć niezrównaną przewagę w skali światowej. A dokonano tego w nadzwyczaj niesprzyjających okolicznościach.

Latem 2006 roku jednak przewaga ta stanęła pod znakiem zapytania. 12 lipca Hezbollah – wspierana przez Iran organizacja terrorystyczna – wtargnął na teren Izraela i uprowadził dwóch rezerwistów Cahalu. Izrael odpowiedział atakiem i tak wybuchła trwająca miesiąc druga wojna libańska.

Początkowo wydawało się, że jest to nierówna walka. Izrael był państwem narodowym posiadającym najbardziej zaawansowane systemy uzbrojenia na świecie. Hezbollah był ugrupowaniem terrorystycznym bez stałych baz, lotnictwa i floty. Jego bojownicy nosili cywilne ubrania i wtapiali się w otoczenie; jego całkowity budżet równał się ułamkowi kwoty, jaką Izrael wydawał rocznie na zbrojenia. Jednak już po kilku

dniach wojny Izrael zdał sobie sprawę, że nie docenił przeciwnika. Hezbollah nie tylko dobrze walczył w polu – w starciach zginęło 121 izraelskich żołnierzy – ale pomimo nieustannych izraelskich nalotów przez całą wojnę wystrzeliwał średnio 120 rakiet dziennie. Przechwytywał transmisje radiowe Cahalu, przypuszczał wyrafinowane cyberataki i włamywał się do nadgranicznych izraelskich sieci telefonii komórkowej.

Ale prawdziwe zaskoczenie przyszło pod koniec wojny, kiedy Hezbollah wypuścił nad Izrael trzy irańskie drony z ładunkiem prawie dziesięciu kilogramów materiałów wybuchowych. Maszyny nie dotarły do wyznaczonych celów – dwie rozbiły się, a jedna została zestrzelona przez izraelski myśliwiec. Mimo to samo ich użycie wstrząsnęło najwyższym dowództwem Cahalu. Izrael, który wymyślił drony, stał się pierwszym celem zaatakowanym przez bezzałogowce obsługiwane przez niepaństwowy podmiot – organizację terrorystyczną. Jego własna broń została zwrócona przeciwko niemu.

W 2012 roku kolejny dron zapuścił się daleko nad terytorium Izraela – nim go zestrzelono, dotarł raptem na kilka kilometrów od położonego na południu kraju miasta Dimona, gdzie mieścił się izraelski reaktor jądrowy. A w 2014 roku nad Izraelem pojawiły się drony tym razem wypuszczone przez Hamas ze Strefy Gazy.

Podobnie jak w roku 2006, maszyny zostały zestrzelone przez Cahal, ale opublikowane przez Hamas nagranie wideo ukazywało, że nie przenosiły one zwykłych bomb, lecz rakiety powietrze-ziemia – broń, jak sądzono, nieosiągalną dla Hamasu i najwyraźniej zainstalowaną na dronach na pokaz. W październiku 2015 roku palestyńskie służby bezpieczeństwa oznajmiły zaś, że aresztowały w pobliżu Hebronu, miasta na Zachodnim Brzegu Jordanu, członków komórki terrorystycznej, która zamierzała wysłać nad Izrael bezzałogowiec wyładowany materiałami wybuchowymi.

W tych najnowszych konfliktach Hezbollah i Hamas pokazały, że sztuka wojenna ewoluuje nie tylko w Izraelu, ale i w całym świecie Zachodu. Choć zaawansowana technika jest atutem, przewagi nie można uważać za daną raz na zawsze. Niepaństwowe podmioty, jak Hezbollah i Hamas, dowiodły, że mogą pokonać państwa w ich własnej technologicznej grze.

Korzystanie z BSP przez Hezbollah i Hamas zmusiło Cahal do pewnych adaptacji, zwłaszcza w siłach powietrznych. Aż do ataku dronów Hezbollahu Cahal zakładał, że jest jedynym operatorem bezzałogowców w regionie i że nawet jeśli Iran ma jeden czy dwa drony, są one o kilka

generacji wcześniejsze, a poza tym i tak nie zdołałyby dolecieć do Izraela. W rezultacie izraelskie radary nie były zaprojektowane ani zaprogramowane do wykrywania dronów, tylko większych samolotów. Pojawienie się dronów w granicach Izraela zmusiło go do zwiększenia efektywności detekcji – opracowania nowych radarów i zmodernizowania starych.

Co więcej, Izrael podobno zaczął też prowadzić wojnę przeciwko dronom Hezbollahu z ukrycia. Na przykład w 2013 roku w Bejrucie zastrzelony został Hasan al-Lakis, wysoki dowódca Hezbollahu, któremu podlegała flota dronów tej organizacji. Według libańskich doniesień dwaj wykwalifikowani zamachowcy – przebrani za turystów – podeszli do samochodu Al-Lakisa i strzelili do niego z pistoletów z tłumikami. Hezbollah oskarżył Izrael, który ani nie potwierdził, ani nie zdementował swojego udziału w zabójstwie, ale nie ulegało wątpliwości, że był zainteresowany osłabieniem dronowego potencjału Hezbollahu.

Choć wielce niepokojące dla Izraelczyków, używanie dronów przez Hezbollah i Hamas ma sens. Drony są małe, potrafią latać nisko i powoli, a ponadto są trudne do wykrycia i śledzenia za pomocą konwencjonalnych systemów radarowych.

Zasady gry także są niejasne. Jeśli dron naruszy przestrzeń powietrzną innego kraju, czy jest to akt agresji, jak atak myśliwca lub ostrzał rakietowy? W 2012 roku, kiedy Hezbollah skierował drona w okolice Dimony, Izrael – aby nie dopuścić do wybuchu większego konfliktu – postanowił nie reagować. Ale co będzie, kiedy bezzałogowy atak na Izrael się powiedzie? Czy Izrael wykorzysta go jako usprawiedliwienie dla brutalnej wojny?

Na te pytania wciąż nie ma odpowiedzi i choć drony, podobnie jak roboty, nie podejmują jeszcze samodzielnie strategicznych decyzji, jak nigdy wcześniej wpływają na sposób prowadzenia wojen.

1. Chodzi tu o rakiety *Fadżr-5*. Mają one zasięg do 75 km i głowicę bojową o masie 175 kg (przyp. red.). [wróć]
2. Stacjonują tam też cztery eskadry śmigłowcowe, jednostka rakietowa i elitarna jednostka komandosów, a w pobliżu znajduje się kosmodrom, ośrodek badań jądrowych i podziemne schrony, w których Izrael prawdopodobnie przechowuje swoją broń atomową (przyp. red.). [wróć]
3. Autorzy zdają się zapominać, co napisali: że pierwszego swojego drona Izrael kupił w amerykańskim sklepie z zabawkami. Izraelską zasługą nie jest wynalezienie drona, czyli zdalnie sterowanego lub autonomicznego bezzałogowego statku powietrznego, lecz wykorzystanie go do działań rozpoznawczych (przyp. red.). [wróć]

ROZDZIAŁ 3

Aktywne opancerzenie

– Ruszamy! – krzyknął do radia podpułkownik Efi Defrin, dowódca 9. batalionu 401. Brygady Pancernej.

Był 11 sierpnia 2006 roku, pierwszy dzień operacji nazwanej później bitwą nad Saluki, kontrowersyjnego ostatniego zrywu izraelskiej armii w próbie zdobycia terenu, zanim wejdzie w życie rozejm kończący drugą wojnę libańską przeciwko Hezbollahowi. Plan, wysmażony naprędce w kwaterze głównej w Tel Awiwie, zakładał przekroczenie sezonowej rzeki Saluki w południowym Libanie i opanowanie terytorium, z którego, jak sądzono, Hezbollah dokonywał większości ataków rakietowych na Izrael. Ta ekspansja, zdaniem Izraela, miała dać mu większą siłę nacisku w negocjacjach rozejmowych z ONZ. Wojna dobiegała końca, ale rząd wierzył, że ta ostatnia operacja jest warta ryzyka.

Izraelskie czołgi jechały wolno wąską górską drogą, wystawione na ostrzał rakiet przeciwpancernych. Głośny chrzęst gąsienic drących skalisty grunt rozpraszał żołnierzy, sprawiając, że zapominali o oddziałach Hezbollahu. Jak się okazało, sławetne czołgi Cahalu zmierzały prosto w zasadzkę.

Zwiadowcy Hezbollahu wypatrzyli konwój, gdy zbliżył się on do przełęczy, i natychmiast przekazali tę informację zespołom przeciwczołgowym czekającym cierpliwie w pobliskich wioskach. Ponieważ Defrin był dowódcą, jego czołg wyróżniał się licznymi antenami. Bojownicy Hezbollahu zajęli pozycje i czekali. Postępowali zgodnie ze zwykłą procedurą – zidentyfikowali czołg dowódcy, naprowadzili na niego krzyż celownika wyrzutni rakiety *Kornet* i odpalili pocisk. Mijały sekundy. Nagle czołgiem zakołysało ze stłumionym łomotem, a pył wzbił się pod strop wieży. Defrin kopnął działonowego i wściekły odwrócił się w jego stronę.

Tajny skład broni, w tym pocisków przeciwpancernych, odkryty przez Cahal w południowym Libanie w 2006 r. podczas wojny z Hezbollahem.
Fot. Cahal

– Odbiło ci? – warknął. – Po coś strzelał?

– Co? – wyjąkał tamten. – Wcale nie strzelałem… Chyba zostaliśmy trafieni.

Czołg *Merkawa* Mk 4 wciąż jechał przed siebie.

– Niemożliwe, żebyśmy zostali trafieni… – mruknął Defrin nie wiedzieć do kogo. Potem obejrzał się w tył i zobaczył mknące w jego stronę trzy pociski przeciwpancerne. Trzeszczące radio zagłuszyło ich świst. Jeden uderzył w czołg, ale nie przebił pancerza. Drugi przeleciał górą, chybiając celu. Defrin pamięta jedynie huk uderzenia trzeciego pocisku. Potem zrobiło się czarno.

* * *

Izrael nie dążył do wojny z Hezbollahem, ale 12 lipca 2006 roku nie miał wyboru. Bojownicy Hezbollahu przeniknęli przez granicę izraelsko-libańską, zaatakowali patrol graniczny Cahalu i uprowadzili dwóch rezerwistów. Premier Ehud Olmert, wykorzystując ten atak jako

usprawiedliwienie dla próby zmiany sytuacji na północnej granicy Izraela, poprowadził kraj do pierwszej od przeszło dwudziestu lat wojny.

Kilka miesięcy przed wojną Sztab Generalny Cahalu zebrał się na dwudniowym seminarium, żeby przedyskutować szereg proponowanych strukturalnych zmian w siłach zbrojnych, które, na początek, miały obejmować likwidację niektórych jednostek.

Prognozy dla wojsk pancernych wyglądały ponuro. W owym czasie priorytetem Cahalu było okiełznanie palestyńskiego terroryzmu na Zachodnim Brzegu i w Strefie Gazy. Czołgi postrzegano jako mało przydatne i Sztab Generalny rozważał rozwiązanie kilku brygad pancernych oraz zmniejszenie liczby produkowanych rocznie czołgów. Godzinę po ataku Hezbollahu do trumny *Merkawy* wbity został kolejny gwóźdź, kiedy pod czołgiem wysłanym nad libańską granicę eksplodowała potężna bomba. Załoga czołgu zginęła na miejscu, a chluba izraelskiego przemysłu zbrojeniowego obróciła się w stertę złomu.

Defrin pierwotnie zamierzał pójść w ślady swego starszego brata, spadochroniarza, który kilka lat przed datą jego poboru został ciężko ranny w starciu z bojownikami Hezbollahu. Spadochroniarze uchodzili za elitę Cahalu. Byli żołnierze jednostki obejmowali najwyższe stanowiska w siłach zbrojnych, a kilku zostało szefami sztabu. Defrin, który w szkole średniej ćwiczył biegi i podnoszenie ciężarów, przeszedł pomyślnie wyczerpujący dwudniowy sprawdzian kwalifikacyjny. Jednak wojskowi lekarze orzekli, że jest niezdolny do służby w charakterze skoczka spadochronowego, i chociaż prosił o przydział do piechoty, skierowano go do mniej prestiżowych wojsk pancernych.

W maju 1991 roku Defrin został przyjęty do 7. Brygady Pancernej i wysłany na szkolenie podstawowe na pustyni Arawa w południowym Izraelu. Burze piaskowe i bezdeszczowa pogoda odzwierciedlały jego nastrój. Nie chciał tam być. Przy wejściu do bazy widział stalową maszynę przykrytą plandeką, która podobno ukrywała tajemnicę państwową: nowy izraelski czołg. Miał to w nosie. Widok czołgu wzmagał w nim jedynie poczucie utraconej szansy. Wciąż marzył o bieganiu po wzgórzach z twarzą pokrytą farbą maskującą i z M16 przewieszonym przez ramię. Złożył kilka podań o przeniesienie do piechoty, ale wszystkie zostały odrzucone. Mijały miesiące i Defrin powoli pogodził się z losem. Szkolenie zaawansowane ukończył jako prymus.

Dowódca, sierżant major, regularnie wydzierał się na Defrina i jego kolegów podczas apeli. Pewnego dnia, kiedy żołnierze, przemoknięci do nitki, stali w deszczu i błocie Wzgórz Golan, sierżant major ryknął, wskazując w stronę granicy:

– Tam jest Syria, a tu Izrael. Wy jesteście pośrodku. Jeśli ktokolwiek broni tego kraju, to właśnie wy i czołgi. Nie ma nikogo więcej.

Defrin i jego koledzy rozumieli, o co chodzi. Po drugiej stronie granicy była syryjska armia, ostatnie regularne arabskie siły zbrojne, z którymi Izrael był wciąż w stanie wojny. Niespodziewane alarmy próbne, urządzane dniem i nocą, były w związku z tym elementem cotygodniowej rutyny w izraelskim wojsku. Dowódcy chcieli uzmysłowić żołnierzom, że kiedy syryjskie dywizje ruszą w stronę północnych miast, liczyć się będzie każda minuta, jaką stracą, zajmując stanowiska w czołgach. Pytanie brzmiało nie czy, ale kiedy Syria zaatakuje. Żołnierze byli zawsze w pogotowiu.

Dowódcy rozmawiali z podkomendnymi o czołgach z nabożną czcią. W piątki przygotowywali czołg na szabat, sprzątając go w środku i pucując z zewnątrz. Bliska więź między żołnierzami a ich czołgiem formowała się podczas szkolenia bojowego, ale także kiedy myli go gąbkami i wiadrami mydlanej wody. Czołgi, mówiono im, mają duszę i wymagają czułej opieki.

Początek lat dziewięćdziesiątych XX wieku był okresem nieustających walk. Izrael ugrzązł w południowym Libanie i kiedy Defrin wrócił z kursu oficerskiego, wysłano go na szereg akcji przeciwko bastionom terrorystów Hezbollahu. Tam po raz pierwszy zetknął się ze śmiertelnym wrogiem czołgu – rakietowym pociskiem przeciwpancernym. Pewnej nocy siedział w swoim czołgu pod jedną z libańskich wiosek; jego zadaniem było zapewnianie osłony oddziałowi piechoty przeprowadzającemu rozpoznanie w okolicy. Wystawiwszy nieco głowę z włazu wieży, jadł spokojnie pitę z humusem, gdy nagle tuż nad jego głową przemknął obłok dymu. Pochodził z pocisku przeciwpancernego *Malutka*, który minął Defrina raptem o kilkadziesiąt centymetrów. Dwa tygodnie później na ten sam sektor spadł inny pocisk. Tym razem jednak załoga czołgu nie miała tyle szczęścia i zginął oficer Cahalu.

W owym czasie najnowocześniejszym i najbardziej zaawansowanym technicznie czołgiem Cahalu była *Merkawa* Mk 2, wprowadzona do służby na miejsce przestarzałych magachów – zmodyfikowanych amerykańskich czołgów *Patton*, które były w użyciu od lat sześćdziesiątych XX wieku.

Pewnego dnia w 2004 roku Defrin, teraz już dowódca kompanii, został wezwany do bazy szkoleniowej Nabi Musa na Pustyni Judzkiej, żeby obejrzeć nowy czołg *Merkawa* Mk 4. Wszyscy wiedzieli, że Cahal pracuje nad nową maszyną, ale żaden z zaproszonych oficerów go nie widział. Czołg ten był w owym czasie jedną z najściślej strzeżonych tajemnic państwowych i plotki o jego rewolucyjnej konstrukcji oraz możliwościach szerzyły się jak szalone.

Oficerów pouczono, żeby nie robili zdjęć czołgu i nie rozpowszechniali żadnych informacji na temat jego osiągów. Wielu z nich miało wrażenie, że patrzą na statek kosmiczny. Był większy niż czołg, na którym służyli dotychczas, i miał nową, potężniejszą niż poprzednik armatę. Silnik Diesla o mocy 1500 koni mechanicznych znacząco zwiększał jego szybkość, umożliwiając mu pokonywanie w rekordowym czasie nawet trudnego terenu. Zaawansowane systemy dowodzenia i kontroli dawały dowódcom czołgu możliwość rozpoznania i ostrzelania celu szybciej niż kiedykolwiek przedtem.

W 2000 roku wybuchła intifada Al-Aksy i Cahal na powrót wysłał żołnierzy do palestyńskich miast na Zachodnim Brzegu Jordanu. Fundusze trzeba było przekierować na rutynowe patrole bezpieczeństwa, budowę posterunków kontrolnych i barier ochronnych. Wśród najwyższego dowództwa Cahalu zaczęto mówić o restrukturyzacji sił zbrojnych, rezygnacji z obowiązkowego poboru i utworzeniu mniejszej, prężniejszej, bardziej zawodowej armii, znacznie uboższej w czołgi.

Liczba czołgów spadła do najniższego poziomu od czasu wojny Jom Kipur. Programy szkoleń zostały drastycznie zredukowane, a żołnierze wojsk pancernych widywali swe niegdyś pieszczone i hołubione maszyny jedynie na paradach oraz na prezentacjach w PowerPoincie, które pokazywano im na szkoleniach. Zamiast bronić granic Izraela przed syryjską inwazją, odbywali rutynowe patrole w Strefie Gazy, na Zachodnim Brzegu i wzdłuż granicy izraelsko-egipskiej, gdzie wypatrywali nielegalnych imigrantów i szmuglerów narkotyków. Defrin zaczął zapominać, jak wygląda czołg od środka.

Latem 2006 roku wszystko to nagle uległo zmianie. Wybuchła druga wojna libańska i batalion Defrina został wysłany na północ na krótkie ćwiczenia, żeby odświeżyć sobie podstawowe umiejętności niezbędne do obsługi merkaw. Zajęło to kilka dni, jednak dość szybko Defrin i jego czołgiści odzyskali pewność siebie i poczuli się gotowi do służby

w Libanie. Czołg jest jak rower, żartowali. Nie zapomina się, jak się nim jeździ.

Przez lata Defrin i inni czołgiści słyszeli o arsenale pocisków przeciwpancernych zgromadzonych przez Hezbollah od czasu wycofania się Izraela z Libanu w 2000 roku, który rzekomo czekał na nich po drugiej stronie granicy. W skład tego arsenału wchodziły podobno niektóre z najbardziej zaawansowanych wyrzutni i granatników przeciwpancernych świata – metysy, fagoty i RPG-29 z tandemową głowicą bojową. Ale jeden pocisk przerażał ich najbardziej – *Kornet*. Kornety, koszmar zachodnich wojsk pancernych, zostały sprzedane przez Rosję syryjskiej armii, która przekazała je potajemnie Hezbollahowi jako osobisty prezent od prezydenta Baszara al-Asada. Te rakiety, naprowadzane w wiązce lasera, jedne z najbardziej niebezpiecznych i najcelniejszych na świecie, wyposażone były w siedmiokilogramowe głowice tandemowe umożliwiające im przebicie nawet stutrzydziestocentymetrowego pancerza. Jest to pocisk typu „odpal i zapomnij”, co oznacza, że gdy raz zostanie skierowany na cel, trafi go.

* * *

Operacja, na którą wysłano Defrina – nad rzeką Saluki – była rozważana, odkąd wybuchła wojna, czyli od połowy lipca, ale nieustannie ją modyfikowano i odwlekano aż do piątkowego wieczoru 11 sierpnia. Izrael otrzymał informację, że Rada Bezpieczeństwa ONZ zamierza zebrać się tej nocy, żeby ogłosić zawieszenie broni i zakończyć wojnę. Po trzydziestu czterech dniach walk Izrael byłby zmuszony się podporządkować. Jednak premier Olmert chciał spróbować osłodzić rezolucję ONZ i uzyskać korzystniejsze warunki, w tym powiększenie międzynarodowych sił monitorujących sytuację w południowym Libanie. Ostatnie izraelskie uderzenie daleko na terytorium Libanu mogło tego dokonać.

Defrinowi nie podobał się ten plan. Było już po północy, kiedy nadszedł ostateczny rozkaz przemieszczenia się na linię rzeki Saluki, jakieś szesnaście kilometrów od granicy Izraela. Oznaczało to, że jego czołgi dotrą na miejsce w świetle dnia i będą doskonale widoczne dla zespołów przeciwpancernych Hezbollahu. Choć żołnierze z brygad „Nachal” i „Golani” mieli zostać przetransportowani helikopterami na drugą stronę wąwozu, by zapewnić osłonę nadciągającym czołgom, Defrin i jego ludzie

byliby mimo wszystko odsłonięci na wąskiej przełęczy, którą musieli przekroczyć, by dostać się na drugi brzeg Saluki.

Dzień wcześniej Defrin usiadł z dowódcami swojej kompanii i kilkoma oficerami rezerwy wokół tacy z piaskiem, symulując operację i omawiając jej słabe punkty. Rezerwiści ostrzegli go, że w dolinie stanie się łatwym celem.

– Wojna to nie polisa ubezpieczeniowa – odparł, przepowiadając, że trafiony zostanie najwyżej jeden lub dwa czołgi. Jego prognoza oparta była na informacjach wywiadu, według których Hezbollah miał na tym terenie nie więcej niż dwa zespoły przeciwpancerne.

Prawda była inna. Po trafieniu pierwszym pociskiem Defrin zdążył zawołać przez radio:

– Tu dowódca! Nie zatrzymujcie się w żadnym wypadku…!

Jego czołg wciąż jechał przed siebie, ale potem drugi pocisk przeleciał obok, a moment później trzeci trafił w cel. Defrin poczuł, że się dusi, jakby połknął coś zbyt dużego dla jego gardła. Zemdlał.

– Dowódca jest ranny! Powtarzam: dowódca jest ranny! – krzyknął do radia oficer operacyjny w czołgu Defrina.

Nikt nie wiedział, jaki dokładnie jest jego stan, ale nie miało to żadnego znaczenia. Nie mogli tracić czasu. Czołgi musiały jechać dalej. Zespoły przeciwpancerne Hezbollahu wciąż gdzieś tam czekały z kolejnymi pociskami.

Defrin ocknął się, plując krwią – mnóstwem krwi. Jego płuca obkurczyły się i znów stracił przytomność. Kornet nie przebił pancerza merkawy Mk 4, ale walka o życie Defrina właśnie się rozpoczęła. Lekarz Cahalu wyniósł dowódcę batalionu z czołgu i zaczął operować. Odtąd był to wyścig z czasem. Defrin został ewakuowany pod ostrzałem na terytorium Izraela, do Centrum Medycznego Ziw w Safedzie.

Oficer operacyjny wziął się w garść, przejął dowodzenie nad czołgiem Defrina i ruszył dalej w stronę Saluki. Koniec końców batalion dotarł na miejsce koszmarnym kosztem: dwunastu żołnierzy Cahalu zginęło od pocisków wystrzelonych z niemal dwudziestu stanowisk przeciwpancernych Hezbollahu, a jedenaście czołgów zostało uszkodzonych. Cahal utrzymywał, że w bitwie, jaka się wywiązała, życie straciły dziesiątki bojowników Hezbollahu. Następnego dnia strony ogłosiły zawieszenie broni.

Defrin przeleżał niemal trzy tygodnie na oddziale intensywnej terapii. Rekonwalescencja była mozolna. Zwolniony ze szpitala wrócił do swego batalionu, odebrał meldunki od dowódców i żołnierzy, a następnie spotkał się z pogrążonymi w żałobie rodzicami, żeby spojrzeć im w oczy i wyjaśnić, co się stało.

Podczas gdy Defrin wolno wracał do zdrowia, wojska pancerne znów musiały toczyć walkę o przeżycie. Bitwa nad Saluki, ze swym śmiertelnym żniwem, rannymi żołnierzami i uszkodzonymi czołgami, wstrząsnęła wojskowym establishmentem. W korytarzach Ministerstwa Obrony znów dały się słyszeć argumenty z 2004 roku, przemawiające za redukcją wojsk pancernych. Przyszłość czołgów stanęła pod znakiem zapytania. Cięcia w budżecie zdawały się nieuniknione.

Parę tygodni po powrocie do bazy Defrin został zaproszony do Wydziału Czołgów Merkawa, sekcji Ministerstwa Obrony, która nadzoruje projektowanie i produkcję izraelskich czołgów. Kiedy leżał przykuty do szpitalnego łóżka, zwijając się i rzucając z bólu, jego merkawa Mk 4 przechodziła drobiazgowy przegląd – każda rysa była oglądana i prześwietlana promieniami Roentgena. Całe zespoły rozbierano na części i składano z powrotem. Wojsko i Ministerstwo Obrony chciały wydobyć jak najwięcej informacji z czołgu i ataku rakietowego Hezbollahu.

Wysokiej rangi oficer z zespołu położył przed Defrinem szarą teczkę opisaną „Ściśle tajne” i wyjął z niej zdjęcie. Przedstawiało ono jego czołg, a dwie czerwone strzałki wskazywały punkty, w których uderzyły w niego pociski. Widząc po raz pierwszy po ataku swą poczerniałą, sponiewieraną maszynę, Defrin poczuł się, jakby wrzucono go z powrotem w sam środek bitwy.

– Widzę, gdzie stałem i gdzie pocisk trafił w czołg… jak to możliwe, że wciąż żyję? Jakim cudem nie zginąłem? – zapytał.

Oficer wyjaśnił, że mimo wielokrotnych trafień żaden z pocisków nie przebił pancerza. Jego merkawa wytrzymała jeden z najsilniejszych ataków, jakie przypuszczono dotychczas na pojedynczy czołg. Ta izraelska maszyna weszła do historii.

Zdjęcie ostatecznie przekonało Defrina do powrotu do jednostki. Było, jak powiedział nam później, potwierdzeniem, że *Merkawa* jest synonimem „nowatorskiej techniki”.

Kilka miesięcy później oficer, który niegdyś marzył o karierze spadochroniarza, otrzymał awans na pułkownika. Minęło parę lat, nim

Defrin był w stanie rozmawiać o bitwie nad Saluki, ale stał się jednym z najzagorzalszych orędowników *Merkawy*.

Jednak nie wszyscy podzielali jego wiarę w ten czołg. Media atakowały wojska pancerne. „Wieża jest odsłonięta", głosił nagłówek w jednym z największych izraelskich dzienników [31]. Brytyjskie i amerykańskie gazety donosiły o porażce tak niegdyś silnych merkaw i pytały, „dlaczego te wychwalane czołgi były tak bezbronne wobec ostrzału rakietowego Hezbollahu" [32].

W siłach zbrojnych rosło lobby na rzecz ograniczenia produkcji czołgów. „Są nieprzydatne", twierdzili ci oficerowie. Armia, przekonywali, powinna inwestować w opracowanie nowych, lepiej chronionych i szybszych transporterów opancerzonych. Wszystkiego, tylko nie czołgów.

Spór był zażarty. Po wojnie fundusze były ograniczone, a zmniejszenie produkcji czołgów faktycznie pozwoliłoby przekierować skąpe zasoby na inne potrzeby Cahalu, takie jak intensyfikacja szkoleń piechoty, remonty schronów bombowych, tworzenie systemów obrony przeciwrakietowej i tak dalej. Wieści docierające z Europy również wpisywały się w ten nurt. Zachodnie armie debatowały nad przyszłością swoich czołgów. Stany Zjednoczone, na przykład, przymierzały się do wycofania rozmieszczonych w Europie czołgów z baz, w których znajdowały się od czasu drugiej wojny światowej.

Licząc na to, że część budżetu obronnego zostanie przeznaczona na edukację, opiekę społeczną i służbę zdrowia, niektórzy politycy porównywali *Merkawę* do *Lawiego*, myśliwca opracowanego przez Izrael w latach osiemdziesiątych XX wieku, który był chlubą izraelskiego przemysłu zbrojeniowego, ale rząd później zaniechał jego budowy. Decyzję tę poprzedziła zaciekła walka w łonie rządu, po której państwo postanowiło zakupić samoloty bojowe w USA, a własne pieniądze zainwestować w co innego [1].

Tak samo, twierdzili niektórzy eksperci, należało postąpić z *Merkawą*. Ministerstwo Obrony otrzymywało do rozważenia alternatywne propozycje czołgów o rozsądnej cenie, które można było kupić w Stanach Zjednoczonych lub Europie. Inna propozycja zakładała przeniesienie części linii produkcyjnej *Merkawy* do USA. Choć zredukowałoby to koszty, zwiększyłoby również ryzyko, że na jaw wyjdą jakieś sekrety czołgu.

Defrin i jego koledzy z wojsk pancernych stanowczo protestowali. Wiedzieli, że czołgi są wciąż potrzebne – że w ostatecznym rozrachunku,

podczas bitwy, jedynie czołg może przemieszczać się wystarczająco szybko, by zdobyć teren. Tak, nie był w pełni bezpieczny. Ale nie oznaczało to, że Cahal ma spisać *Merkawę* na straty.

Wymagało to nieco perswazji, ale koniec końców minister obrony i szef sztabu Cahalu dali się przekonać. Nie zamknęli programu *Merkawy*, ale też nie utrzymali po prostu dawnego stanu rzeczy. Zdobyli się na coś znacznie ciekawszego – adaptację.

* * *

Czołg *Merkawa* do dziś jest jednym z najbardziej tajnych izraelskich projektów. Od kilkudziesięciu lat wrażliwe dane na jego temat utrzymywane są w sekrecie, aby w „sądny dzień” mógł zostać rzucony niczym żelazny potwór na pole bitwy i pokonać wrogów Izraela.

W projektowaniu i produkcji *Merkawy* uczestniczyło wielu ludzi, ale spośród nich wszystkich wyróżnia się jeden oficer Cahalu: generał major Israel „Talik” Tal, ojciec tego czołgu.

Urodzony w Izraelu w roku 1924 Talik wcześnie się dowiedział, co w Ziemi Izraela oznacza słowo „niebezpieczeństwo”. Był rok 1929 i Arabowie wszczynali zamieszki w całym kraju. Życie straciło ponad stu Żydów. Pewnego dnia tłum zablokował drzwi domu Talika w położonym na północy mieście Safed, a pod budynek podłożono ogień. Uwięzionym zdawało się, że to ich koniec, aż nagle wuj Talika nadbiegł ulicą z grupą brytyjskich policjantów, którzy rozpędzili motłoch. Wuj wpadł do domu i uratował swego pięcioletniego siostrzeńca. To otarcie się o śmierć ukształtowało życie Talika.

W wieku siedemnastu lat zaciągnął się na ochotnika do armii brytyjskiej i walczył w drugiej wojnie światowej jako strzelec czołgowy. Po wojnie wstąpił do izraelskiego podziemia i uczestniczył w zakupach broni dla tworzącego się państwa. W pierwszej wojnie izraelsko-arabskiej dowodził oddziałem karabinów maszynowych i szybko wspinał się po szczeblach hierarchii Cahalu – pełniąc funkcje dowódcy wojsk pancernych, szefa Wydziału Operacyjnego i Dowództwa Południowego, a w końcu specjalnego doradcy ministra obrony. Zmarł w 2010 roku. Na ścianie Muzeum Kawalerii i Czołgów imienia Pattona w Kentucky wisi tablica pamiątkowa z jego nazwiskiem, którą uhonorowano go jako jednego z pięciu największych dowódców wojsk pancernych współczesności.

Izrael zabiegał o czołgi od początków swojego istnienia. Podczas pierwszej wojny izraelsko-arabskiej żołnierze 7. Brygady Cahalu wyruszyli w nieznośnym skwarze, żeby zająć Latrun, dawny brytyjski fort policyjny przejęty przez jordański Legion Arabski. Mimo wielokrotnych prób wciąż nie udawało się zdobyć tej ważnej pozycji górującej nad szosą Jerozolima–Tel Awiw. Po prostu brakowało środków do sforsowania jordańskich umocnień.

Izraelscy szefowie sektora obronnego, politycy i lobbyści prowadzili z krajami Zachodu rozmowy w sprawie zakupu czołgów dla Cahalu. Zawierano umowy, jednak w powietrzu wciąż wisiała groźba embarga. Potem przyszła wojna sześciodniowa z 1967 roku, w której Izrael niemal podwoił swój obszar, odbierając Egiptowi półwysep Synaj, Jordanii Zachodni Brzeg, a Syrii Wzgórza Golan. Izrael wiedział, że jest tylko kwestią czasu, zanim jego sąsiedzi spróbują odzyskać utracone terytoria. Jeśli znów miał odnieść zwycięstwo, potrzebował silniejszych wojsk pancernych.

Po wojnie Cahal otrzymał pierwszą partię francuskich, a następnie amerykańskich czołgów. Pod koniec lat sześćdziesiątych XX wieku Izrael zakupił *Centuriona*, w owym czasie kręgosłup armii brytyjskiej. Dokonawszy kilku zmian, w tym instalacji imponującej armaty kalibru 105 milimetrów i modyfikacji wieży, nadał czołgowi nazwę *Szot*, czyli po hebrajsku „bicz”.

W ramach umowy Izraelowi przekazano także dwa egzemplarze *Chieftaina* – ściśle tajnego, wciąż dopracowywanego brytyjskiego czołgu wyposażonego w armatę kalibru 120 milimetrów. Po serii testów Izrael był gotów zawrzeć kontrakt na większą liczbę tych maszyn, ale wtedy Brytyjczycy nagle się wycofali, tłumacząc to względami politycznymi.

Ich decyzja zaskoczyła Izrael. Związek Radziecki wciąż uzbrajał Egipt i Syrię. Izrael potrzebował nowych czołgów, jednak nie miał gdzie ich kupić.

Anulowanie kontraktu bardzo poruszyło Talika. Zrozumiał, że Izrael nie może na nikogo liczyć, i przedstawił rewolucyjny pomysł: Izrael zbuduje własny czołg. Większość ludzi sądziła, że zwariował. Izrael nie budował dotychczas żadnej ze swoich głównych platform bojowych – ani samolotów, ani okrętów, ani pojazdów opancerzonych. Ale Talik upierał się, że to możliwe. Testowanie *Chieftaina* dało Izraelowi pewną wiedzę i Talik uważał, że jest to wystarczająco solidny fundament, by się na nim oprzeć.

Znalazł kilku wspólników i zaczął tworzyć szkic czołgu. W roku 1969 pomysł wydawał się już realny. Pytanie brzmiało, czy jest on sensowny finansowo i czy Izrael naprawdę ma zaplecze techniczne potrzebne do skonstruowania czołgu, który mógłby rywalizować z radzieckimi pojazdami dostarczanymi do Syrii i Egiptu.

Latem 1970 roku minister obrony Mosze Dajan, izraelski bohater wojenny, oraz minister finansów Pinchas Sapir spotkali się, żeby zadecydować o koncepcji czołgu Talika. Wcześniej już propozycję rozpatrzył zespół ekspertów zbrojeniowych i ekonomistów. Analizie poddano wszystkie aspekty projektu, a zwłaszcza dwie kwestie: czy zbudowanie czołgu, o którym mówił Talik, w ogóle jest możliwe i czy jego budowa będzie ekonomicznie sensowna dla młodego państwa. Zdaniem Sapira projekt *Merkawy* miał potencjał, by stać się rozpaczliwie potrzebnym motorem gospodarki. Pożytek dla obronności był sprawą drugorzędną.

– Jestem za – powiedział Sapir Dajanowi. – Chcesz go czy nie?

Dajan żywił obawy, że nakłady finansowe usuną na dalszy plan inne wojskowe przedsięwzięcia i wymuszą okrojenie planów zaopatrzeniowych. W końcu jednak zgodził się i zapalił zielone światło dla pierwszego etapu: prac projektowych.

* * *

Przenikliwy dźwięk telefonu zaskoczył podpułkownika Awigdora Kahalaniego. Była wiosna 1971 roku, a dzwoniła kobieta, która przedstawiła się jako „sekretarka Talika”. Jutro, powiedziała, przyjedzie kierowca, żeby zabrać Kahalaniego na zebranie. Ma być gotowy wcześnie rano, w mundurze galowym.

Następnego dnia ciemnozielony plymouth valiant – ówczesny służbowy samochód przydzielany starszym oficerom – zatrzymał się przy krawężniku przed domem Kahalaniego. Kierowca wskazał mu miejsce na tylnym siedzeniu. Kahalani nie wiedział, czego będzie dotyczyło zebranie, ale nie miało to większego znaczenia. Talik był w Izraelu legendą. Jeśli Talik cię wzywa, idziesz.

Samochód zatrzymał się przed wejściem do dużego magazynu w bazie wojskowej Cryfin na południe od Tel Awiwu. Kahalani wysiadł z wozu, akurat gdy Talik otwierał od środka wielką żelazną bramę, płosząc stadko

gołębi odpoczywających na pobliskim budynku. Gestem przywołał go do siebie, ściągając siatkę maskującą z czegoś, co stało na środku przestronnej hali.

W pierwszej chwili Kahalani nie był pewny, na co patrzy, jednak po paru sekundach zaczęło się to stawać jasne. To był czołg, ale nie taki zwyczajny. Ten był zrobiony z drewna. Kształt także był osobliwy.

– Ten czołg nie ma zadka – zauważył Kahalani. – Gdzie jest silnik?

Talik wyjaśnił mu koncepcję nowego czołgu, chodząc dookoła swego drewnianego dzieła.

– To nowa konstrukcja. Silnik i skrzynia biegów z przodu, a właz z tyłu – powiedział. To była rewolucja. Dotychczas wszystkie czołgi miały silnik w tylnej części, a wejście i wyjście znajdowało się na szczycie wieży, nie z tyłu.

Talik zaprosił Kahalaniego do obejrzenia czołgu, licząc na poparcie młodego oficera, który był jednym z bardziej obiecujących dowódców wojsk pancernych Cahalu. Walczył mężnie w swoim centurionie podczas wojny sześciodniowej i otrzymał Medal za Wybitną Służbę. W 1973 roku, w czasie wojny Jom Kipur, wsławił się jako dowódca 77. batalionu 7. Brygady Pancernej, z powodzeniem odpierając syryjski szturm na Wzgórza Golan.

Gdy wybuchła wojna, Kahalani był już na Golanie. Zgromadził razem około 150 czołgów z rozmaitych jednostek i poprowadził je do bitwy przeciwko niemal pięć razy liczniejszym siłom syryjskim. Po kilku dniach zaciętych walk udało mu się powstrzymać syryjskie natarcie, niszcząc setki nieprzyjacielskich czołgów, i odzyskać dominujące pozycje, które Izrael stracił początkowo na Golanie. Za ten wyczyn otrzymał Medal za Dzielność, najwyższe izraelskie odznaczenie wojskowe. Spotkanie z 1971 roku miało upewnić Talika, że czołg, który konstruuje, będzie czymś, w czym młodzi czołgiści – tacy jak Kahalani – chcieliby walczyć.

Czołg *Merkawa* i żołnierze Cahalu podczas manewrów w północnym Izraelu. 2015 r.
Fot. Cahal

Zanim jeszcze odlany został pierwszy kilogram stali, Talik oczyma wyobraźni widział już czołg stojący na placu apelowym, gotowy do akcji. Nie pozwalał, żeby pesymiści – głównie urzędnicy Ministerstwa Finansów, którzy obawiali się, że ich pieniądze pójdą na marne – sprowadzili go z obranej drogi. Krok po kroku zdobywał fundusze, wiedzę i koneksje niezbędne do stworzenia linii produkcyjnej, na której można by odlać korpus czołgu, zbudować armatę i zmontować układ optyczny oraz system kierowania ogniem.

Pod koniec 1979 roku pierwsze merkawy były gotowe. Różnice zdań w kwestii modernizacji czołgu i usunięcia paru dostrzeżonych wad groziły opóźnieniem projektu, ale determinacja i charyzma Talika przełamały trudności. Trzy lata później czołg zademonstrował swoje możliwości bojowe na froncie północnym podczas pierwszej wojny libańskiej, a dwa lata później z linii produkcyjnej zjeżdżała już druga wersja – *Merkawa* Mk 2. Tak narodził się izraelski czołg.

* * *

– Mamy żydowskie geny – mawiał Talik swoim żołnierzom z Wydziału Czołgów Merkawa. – To właśnie odróżnia nas od reszty świata. Jednak nie zwalnia to nas od uczenia się. Tylko głupcy się nie uczą.

Talik lubił otaczać się błyskotliwymi inżynierami, takimi jak Jaron Liwnat, członek izraelskiej „elity pancerniaków", którego ojciec służył w Cahalu jako szef zespołu remontowego czołgów. Liwnat zaciągnął się do armii jako naukowiec i studiował elektronikę na Technionie. Marzył o konstruowaniu nowych, innowacyjnych pocisków rakietowych. Jednak marzenia są tylko marzeniami i po ukończeniu kursu oficerskiego Liwnat trafił do Wydziału Czołgów. Zdawało mu się, że gorzej już być nie może, ale potem został wysłany w pole, do prawdziwej jednostki pancernej.

Talik uważał, że technicy powinni mieć bezpośrednią styczność z polem bitwy, tak by rozumieli, z jakimi wyzwaniami mierzą się żołnierze, i mogli rozwiązywać realne, a nie teoretyczne problemy. Dystans – czy to kulturowy, czy fizyczny – był niedopuszczalny. Liwnat został przydzielony na dwa miesiące do 7. Brygady. Biegał pod ostrzałem po wzgórzach, czołgał się w piasku, ładował amunicję do czołgu, a także słuchał frontowych opowieści swych dowódców i innych żołnierzy. W głowie układał sobie listę ulepszeń, jakie można by wprowadzić w czołgach.

– Nikt nie rozumiał, co ja tam robię. Myśleli, że coś jest ze mną nie w porządku. Mówili mi, że to idiotyzm porzucać biuro i jechać na Wzgórza Golan – wspomina Liwnat. – Dobrze wiedziałem, co muszę zobaczyć i przeżyć w polu. Nie mówiąc już o kontaktach, jakie nawiązałem z żołnierzami i oficerami, którzy później zostali dowódcami batalionów i brygad.

Talik polubił Liwnata, odkąd zauważył, że młody inżynier ma skłonność do hucpy, że nie zawsze się podporządkowuje, że reguły zwykle są dla niego tylko zaleceniami. Dostrzegł w nim coś z siebie samego. Pewnego dnia zaprosił młodego oficera na rozmowę i zaproponował, żeby został jego szefem sztabu.

Choć mile połechtany, Liwnat uprzejmie odmówił, jednak uznał za stosowne wyjaśnić:

– Jestem młodym inżynierem. Fascynuje mnie strona techniczna. Muszę zostać w tym świecie.

Talik nie przywykł, żeby odrzucano jego propozycje, ale docenił szczerość Liwnata.

– Dla ludzi takich jak ty, którzy mówią mi „nie”, zwykle jest to koniec kariery. Ale ciebie biorę pod swoje skrzydła – powiedział mu.

Dzięki takiej łączącej twardość i łagodność postawie Talik pozyskiwał najlepszych i najbystrzejszych ludzi Cahalu. Był także słowny i począwszy od tamtego dnia, wspierał Liwnata przy opracowywaniu jego rewolucyjnych koncepcji. Talik czuwał nad nim i Liwnat został mianowany szefem zespołu projektującego system kontroli ognia dla *Merkawy* Mk 3, co ostatecznie przyniosło mu prestiżową Nagrodę za Zasługi dla Obronności Izraela.

Ojciec *Merkawy* w dalszym ciągu śledził światowe nowinki w branży pancernej i pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku zauważył, że armie szukają sposobów na poprawę celności swoich czołgów w ruchu. Zrozumiał, że bitwy lądowe nie będą już przypominały statycznych starć z drugiej wojny światowej. Czołgi musiały strzelać celnie do oddalonych celów także podczas szybkiej jazdy.

– Musisz sprawić, żeby celność w ruchu była taka jak przy strzelaniu w bezruchu. Chcę identycznych wyników – zwrócił się pewnego dnia Talik do Liwnata. – Systemy muszą dawać dowódcy swobodę operacyjną. Nie chcę, żeby musiał on zatrzymywać czołg, żeby trafić w cel.

Liwnat, zaskoczony nowym żądaniem szefa, odważył się napomknąć, że to nierealne. Jadący czołg nigdy nie będzie trafiał w cele tak precyzyjnie jak stojący w miejscu.

– To mrzonka… – stwierdził.

Ale Talik wierzył, że jest to wykonalne, i zmusił inżynierów do szukania rozwiązań. Ich pracę uwieńczyło stworzenie nowego systemu kierowania ogniem nazwanego *Baz*, co po hebrajsku znaczy „sokół”.

– Talik nie był mocny od strony technicznej, ale miał szósty zmysł, który nie opierał się na wyuczonej wiedzy – powiedział nam Liwnat. – W czasie drugiej wojny światowej był działonowym i miał w swoim gabinecie skórzaną teczkę z tabelami strzeleckimi, wykresami używanymi do notowania celnych i niecelnych strzałów oddanych przez czołg. Strzelał podczas drugiej wojny światowej tyle razy, że stało się to jego drugą naturą.

Tym, co pomogło Liwnatowi i jego zespołowi znaleźć rozwiązanie, było zalecenie Talika, żeby skupili się na czynnikach błędu – powodach, dla których czołg nie może ustabilizować armaty, będąc w ruchu. Badania

ujawniły, że przyczynami są: precyzja wykonania amunicji czołgowej, stabilność działa oraz zdolność strzelca do jednoznacznej identyfikacji celów w czasie jazdy.

Liwnat przeprowadził dziesiątki doświadczeń i odkrył, że istniejący system kierowania ogniem pozwala na autokorektę i kompensowanie zmian, tyle że działonowi nie wiedzą, jak wziąć to wszystko pod uwagę. W efekcie, choć załoga czołgu mogła określić dystans, nakierować armatę i wystrzelić pocisk, działonowy nie potrafił utrzymać broni na celu i chybiał.

W 1989 roku Liwnat i jego zespół dokonali przełomu. Opracowali automatyczny system śledzący połączony z kamerą wideo, który uwalniał działonowego od konieczności obliczania zasięgu i kierunku, pozwalając mu się skupić po prostu na tym, kiedy nacisnąć spust. Dopiero kiedy miał pewność, że namierzył cel, odpalał pocisk.

Talik zawsze popychał swoich ludzi o krok dalej, niż im się zdawało, że mogą dojść. Dzięki temu, że domagał się niemożliwego, uzyskiwał wynik przynajmniej zbliżony do tego, o co mu chodziło.

A zarazem dawał im swobodę. Wierzył w swoich inżynierów, wiedział, że są wybitnymi specjalistami i często wiedzą lepiej niż on, co trzeba zrobić, żeby ulepszyć czołg. Pewnego razu, kiedy Liwnat przyszedł do niego z trzydziestoma propozycjami modyfikacji czołgu, Talik kazał mu podzielić tę listę na pół pod względem ważności. Kiedy Liwnat wrócił godzinę później z nową listą, Talik, zajęty czytaniem jakichś innych dokumentów, nawet nie podniósł wzroku.

– Priorytet A zatwierdzam, priorytet B odrzucam – powiedział, determinując przyszłość czołgu, jak gdyby zamawiał kanapkę w barze.

* * *

Talik od samego początku podkreślał, że czołg musi być elastyczny – zdolny nieustannie dostosowywać się do zmian, jakie Izrael napotykał na polu bitwy.

Z tego powodu czołg modernizowano co kilka lat aż do roku 2003, kiedy to Cahal wprowadził do służby *Merkawę* Mk 4. Głównymi usprawnieniami w stosunku do wcześniejszych modeli były: większa prędkość jazdy i szybkostrzelność oraz, co ważniejsze, nowy, modularny pancerz. Oznaczało to, że na czołgu można było zamontować opancerzenie, jakie

było potrzebne w konkretnej czekającej go misji. Obszar, na którym spodziewano się ataku broni przeciwpancernej, wymagał ciężkiego opancerzenia. Operacja bez takiego niebezpieczeństwa wymagała mniej. Pozwalało to także czołgistom wymieniać uszkodzone elementy pancerza na polu walki, bez konieczności odprowadzania czołgu do warsztatu remontowego w Izraelu.

Zdolność adaptacji jest w Cahalu sprawą najwyższej wagi, co wynika z ograniczonych zasobów Izraela. W odróżnieniu od Stanów Zjednoczonych czy niektórych państw Europy, Izrael nie może sobie pozwolić na to, by zamykać jedne projekty i otwierać nowe w miarę zmian w sztuce wojennej. Musi przedłużać resurs swoich samolotów, okrętów i czołgów poza normę, adaptując je przy tym, by zachowały przydatność na współczesnym, szybko się zmieniającym polu walki.

Jedną ze zmian są na przykład cele, przeciwko którym stają izraelskie czołgi. W przeszłości czołgi atakowały inne czołgi. Na dzisiejszym Bliskim Wschodzie Izrael nie ma żadnych wrogów, którzy używaliby czołgów. Syryjskie siły zbrojne są niemal kompletnie zrujnowane po latach wojny domowej, a Hamas i Hezbollah nie posiadają czołgów. Oznacza to, że aby czołgi zachowały przydatność, muszą móc zwalczać takie cele jak wyrzutnia rakietowa Hamasu ukryta na trzecim piętrze bloku mieszkalnego albo grupa terrorystów Hezbollahu czająca się na boisku szkolnym.

Aby sprostać tym wyzwaniom, Cahal opracował nowe rodzaje amunicji – niekiedy naprowadzane satelitarnie – które zapewniają załogom czołgów zdolność celnego rażenia budynków, załóg dział przeciwpancernych, a nawet samolotów. Jednym z takich nowatorskich pocisków jest *Kalanit*, który może eksplodować w powietrzu nad terrorystami ukrywającymi się za osłoną albo też przebijać betonowe ściany i detonować dopiero we wnętrzu budynku.

O wyjątkowości *Kalanita* decyduje możliwość wyboru przez załogę czołgu dwóch różnych trybów zdetonowania pocisku. Z jednej strony może on zostać użyty jak tradycyjny pocisk do rażenia ufortyfikowanych budowli lub innych pojazdów, detonując w momencie uderzenia. Z drugiej strony nadaje się on do zwalczania oddziałów terrorystycznych, przeciwko którym standardowa amunicja czołgowa jest nieskuteczna. W tym trybie *Kalanit* można zaprogramować tak, by w powietrzu, tuż nad terrorystami, rozcalił się na sześć podpocisków, które eksplodując, wyrzucają tysiące śmiercionośnych odłamków.

Dzisiejszy czołg wyposażony jest też w terminal zaawansowanego systemu wspomagania dowodzenia *Cajad* – „łowca”. Jest to, ujmując rzecz w skrócie, wpięty w sieć komputer, na którego monitorze żołnierze mogą zobaczyć lokalizację wojsk własnych i nieprzyjaciela. Jeśli wykryta zostanie nowa pozycja wroga, dowódca musi jedynie nanieść ją na mapę cyfrową, a stanie się ona widoczna dla wszystkich sił Cahalu w okolicy – czołgów, artylerii i śmigłowców szturmowych.

Żołnierz ćwiczący posługiwanie się cyfrowym systemem *Cajad*.
Fot. Elbit

Nowa wersja oprogramowania *Cajadu* pozwala systemowi zalecać typ amunicji, jaki powinien być użyty do zaatakowania konkretnego celu, jak również trasę, jaką dowódca powinien obrać, prowadząc siły do strefy walki.

Cajad skraca czas, jaki mija od wykrycia nieprzyjacielskich sił do momentu nawiązania z nimi walki. Według pewnych oszacowań Cahalowi udało się go skrócić zaledwie do pięciu minut.

Największa zmiana przyszła jednak w roku 2012, wraz z wprowadzeniem systemu obrony aktywnej *Trophy*, zdolnego przechwytywać pociski przeciwpancerne wystrzelone w czołgi *Merkawa*. Dotąd świat słyszał o systemach obrony mogących przechwytywać rakiety balistyczne, takich jak *Arrow*, ale nie o takich, które mogłyby chronić pojedynczy czołg [2].

Koncepcja ta w rzeczywistości narodziła się w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, po wojnie Jom Kipur, podczas której czołgi Cahalu poniosły ciężkie straty z rąk egipskich wojsk przeciwpancernych. Pewien oficer wpadł na pomysł, żeby zamontować wokół czołgu pasy wypełnione materiałem wybuchowym, które detonowałyby w momencie trafienia przez nadlatujący pocisk. W ten sposób pocisk eksplodowałby na zewnątrz czołgu, nie przebijając jego pancerza [3].

Wraz z wprowadzeniem kilka lat później czołgu *Merkawa* pomysł poszedł w zapomnienie. *Merkawa* miała niespotykanie odporny pancerz. Nie potrzebowała kosztownego systemu obrony aktywnej w rodzaju wybuchowego pasa.

Ale potem przyszła druga wojna libańska i bitwa nad Saluki. Choć czołg Defrina wytrzymał atak, zagrożenia, jakie stwarzał arsenał przeciwpancerny Hezbollahu, nie można było ignorować. Wywiad donosił, że w Strefie Gazy Hamas wyciąga naukę z wojny w Libanie i gromadzi własne zapasy zaawansowanej amunicji przeciwpancernej. Syria zaś kupowała podobno setki motocykli i szkoliła specjalne oddziały w wystrzeliwaniu pocisków przeciwpancernych podczas jazdy. Te małe, nieuchwytne cele byłyby dla czołgów trudne do namierzenia i zaatakowania.

Pomysł pasa został odkurzony i przekazany państwowej firmie Rafael, przodującemu projektantowi i producentowi uzbrojenia. Wynikiem był *Trophy*, system obrony, który wykorzystuje miniaturowy radar do wykrywania nadlatujących pocisków, po czym wystrzeliwuje chmurę przeciwpocisków – metalowych kulek – w celu ich zniszczenia. Radar systemu *Trophy* jest też kompatybilny z systemem wspomagania dowodzenia *Cajad*. Oznacza to, że *Trophy* może automatycznie podać załodze czołgu współrzędne wyrzutni przeciwpancernej, która wystrzeliła pocisk, umożliwiając jej natychmiastowe zniszczenie.

Latem 2014 roku Cahal po raz pierwszy wykorzystał *Trophy* w walce, kiedy Izrael rozpoczął w Strefie Gazy wymierzoną w Hamas operację Ochronny Brzeg. Była to najbardziej zmasowana akcja czołgów *Merkawa*

od drugiej wojny libańskiej sprzed ośmiu lat, kiedy to Efi Defrin omal nie stracił życia, próbując dotrzeć do rzeki Saluki. Tym razem jednak czołgi były niepowstrzymane. W stronę izraelskich maszyn wystrzelono dziesiątki pocisków przeciwpancernych. Większość chybiła, a dwadzieścia przechwyciły systemy *Trophy*. Ani jeden czołg nie został uszkodzony.

Izrael raz jeszcze odmienił oblicze współczesnej wojny.

* * *

Ale dlaczego Izrael? Dlaczego to właśnie Izrael zrozumiał z czasem coś, czego nie dostrzegły inne kraje – że czołgi można adaptować do zmiennych warunków współczesnego pola walki, by wciąż były przydatne?

Część odpowiedzi znaleźć można w pewnej starej, niegdyś brytyjskiej, bazie wojskowej pod Tel Awiwem. Tel Haszomer została zdobyta przez Izrael podczas pierwszej wojny izraelsko-arabskiej i stała się siedzibą kilku jednostek, w tym 7100. Centrum Remontowego, gdzie montowane są i naprawiane czołgi *Merkawa*.

Generał brygadier Baruch Mazliach, szef Wydziału Czołgów Merkawa, wspomina, jak jako młody inżynier czekał w polu – niekiedy nawet przekraczając linie wroga – na czołgi wracające z pola walki. Inżynierowie oglądali każdy detal i odpytywali każdego członka załogi, głodni wiedzy, która mogła pomóc im znaleźć sposoby na ulepszenie czołgu. Inżynierowie nie siedzieli w klimatyzowanych biurach, czekając, aż żołnierze przyjdą do nich. Nauczyli się od Talika, że kontakt z polem walki jest sprawą najwyższej wagi.

W swoim gabinecie Mazliach trzyma brązową teczkę z etykietką „Ściśle tajne”. Zawiera ona historię czołgu, który w 1994 roku wpadł w zasadzkę Hezbollahu w południowym Libanie. W pewnym momencie czołg ostrzelano pociskami kilkunastu różnych typów, w tym moździerzowymi, które zaliczyły bezpośrednie trafienia. Świadkowie tego kombinowanego ataku byli pewni, że czołg wyparuje. Sądzili, że nie ma szans, aby załoga mogła przetrwać to piekło. Kłęby dymu zasnuły całą okolicę. Obawiano się, że czołgiści nie żyją.

Mazliach wyjął z teczki zakurzone zdjęcie czołgu.

– Każde z tych kółek to miejsce, w które trafił pocisk – powiedział nam. – Ten czołg był bezlitośnie atakowany z każdego kierunku, jednak tylko jeden z żołnierzy poniósł śmierć. Choć z jednej strony taki wynik jest

tragiczny i okrutny, z drugiej strony dowiódł, jak dobrze chroniona jest *Merkawa*.

Według inżynierów takich jak Mazliach izraelskie czołgi nie są budowane pod kątem hipotetycznych scenariuszy. Inżynierowie ci spędzają czas w polu, nawiązując bliskie kontakty z żołnierzami i oficerami, którzy służą w wojskach pancernych; często trafiają tam ich własne dzieci. Syn jednego z inżynierów zginął podczas ataku na *Merkawę* Mk 3.

– Jesteśmy jak rodzina – wyjaśnia Mazliach. – To dlatego każdy pracuje z trzystuprocentową wydajnością, wkładając w to całe serce i duszę.

Od początku swego istnienia państwo frontowe, Izrael często jako pierwszy kraj Zachodu staje w obliczu ewoluujących lub nowych zagrożeń, niekiedy wiele lat wcześniej niż reszta świata. Ostrzelanie izraelskich czołgów pociskami *Malutka* podczas wojny Jom Kipur było pierwszym faktycznym użyciem tej zaawansowanej radzieckiej broni przeciwpancernej na wojnie. Użycie pocisków *Kornet* przez Hezbollah w 2006 roku stanowiło jeden z pierwszych przykładów posłużenia się przez organizację terrorystyczną taktyką i sprzętem tradycyjnie przynależnym konwencjonalnym siłom zbrojnym.

Nie pozostawia to Izraelowi innego wyjścia, jak tylko nieustannie dostosowywać się do zmiennych realiów i projektować taki sprzęt bojowy jak *Trophy*, którego będzie mógł użyć w razie potrzeby. Izrael nie może sobie pozwolić na luksus czekania, aż taka broń powstanie gdzie indziej. Potrzebuje czołgów, by móc walczyć, i musi zapewnić im ochronę.

Dlatego właśnie w 2012 roku Cahal powołał zespół techniczny do prac nad projektem przyszłego czołgu, który trafnie nazwano *Rakia* – „sklepienie niebieskie”. Przewidywane znaczące zmiany mają dotyczyć jego mobilności, liczebności załogi oraz systemów dowodzenia i kierowania ogniem.

Jednak mimo nieustannego rozwoju technicznego w styczniu 2015 roku Siłom Obronnym Izraela boleśnie i brutalnie przypomniano o zaawansowanej broni, która napływa do regionu. Hezbollah wystrzelił pięć pocisków *Kornet* w izraelski konwój wojskowy patrolujący granicę z Libanem. Dwóch żołnierzy zginęło, a siedmiu zostało rannych. Przypuszcza się, że podobne pododdziały przeciwpancerne rozsiane są po niemal dwustu wioskach w południowym Libanie, czekając na przyszłą izraelską inwazję. Bojownicy noszą cywilne ubrania i mieszkają

w zwykłych domach. Ataki w przyszłej wojnie mogą nadejść zewsząd – ze szkół, szpitali, a nawet z karetek pogotowia.

Na Bliskim Wschodzie oblicze wojny ciągle się zmienia. W 2014 roku w Strefie Gazy terroryści Hamasu dokonywali niespodziewanych ataków, wypadając z tuneli przekopanych pod granicą; w Syrii bojownicy Państwa Islamskiego zajeżdżali do atakowanych wiosek samochodami dostawczymi, a na Synaju radykalnym ugrupowaniom salafickim udało się przejąć transportery opancerzone, które służą im do ataków na egipskie posterunki wojskowe.

Kluczowym słowem dla Izraela pozostaje wciąż „adaptacja”. Gdy wichry wojny wieją wzdłuż jego granic, następny sprawdzian izraelskiej *Merkawy* jest tylko kwestią czasu.

1. W tym okresie dużą część zbrojeń Izraela finansowały USA, nic więc dziwnego, że miały wpływ na zakupy Cahalu. Izrael jednak powetował to sobie, sprzedając plany konstrukcyjne samolotu Chińczykom i udzielając im pomocy technicznej przy budowie myśliwca Chengdu J-10. Maszyna ta bardzo przypomina *Lawiego* (przyp. red.). [wróć]
2. Już trzydzieści lat wcześniej radzieckie T-55 zaczęto wyposażać w system obrony bezpośredniej *Drozd*, a w drugiej połowie lat 90. niektóre czołgi T-80 dostały system *Arena*. Od dawna znany jest też ukraiński *Zasłon*, który w 2007 r. prezentowano na polskich KTO *Rosomak* (przyp. red.). [wróć]
3. Chodzi tu o pancerz reaktywny, wprowadzony przez Cahal w 1979 r. Nie ma on nic wspólnego z systemem obrony aktywnej (przyp. red.). [wróć]

ROZDZIAŁ 4

Hucpiarskie satelity

Pięć lat po niszczycielskiej wojnie Jom Kipur izraelscy dyplomaci szykowali się do pierwszej próby zawarcia pokoju z krajem arabskim. I to nie z pierwszym lepszym krajem arabskim, ale największym z nich – Egiptem.

Była wiosna roku 1978. Kilka miesięcy wcześniej prezydent Egiptu Anwar as-Sadat złożył historyczną wizytę w Jerozolimie, gdzie, przemawiając w Knesecie, wezwał do zakończenia trzydziestu lat wojny i rozlewu krwi. Tajne depesze dyplomatyczne śmigały codziennie między Waszyngtonem, Jerozolimą i Kairem, przygotowując grunt pod negocjacje pokojowe w Camp David, które miały się odbyć w październiku tego roku.

Ale izraelski pułkownik Chaim Eszed w miarę czekania stawał się coraz bardziej nerwowy. Stawka była zbyt wysoka. Eszed wiedział, że układ pokojowy będzie musiał obejmować całkowite wycofanie się Izraela z Synaju, potężnego półwyspu, który Izrael odebrał Egiptowi podczas wojny sześciodniowej w 1967 roku.

Problem polegał na tym, że Izrael potrzebował Synaju. Terytorium to przed 1967 rokiem stanowiło bufor między Izraelem a Egiptem. Gdyby Egipt dokonał kolejnej niespodziewanej inwazji lądowej, musiałby najpierw odbić Synaj, a Izrael miałby czas na przygotowania. Izrael nie mógł się wycofać, dopóki nie znajdzie sposobu, jak obserwować sytuację w terenie.

Zadaniem Eszeda jako szefa działu badawczo-rozwojowego izraelskiego wywiadu wojskowego, Amanu, było znajdować techniczne rozwiązania praktycznych problemów.

Wobec zbliżającego się wycofania z Egiptu widział jedno rozwiązanie: satelity. Jednak nie pierwsze lepsze satelity. Niebiesko-białe. Wyprodukowane w Izraelu.

Eszed był swego rodzaju anomalią w siłach zbrojnych. Podczas gdy żołnierze Cahalu byli znani z arogancji i braku dyscypliny, on był uprzejmy

i kulturalny. Mówił nienaganną angielszczyzną.

Urodzony w Stambule w 1939 roku, rok później wyemigrował z rodzicami do kontrolowanej przez Brytyjczyków Palestyny. Kiedy utworzono Państwo Izrael, miał zaledwie osiem lat, ale uparta walka kraju o przetrwanie zainspirowała go do obrania kariery wojskowej.

Obdarzony smykałką techniczną Eszed zdecydował się na studia multidyscyplinarne. Ukończył wydział elektryczny na Technionie i informatykę na Uniwersytecie Santa Clara w Kalifornii.

Kiedy wstąpił do Sił Obronnych Izraela, jego solidne przygotowanie techniczne szybko znalazło zastosowanie, a on sam błyskawicznie piął się w górę. Stał się legendą w kręgach wojskowych, odkąd na kilka miesięcy przed wojną sześciodniową, będąc jeszcze zwykłym kapralem, otrzymał Medal Honoru.

Po dziś dzień wszystkim, co można powiedzieć o powodach, dla których dostał to odznaczenie, jest kilka słów, które na świadectwie nadania go zapisał ówczesny szef sztabu Cahalu, Icchak Rabin, późniejszy minister obrony i premier Izraela: „Chaim Eszed wykazał się wyjątkowym talentem technicznym i dokonał olbrzymiego wkładu w stan gotowości Sił Obrony Izraela”.

Nakłonienie rządu do zainwestowania w satelity było jednak trudnym zadaniem, nawet dla kogoś o zasługach Eszeda. Przestrzeń kosmiczna uchodziła za niedostępną dla małych krajów, takich jak Izrael. Była wyłączną domeną supermocarstw. W owym czasie tylko siedem państw wystrzeliło satelity w kosmos. Ostatnim, które to zrobiło, była Wielka Brytania w roku 1971.

Pomysł ten był śmiały także z innego powodu. Jak dotąd kosmiczne doświadczenie Izraela było nadzwyczaj skromne. W 1961 roku wystrzelił on rakietę meteorologiczną *Szawit*, „kometa”. Badania atmosfery były jednak tylko pretekstem. Prawdziwym motywem Izraela było wystrzelenie rakiety ziemia-ziemia wcześniej niż Egipt, który, jak sądził Mosad, pracował nad budową takiej broni z pomocą niemieckich naukowców.

W 1965 roku Izrael rozważał wdrożenie programu kosmicznego z prawdziwego zdarzenia. Propozycja, którą przedstawiono rządowi, przewidywała zaangażowanie w nietypowe badania przestrzeni kosmicznej, a także opracowanie satelitów i rakiet do użytku cywilnego i ewentualnych zastosowań wojskowych. Wyprzedzała ona swoje czasy i została odrzucona [33].

Eszed wiedział o tym wszystkim, był jednak zdeterminowany. Na początek postarał się o aprobatę swojego szefa, dyrektora Amanu, generała majora Jehoszuy Sagiego. Sagi zapalił się do tego pomysłu i dał Eszedowi zielone światło. Wspólnie zwrócili się w pierwszej kolejności do sił powietrznych. Tamtejsi piloci nie byli zainteresowani. „To przekracza nasze możliwości techniczne", powiedzieli im.

Następnie Sagi i Eszed przedstawili swoją koncepcję szefowi sztabu Cahalu, generałowi porucznikowi Rafulowi Ejtanowi, który określił ją lekceważąco jako *luftgeszeft*, czyli, w jidysz, „interes do bani".

Izrael, stwierdził Ejtan, musi się skupić na przygotowaniach do wycofania baz wojskowych i osiedli z Synaju oraz przeniesienia ich w głąb kraju. Satelita byłby stratą czasu i pieniędzy. Tak czy inaczej, podkreślił szef sztabu, siły powietrzne zapewniły go, że ich samoloty są w stanie zapewnić zwiad lotniczy w całym potrzebnym krajowi zakresie nawet po opuszczeniu półwyspu.

Ejtan twierdził także, że gdy nastanie pokój, Sagi będzie mógł po prostu sam pojechać na Synaj, żeby się rozejrzeć i przekonać, czy Egipcjanie nie szykują się do wojny.

– To niemożliwe – odparł Sagi. – Żeby naprawdę wiedzieć, co się dzieje, musiałbym zajrzeć do każdego beduińskiego namiotu.

Sprzeciw Ejtana wobec programu satelitarnego miał poparcie w najwyższych kręgach władzy. Niespełna rok wcześniej premier Rabin udał się do Waszyngtonu na rozmowy z prezydentem Geraldem Fordem. Zgotowano mu tam królewskie powitanie jako pierwszej głowie państwa odwiedzającej Stany Zjednoczone w dwusetnym roku ich istnienia, a przewodniczący Izby Reprezentantów Carl Albert poprosił go o wygłoszenie mowy na wspólnym posiedzeniu Kongresu.

Jednak na spotkaniu z grupą kongresmenów Rabin zdziwił się, kiedy ni stąd, ni zowąd zapytano go, na co Izraelowi jest potrzebny satelita. Najwyraźniej Ministerstwo Obrony przedstawiło Stanom Zjednoczonym coś w rodzaju „listy życzeń" z rozmaitymi platformami wojskowymi i uzbrojeniem, jakie chciałoby zakupić, na której znalazł się też satelita za miliard dolarów. Kongresmeni obawiali się, że taki nabytek zaszkodziłby perspektywom pokoju na Bliskim Wschodzie.

W swej biografii z 1979 roku Rabin tak opisał ten epizod: „Zostałem przyparty do muru kłopotliwymi pytaniami o listę zakupów, którą przekazaliśmy Stanom Zjednoczonym. Na pytanie: «Dlaczego Izrael

potrzebuje […] satelitów kosztujących miliard dolarów?» nie było żadnej innej odpowiedzi niż poważne i oczywiste: «Nie potrzebujemy takiego systemu»” [34].

Szkopuł w tym, że loty rozpoznawcze nad Egiptem – alternatywa dla satelitów – były prowadzone w sposób, który negatywnie odbijał się na jakości zdjęć. Rabin został premierem po wojnie Jom Kipur, w której zestrzelonych zostało ponad sto izraelskich samolotów bojowych, w większości przez radzieckie rakiety ziemia-powietrze. Obawiając się, że misje rozpoznawcze nad Egiptem wywołają nowy kryzys militarny, Rabin zarządził, by Cahal wcześniej zatwierdzał u niego każdy lot. W rezultacie loty nad Egiptem były rzadkością, a samoloty zwiadowcze musiały zamiast tego wykonywać zdjęcia, nie opuszczając izraelskiej przestrzeni powietrznej i pod znacznym kątem. Fotografie nie miały po prostu jakości potrzebnej, by naprawdę się zorientować, co się dzieje po drugiej stronie granicy.

Potem zaczęły się plotki. Wyglądało na to, że wyżsi oficerowie Amanu próbują doprowadzić do zwolnienia Eszeda. Jeden z nich udał się nawet prosto do Sagiego i nakłaniał go, żeby pozbył się Eszeda. Ostrzegł go, że projekt satelity w końcu upadnie, wcześniej jednak pochłonie mnóstwo potrzebnych gdzie indziej pieniędzy.

Tym, którzy pytali, Eszed tłumaczył, że nie jest zainteresowany awansem, który mógłby mu przynieść sukces takiego projektu. Chodzi o coś znacznie ważniejszego – mówił – konieczność zapewnienia bezpieczeństwa narodowego Izraela.

Nie mogąc uzyskać nic normalnymi kanałami, Eszed postanowił spróbować szczęścia u Ezera Weizmana, odznaczonego pilota myśliwskiego i, w owym czasie, izraelskiego ministra obrony.

Weizman mógł stać na szczycie hierarchii wojskowej i być nieosiągalnym dla zwykłego pułkownika Cahalu, ale Eszed znał go z pewnej operacji, w której uczestniczyli wspólnie w latach sześćdziesiątych. Mimo wszystko nie rozpowiadał o tym spotkaniu.

I tak pewnego parnego letniego dnia Eszed wkroczył do gmachu Ministerstwa Obrony w Tel Awiwie. Wylegitymowawszy się strażnikowi przy wejściu, wszedł po schodach na piętro i skręcił w lewo, w korytarz prowadzący do gabinetu ministra. Gabinet szefa sztabu znajdował się na jego przeciwległym końcu.

To na tym piętrze zapadały doniosłe decyzje. To tu Cahal zaplanował atak z zaskoczenia na syryjskie i egipskie siły powietrzne, zapoczątkowując tym wojnę sześciodniową, i to tu wojskowe szychy zebrały się w święto Jom Kipur 1973 roku, gdy kraj został niespodziewanie zaatakowany na obu – południowym i północnym – frontach.

Gdy tak siedział, czekając na umówione spotkanie, wodził wzrokiem po wiszących na ścianie fotografiach byłych ministrów obrony. Była to zbieranina polityków, wśród których znajdowali się Dawid Ben Gurion, ojciec założyciel Izraela i twórca współczesnego Cahalu, oraz Mosze Dajan, słynny bohater wojenny, który poprowadził Izrael do zwycięstwa w wojnie 1967 roku, a potem do katastrofy w roku 1973.

Weizman wywodził się z izraelskiej elity. Jego stryj, Chaim, był pierwszym prezydentem Izraela. Urodzony w Tel Awiwie Weizman podczas drugiej wojny światowej zaciągnął się do RAF-u i został pilotem myśliwca. Później pomagał organizować izraelskie lotnictwo wojskowe, czyniąc z niego siłę wyraźnie górującą jakościowo nad sąsiadami Izraela.

Gdy sekretarka poprosiła go do gabinetu szefa, Eszed wstał, jeszcze raz poprawił na sobie mundur i wszedł do gabinetu Weizmana. Minister siedział za potężnym drewnianym biurkiem. Zwykle nosił białą koszulę z rozpiętymi dwoma górnymi guzikami, tak że widać było nieco włosów na torsie, siwych jak jego żołnierskie wąsy.

Na ścianie za plecami Weizmana wisiała wielka satelitarna mapa Izraela oraz otaczających go państw arabskich, a także kilka zdjęć z czasów, gdy był pilotem myśliwca. Na bocznym stoliku stał specjalny telefon, który minister obrony niedawno zainstalował, aby móc się bezpośrednio łączyć z gabinetem Sadata w Kairze.

Eszed zaczął swoją perorę.

– Mamy problem, a ja znam rozwiązanie – powiedział Weizmanowi.

Gdyby przed opuszczeniem Synaju Egipcjanie postanowili zaatakować Izrael, wyjaśnił, musieliby najpierw przeprawić się przez półwysep, dając Cahalowi mnóstwo czasu na zmobilizowanie żołnierzy dla powstrzymania natarcia na rdzenne terytorium kraju. Ale teraz, po wycofaniu się, Izrael nie będzie nawet wiedział, że oni tam są. Potrzebował oczu w terenie.

Następnie Eszed wskazał na mapie za ministrem obrony długą granicę między Izraelem a Egiptem.

– Gdy się stamtąd wycofamy, satelity mogą nam pomóc śledzić to, co się tam dzieje – oświadczył.

Wreszcie rozprawił się z twierdzeniem sił powietrznych, że w razie potrzeby mogą po prostu wysłać nad Egipt samoloty szpiegowskie.

– Nie możemy tak postępować wobec kraju, z którym właśnie zawarliśmy pokój. Byłoby to pogwałceniem traktatu – powiedział ministrowi obrony. – Jednak satelity mogą robić to za nas.

Weizman zadał kilka technicznych pytań. Interesowało go, ile kosztowałyby satelity, jak wiele czasu zajęłoby ich opracowanie oraz czy jakość zdjęć byłaby wystarczająco dobra dla celów wywiadowczych.

Opuszczając gabinet ministra obrony, Eszed nie miał tego, po co przyszedł, ale dostał to, czego potrzebował – szansę albo, jak sarkastycznie ujął to Weizman, „szansę zblamowania się”.

Już parę tygodni później Eszed leciał pasażerskim samolotem linii El Al do Stanów Zjednoczonych, by odwiedzić należące do NASA Centrum Lotów Kosmicznych im. Goddarda w Maryland, gdzie projektowano i budowano niektóre z najbardziej zaawansowanych satelitów Ameryki. Następnie udał się do Francji i odwiedził Europejską Agencję Kosmiczną.

Doszedł do wniosku, że Izrael może to zrobić.

Teraz problemem stały się fundusze – jeszcze nie na budowę satelity, ale na fazę podstawową: zlecenie izraelskim firmom zbrojeniowym przeprowadzenia studium wykonalności.

Jednak upór nie dokona wszystkiego. Czasami potrzeba też szczęścia.

Na początku 1981 roku Sagi udał się do Langley w Wirginii na rozmowy z CIA. Izrael podpisał układ pokojowy z Egiptem i przygotowywał się do wycofania z Synaju, ale wizyta Sagiego dotyczyła innej sprawy. Cahal planował zbrojny atak na reaktor jądrowy, który Saddam Husajn budował w Iraku, i potrzebował zdjęć satelitarnych.

Jako pierwszy szef Amanu wywodzący się spośród szeregowych funkcjonariuszy, Sagi był wytrawnym oficerem wywiadu, żywo pasjonującym się nowinkami technicznymi. Pod jego kierownictwem Aman dokonał paru imponujących skoków technologicznych, takich jak opracowanie i wykorzystanie nadajników o zmiennej częstotliwości dla agentów wysyłanych na tajne misje zagraniczne. Przeskoki częstotliwości czyniły te nadajniki niemal niemożliwymi do wykrycia i prowadzenia podsłuchu.

Sagi szczególnie cenił VISINT, jak w skrócie określa się rozpoznanie obrazowe, zapewniane między innymi przez satelity. O ile telefony można było zablokować, a sygnały zakłócić, nie istniała w owym czasie żadna

technologia zdolna zmienić to, co uchwyciła kamera. Jedynym mankamentem było oczywiście to, że samo zdjęcie zwykle nie pozwala odkryć intencji kryjących się za tym, co zarejestrowano. Jeśli widać, na przykład, mobilizację nieprzyjacielskiej dywizji pancernej, potrzebne są dodatkowe informacje, żeby ustalić, czy chodzi o ćwiczenia, czy o przygotowania do wojny.

To, o co prosił Sagi, nie było jednak błahostką. Relacje Izraela z CIA, jeśli chodzi o obrazy satelitarne, układały się raz lepiej, raz gorzej. Niekiedy wydawało się, że wszystko zależy od tego, kto jest akurat dyrektorem CIA [35].

Na początku października 1973 roku, na przykład, izraelscy attaché wojskowi zwrócili się do Pentagonu z prośbą o dane, oparte na obrazach z amerykańskich satelitów, na temat rozmieszczenia wojsk syryjskich i egipskich. Izrael miał informacje wskazujące, że kraje te przygotowują inwazję, chciał jednak poprzeć je niezbitymi dowodami. Dyplomatom powiedziano, że amerykańskie satelity nie funkcjonują i w związku z tym zdjęcia są nieosiągalne.

Kiedy w 1976 roku dyrektorem CIA został George H.W. Bush, nastawienie to się zmieniło, i zgodził się on udostępnić Izraelowi oryginalne obrazy [1]. Aman skwapliwie skorzystał z okazji i wysłał do Langley dwóch analityków – z których jeden rozpoczął karierę w Cahalu jako kucharz. Siedzieli oni w osobnym pokoju obok swoich kolegów po fachu z CIA. Mogli tam zamawiać konkretne zdjęcia, analizować je, a następnie przekazywać informacje Tel Awiwowi.

Następca Busha, Stansfield Turner, zerwał z tą polityką i zgodził się jedynie na udostępnianie Izraelczykom danych pozyskanych w ramach satelitarnych misji rozpoznawczych, nie samych zdjęć. W 1981 roku sytuacja ponownie odwróciła się wraz z nominacją Williama Caseya. On jednak ograniczył przekazywane Izraelowi zdjęcia do tych, które przedstawiały obiekty stwarzające potencjalne i bezpośrednie zagrożenie dla jego bezpieczeństwa [36].

Kiedy Sagi przybył do Langley, poprosił nie tylko o obrazy, ale także o bezpośredni dostęp do amerykańskiego satelity zwiadowczego. Była to olbrzymia prośba, ale Izrael miał dla niej uzasadnienie: Stany Zjednoczone planowały sprzedaż zaawansowanego samolotu wczesnego ostrzegania i kontroli – w zasadzie latającego radaru – Arabii Saudyjskiej. Skoro USA zobowiązały się dbać o utrzymanie jakościowej przewagi militarnej Izraela,

państwu żydowskiemu należała się jakaś rekompensata. Przedstawiło więc Stanom Zjednoczonym dwie opcje: albo zapewnią mu „pełny i równy dostęp” do istniejącego satelity, albo oddadzą mu do wyłącznego użytku nowego satelitę wraz ze stacją naziemną [37].

Choć USA obiecały, że rozważą to żądanie, odrzuciły drobniejszą prośbę Sagiego o zdjęcia irackiego reaktora. Kiedy kilka dni później wrócił on sfrustrowany do Tel Awiwu, zrobił coś niezwykłego. Zamiast znów udać się do Sztabu Generalnego i dalej zabiegać o fundusze, po prostu wyasygnował 5 milionów dolarów z własnego budżetu w Amanie i wezwał do siebie Eszeda.

– Daję zielone światło dla prac nad satelitą – powiedział mu. – Nie spraw mi zawodu.

Eszed skontaktował się z dwoma czołowymi izraelskimi producentami uzbrojenia i poprosił ich o propozycje. Zwykle takie prośby musiały być zatwierdzone przez Ministerstwo Obrony, ale Aman, jako agencja wywiadowcza, często omijał biurokratyczną ścieżkę, powołując się na „bezpieczeństwo narodowe”.

Program musiał pokonać dwie główne przeszkody. Pierwszą było przekonanie się, czy Izrael faktycznie potrafi zbudować satelitę z kamerą elektrooptyczną zdolną robić z przestrzeni kosmicznej zdjęcia o rozdzielczości na tyle wysokiej, by miały jakąkolwiek wartość. Aman przyjął jako standard dla kamer rozdzielczość półtora metra, co oznaczało, że musiały one pozwalać na odróżnienie czołgu od ciężarówki [38].

Drugą przeszkodą było zbudowanie rakiety nośnej.

Eszed umówił się na spotkanie z inżynierem Dowem Rawiwem, urodzonym w Rumunii szefem zakładu produkcji pocisków rakietowych w Israel Aerospace Industries. W zakładzie tym, znanym pod hebrajskim akronimem Malam, jak się sądzi, opracowano *Jerycho-3*, trójstopniową rakietę balistyczną dalekiego zasięgu na paliwo stałe, która może podobno przenosić głowicę jądrową i uderzyć w serce dowolnej arabskiej stolicy na Bliskim Wschodzie.

Eszeda interesowało, czy IAI zdołają zbudować rakietę, która mogłaby posłużyć do wyniesienia satelity w kosmos. Miał specyficzne wymagania, takie jak kierunek, w którym należało wystrzelić satelitę. Dotychczas wszystkie kraje wystrzeliwały satelity na wschód, zgodnie z kierunkiem obrotu Ziemi. Izrael jednak nie mógł skierować swego satelity w tym kierunku, w stronę Jordanii i Iraku. Gdyby rakieta nośna przypadkowo

spadła na teren jakiegoś arabskiego państwa, mogłoby to zostać uznane za akt agresji i doprowadzić do wojny. Co więcej, gdyby na ziemię runął satelita, Izrael upuściłby swój technologiczny skarbiec prosto w ręce swych wrogów.

Tak więc Izrael musiał wystrzeliwać satelity na zachód, przeciwnie do kierunku obrotu Ziemi. W uproszczeniu oznaczało to, że izraelscy inżynierowie musieli opracować wyjątkowo potężną rakietę nośną, ponieważ musiała ona pokonać nie tylko siłę ciążenia, ale i wirowy ruch Ziemi. Mimo tych trudności Rawiw stwierdził, że jest to wykonalne.

* * *

7 czerwca 1981 roku osiem izraelskich F-16 wystartowało z lotniska na Synaju i skierowało się nad Irak, gdzie zbombardowały reaktor Osirak. Nalot ten zaskoczył świat. Choć obawy Izraela związane z irackim programem nuklearnym były dobrze znane, nikt nie przypuszczał, że Izrael ma możliwości operacyjne pozwalające przeprowadzić atak na dystansie przeszło 1600 kilometrów – do Iraku i z powrotem.

Zmierzając do irackiego reaktora, izraelskie myśliwce przecięły saudyjską i jordańską przestrzeń powietrzną. W pewnym momencie, przelatując nad zatoką Akaba, zostały dostrzeżone przez króla Jordanii Husajna, który wypoczywał tam na swoim jachcie. Zauważył on izraelskie oznaczenia na samolotach i polecił wojsku niezwłocznie ostrzec Irak. Ostrzeżenie nie dotarło, gdzie trzeba, a izraelskie myśliwce wemknęły się do Iraku niewykryte.

Świat był w szoku i wkrótce rozległy się wyrazy potępienia, także z Białego Domu. Użyte do ataku F-16 dotarły do Izraela całkiem niedawno. Myśliwce te były pierwotnie przeznaczone dla Iranu, jednak po rewolucji islamskiej, w 1979 roku, Stany Zjednoczone zaoferowały je Izraelowi. Naciskany, by ukarać Izrael, prezydent Ronald Reagan zawiesił dostawy kolejnych samolotów bojowych do tego państwa, a CIA wyrzuciła zespół izraelskich analityków z Langley.

USA wszczęły także dochodzenie mające ustalić, w jaki sposób Izrael zdobył dane o lokalizacji celu pomimo odrzucenia jego prośby o zdjęcia satelitarne. Wicedyrektor CIA Bobby Inman nakazał niezwłoczny przegląd wszystkich zdjęć, które zamawiał i otrzymał Izrael w ostatnich sześciu miesiącach.

Choć zgodnie z polityką Caseya Izrael miał mieć dostęp wyłącznie do obrazów dotyczących potencjalnych bezpośrednich zagrożeń, Inman odkrył, że w rzeczywistości przekazywano mu zdjęcia terenów nie tylko Iraku, ale także Libii, Pakistanu oraz innych krajów leżących daleko od państwa żydowskiego.

Wściekły Inman ustanowił nowe kryteria ograniczające udostępnianie Izraelowi zdjęć do obszaru leżącego w obrębie 400 kilometrów od granic kraju. Zamówienia na zdjęcia bardziej oddalonych obiektów mogły w dalszym ciągu być składane, ale według nowych wytycznych każde musiał osobiście zaaprobować dyrektor CIA.

Odwoływanie się Ariela Szarona, ówczesnego izraelskiego ministra obrony, do sekretarza obrony Caspara Weinbergera nic nie dało i nowe restrykcje Inmana pozostały w mocy.

Tymczasem w Izraelu Eszed przeprowadził studium wykonalności i doszedł do wniosku, że kraj dysponuje całą technologią i wiedzą techniczną potrzebną do zbudowania własnego satelity. Wobec nowych ograniczeń CIA na obrazy satelitarne urzędnicy, którzy wcześniej sprzeciwiali się planowi Eszeda, zaczynali zmieniać zdanie. Nawet oni rozumieli, że Izrael potrzebuje na tym polu niezależności. Uzależnienie od USA szkodziło bezpieczeństwu narodowemu kraju.

– Jeśli żywisz się okruchami, które inni rzucają ci według własnego kaprysu, jest to bardzo niedogodna i bardzo trudna sytuacja – wyjaśnił Meir Amit, były dyrektor Amanu i Mosadu. – Samodzielność pozwala wejść o szczebel wyżej [39].

W Stanach Zjednoczonych kontrowersyjne uderzenie na Irak sprawiło, że izraelska prośba o bezpośredni dostęp do satelity znów znalazła się na tapecie. Ci, którzy opowiadali się za spełnieniem żądania, argumentowali, że gdyby Izrael miał dostęp do satelity, być może nie zdecydowałby się zaatakować Iraku, bo miałby lepsze rozeznanie, co się naprawdę dzieje w jego kompleksie atomowym. Przeciwnicy ostrzegali, że dostęp do satelity umożliwiłby Izraelowi planowanie kolejnych uderzeń w całym regionie. Oponenci obawiali się też, że jeśli USA przyznają Izraelowi dostęp do jednego ze swych satelitów, ZSRR zrobi to samo dla Arabów.

Kilka tygodni po udanym nalocie na iracki reaktor premier Menachem Begin zwołał zebranie, aby omówić propozycję budowy satelity. Begin miał albo zatwierdzić plan i przyznać niezbędne fundusze, albo na zawsze pogrzebać marzenia o izraelskim satelicie.

Był to hazard. Sagi spotkał się wcześniej z Beginem. Jako szef Amanu odpowiedzialny był za sporządzanie ogólnych ocen wywiadowczych i często odbywał z premierem poufne rozmowy. Podczas jednej z nich poruszył temat satelity. Begin go wysłuchał, jednak odniósł się do tego pomysłu z rezerwą. Po pierwsze, istniała obawa, że Izraelowi się nie powiedzie, świat dowie się o tym i groźna reputacja kraju legnie w gruzach. Po drugie, świat mógł uznać izraelskiego satelitę za zagrożenie albo za narzędzie zbyt potężne jak na małe państwo żydowskie.

– Niech się pan zadowoli tym, co pan ma – powiedział wówczas Sagiemu.

Idąc na zebranie, Sagi i Eszed zdawali sobie sprawę, że jest to ich szansa. Wierzyli, że tak czy inaczej los projektu spoczywa w najlepszych rękach. Żywili wielki szacunek dla Begina i wiedzieli, że jeśli Izrael kiedykolwiek miał przywódcę, który potrafiłby zrozumieć strategiczne znaczenie posiadania własnego satelity, to był nim właśnie on.

Urodzonego na Litwie Begina wcześnie urzekł syjonizm i marzenie o niepodległym państwie żydowskim. Antysemityzm i prześladowania Żydów były dlań chlebem powszednim: jego ojciec wrócił kiedyś do domu dotkliwie pobity przez polskiego policjanta, którego próbował powstrzymać przed obcięciem brody rabinowi. Wspomnienie to towarzyszyło Beginowi przez całą jego karierę.

– Na zawsze zapamiętałem ze swej młodości te dwie rzeczy: prześladowania naszych bezsilnych Żydów i odwagę, z jaką mój ojciec bronił ich godności – powiedział Begin prezydentowi Jimmy’emu Carterowi podczas jednego z ich pierwszych spotkań [40].

Choć był drobnym, bladym chłopcem, wzorem ojca potrafił odpłacić pięknym za nadobne wrogom Żydów, których spotykał na szkolnym podwórku. Przełomem dla nastoletniego Begina był rok 1930. Władimir Żabotyński, rosyjski pisarz i założyciel Związku Syjonistów Rewizjonistów, przyjechał do Brześcia, żeby wygłosić mowę. Żabotyński forsował rewizjonistyczną wersję syjonizmu. Twierdził, że państwo żydowskie powinno zostać utworzone na całej Ziemi Izraela, bez żadnych ustępstw. Siedemnastoletni Begin zakradł się do teatru, gdzie przemawiał Żabotyński. Pod koniec mowy zrozumiał, że jedynie państwo może ochronić i obronić jego naród. W disaporze nie było dla Żydów przyszłości.

Begin wstąpił do Betaru – rewizjonistycznej organizacji młodzieżowej – i szybko awansował w jego szeregach. Po wybuchu drugiej wojny

światowej zaciągnął się do polskiej armii generała Andersa i wraz z nią trafił do Palestyny [2]. Rok później naziści wkroczyli do jego rodzinnego miasta, zgromadzili 500 tamtejszych Żydów, w tym jego ojca, i utopili ich w pobliskiej rzece. Jego matkę wywleczono ze szpitalnego łóżka i zamordowano.

W roku 1943 trzydziestoletni Begin został mianowany szefem Irgunu, podziemnego paramilitarnego ugrupowania syjonistycznego, które oderwało się od Hagany, głównej organizacji paramilitarnej społeczności żydowskiej. Irgun był wówczas w stanie rozkładu. Miał tylko garstkę członków, jeszcze mniej broni i żadnego wyraźnego kierownictwa. Begin przywrócił organizacji prężność i rozpoczął serię chirurgicznych ataków na Brytyjczyków, których kulminacją był dokonany w 1946 roku zamach bombowy na hotel King David – siedzibę administracji brytyjskiej – w którym zginęło dziewięćdziesiąt jeden osób.

Skutki zamachu były straszliwe, ale dla Begina rachunek był prosty: aby mogło powstać Państwo Izrael, Brytyjczycy musieli opuścić Palestynę, co oznaczało, że nawet taki morderczy atak był usprawiedliwiony.

W 1977 roku Begin doszedł do władzy jako przewodniczący prawicowej partii Likud, kładąc kres niemal trzydziestoletnim rządom lewicy. Kraj wkroczył w nową erę, a rząd Begina przyjął politykę skrajnie odmienną niż poprzednie rządy, którym przewodziła Partia Pracy.

Przez całą jego karierę podziemnego bojownika oraz polityka Begina prześladowała pamięć Holokaustu. Często podaje się to jako główny motyw, który w 1978 roku sprowadził go do Camp David, by negocjować układ pokojowy z Egiptem. Podczas narad przed zbombardowaniem w 1981 roku irackiego reaktora Begin często zbywał krytykę tej operacji słowami: „Nie będę człowiekiem, za którego czasów dojdzie do drugiego Holokaustu” [41].

Później wyznał, że kiedy myśliwce zmierzały do celu, wracał myślami do Holokaustu i swych rodziców.

Na zebraniu Eszed przedstawił pomysł budowy satelity, a Sagi go poparł, przyznając, że Izrael nie może dłużej opierać się na sojusznikach takich jak USA. Kraj potrzebował niezależności.

Potem rozpoczęła się dyskusja. Jedni, jak szef sztabu Cahalu, Ejtan, byli sceptyczni. Argumentowali, że izraelski program satelitarny może się okazać olbrzymim marnotrawstwem środków i czasu, których wojsko nie miało w nadmiarze. Inni oficerowie próbowali przekonać premiera, by

zamiast trwonić pieniądze na rakietę nośną, zainwestował w prace nad kierowanym pociskiem dalekiego zasięgu.

Pomysł zaciekawił jednak Begina. Choć unikał wdawania się w szczegóły – technika zdecydowanie nie była jego mocną stroną – premier zadał kilka pytań, by się upewnić, że satelity mogą odegrać decydującą rolę w obronie Izraela, a nie służyć jedynie celom komercyjnym.

Spodobało mu się to, co usłyszał: własny, izraelski satelita współgrał z jego nadrzędnym przekonaniem, że niespełna czterdzieści lat po Holokauście Izrael nie może składać swojego losu w obce ręce.

Ten sam pogląd kazał mu zaaprobować atak na iracki reaktor pomimo gwałtownego sprzeciwu Stanów Zjednoczonych i Europy. Jeśli Holokaust nauczył go czegokolwiek, to tego, że Żydzi nie mogą oglądać się na nikogo, nawet na najlepszych przyjaciół, gdy chodzi o kwestie tak zasadnicze jak własne przetrwanie.

– To będzie urzeczywistnienie żydowskiego geniuszu, który jest zdolny do wspaniałych rzeczy – powiedział Begin Eszedowi. – Do dzieła! [42]

Eszed opuścił salę, a Begin i inni uczestnicy dyskusji przeszli do omawiania pozostałych spraw przewidzianych programem dnia. Nie mogli wówczas wiedzieć, jak doniosły krok właśnie postawili i jak bardzo się on przyczyni do zapewnienia przyszłości Izraela w roli militarnego supermocarstwa.

* * *

Ale nie było to łatwe. Pierwsza trudność polegała na tym, jak zebrać informacje na temat budowy satelity, nie zdradzając przy tym, że się to robi.

Begin wiedział, że Amerykanie nie będą szczęśliwi, jeśli odkryją, że Izrael buduje własnego satelitę, co, jak już ostrzegali, mogło zapoczątkować wyścig zbrojeń na Bliskim Wschodzie.

Wpadł więc na chytry pomysł: utworzy cywilną organizację – Izraelską Agencję Kosmiczną – i postawi na jej czele niejakiego Juwala Ne’emana.

Ne’eman, były minister nauki w rządzie Begina, był znanym fizykiem teoretykiem, który wniósł do tej roli status wojskowy i akademicki. Swego czasu był wysokim oficerem wywiadu w Amanie, później zaś pracował w izraelskiej Komisji Energii Atomowej. Kiedy w latach sześćdziesiątych XX wieku prezydent John F. Kennedy wypytywał premiera Izraela Dawida

Ben Guriona o izraelski program nuklearny, to właśnie Ne’eman podsuwał szefowi rządu odpowiedzi.

Aby wybieg się udał, Begin zdecydował, że tylko Ne’eman będzie wypowiadać się publicznie w imieniu Izraelskiej Agencji Kosmicznej. Jego nazwisko miało pojawiać się w publikacjach; wszystko miało się odbywać pod przykrywką badań naukowych. Eszed miał wejść w skład zespołu, ale tylko ze swym akademickim tytułem profesora. Nie mogło być żadnej wzmianki o jego randze i pozycji wojskowej.

Eszed i Ne’eman szybko sobie uświadomili, że ich satelity będą musiały być skromnych rozmiarów, głównie ze względu na ograniczenia rakiety nośnej, która nie zdołałaby unieść zbyt ciężkiego ładunku. W rezultacie pierwszy satelita, nazwany *Ofek* (po hebrajsku „horyzont”), nie był wyposażony w kamerę. Chodziło o to, by najpierw się przekonać, czy rakieta *Szawit* zdoła wynieść go na orbitę.

Satelita musiał być nie po prostu mały, ale bardzo mały. Podczas gdy ówczesny główny amerykański „koń pociągowy” – KH-11 – ważył przeszło trzynaście ton, zespół Eszeda projektował satelitę o masie zaledwie 155 kilogramów.

– Liczył się każdy kilogram – wspominał Eszed. – Wszystko musiało być robione specjalnie dla tego projektu.

Następnym wyzwaniem było zdobycie pieniędzy. Choć Begin zatwierdził program, sceptycyzm w siłach zbrojnych wciąż trwał i Sztab Generalny ociągał się z przydzieleniem niezbędnych funduszy, które pewne oceny szacowały na niemal 250 milionów dolarów na sam początek.

Ale Sagi znalazł rozwiązanie. Na swoim poprzednim stanowisku zastępcy szefa Amanu nawiązał bliskie kontakty z wieloma wysokimi południowoafrykańskimi oficerami, z których część przyjeżdżała do Izraela z żonami. Sagi i jego żona, Hanna, gościli ich w swoim wielkim domu w małym, idyllicznym miasteczku na południe od Tel Awiwu.

W latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku stosunki izraelsko-południowoafrykańskie rozkwitały. Republika Południowej Afryki potrzebowała broni, a Izrael – pieniędzy. Pewnego dnia Sagi poruszył temat w rozmowie z jednym ze swoich gości i udało mu się uzyskać obietnicę kilkuset milionów dolarów na rzecz projektu. Umowa została opatrzona klauzulą najwyższej tajności i utrzymywano ją w sekrecie około piętnastu lat, dopóki RPA nie ujawniła, że współfinansowała izraelskie prace nad pociskiem balistycznym i rakietą nośną dla satelitów [43].

W 1983 roku Sagi odszedł z Cahalu i zrezygnował z funkcji szefa wywiadu wojskowego. Jego miejsce zajął Ehud Barak, obiecujący generał, który w przyszłości miał zostać szefem sztabu, ministrem obrony, a w końcu premierem Izraela. Barak uważał, że Aman i Izrael nie potrzebują satelitów i że wystarczą im zdjęcia lotnicze dostarczane przez samoloty zwiadowcze, nawet jeśli są one wykonywane z izraelskiej przestrzeni powietrznej i robione pod kątem.

Był to potencjalnie śmiertelny cios dla programu. Spodziewano się, że Aman będzie głównym użytkownikiem satelitów, a skoro Barak był przeciwny budowie satelity, oznaczało to brak zapotrzebowania operacyjnego. Jeśli zaś nie ma zapotrzebowania, po co satelita? [44]

Lotnictwo wojskowe także nie pałało zbytnim entuzjazmem dla izraelskiego satelity. Dowódca sił powietrznych, generał major Awihu Ben Nun, zalecał rezygnację z programu. Obawiał się, że jego finansowanie odbywać się będzie kosztem samolotów bojowych, które, jak przekonywał, były ważniejsze dla kraju. Zresztą, twierdził Ben Nun, Izrael mógł kupować zdjęcia satelitarne od Francuzów lub Amerykanów.

Siły powietrzne wysuwały też inny argument: potrzebowały one zwiadu taktycznego w czasie rzeczywistym. Aby można było wykorzystać do tego satelity, twierdzono, Izrael musiałby umieścić ich na orbicie około dwudziestu naraz, tak by mogły nieprzerwanie obserwować konkretny obszar lub operację. Taka sieć była oczywiście poza finansowymi możliwościami kraju.

Ale nawet bez Sagiego u boku Eszed nie poddawał się. Jak mawiał później, w jego słowniku nie było słowa „niemożliwe”.

Gdy data startu była już bliska, rząd stanął wobec nowego wyzwania. Chodziło o tajne przedsięwzięcie, które miało właśnie wyjść na jaw, i to z wielkim hukiem. Baza lotnicza, z terenu której zamierzano wystrzelić rakietę – Palmachim – znajdowała się nieco na południe od Tel Awiwu. Cały kraj i świat miały się dowiedzieć, że Izrael coś kombinuje.

Co więcej, ponieważ w 1976 roku weszła w życie Konwencja o rejestracji obiektów wypuszczonych w przestrzeń kosmiczną, państwa członkowskie ONZ w celu aktualizacji rejestru winny były informować organizację o wystrzeliwanych satelitach. Izrael musiałby podporządkować się temu wymogowi, nawet jeśli dotąd odmawiał potwierdzenia doniesień, że buduje satelitę.

Icchak Rabin, ówczesny minister obrony Izraela, powołał specjalną komisję do nadzoru nad odtajnianiem projektu satelitarnego. Jej członkowie pochodzili z rozmaitych ministerstw, jednostek wojskowych i IAI. Rabin zdecydował, że całością kontaktów z mediami i sporządzaniem komunikatów prasowych zajmować się będzie weteran i doświadczony rzecznik IAI, Doron Suslik. Ministerstwo Obrony miało milczeć. Komisja przygotowała podręcznik z listą pytań, które mogli zadać dziennikarze. Odpowiedzi Suslika podkreślały naukowe znaczenie satelity i umniejszały wymiar militarny.

Siły zbrojne miały pozostać w cieniu, licząc na to, że wystrzelenie satelity będzie postrzegane jako przedsięwzięcie naukowe bez zastosowań wojskowych.

* * *

19 września 1988 roku, z jednodniowym opóźnieniem, *Ofek-1* został wyniesiony w kosmos, przynosząc Izraelowi członkostwo ekskluzywnego klubu państw posiadających własne satelity, obok Stanów Zjednoczonych, Związku Radzieckiego, Francji, Japonii, Chin, Indii i Wielkiej Brytanii.

Był to historyczny dzień i, zgodnie z planem, Izrael podkreślał naukowe znaczenie przedsięwzięcia.

– To eksperyment techniczny […] czyniący Izrael partnerem czołówki dzisiejszej ery kosmicznej – powiedział kilka dni po starcie Icchak Szamir, ówczesny premier Izraela. – Powinniśmy mieć wzgląd głównie na znaczenie techniczne i nie ulega wątpliwości, że w tej dziedzinie międzynarodowy prestiż Izraela niepomiernie wzrósł [45].

Izrael wystrzeliwuje satelitę *Ofek* z bazy sił powietrznych na południe od Tel Awiwu. 2014 r.
Fot. IAI

Mimo starań Szamira i Suslika światowe media bardziej niż satelitą zainteresowały się rakietą nośną. Chodziło po prostu o fizykę. Skoro izraelska rakieta mogła wynieść w kosmos satelitę, nic nie stało na przeszkodzie, by izraelskie pociski balistyczne przeniosły głowice jądrowe w dowolne miejsce na Bliskim Wschodzie.

I chociaż satelita nie był wyposażony w kamerę – w owym czasie Izrael wciąż zaprzeczał, że pracuje nad satelitą szpiegowskim – kraje arabskie zdawały sobie sprawę, że jest tylko kwestią czasu, nim państwo żydowskie będzie mogło śledzić ich wojska w każdej chwili dnia, zawsze i wszędzie.

Wystrzelenie satelity było także komunikatem dla Waszyngtonu. Choć Izrael publicznie wyrażał głęboką wdzięczność za pomoc wojskową, jaką otrzymywał od Stanów Zjednoczonych, umieszczenie na orbicie własnego satelity wskazywało, że istnieją granice tej zależności. Jak zakładał Begin, niezależne wystrzelenie satelity oznaczało niezależny Izrael.

Dwa lata później Izrael pomyślnie wyniósł na orbitę drugiego satelitę, też bez kamery. Zyskawszy pewność, że rakieta nośna dobrze wypełnia swoją funkcję, Ministerstwo Obrony uznało, że nadszedł czas wystrzelić satelitę rozpoznawczego z prawdziwego zdarzenia.

Ci, którzy wciąż jeszcze nie byli przekonani co do wartości satelitów, uzyskali ostateczny argument w postaci trzydziestu dziewięciu rakiet *Scud*, które prezydent Iraku Saddam Husajn wystrzelił na Izrael w 1991 roku podczas pierwszej wojny w Zatoce Perskiej. Bez satelitów rozpoznawczych Cahal nie miał możliwości zlokalizowania irackich wyrzutni rakiet ani zapewnienia izraelskim cywilom wczesnego ostrzegania przed nadlatującymi pociskami. Mógł tylko liczyć na to, że Stany Zjednoczone dadzą mu znać, kiedy rakieta znajdzie się w powietrzu.

Nocami, kiedy scudy spadały na Izrael, wierchuszka Cahalu zbierała się w Borze, ufortyfikowanym podziemnym centrum dowodzenia pod gmachem Ministerstwa Obrony w Tel Awiwie. Były to chwile pełne napięcia. Cahal uważał, że trzeba poczynić jakieś kroki, i kreślił plany – obejmujące przetransportowanie sił specjalnych helikopterami na iracką pustynię – operacji zlokalizowania i zniszczenia wyrzutni scudów. Premier Icchak Szamir, ulegając amerykańskim naciskom, odłożył te plany na półkę. Waszyngton obawiał się, że jeśli Izrael weźmie odwet, rozpadnie się arabska koalicja, którą Stany Zjednoczone zmontowały przeciwko Irakowi.

Jednak pewnej nocy, kiedy na Tel Awiw zwaliły się kolejne rakiety, Dawid Iwri, który w owym czasie pełnił funkcję dyrektora generalnego Ministerstwa Obrony, przestrzegł, że jest to tylko przedsmak tego, co ma nadejść.

– To, co widzimy teraz, przy czterdziestu paru scudach, jest niczym w porównaniu z tym, co zobaczymy w przyszłości – powiedział generałom Cahalu obecnym w Borze.

Iwri wiedział co nieco o Irakijczykach. W 1981 roku, jako dowódca sił powietrznych, dyrygował nalotem na reaktor jądrowy Osirak. To właśnie on przekonał premiera Begina, że jego piloci zdołają przeprowadzić ten atak.

Mosze Arens, minister obrony, sam będący doświadczonym inżynierem lotnictwa, zgodził się z oceną Iwriego i natychmiast po wojnie w Zatoce wezwał zespół badawczo-rozwojowy Cahalu, zlecając odgrzanie planu operacyjnego dla satelitów rozpoznawczych.

– Potrzebujemy ich na już – powiedział.

Jednak kiedy w 1993 roku Ministerstwo Obrony wystrzeliło prawdziwego satelitę rozpoznawczego, rakieta nośna nie wzbiła się w kosmos. Satelita przepadł gdzieś w Morzu Śródziemnym. W kręgach wojskowych izraelskie satelity zaczęto nazywać „satelitami do zwalczania okrętów podwodnych".

To do Uziego Ejlama, który jako szef Departamentu Badań i Rozwoju Ministerstwa Obrony był przełożonym Eszeda, należało poinformowanie ministra obrony – po wyborach stanowisko to ponownie objął Rabin – o niepowodzeniu. Kiedy nadzorował dwa poprzednie udane starty rakiety, gabinet ministra pękał w szwach od VIP-ów i prezesów koncernów przemysłowych. Tym razem jednak pokój był pusty [46].

Kiedy początkowy szok wywołany nieudanym startem minął, do zbadania przyczyn niepowodzenia powołano niezależną komisję, złożoną z ekspertów od techniki rakietowej, którzy nie pracowali przy programie satelitarnym. Wykryto pięć możliwych usterek technicznych, w większości dotyczących rakiety nośnej.

Ale Ejlam i Eszed wiedzieli, że mają większy problem. Rakieta, która spadła do morza, wynosiła jedynego dostępnego sprawnego satelitę. Nie było drugiego, nie było też pieniędzy na budowę jego zamiennika.

Wtedy przypomnieli sobie o QM, dokładnej replice faktycznego satelity, przeznaczonej do celów doświadczalnych – makiecie, na której naukowcy mogli testować pozostałe systemy przed zainstalowaniem ich w prawdziwym satelicie. Sęk w tym, że QM nie był przygotowany do lotu w kosmos. Nie przewidywano umieszczania go na orbicie.

W establishmencie obronnym wyłoniły się dwa stronnictwa. Ostrożni byli przeciwni wystrzeleniu QM i zalecali wyniesienie atrapy, która ważyłaby 250 kilogramów – tyle co funkcjonalny satelita. Byłby to w gruncie rzeczy test rakiety nośnej, która zawiodła podczas poprzedniego startu.

Ejlam i Eszod należeli do przeciwnej frakcji. Opowiadali się za zmodyfikowaniem satelity QM tak, aby można go było wystrzelić w przestrzeń kosmiczną. Chcieli improwizować.

Była to ryzykowna postawa. Ejlam i Eszed zdawali sobie sprawę, że kolejna porażka nie spotka się z wyrozumiałością i pogrzebie program satelitarny na zawsze.

Pokusa, by rozegrać to ostrożnie, zaczekać i upewnić się, że nowa, zmodyfikowana rakieta nośna może osiągnąć orbitę, była bardzo silna.

Ejlam i Eszed odparli ją jednak i nalegali, by start odbył się niezwłocznie, i to z użyciem QM. W przeciwnym razie, ostrzegali, Izrael zaprzepaści szansę na niezależność, nad której zyskaniem tak ciężko pracował.

Przedstawili ryzykowną propozycję Rabinowi, który po wysłuchaniu paru argumentów ustąpił.

Po latach prób i modyfikacji dzień startu wyznaczono w końcu na 5 kwietnia 1995 roku. Kiedy Ejlam przybył do kompleksu startowego w Bazie Lotniczej Palmachim, rakieta nośna – z gwiazdą Dawida na kadłubie – stała dumnie, zwieńczona czymś, co jeszcze do niedawna było testowym modelem satelity. Nie było już odwrotu.

Ejlam usiadł przed przeszkloną ścianą w pomieszczeniu kontrolnym. Po drugiej stronie oficerowie Cahalu prowadzili ostatnie przygotowania i przeglądy rozmaitych systemów telemetrycznych i radarowych rozmieszczonych na terenie bazy dla upewnienia się, że rakieta nośna utrzymuje prawidłowy kurs.

Tymczasem u wybrzeży okręty marynarki skończyły oczyszczać korytarz morski gwarantujący, że w razie kolejnej awarii na torze rakiety nie znajdą się żadne cywilne jednostki.

– Pięć minut, odliczanie trwa – rozległ się w galerii głos z interkomu. – Trzy minuty, odliczanie trwa.

W tym momencie start rakiety mógł udaremnić tylko jeden człowiek – główny oficer bezpieczeństwa, pułkownik rezerwy Cahalu i jedyna osoba uprawniona do przerwania procedury startowej, nawet gdyby zabraniał tego sam minister obrony. Ejlam rzucił okiem w jego stronę; dłoń pułkownika spoczywała tuż obok czerwonego przycisku. Był gotowy.

Na dziesięć sekund przed startem włączyło się automatyczne sterowanie. Wspornik wieży startowej odsunął się od rakiety i rozpoczęło się odliczanie końcowe. Nagle przez interkom ryknął głos:

– Stać! Stać!

Ejlamowi zamarło serce. Do startu zostało już tylko kilka sekund. Rozejrzał się po sali, gorączkowo próbując ustalić, co się dzieje. Główny oficer bezpieczeństwa usłyszał okrzyk, powiódł wzrokiem po wskaźnikach przed sobą i zdjął dłoń z przycisku. A potem stało się: z dyszy silnika buchnął płomień i rakieta wzbiła się w górę, zostawiając za sobą gęsty kłąb białego dymu. Wezwanie do przerwania procedury było fałszywym alarmem.

Po paru minutach pierwszy człon rakiety oddzielił się gdzieś nad wybrzeżem Libii. Kilka minut później kolejny zbiornik paliwa spadł do Morza Śródziemnego w pobliżu Algierii.

Choć start był udany, Ejlam wiedział, że jeszcze za wcześnie na świętowanie. Czekał na trzeci etap, kiedy satelita miał zostać umieszczony na orbicie. Razem z innymi VIP-ami trwał w bezruchu po drugiej stronie szyby.

Ale po kilku sekundach usłyszał wreszcie słowa, na które czekał:

– Oddzielenie przebiegło prawidłowo. Satelita jest na orbicie.

Sala eksplodowała wiwatami. Eszed oglądał całe przedstawienie w siedzibie IAI, gdzie znajdowało się centrum kontroli satelity. Choć urządzenie znalazło się w kosmosie, teraz przyszedł czas na sprawdzenie, czy jest ono w pełni sprawne i zdoła rozłożyć panele słoneczne.

Ejlam zadzwonił do IAI, ale ledwie słyszał, co Eszed do niego mówi.

– Chaim! – krzyczał. – Jak tam?! Wszystko działa?! [47]

By to stwierdzić, musiało minąć jeszcze dwanaście godzin, ale do następnego ranka *Ofek-3* zdążył ośmiokrotnie okrążyć Ziemię i zrobić pierwsze zdjęcia. Rozdzielczość była lepsza, niż się spodziewano. Widać było wyraźnie nawet izraelskie oznaczenia na samolotach wokół Portu Lotniczego Ben Guriona.

Sukces ten przyniósł Izraelowi natychmiastowe uznanie, ale co ważniejsze, raz na zawsze położył kres wszelkim sprzeciwom Cahalu. Odtąd wszyscy stali się entuzjastami izraelskiego programu satelitarnego.

* * *

Wystrzelenie *Ofeka-1* tamtego dnia w 1988 roku było zaledwie początkiem. W późniejszych latach Izrael wyrósł na satelitarne supermocarstwo. Podobnie jak w wypadku innych platform, w których produkcji się specjalizuje, zrezygnował z budowy dużych satelitów na rzecz tak zwanych minisatelitów o wadze rzędu 300 kilogramów. W porównaniu z amerykańskimi dwudziestopięciotonowymi kolosami rzeczywiście były one nieduże.

Od roku 2014, wraz z wyniesieniem na orbitę *Ofeka-10*, Izrael miał w kosmosie siedem satelitów szpiegowskich, z których większość wykorzystuje sensory elektrooptyczne, kamery zdolne do wykonywania zdjęć o wysokiej rozdzielczości. Na przykład *Ofek-9*, wystrzelony w roku

2010, ma na pokładzie izraelskiej produkcji multispektralną kamerę *Jupiter*, która może wykryć z setek kilometrów obiekty już pięćdziesięciocentymetrowej wielkości.

Poza satelitami wyposażonymi w kamery Izrael ma także dwa satelity z radarami z syntetyczną aperturą, dające obrazy o wysokiej rozdzielczości. Ich przewaga nad czujnikami optycznymi jest olbrzymia. Kamera nie widzi przez warstwę mgły lub chmur, radary natomiast działają przy każdej pogodzie i nie przeszkadzają im nawet siatki maskujące.

Mając na orbicie siedem satelitów szpiegowskich, Izrael wykorzystuje je w grupach. Jeden satelita może na przykład za pośrednictwem drugiego przesyłać obrazy do centrali w czasie rzeczywistym, nawet jeśli sam jest poza zasięgiem łączności.

Sukces Izraela na polu budowy najnowocześniejszych satelitów oraz ich wyposażenia przyciągnął uwagę świata. W 2005 roku Francuzi postanowili skorzystać z izraelskiego doświadczenia i nawiązali strategiczne partnerstwo z IAI w celu opracowania nowego satelity. Nazwany *Venus*, jest on przeznaczony do monitorowania środowiska naturalnego, w tym roślinności, upraw rolnych i jakości wód. W roku 2012 Włochy zamówiły w IAI satelitę rozpoznawczego, płacąc 182 miliony dolarów. Także Singapur i Indie kupiły ponoć w ostatnich latach izraelskie satelity.

Biorąc pod uwagę, jak się narodził i ewoluował izraelski program satelitarny, jest to imponujące osiągnięcie.

W czym więc tkwi sekret sukcesu Izraela?

Cechami, którymi wykazali się Eszed i Sagi, były nie tylko silny zmysł innowatorski, ale także wytrwałość i upór – innymi słowy, hucpa. Mieli szczytny cel, którym była izraelska obecność w kosmosie, wierzyli, że jest to możliwe, i nie poddawali się pomimo zażartego sprzeciwu.

Eszed zrobił coś, co robi wielu wizjonerów w konserwatywnych instytucjach w rodzaju sił zbrojnych: nagiął reguły.

– Byłem zaskoczony i do dziś nie mogę uwierzyć, że Begin zaaprobował ten plan – powiedział nam, gdy spotkaliśmy się w jego telawiwskim mieszkaniu z widokiem na Morze Śródziemne. – Była silna opozycja wśród najwyższych szarż wojskowych i po prostu nie sądziłem, że uda nam się przekonać premiera.

Choć rozbijanie hierarchicznych struktur niekiedy może się wydawać szkodliwe dla zdolności tej czy innej organizacji do wdrażania długofalowego strategicznego myślenia, w rzeczywistości może odegrać

pozytywną rolę przez wytworzenie atmosfery, która toleruje swobodną wymianę poglądów i krytykę.

Eszed wskazuje dwa decydujące czynniki niezbędne innowatorom do urzeczywistnienia swych marzeń. Pierwszym jest konieczność upewnienia się, że to, co proponują, leży w zasięgu ludzkich możliwości, albo, jak mówi Eszed, „nie kłóci się z podstawami fizyki".

Drugim czynnikiem jest wytrwałość, ale też – co ważniejsze – „gruba skóra, mocny kręgosłup i umiejętność znoszenia lecących w twoją stronę obelg, a czasem nawet zgniłego pomidora".

* * *

Izraelskie satelity sterowane są z tajnego centrum kontroli gdzieś w głębi kraju przez jednostkę znaną tylko pod swoim numerem – 9900. Tam, w pomieszczeniu o ścianach wyłożonych plazmowymi monitorami, żołnierze śledzą satelity, wysyłają je na przeróżne misje, a następnie czekają cierpliwie na ich plon – zdjęcia.

IAI

Chaim Eszed przed modelem rakiety nośnej *Szawit*.
Fot. Chaim Eszed

Od początków swego istnienia 9900 wykorzystuje satelity do obserwacji obiektów o znaczeniu strategicznym – we wrogich państwach zbyt odległych dla samolotów lub dronów rozpoznawczych. Takich jak Irak, Iran, Libia i im podobne. W pierwszych pięciu latach XXI wieku izraelskie satelity koncentrowały się głównie na Iranie, śledząc postępy jego programu nuklearnego.

Wszystko to się zmieniło latem 2006 roku, podczas trwającej miesiąc wojny Izraela z Hezbollahem. Żołnierze byli wysyłani do Libanu bez dokładnego rozpoznania. Ich mapy były nieaktualne, nie mieli też pojęcia, gdzie ukrywają się bojownicy Hezbollahu.

Po wojnie Jednostka 9900 przeszła restrukturyzację i zmieniła swe priorytety. Wysiłek się opłacił. W grudniu 2012 roku otrzymała nagrodę za informacje wywiadowcze zebrane przed wymierzoną przeciwko Hamasowi operacją Filar Obrony, która zakończyła się kilka tygodni wcześniej.

Zmiana priorytetów nie była prosta. W przeszłości 9900 musiała śledzić przemieszczenia syryjskich wojsk i mieć oko na Irak. W wypadku wrogów takich jak Hamas w Strefie Gazy i Hezbollah w Libanie, kryjących się w zwykłych domach, operatorzy satelitów mieli trudniejsze zadanie. Wypatrzenie wyrzutni rakiet zakopanej na szkolnym podwórku jest znacznie bardziej skomplikowane niż wytropienie syryjskiej dywizji pancernej.

W swoim centrum kontroli żołnierze 9900 stworzyli coś, co Cahal nazywa „bankami celów” dla rozmaitych frontów w Libanie, Syrii, Strefie Gazy oraz innych miejscach.

– Dochodzi do tego, że mówię pilotowi, gdzie dokładnie ma wycelować i wystrzelić – wyjaśnia jeden z młodszych oficerów jednostki [48]. Podczas ostatnich operacji Izraela w Strefie Gazy operatorzy satelitów i analitycy byli przydzielani do wysuniętych centrów dowodzenia poszczególnych lądowych dywizji Cahalu. Zamysłem było stworzenie kanału informacyjnego, który funkcjonowałby w czasie rzeczywistym między jednostką gromadzącą i analizującą dane wywiadowcze a jej „klientami” – siłami lądowymi operującymi za liniami wroga.

Pozyskanie danych to dopiero połowa pracy. Druga połowa to analiza zdjęć. W tym celu Cahal sformował pododdział świetnie wykwalifikowanych żołnierzy o niezwykłej spostrzegawczości i talencie analitycznym. Wspólny mianownik, który ich łączy, jest równie niezwykły: wszyscy mają autyzm.

Pomysł rekrutowania żołnierzy z autyzmem wyszedł od Tamira Pardo, który do 2016 roku pełnił funkcję dyrektora Mosadu. Skontaktował się on z pewną izraelską organizacją pozarządową specjalizującą się we wdrażaniu autystycznej młodzieży do pracy zawodowej.

Autystyczni żołnierze z 9900, jednostki zwiadu satelitarnego Cahalu, przed monitorami komputerów.
Fot. Cahal

– Musi być jakiś sposób na wykorzystanie ich uzdolnień z pożytkiem dla izraelskiej społeczności wywiadowczej – powiedział wtedy.

Żołnierzy tych wysłano na zmodyfikowane szkolenie dostosowane do ich specyfiki. Początkowo Cahal miał co do nich wątpliwości. Choć byli to autystycy dobrze radzący sobie w kontaktach międzyludzkich, włączenie ich do jednostki wojskowej niosło ze sobą pewne ryzyko. Jednak po kilku miesiącach okazało się, że przedsięwzięcie przerosło nawet co bardziej optymistyczne oczekiwania. Żołnierze ci specjalizują się w rozpoznawaniu

zmian w terenie. Jeśli krzak przesunie się o parę metrów albo budynek nieco się powiększy, niechybnie to wyłapią. Przeciętne oko takie zmiany może potraktować jako coś naturalnego i je przeoczyć. Ale dla 9900 jest to wyraźny sygnał, że gdzieś tam ukryta jest wyrzutnia rakiet albo skrzynia z bronią.

Takie postępowanie jest czymś wyjątkowym. Większość krajów automatycznie zwolniłaby autystyków ze służby wojskowej i z pewnością nie tworzyłaby dla nich specjalnego programu szkoleniowego. W Izraelu jednak można było się tego spodziewać. Autystyczni żołnierze mają wyjątkowe zdolności, a Izrael ma ograniczone zasoby.

* * *

Satelity zrewolucjonizowały współczesne pole walki. Zapewniły Izraelowi niespotykany potencjał wywiadowczy, niemający sobie równych na całym Bliskim Wschodzie i w większej części świata.

Jednak mimo że Izrael wciąż umacnia swoją obecność w kosmosie, w 2009 roku brutalnie przypomniano mu, że nie jest sam w regionie.

W tym właśnie roku Islamska Republika Iranu umieściła na orbicie *Omid* („nadzieję”), swojego pierwszego satelitę krajowej produkcji. Podobnie jak pierwszy satelita, którego w 1988 roku wystrzelił Izrael, *Omid* nie był wyposażony w kamerę i Iran twierdził, że jego przeznaczenie jest czysto naukowe. Dopiero w roku 2015 wyniósł w kosmos satelitę rozpoznawczego.

Mimo to dokonanie z 2009 roku miało historyczne znaczenie. Przede wszystkim było dowodem postępu, jakiego irański reżim dokonał w rozwoju pocisków balistycznych. Jeśli mógł samodzielnie wynieść w kosmos satelitę, mógł też wystrzelić głowicę jądrową – kiedy taką zbuduje – w dowolne miejsce Bliskiego Wschodu, a nawet części Europy.

Iran nie był jedynym bliskowschodnim krajem zabiegającym o przyczółek w kosmosie. W 2007 roku na orbicie znalazł się pierwszy egipski satelita szpiegowski, zbudowany we współpracy z Rosją i wystrzelony z rosyjskiego kosmodromu. Ale po trzech latach satelita przestał działać. Egipt kontynuował swój ambitny program kosmiczny i w roku 2014 wyniósł na orbitę, również z Rosji, drugiego satelitę szpiegowskiego. Jednak niespełna rok później satelita z niewiadomych powodów się zepsuł i stracił łączność ze swą stacją naziemną.

Kosmiczna aktywność Iranu i Egiptu oznacza, że satelitarny klub, do którego Izrael dołączył w roku 1988, przestał być aż tak ekskluzywny. Liczba państw zdolnych do samodzielnego wyniesienia w kosmos satelitów rośnie, podobnie jak zagrożenia dla izraelskiego bezpieczeństwa. Izrael nie jest już jedynym krajem mogącym szpiegować swoich sąsiadów. Teraz sam może być obserwowany przez innych.

1. Dyrektor CIA do 2005 r. był zarazem koordynatorem centralnych, w tym wojskowych, służb wywiadowczych, stąd kompetencje Busha w zakresie zwiadu satelitarnego, który podlega Narodowemu Biuru Rozpoznania, agencji Departamentu Obrony (przyp. red.). [wróć]
2. Nim w 1942 r. Begin wstąpił do armii Andersa, został aresztowany przez NKWD i dwa lata spędził w wileńskim więzieniu na Łukiszkach oraz w syberyjskim łagrze (przyp. red.). [wróć]

ROZDZIAŁ 5

Technika rakietowa

Miało to być wesele jak każde inne – kwiaty, dobra muzyka i obficie zaopatrzony bufet. Państwo młodzi zaprosili około trzystu gości, a pracownicy firmy cateringowej od wczesnego popołudnia rozstawiali stoły pod gołym niebem w Beer Szewie, największym mieście południowego Izraela.

O 16.00 tego samego dnia pocisk wystrzelony przez Siły Powietrzne Izraela trafił w srebrny sedan Kia jadący ulicą w mieszkalnej dzielnicy Gazy. Celem był nieuchwytny dowódca wojskowy Hamasu, Ahmed al-Dżabari. Był 14 listopada 2012 roku i zainicjowano właśnie Filar Obrony – izraelską operację mającą położyć kres atakom rakietowym ze Strefy Gazy.

Dżabari prawdopodobnie nawet nie usłyszał pocisku mknącego w stronę jego samochodu. Unoszący się w górze izraelski dron śledził go od kilku godzin, czekając na odpowiedni moment. Jadąc ulicą, Dżabari minął wypakowany mikrobus. Gdy tylko samochód oddalił się na bezpieczną odległość, wystrzelono pocisk, który trafił w wóz, zabijając siedzącego w nim człowieka.

Po zamachu Dowództwo Frontu Wewnętrznego Cahalu, odpowiedzialne za obronę cywilną, nakazało zamknąć wszystkie szkoły w zasięgu rakiet Hamasu. Zarządziło też, by liczące sto lub więcej osób zgromadzenia pod gołym niebem zostały odwołane. Młoda para postanowiła jednak nie zmieniać swych planów. Owszem, ceremonia, z tradycyjną żydowską chupą, baldachimem nowożeńców, miała się odbywać na wolnym powietrzu, ale sala była tuż obok i gdyby zawyły syreny, wszyscy mogli wbiec do środka. Mimo ostrzeżeń o spodziewanych odwetowych atakach rakietowych ze Strefy Gazy tych dwoje pobierało się i już.

Szaj Malul, kamerzysta ślubny, spotkał się z nowożeńcami tego dnia o drugiej po południu, żeby filmować uroczystość. Dwie godziny później wieść o zabójstwie Dżabariego trafiła na fale eteru.

– Od razu wiedziałem, że będzie bałagan – wspominał Malul. Zadzwonił do żony, żeby odebrała dzieciaki i pojechała prosto do domu. Sam jednak zamierzał zostać w pracy. W końcu, jak wyjaśniał, zaczął już kręcić. Nie mógł tak po prostu sobie pójść.

Do 19.30 przybyła już większość gości. Był wielki bufet i pełny bar. Wszystko toczyło się zgodnie z planem. Ale o 20.15 zawyły syreny. Część gości ruszyła w stronę sali weselnej. Malul postanowił nie ryzykować i pójść w ich ślady. Zanim jednak schronił się pod dachem, zablokował kamerę na statywie i skierował ją na chybił trafił w niebo. To wtedy właśnie zobaczył pierwszą salwę czegoś, co wyglądało jak fajerwerki: wzbijające się w górę jasne smugi światła. Kiedy rozbłysła kolejna wiązka, rzucił się pędem do sali.

Na nagraniu, które umieścił później na YouTube, widać piętnaście świetlistych punkcików przecinających niebo w rozmaitych kierunkach. Wygląda to jak początek pokazu sztucznych ogni. W rzeczywistości jednak te szybko przemieszczające się jasne plamki są izraelskimi pociskami przechwytującymi systemu Żelazna Kopuła, wystrzelonymi przeciwko kilkunastu katiuszom odpalonym sekundy wcześniej ze Strefy Gazy. Na filmie światełka eksplodują jedno po drugim, niszcząc nadlatujące palestyńskie rakiety.

Kiedy emerytowany generał brygadier Cahalu Dani Gold, który doprowadził do powstania Żelaznej Kopuły, zobaczył ów film na YouTube, to nie eksplozje rakiet zrobiły na nim największe wrażenie. Jego uwagę zwróciło coś innego. Kiedy rozległy się syreny, niektórzy z weselników uciekli do sali. Inni pozostali na zewnątrz i wciąż tańczyli przy dźwiękach nowej wersji „Sunday Morning”, przeboju Maroon 5, popularnej amerykańskiej kapeli rockowej.

To było „wesele pod Żelazną Kopułą”.

* * *

Historia Żelaznej Kopuły to fascynująca opowieść, która łączy wszystkie cechy, z których słyną Izraelczycy – hucpę, upór, improwizację i stare, poczciwe nowatorstwo.

Zaprojektowana do zwalczania rakiet bliskiego zasięgu – które stanowią pokaźną część arsenału Hamasu w Strefie Gazy i Hezbollahu w Libanie – Żelazna Kopuła osiągnęła oszałamiające wskaźniki skuteczności. W 2012

roku, w ciągu ośmiu dni operacji Filar Obrony, jej baterie zestrzeliły niemal 85 procent rakiet lecących w stronę izraelskich miast. W wymierzonej przeciwko Hamasowi operacji Ochronny Brzeg z lata 2014 roku jej skuteczność wyniosła 90 procent.

Jest to sukces, z którym nie może się równać nic na świecie. Żaden inny kraj nie dysponuje systemem podobnym do Żelaznej Kopuły.

Rozwojem obrony przeciwrakietowej Izrael zajął się przypadkiem. W połowie lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku prezydent Ronald Reagan zaproponował sojusznikom USA przyłączenie się do jego programu „wojen gwiezdnych", systemu, który Stany Zjednoczone opracowywały dla obrony kraju przed radzieckimi międzykontynentalnymi pociskami balistycznymi wyposażonymi w głowice jądrowe. Icchak Rabin, ówczesny minister obrony Izraela, zalecał przystąpienie do programu. Co prawda państwo żydowskie nie miało właściwie nic do zaoferowania, ale rozumowanie Rabina było proste: Izrael musi dbać o zacieśnianie więzi z USA, a gotowość współpracy w dziedzinie obrony przeciwrakietowej może otworzyć mu nowe drzwi i możliwości. Ponadto współpraca nie wymagała natychmiastowych zobowiązań finansowych.

Aby jednak sprawiać wrażenie poważnego partnera, Rabin polecił Departamentowi Badań i Rozwoju Ministerstwa Obrony – określanemu hebrajskim akronimem Mafat i będącemu zasadniczo izraelskim odpowiednikiem amerykańskiej Agencji Zaawansowanych Obronnych Projektów Badawczych (Defense Advanced Research Projects Agency, DARPA) – rzucić na papier parę pomysłów, tak żeby, gdy przyjdzie czas, Izrael miał co zaprezentować Amerykanom. Izraelskie przedsiębiorstwa zbrojeniowe nie kazały się długo prosić. Uznały, że jeśli przedstawią coś obiecującego, Amerykanie mogą sypnąć im olbrzymie pieniądze. Nawet inwestując minimalne środki, Izraelczycy mieli szansę zrobić złoty interes.

W Cahalu decyzję Rabina przyjęto sceptycznie. Zespół ekspertów wywiadu ocenił niedawno zagrożenie rakietowe dla Izraela i uznał, że jest ono znikome, z pewnością nie na tyle istotne, by uzasadnić potężne nakłady na obronę przeciwrakietową. Owszem, Syria miała imponujący arsenał rakiet balistycznych średniego zasięgu *Scud*, ale na tym zasadniczo kończył się repertuar konwencjonalnych zagrożeń dla Izraela. A choć syryjski arsenał broni chemicznej został uznany za poważne niebezpieczeństwo, można było zminimalizować je przez rozprowadzenie wśród ludności masek przeciwgazowych.

Istniały również obawy przed przystąpieniem do programu, który był wyraźnie wymierzony przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Moskwa była głównym dostawcą broni dla wrogów Izraela. Przyłączając się do „wojen gwiezdnych", państwo żydowskie dałoby Związkowi Radzieckiemu pretekst do usztywnienia stanowiska wobec siebie, zwiększenia dostaw zaawansowanego uzbrojenia dla Arabów i ograniczenia liczby zezwoleń wydawanych Żydom chcącym wyemigrować do Izraela.

Mimo to Rabin polecił Mafatowi wziąć się do dzieła. Nadzór nad przedsięwzięciem powierzono Uziemu Rubinowi. Ten utalentowany młody inżynier lotnictwa pracował już z powodzeniem przy kilku tajnych projektach zbrojeniowych i dał się poznać jako rozsądny menedżer.

Rubin ostro zabrał się do roboty i już parę miesięcy później izraelskie firmy zbrojeniowe wróciły z trzema solidnymi propozycjami. Jedna, opracowana przez absolwenta elitarnego programu Talpijot, wymagała budowy działa zdolnego do wystrzeliwania pocisków kalibru 60 milimetrów z niespotykanymi dotąd prędkościami. Innym pomysłem było stworzenie komputerowego poligonu doświadczalnego obrony przeciwrakietowej, czyli laboratorium cyfrowego, w którym testowano by symulacje systemów obronnych.

Ostatnia i najbardziej ambitna propozycja nosiła nazwę *Arrow*, po hebrajsku *Chec*. Miał to być przeciwpocisk, który przechwytywałby nadlatujące rakiety balistyczne jeszcze przed ich wejściem w atmosferę – rakieta zdolna zestrzelić rakietę.

Była to rewolucyjna koncepcja. Jej autor, Dow Rawiw, przekonywał, że jest to niezmiernie ważne dla bezpieczeństwa Izraela. Z powodu jego małych rozmiarów i braku głębi strategicznej, mówił, wszystkie rakiety balistyczne rozmieszczone w regionie mogą osiągnąć dowolny cel na terenie kraju. Izrael, twierdził Rawiw, potrzebował systemu opartego na antyrakiecie wysokiego pułapu, który byłby zdolny strącić nieprzyjacielskie pociski nad sąsiednimi krajami, zapewniając Izraelowi całkowitą ochronę.

Kiedy przyszedł czas, Rubin jako szef izraelskiej delegacji udał się do Waszyngtonu i przedstawił te trzy propozycje. Amerykanie byli zaskoczeni *Arrow*. Najbardziej jednak zaszokował ich Rawiw, gdy zapewnił, że opracowanie całego systemu kosztowałoby marne 158 milionów dolarów. Przekonani byli, że koszt wyniesie co najmniej 500 milionów, a prawdopodobnie sięgnie kwoty znacznie wyższej. Ku zaskoczeniu Izraela Pentagon postanowił sfinansować wszystkie projekty.

Zainteresowanie Waszyngtonu nie ucieszyło zbytnio dowództwa Cahalu. Szef sztabu, generał porucznik Ehud Barak, wystosował do ministra obrony list, w którym protestował przeciwko inwestowaniu w *Arrow*. Argument był prosty: Cahal potrzebuje czołgów, myśliwców i okrętów bojowych. Jak się wyraził na jednej z ówczesnych narad Sztabu Generalnego szef sił powietrznych, wojen nie wygrywa się obroną przeciwrakietową, ale ofensywą.

Na innym zebraniu Barak twierdził, że finansowanie programów obrony przeciwrakietowej zmniejszy szanse kraju na zwycięstwo w przyszłej wojnie. Apelował do ministra obrony, Rabina, by przekazał wszystkie dostępne pieniądze Cahalowi na zakup ofensywnych systemów uzbrojenia. Dzięki nim będziemy mogli szybko zakończyć wojnę, przekonywał.

Jeśli Rabinowi zależy na systemie obrony przeciwrakietowej, ciągnął Barak, może po prostu kupić THAAD, podobny system opracowywany właśnie w Stanach Zjednoczonych, którego cena byłaby niższa niż koszt opracowania *Arrow*.

Rabin znalazł sprzymierzeńca w Dawidzie Iwrim, oficerze lotnictwa, który swego czasu kierował nalotem na iracki reaktor jądrowy, a obecnie był dyrektorem generalnym Ministerstwa Obrony. Na pewnym spotkaniu z szefostwem Cahalu przeciwnicy *Arrow* powołali się na Dawida Ben Guriona, który wypowiedział słynne zdanie, że aby przetrwać, Izrael musi zawsze przenosić wojnę na terytorium wroga. Inwestowanie w instalacje obronne dla frontu wewnętrznego, twierdzili, jest sprzeczne z etosem narodowym.

– Macie rację co do Ben Guriona – odparł Iwri. – Zapominacie jednak, że przed powstaniem państwa on także inwestował w budowę systemów obronnych dla społeczności żydowskiej. Wiedział, że defensywa jest równie ważna jak ofensywa.

* * *

Pod koniec 1987 roku izraelski wywiad doniósł, że Syria pracuje nad chemicznymi głowicami bojowymi, w które mogłaby wyposażyć swój pokaźny arsenał rakiet *Scud*. Był to szokujący obrót rzeczy. Izrael wiedział o syryjskiej broni chemicznej, jednak aż dotąd Syria, aby zrzucić bombę chemiczną na państwo żydowskie, musiałaby wysłać samolot, a izraelskie

lotnictwo było pewne, że udałoby mu się przechwycić syryjską maszynę. Teraz Syria mogła po prostu przerzucić pocisk przez granicę.

Nowina ta nadeszła mniej więcej w tym samym czasie, kiedy w ramach wojny iracko-irańskiej na Teheran spadały irackie scudy, czego efektem była masowa ewakuacja miasta. Izrael mógł zobaczyć zgubne skutki, jakie rakiety balistyczne miały dla ludności cywilnej.

Jednak Cahal był niewzruszony. Iwri postanowił przejść do czynów i w marcu 1988 roku napisał poufny list do ministra obrony, szefa wywiadu wojskowego oraz dowódcy sił powietrznych.

„Rakiety ziemia-ziemia są największym strategicznym zagrożeniem dla Izraela i musimy podjąć jakieś działania – ostrzegał w liście, imiennie zarzucając najwyższym oficerom lotnictwa i wywiadu bagatelizowanie niebezpieczeństwa. – To, co mówią, nie odpowiada rzeczywistości”.

List Iwriego i zawarta w nim ostra krytyka zaskoczyły establishment obronny. Szefowie sił powietrznych i wywiadu wojskowego poskarżyli się nań u Rabina. Iwri parę dni później wysłał kolejny list, z przeprosinami za zbyt osobisty ton poprzedniego. Nie przestał się jednak domagać, by Izrael przeznaczył pieniądze na *Arrow*.

Mimo sprzeciwów Cahalu Rabin ostatecznie stanął po stronie Iwriego oraz Rubina i zatwierdził skromny, ale wieloletni plan budżetowy dla *Arrow*.

– Taki jest program i na tym koniec – oświadczył na kolejnym zebraniu.

Program miał wzloty i upadki, a w 1990 roku wydawało się, że zostanie zamknięty na dobre. Ale w następnym roku wybuchła pierwsza wojna w Zatoce Perskiej i Saddam Husajn wystrzelił na Izrael trzydzieści dziewięć scudów, paraliżując kraj i zmuszając miliony Izraelczyków do włożenia masek gazowych i chronienia się w uszczelnionych pomieszczeniach. Izrael ogarnęła kompletna panika. Po wojnie program Arrow wypchnięto na szczyt krajowej listy priorytetów, i to ze zwiększonym budżetem. Stany Zjednoczone także zwiększyły swe finansowe zaangażowanie, mimo że Rawiw pomylił się w ocenie. Koszt programu okazał się mniejszy, niż pierwotnie przewidywał.

Musiało minąć jeszcze kilka lat, ale w roku 2000 siły powietrzne otrzymały wreszcie pierwszą w pełni sprawną baterię pocisków *Arrow*, i tak Izrael stał się pierwszym krajem na świecie z funkcjonującym systemem obrony antybalistycznej. Do tej pory Barak także dał się przekonać. Wybrany w 1999 roku na premiera, pewnego dnia odwiedził fabrykę IAI,

gdzie produkowano te pociski. W pewnym momencie odwrócił się do Uziego Rubina, szefa projektu, i przyznał się do błędu.

Wyrzutnia rakiet Arrow zaprezentowana podczas amerykańsko- -izraelskich ćwiczeń obrony przeciwrakietowej. Izrael, 2016 r.
Fot. Cahal

– Miał pan rację […]. Nigdy bym nie przypuszczał, że pobijemy Amerykanów i jako pierwsi wdrożymy krajowy system obrony przeciwrakietowej [49].

Po raz pierwszy kraj miał możliwość obrony przed irackimi i syryjskimi pociskami rakietowymi. Sukces ten był jednak krótkotrwały. Choć Izrael jeszcze o tym nie wiedział, nowe zagrożenie rakietowe nadciągało z niespodziewanej strony.

* * *

Eli Mojal siedział na ganku swego domu w Sederocie, mieście na południu Izraela. Dwa dni wcześniej zakończyło się święto Pesach i Mojal, burmistrz

Sederotu, rozkoszował się ciepłym wietrzykiem owiewającym jego pustynne miasto. Nagle szybami w oknach wstrząsnęła potężna eksplozja. A potem druga. Mojal nie przejął się tym zbytnio, dopóki nie zobaczył dymu unoszącego się w oddali, ale wciąż jeszcze w granicach miasta. Zerwał się na nogi i popędził w tamtą stronę. Kiedy dotarł na miejsce, zobaczył dziurę w ziemi i sterczącą z niej metalową rurę.

– Proszę na razie nikomu o tym nie mówić – upomniał burmistrza wysoki oficer Cahalu, który dołączył tam do niego. – Wygląda na to, że z Gazy zostały wystrzelone dwie rakiety, które spadły tutaj, na Sederot.

Był kwiecień 2001 roku i Mojal nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Rakieta? – zdumiał się. – W Sederocie? [50]

Hamas nazwał te rakiety – *Kasam* – na cześć Brygad Męczenników al-Kasama, zbrojnego skrzydła tego ugrupowania terrorystycznego, okrytej złą sławą śmiercionośnej organizacji stojącej za niezliczonymi samobójczymi zamachami bombowymi i strzelaninami wymierzonymi przeciwko Izraelczykom. W owym czasie zasięg rakiet był niewielki – mogły przelecieć raptem półtora kilometra. Do 2005 roku Hamasowi udało się zwiększyć zasięg kasamów do szesnastu kilometrów. W 2006 roku wynosił on już dwadzieścia kilometrów. W 2008 roku skoczył do czterdziestu jeden kilometrów, a w 2012 roku Hamas zdobył irańskie rakiety zdolne razić odległy o sześćdziesiąt pięć kilometrów Tel Awiw [51]. Do 2014 roku ze Strefy Gazy wystrzelonych zostało na Izrael przeszło 12 tysięcy rakiet, z których ponad tysiąc spadło na Sederot, czyniąc z niego najbardziej widoczny symbol konfliktu rakietowego i paraliżując miasto powstałe jako bezpieczna przystań dla Żydów, którzy uciekli z Turcji i Iranu po powstaniu Izraela.

Było to zaskakujące, choć nie do końca nieoczekiwane zagrożenie. Od lat dziewięćdziesiątych XX wieku specjalnością Hamasu były samobójcze zamachy bombowe, które przeprowadzał on na całym terenie Izraela. Od czasu do czasu zdarzało się też ostrzelanie przechodniów z jadącego samochodu. Jednak co do pocisków rakietowych, sądzono z początku, że wykraczają one poza możliwości Hamasu. Niemniej, patrząc z perspektywy czasu, użycie rakiet przez Hamas nie było niczym dziwnym. Jego wzorce – Syria i Hezbollah – przerzuciły się na tę broń już parę dekad wcześniej, kiedy zrozumiały, że nie mogą sprostać izraelskim siłom powietrznym i lądowym. Rakiety pozwalały zniwelować tę przewagę.

Gdy w 2000 roku wybuchła druga intifada, Izrael zaostrzył restrykcje w palestyńskich częściach Strefy Gazy, kontrolując lądowe i morskie przejścia graniczne. Palestyńczycy zostali dosłownie zamknięci w środku. Jeśli Hamas chciał zaatakować Izrael, musiał znaleźć jakiś nowy sposób. Rakiety były idealnym rozwiązaniem.

Jedną z zalet pierwszych rakiet wystrzeliwanych na Izrael w 2001 roku była dostępność materiałów potrzebnych do ich produkcji. Były one bardzo lekkie, łatwe do transportu i nie wymagały skomplikowanych wyrzutni. Sprawdzało się w tej roli każde proste metalowe rusztowanie. Za korpus rakiety mogły służyć rury, niekiedy z latarni ulicznych. I, co najważniejsze, żeby przeprowadzić atak, Hamas nie musiał mijać izraelskich posterunków kontrolnych ani unikać patroli Cahalu. Rakiety po prostu przelatywały górą.

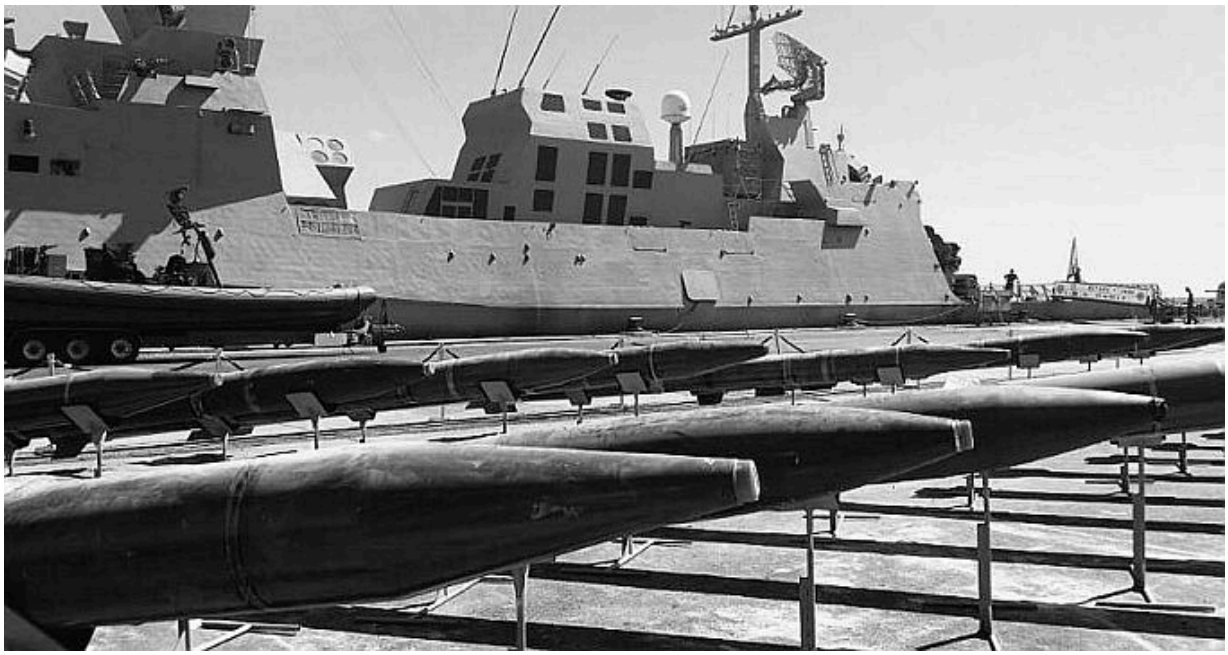

Irański transport syryjskich rakiet dla Strefy Gazy przejęty na Morzu Czerwonym przez izraelską marynarkę. Marzec 2014 r.
Fot. Cahal

Do roku 2005 Hamas pozyskiwał pociski z dwóch głównych źródeł. Mające niewielki zasięg kasamy i katiusze były projektowane i wytwarzane na miejscu, w Strefie Gazy. Pociski większego zasięgu przemycano do Gazy przez sieć tuneli, które ta organizacja terrorystyczna wykopała i obsługiwała wzdłuż granicy z Egiptem, wąskiego, czternastokilometrowego pasa ziemi nazywanego Korytarzem

Filadelfijskim. Jeśli pociski były zbyt duże, by zmieścić się w tunelu w całości, demontowano je i tak szmuglowano do Gazy. Tam inżynierowie Hamasu składali je z powrotem.

To, co Mojal zobaczył tamtego dnia, nie było pierwszym izraelskim kontaktem z ogniem rakietowym. Północna część kraju już wcześniej ostrzeliwana była przez Hezbollah z baz w Libanie. Ale te dwie rakiety *Kasam* niosły niepokojący komunikat: zagrożenie rakietowe dla Izraela rozprzestrzenia się, a kraj ponownie jest bezbronny.

Izrael nie od razu w pełni zrozumiał rozmiar tego nowego zagrożenia. W 2001 roku wciąż utrzymywał osiedla w Strefie Gazy i choć były one często atakowane, w większości chodziło o spadające pociski moździerzowe albo sporadycznego samotnego bojownika, który wtargnął do osady. Sam ostrzał rakietowy przybierał zaś na sile stopniowo. W 2001 roku na Izrael wystrzelono tylko 4 rakiety. W roku 2002 już 34. A w 2003 ich liczba wyniosła 155. Tendencja stawała się wyraźna [52].

Izrael był przekonany, że ma już pewne rozwiązanie. W 1996 roku ówczesny premier Szimon Peres podpisał z prezydentem Billem Clintonem porozumienie w sprawie wspólnego opracowania laserowego systemu obrony przeciwrakietowej o nazwie *Nautilus*. Za główne zagrożenie uważano wówczas ostrzał katiusz z Libanu, jednak izraelski rząd uznał, że system można będzie w razie potrzeby bez trudu wykorzystać w innych regionach. Problem polegał na tym, że prace nad laserem trwały dłużej, niż się spodziewano, i nie było pewne, czy będzie on kiedykolwiek naprawdę działał.

Wielki przełom nastąpił w roku 2004, wraz z mianowaniem na stanowisko szefa Departamentu Badań i Rozwoju Ministerstwa Obrony generała brygadiera Daniego Golda. Gold został powołany do sił powietrznych jako radiotechnik, miał jednak dryg do wymyślania nowych broni. W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, jako pułkownik odpowiedzialny za rozwój uzbrojenia w siłach powietrznych, wziął urlop naukowy i zapisał się na dwa programy doktoranckie na Uniwersytecie Telawiwskim, jeden z zarządzania biznesem, a drugi z inżynierii elektrycznej. Ukończył oba w dwa lata.

Wkrótce po objęciu nowej funkcji Gold postanowił, że rodzące się zagrożenie rakietami z Gazy będzie jednym z głównych priorytetów Mafatu. Jego decyzja opierała się na intuicji. Owszem, zagrożenie ze strony

Gazy dopiero kiełkowało, ale Gold był przekonany, że może ono przerodzić się w wyzwanie o ogólnokrajowych, strategicznych proporcjach.

Gold początkowo ruszył tradycyjną ścieżką, składając prośbę o fundusze na ekspertyzę techniczną zwykłymi biurokratycznymi kanałami. Jednak wszędzie, gdzie się udał, słyszał tę samą odpowiedź: „Zapomnij o tym. Nie ma pieniędzy". Generałowie, z którymi rozmawiał, naciskani uciekali się co najmniej do jednej z czterech wymówek: ten pomysł koniec końców upadnie; opracowanie rozwiązania zajmie dwadzieścia lat; to będzie kosztowało miliardy dolarów; a zanim system obrony przeciwrakietowej osiągnie sprawność bojową, przestanie być potrzebny. Izrael, argumentowali, powinien inwestować w potencjał ofensywny, nie w silniejszą obronę. Znów powtórzyła się historia *Arrow*.

Gold nie dawał za wygraną. Taki system obrony przeciwrakietowej, przekonywał, w istocie pozwoli Izraelowi działać agresywniej na polu walki. Jeśli izraelscy cywile będą chronieni, nie będzie presji na zakończenie konfliktu z powodu ataków rakietowych. Przestrzegał też przed potencjalnymi gospodarczymi skutkami zmasowanego ataku rakietowego na Izrael.

– Jeśli nam się powiedzie, system ten będzie nie tylko chronił ludność, ale także da rządowi czas na zastanowienie, zanim będzie zmuszony zareagować w razie napaści – argumentował.

Pomimo przytłaczającego sprzeciwu postanowił działać. Choć budżet jego departamentu był skromny, udało mu się dokonać paru przesunięć i wygospodarować niewielkie fundusze na pierwszy etap: utworzenie zespołu projektowego.

Zanim zespół przystąpił do pracy, Gold udał się do wywiadu wojskowego, by wysłuchać jego prognoz dotyczących ewoluującej groźby ataku rakietowego na Izrael. Analitycy wywiadu powiedzieli mu, że miną lata, zanim Hamas będzie miał rakiety na tyle zaawansowane, by stanowiły strategiczne zagrożenie dla izraelskiego frontu wewnętrznego. W związku z tym, stwierdzili, nie ma powodu śpieszyć się z tworzeniem jakiegoś systemu.

– Jakie to ma znaczenie? – zapytał ich. – Hamas koniec końców dojdzie do tego, nawet jeśli zajmie mu to kilka lat, a tak czy inaczej my też będziemy potrzebować czasu na opracowanie systemu. Nie ma na co czekać.

Gold wiedział o projekcie Nautilus i o setkach milionów, które zainwestowano już w prace nad nim. Ale doszedł też do wniosku, że laser nie działa i prawdopodobnie nigdy działać nie będzie.

Tak więc w sierpniu 2004 roku wystosował do izraelskich przedsiębiorstw zbrojeniowych zapytanie o informacje, prosząc je o przedstawienie nowych koncepcji systemu obrony przeciwrakietowej. W ciągu następnych tygodni zespół otrzymał aż dwadzieścia cztery propozycje, od kinetycznych przeciwrakiet w rodzaju *Arrow*, poprzez wariacje na temat lasera *Nautilus*, po szybkostrzelne działa. Szefostwo Cahalu nadzwyczaj sceptycznie oceniało samą możliwość zestrzelenia rakiet odpalonych ze Strefy Gazy, zwłaszcza gdyby zmierzały ku miejscom takim jak Sederot, odległym zaledwie o sekundy lotu.

Ale zespół Golda przeanalizował wszystkie propozycje.

W jednym z systemów wykorzystano szybkostrzelne działko M61 *Vulcan*, montowane na przykład w systemie obrony bezpośredniej *Phalanx*, zaprojektowanym przez General Dynamics do obrony jednostek marynarki wojennej przed pociskami przeciwokrętowymi. Amerykanie pracowali właśnie nad zaadaptowaniem tego systemu do użytku naziemnego, by chronić wysunięte bazy operacyjne w Iraku przed ogniem rakietowym i moździerzowym. Problem Izraela z wykorzystaniem *Vulcana* był prosty: działko wystrzeliwało w nadlatujące rakiety około 4 tysięcy pocisków na minutę. Rakiety pochodziły ze Strefy Gazy, co oznaczało, że pociski musiały być kierowane w tamtą stronę. Jak Izrael usprawiedliwiłby zasypanie Strefy Gazy taką salwą z powodu paru pocisków moździerzowych albo rakiet?

Inną z propozycji była zmodyfikowana wersja *Nautilusa* o nazwie *Skyguard*. Zespół Golda przyjrzał się jej, lecz i ją uznał za nieodpowiednią. Powody były trzy: laser nie mógł pracować przy pochmurnej pogodzie, system był zbyt duży, aby można było odpowiednio szybko transportować go z miejsca na miejsce, i zawodził w wypadku zmasowanego ostrzału rakietowego. Co więcej, jak się zdawało, potrzebował jeszcze lat, by osiągnąć sprawność bojową.

Zespół udał się do Stanów Zjednoczonych, Francji i Niemiec, żeby obejrzeć niektóre systemy w działaniu, ale żaden nawet odlegle nie przypominał tego, czego szukał Gold, który jasno przedstawił swoje oczekiwania. Decydujący był zwłaszcza jeden czynnik – niska cena. Musiało minąć jeszcze kilka miesięcy, jednak w połowie 2005 roku Gold

i jego zespół nabrali przekonania, że znaleźli odpowiedni system. Rafael, państwowe przedsiębiorstwo znane w świecie ze swoich rakiet powietrze-powietrze, przedłożyło koncepcję opartą na nowym pocisku przechwytującym.

Pomysł był dość nowatorski. System, nazwany Żelazną Kopułą, składać się miał z trzech głównych elementów. Pierwszym był interceptor, pocisk zdolny przechwycić nadlatujące nieprzyjacielskie rakiety. Drugim – potężny radar do wykrywania rakiet wystrzelonych z terytorium wroga. Trzecim elementem był system zarządzania walką, pracujący na zaawansowanych algorytmach, który musiał przewidzieć trajektorię rakiety i zaledwie w parę sekund od jej odpalenia ustalić, gdzie uderzy. Dzięki temu Cahal mógłby ostrzec mieszkańców atakowanego obszaru, ale także uchronić się przed marnowaniem interceptorów na rakiety lądujące w szczerym polu. Niszczone byłyby jedynie te zmierzające ku obszarom zaludnionym.

Co więcej, ponieważ przechwycenie rakiety następowałoby zaledwie kilka sekund po jej odpaleniu, system musiał działać automatycznie, bez ludzkiej interwencji. I wreszcie, co chyba najważniejsze, pojedynczy pocisk przechwytujący musiał być tani.

– Jeśli interceptor będzie kosztował milion dolarów, to choćby się nadawał, armia go nie kupi – powiedział Gold. I dodał: – Jeśli nie będzie tani, wróg zwyczajnie doprowadzi nas do bankructwa zmasowanymi ostrzałami.

Aby ruszyć sprawy z miejsca, Gold zrobił coś wykraczającego poza zwykłą izraelską hucpę. Postanowił złamać zasady. Naruszając liczne przepisy, w sierpniu 2005 roku dał Rafaelowi zielone światło dla prac nad systemem. A potem posunął się jeszcze dalej, robiąc coś, do czego uprawniony był jedynie szef sztabu Cahalu lub minister obrony: polecił Rafaelowi rozpocząć produkcję na pełną skalę, gdy tylko będzie gotowy. Ustalił też harmonogram ostatecznego przekazania systemu.

– Musimy doprowadzić go do sprawności bojowej najszybciej, jak tylko to możliwe – oświadczył swojemu zespołowi.

Było to ryzykowne posunięcie. Przy opracowywaniu nowego systemu uzbrojenia procedura zazwyczaj jest następująca: Cahal określa założenia nowej broni, po czym ludzie Mafatu, tacy jak Gold, opracowują koncepcję. Następnie Mafat ogłasza przetarg, dając przedsiębiorstwom zbrojeniowym czas na przedstawienie propozycji. Gold natomiast zignorował regulamin

Cahalu. Jego poczynania nie przeszły niezauważone. W 2009 roku urząd Kontrolera Państwa Izrael sporządził ostry raport na temat projektu Żelaznej Kopuły, atakując Golda za złamanie przepisów wojskowych. Gold, stwierdzał Kontroler, „uzurpował sobie władzę zarezerwowaną dla szefa sztabu, ministra obrony i rządu, zanim projekt zyskał akceptację odpowiednich organów". Nie miało to jednak znaczenia. Zanim raport ujrzał światło dzienne, Żelazna Kopuła była już sukcesem.

W 2005 roku, na spotkaniu z Ilanem Biranem, prezesem zarządu Rafaela, Gold wyznał, jaki jest jego największy problem.

– Nie ma rządowych funduszy na ten program – powiedział. – Mam jednak 5–6 milionów dolarów własnego budżetu badawczego, które mogę przeznaczyć na ten projekt, jeżeli pan dołoży drugie tyle.

Biran odparł, że jest gotów rozważyć taką możliwość, a Gold próbował utwierdzić go w tej decyzji. Cokolwiek wydarzy się po drodze, obiecał, zdobędzie niezbędne fundusze na prace rozwojowe i produkcję. Potem, aby się upewnić, że będzie mógł dotrzymać słowa, zrobił coś wielce niezwykłego jak na wysokiej rangi wojskowego: skontaktował się z pewnym rezydującym w Stanach Zjednoczonych prywatnym izraelskim inwestorem i poprosił go, żeby przygotował inwestycję w wysokości 50 milionów dolarów. Poznał tego biznesmena w związku ze start-upem zbrojeniowym, w który obaj – Gold reprezentował wówczas siły powietrzne – inwestowali kilka lat wcześniej.

– Nie mogę panu powiedzieć, na co potrzebuję tych pieniędzy, ale niech się pan przygotuje na to, że mogę zadzwonić i poprosić o nie – powiedział mu.

Biran kilka dni konsultował się z firmowymi inżynierami i specjalistami od rakiet. Zwołał zebranie swych najlepszych projektantów pocisków, żeby uzyskać odpowiedź na proste pytanie: Czy to się da zrobić?

Wszystkie oczy spoczęły na Josim Drukerze, doświadczonym konstruktorze pocisków rakietowych, który pracował w Rafaelu od późnych lat dziewięćdziesiątych XX wieku i był szefem tamtejszego działu pocisków. Druker i jego zespół mieli już na koncie siedem różnych projektów pocisków. Byli rakietową ekipą Rafaela.

Rafael opracował pierwsze pociski powietrze-powietrze w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku, ale dopiero od wojny Jom Kipur z 1973 roku zaczął odnotowywać sukcesy. W czasie tej wojny pociski *Szafrir* zestrzeliły blisko setkę nieprzyjacielskich samolotów[1]. Pięć lat później

Rafael dokonał wielkiego skoku technologicznego wraz z wprowadzeniem *Pythona-3*.

Różnica polegała na tym, że *Szafrir*, aby trafić w cel, musiał być skierowany dokładnie na ogon nieprzyjacielskiego samolotu. *Python-3* pozwalał zestrzeliwać samoloty wroga pod różnymi kątami i w różnych położeniach. Podczas pierwszej wojny libańskiej pythony-3 strąciły niemal czterdzieści nieprzyjacielskich maszyn. Pocisk był wciąż ulepszany i w roku 2006 Siły Powietrzne Izraela używały głównie *Pythona-5* – pocisku rakietowego, który może samoczynnie naprowadzać się na cel już po odpaleniu, co oznacza, że pilot może strącać nieprzyjacielskie samoloty, nawet ich nie widząc.

– Idea jest taka – wyjaśnił pewnego dnia Druker swojemu zespołowi. – Jeśli możemy użyć pocisku do zniszczenia samolotu, to powinniśmy zmusić nasz pocisk do przechwycenia innego pocisku.

Nie wszyscy byli przekonani, że to takie proste. Kiedy chodzi o zestrzelenie samolotu, pocisk rakietowy nakierowuje się na cel o sporych rozmiarach. Ale gdy zadaniem jest zniszczenie w locie rakiety kalibru 170 milimetrów, cel, który musi namierzyć pocisk przechwytujący, jest maleńki. Trafienie czegokolwiek w promieniu kilkudziesięciu centymetrów nie wystarczało. Naprowadzanie musiało być naprawdę precyzyjne. Wystrzeliwanie pocisków w niebo w czasie wojny było problematyczne także z innego powodu. Siły powietrzne potrzebowały czystego nieba, żeby ich samoloty mogły startować i lądować. Teraz musiałyby przejmować się izraelskimi przeciwrakietami lecącymi w rozmaitych kierunkach. Niebo nad Izraelem miało się stać bardzo zatłoczone.

– To nie będzie łatwe, ale możemy to zrobić – powiedział Druker.

Biran dał mu zgodę na sformowanie zespołu inżynierów oraz naukowców i rozpoczęcie prac.

Ze względu na skąpe fundusze Rafael oraz zespół Golda musieli ciąć koszty. Niezbędne materiały i części zdobywali najtaniej, jak tylko się dało. Jeden z przykładowych problemów, jakie się wyłoniły, wiązał się z umieszczaniem na wyrzutni zasobników z rakietami. Jeden z członków zespołu Golda, jadąc pewnego dnia do pracy, zobaczył śmieciarkę podnoszącą wielkie uliczne kontenery na śmieci podnośnikiem widłowym. Skontaktował się z firmą i kilka tygodni później podobny podnośnik został dostarczony do siedziby Rafaela.

Prace trwały, jednak bez pełnego wsparcia ze strony rządu ich koniec wciąż się odwlekał. I nagle, latem 2006 roku, wszystko się zmieniło. 12 lipca 2006 roku bojownicy Hezbollahu przeniknęli na teren Izraela i zaatakowali patrol graniczny Cahalu. Dwaj rezerwiści zostali uprowadzeni. Próbując odciąć sprawcom drogę ucieczki, znajdujący się w pobliżu czołg *Merkawa* – chluba izraelskiego przemysłu zbrojeniowego – ruszył pędem przez granicę. Najechał na potężną bombę i został rozerwany na drobne kawałki.

Porwanie oraz śmierć czterech żołnierzy z załogi czołgu wywołały w Izraelu szok. Premier Ehud Olmert postanowił podjąć działania odwetowe, posyłając kraj na wojnę, pierwszą od niemal ćwierćwiecza.

Wojna ta ostatecznie zapewniła Izraelowi dziesięć lat spokoju na północnej granicy, ale otworzyła mu także oczy na prawdziwą skalę zagrożenia rakietowego, z jakim miał do czynienia. W ciągu zaledwie trzydziestu czterech dni Hezbollah wystrzelił na kraj niewiarygodną liczbę 4300 rakiet, przeciętnie ponad 120 dziennie. Izraelskie społeczeństwo ogarnęła zgroza. Dziesiątki tysięcy ludzi opuściły swoje domy. Północny Izrael stał się krainą wymarłych miast.

Kilka dni po zakończeniu wojny minister obrony Amir Perec zorganizował w swym telawiwskim biurze zebranie, żeby przejrzeć opcje obrony przeciwrakietowej. Wojna była traumatyczna dla Pereca, a jego kariera polityczna wisiała na włosku. Ten zaprawiony w bojach przywódca związkowy, zdeklarowany zwolennik reform społecznych i lider skłaniającej się ku socjalizmowi Partii Pracy po wyborach, które odbyły się przed kilkoma miesiącami, prosił o tekę ministra finansów, ale Olmert obawiał się, że taka nominacja wstrząsnęłaby gospodarką. Jego doradcy przestrzegali go przed powierzeniem Perecowi Ministerstwa Obrony, on jednak był zdecydowany. Tak czy inaczej, powiedział im, jako premier będzie mógł kontrolować Pereca z góry.

Wyrzutnia rakietowa Hamasu sfotografowana przed zbombardowaniem jej przez izraelskie lotnictwo podczas drugiej wojny libańskiej. 2006 r.
Fot. Cahal

Perec, który nie licząc obowiązkowej służby wojskowej, miał zerowe doświadczenie w dziedzinie obrony, obejmując tekę ministra obrony po latach pełnienia tej funkcji przez byłych generałów Cahalu, nie budził zaufania w siłach zbrojnych i nie tylko tam. Wiedział jednak co nieco o rakietach. Był długoletnim mieszkańcem i byłym burmistrzem Sederotu; jego rodzina niemal od sześciu lat była celem ataków rakietowych ze Strefy Gazy. W końcu miał okazję, żeby coś z tym zrobić.

– Żelazna Kopuła jest w tej chwili najważniejszym projektem – oświadczył na zebraniu. – Powinniśmy zastanowić się nad przyspieszeniem go pomimo kosztów.

Nie wszyscy się z tym zgadzali. Zastępca szefa sztabu, generał major Mosze Kaplinski, który aż do wojny był głównym kandydatem na następnego szefa sztabu, zalecał cierpliwość.

– Łatwo jest podejmować decyzje dziś, po tym, jak wszyscy spędzili miesiąc w schronach przeciwbombowych – powiedział ten weteran Cahalu. – Decyzje te mogą jednak zaprowadzić nas tam, gdzie wcale nie chcemy się znaleźć.

Perec zignorował to ostrzeżenie i zakończył zebranie, nakazując Goldowi przyspieszenie prac nad systemem obrony przeciwrakietowej.

W ciągu najbliższych tygodni także Olmert został po raz pierwszy poinformowany o tym systemie. Dyskusja nie przebiegła tak dobrze, jak spodziewał się Gold. Niemal całe naczelne dowództwo Cahalu sprzeciwiło się projektowi i Olmert, pod naciskiem, odmówił przydzielenia rządowych funduszy.

Wpływ wojny dał się odczuć również w Rafaelu. Jego wytwórnia pocisków rakietowych jest zlokalizowana na północy kraju. Wielu inżynierów i robotników mieszka w pobliskich miastach i w czasie wojny musiało albo uciec na południe, albo spędzić trzydzieści cztery dni, kryjąc się w schronach. Nawet bez funduszy rządowych Żelazna Kopuła nagle znalazła się na samym szczycie listy priorytetów przedsiębiorstwa.

Druker, szef działu pocisków, wiedział, kogo widzi w roli kierownika projektu, problem jednak polegał na tym, że ów człowiek – Uzi – wyjechał właśnie na wędrówkę po Chile, którą planował od miesięcy. Dzień czy dwa później Drukerowi udało się skontaktować z nim przez telefon.

– Wracaj – powiedział. – Potrzebujemy cię.

Uzi poprosił o parę dni, żeby zastanowić się nad tą ofertą, a przede wszystkim żeby wytłumaczyć żonie, że będą musieli skrócić swoje wymarzone wakacje. Zgodziła się i jeszcze w tym samym tygodniu Uzi zjawił się w Rafaelu.

Minęło jeszcze kilka dni, zanim świeżo upieczony kierownik projektu wziął się do dzieła i ogarnął koncepcję. Wkrótce jednak oświadczył swojemu zespołowi: „Jeśli chodzi o to przedsięwzięcie, słowo «niemożliwe» nie istnieje”. Gold tymczasem wciąż próbował manewrować wśród opozycji w Cahalu. W listopadzie 2006 roku ponownie nagiął przepisy i jednostronnie zlecił Rafaelowi kontynuowanie produkcji na pełną skalę. Pomijał główne procedury, gdyż Cahal wciąż jeszcze nie sporządził wewnętrznej analizy mającej ustalić, która jednostka będzie obsługiwać system i co dokładnie powinien on robić.

* * *

Na początku 2007 roku Perec przybył do wytwórni pocisków Rafaela, żeby spotkać się z inżynierami i obejrzeć linię montażową. Miał właśnie poprzeć Żelazną Kopułę całym swym ministerialnym autorytetem i chciał zobaczyć, na co pójdą miliony dolarów, które zamierzał wyasygnować.

Zakład produkcji pocisków Rafaela jest jednym z najściślej chronionych obiektów Izraela, ukrytym za ogrodzeniami elektrycznymi i uzbrojonymi strażnikami wśród malowniczych, falujących galilejskich wzgórz. To tu właśnie projektowane i wytwarzane są jedne z najbardziej tajnych pocisków rakietowych i bomb. Przy wejściu do głównego budynku biurowego znajduje się wielki hol z modelami niektórych pocisków, które Rafael opracował na przestrzeni lat – imponujące świadectwo technicznego potencjału firmy.

W czasie tej wizyty wskaźniki popularności Pereca sięgały dna. Rezerwiści, którzy wrócili z Libanu sfrustrowani tym, jak rząd pokierował wojną, założyli w Jerozolimie potężny obóz protestacyjny, domagając się ustąpienia ministra obrony i wszczęcia oficjalnego państwowego dochodzenia w sprawie wojny.

Jak gdyby tego było mało, kilka tygodni wcześniej Perec obserwował ćwiczenia wojskowe na Wzgórzach Golan. Zdjęcie, które następnego dnia znalazło się w czołówkach mediów, ukazywało go patrzącego przez lornetkę z niezdjętymi osłonami soczewek. Stał się międzynarodowym pośmiewiskiem.

Specyfiką Rafaela jest to, że w odróżnieniu od przedsiębiorstw działających w sektorze zaawansowanych technologii firma ta uważa wiek za atut, nie za obciążenie. Idąc przez pomieszczenia fabryki, Perec widział inżynierów po siedemdziesiątce siedzących obok niedawnych absolwentów Technionu. Starsi używali przy pracy ołówków i żółtych bloków biurowych. Młodsi stukali w klawiatury laptopów.

Ministrowi pokazano rozmaite pociski, udzielono krótkich objaśnień na temat każdego z nich, a następnie Druker oprowadził go po linii montażowej.

– Spodziewam się, że pracujecie na trzy zmiany – zauważył Perec.

– Nie – odparł Druker zaskoczonemu ministrowi obrony. – Pracujemy tylko na jedną zmianę. Dwudziestoczterogodzinną.

Perec nie miał pojęcia, że firma działa także w soboty, szabat, żydowski dzień odpoczynku. Otrzymała od rabinów specjalne pozwolenie na

niezatrzymywanie linii montażowej. Zagrożone było ludzkie życie, a Żelazna Kopuła była potrzebna, aby je ocalić.

Ale choć Gold, Perec i Rafael posuwali projekt naprzód, w establishmencie obronnym wciąż nie brakowało wymownych krytyków. Jednym z głównych oponentów był dawny członek najwyższego kierownictwa Rafaela, który niezmordowanie prowadził lobbing na rzecz *Skyguarda*, zmodernizowanej wersji systemu laserowego *Nautilus*. Kampania była brutalna. Niemal codziennie ukazywały się artykuły krytyczne wobec Żelaznej Kopuły, których autorzy twierdzili, że nie sprawdzi się ona przeciwko zmasowanemu ostrzałowi, a nawet jeśli tak się stanie, przy cenie od 50 do 100 tysięcy dolarów za jeden pocisk przechwytujący doprowadzi kraj do bankructwa.

W czerwcu 2007 roku Pereca na stanowisku ministra obrony zastąpił Ehud Barak, były premier i szef sztabu Cahalu. Kilka tygodni po objęciu urzędu Barak poprosił Golda i jego zespół badawczo-rozwojowy, by jeszcze raz przyjrzeli się *Skyguardowi* i sprawdzili, czy możliwe jest opracowanie systemu laserowego równolegle do Żelaznej Kopuły. Gold był przeciwny ponownej analizie, ale nie miał innego wyjścia, jak tylko współpracować. Kierownictwo Rafaela niepokoiło się, że ocena wypadnie na korzyść *Skyguarda* i że ich praca oraz pieniądze pójdą na marne.

– Nie martwcie się – powiedział im Gold. – Nasz system jest jedynym realnym.

Ale podczas gdy Gold i Rafael robili swoje, rząd musiał stawić czoło nowemu wyzwaniu: nawet gdyby system był skuteczny, skąd Izrael miał wziąć pieniądze na wystarczającą liczbę baterii i przeciwrakiet do obrony swych granic?

Odpowiedź, co do czego wszyscy byli zgodni, kryła się 10 tysięcy kilometrów dalej – w Waszyngtonie. Pytanie brzmiało, jak najlepiej zwrócić się do Amerykanów. Narada w Ministerstwie Obrony zakończyła się decyzją, by złożyć wstępną prośbę o współpracę techniczną. Trafiła ona na biurko Mary Beth Long, asystentki do spraw współpracy międzynarodowej przy sekretarzu obrony Robercie Gatesie.

Aby ocenić prośbę, Pentagon wysłał do Izraela zespół ekspertów na spotkanie z pomysłodawcami. Wrócili niezbyt zachwyceni. Po pierwsze, Amerykanie uznali, że Izrael zbyt nisko wycenia prawdziwy koszt Żelaznej Kopuły i że długotrwały konflikt z poważnym atakiem rakietowym w istocie doprowadziłby kraj do ruiny. Amerykańscy inżynierowie doszli

też do wniosku, że przewidywany przez Izrael wysoki wskaźnik przechwyceń jest wzięty z sufitu i że w rzeczywistości Żelazna Kopuła, w najlepszym razie, zdoła strącić około 15 procent rakiet wystrzelonych w jej stronę.

– To niewykonalne – powiedzieli Long członkowie zespołu.

Kilka tygodni później do Pentagonu przybyła delegacja izraelskiego Ministerstwa Obrony, żeby spotkać się z Long i jej zespołem. Na jej czele stał Amos Gilad, dyrektor do spraw polityczno-wojskowych w ministerstwie, a wcześniej doświadczony oficer wywiadu Cahalu.

Long przeszła prosto do rzeczy.

– Dlaczego prosicie o to teraz? – zapytała Izraelczyków. – Dopiero co sfinalizowaliśmy pakiet, w którym dostaliście więcej pieniędzy na cele wojskowe niż kiedykolwiek.

Nawiązywała do podpisania, zaledwie kilka miesięcy wcześniej, nowego porozumienia między Izraelem a Stanami Zjednoczonymi, które ustalało amerykańską pomoc militarną dla Izraela na 3 miliardy dolarów rocznie przez następne dziesięć lat. Był to największy pakiet zagranicznej pomocy na cele obronne, jaki przyznano jakiemukolwiek państwu.

Ta nowa pomoc była wynikiem wieloletnich negocjacji między Izraelem a USA, ale największy wpływ na to miała wojna w Libanie. Izrael stał w obliczu coraz większych zagrożeń i administracja George’a W. Busha zdawała sobie sprawę, że jeśli chce, by ten kraj podejmował ryzyko na rzecz pokoju z Palestyńczykami, musi zapewnić mu poczucie bezpieczeństwa.

Long była zdania, że wszelkie środki na opracowanie Żelaznej Kopuły powinny pochodzić z owych 3 miliardów, które Izrael miał otrzymywać co roku. Problem polegał na tym, że Ministerstwo Obrony miało już co do amerykańskich pieniędzy inne plany – zamierzało je wydać głównie na zakup samolotów bojowych i uzupełnienie wyczerpanych w czasie wojny zapasów pocisków rakietowych. Long nie była zachwycona tą odpowiedzią; nalegała, by Gilad i pozostali delegaci jeszcze raz przemyśleli swoje żądanie.

– Zanim poprosicie mój departament o podjęcie trudnych decyzji budżetowych, chcę przynajmniej zobaczyć, że sami takie podjęliście – powiedziała. – Proszę nie mówić mi więcej, że muszę znaleźć te pieniądze w moim systemie, kiedy nie widzę żadnych dowodów, że próbowaliście znaleźć je w waszym.

Był jeszcze jeden problem, który stanowił coś w rodzaju biurokratycznej przeszkody. W Pentagonie biuro Long mogło finansować tylko sprawdzone programy zbrojeniowe, nie systemy będące wciąż w fazie rozwoju. W związku z tym Żelazną Kopułę musiałby ocenić inny dział Pentagonu. Dla Izraela oznaczało to dalszą stratę czasu. Long mogła bezwarunkowo odrzucić propozycję, jednak nie zrobiła tego. Postanowiła dać jej chociaż cień szansy. Zamiast uśmiercić pomysł, poprosiła generała brygady Robina Randa, szefa polityki bliskowschodniej w Pentagonie, żeby wspólnie z izraelskim Ministerstwem Obrony powołał Grupę Roboczą do spraw Obrony Przeciwrakietowej Bliskiego Zasięgu w celu wyjaśnienia różnic zdań. W fabryce pocisków Rafaela na północy kraju inżynierowie załadowali wyrzutnię Żelaznej Kopuły na ciężarówkę, która miała zawieźć ją na firmowy poligon doświadczalny na południu, w pobliżu granicy z Egiptem. Przyszła pora na „wylot” – próbny lot pocisku przechwytującego *Tamir*, dla upewnienia się, że ma on taką manewrowość, jaką zakładał projekt. Dotychczas wszystkie testy były symulacjami komputerowymi. Ten miał być rzeczywisty.

Operator rozpoczął odliczanie końcowe: „5, 4, 3, 2, 1”. Oczy wszystkich – zespołu projektowego Rafaela, oficerów Cahalu i urzędników Ministerstwa Obrony – utkwione były w rzędzie monitorów. Na jednym z ekranów widać było barwny podgląd wyrzutni. Inny ukazywał zamazany obraz w podczerwieni, tak by projektanci mogli śledzić pocisk, nawet kiedy przejdzie przez chmury.

Jednak gdy operator wcisnął przycisk wyzwalający, nic się nie stało. Wcisnął go jeszcze raz, nieco mocniej, ale wciąż – nic.

Druker i jego ludzie obawiali się najgorszego: że ich system jest kompletnym niewypałem. W sytuacji, gdy media bacznie śledziły powstawanie Żelaznej Kopuły, taka wiadomość mogła pogrzebać projekt, zanim choć jeden pocisk wzleciał nad ziemię.

Druker nie miał większego wyboru. Załadował wyrzutnię z powrotem na ciężarówkę i odwiózł ją do zakładów Rafaela. Kilka dni później inżynierowie zidentyfikowali problem. Okazało się, że przypadkowo poluzował się jeden z przewodów i spowodował usterkę systemu. Dwa tygodnie później byli znów na poligonie. Operator wcisnął przycisk i pocisk przechwytujący *Tamir* wzbił się w niebo.

Mimo pomyślnego testu los Żelaznej Kopuły wciąż jeszcze nie był pewny. W 2009 roku, noc przed pierwszą realną próbą przechwycenia,

inżynierowie wykryli błąd w oprogramowaniu systemu.

– Powinniśmy przesunąć termin – powiedzieli Goldowi niektórzy członkowie zespołu. – Tam będą wszystkie grube ryby. Wypadniemy kiepsko, jeśli nam się nie uda.

Gold zastanowił się kilka minut i postanowił nie odkładać testu.

– Nawet jeśli przechwycenie nie wyjdzie, musimy się uczyć – powiedział swoim ludziom.

Następnego dnia rano grupa ponownie pojechała na poligon doświadczalny. Krótko przed jedenastą wystrzelono atrapę katiuszy. Wszyscy wpatrywali się w monitor operatora Żelaznej Kopuły i zobaczyli, że radar momentalnie wykrył start rakiety. Parę sekund później w powietrze pomknął przeciwpocisk *Tamir*. Wszyscy wstrzymali oddech, dopóki budynkiem nie zatrzęsła eksplozja. Żelazna Kopuła zadziałała. Zestrzeliła swoją pierwszą katiuszę. Oklaski i podskoki omal nie obróciły budynku w gruzy.

Amerykański zespół kierowany przez generała Randa śledził te wydarzenia z wielkim zainteresowaniem. Kolejne próby dowiodły, że skuteczność systemu jest znacznie wyższa, niż pierwotnie zakładali Amerykanie. Żelazna Kopuła mogła zestrzelić co najmniej 80 procent nadlatujących rakiet. Mimo wszystko Pentagon nie palił się do inwestowania w ten projekt. To musiało poczekać.

* * *

W lipcu 2008 roku do Izraela przybył nowy senator z Illinois, Barack Obama. Była to jego druga wizyta w tym kraju, ale pierwsza w charakterze kandydata na prezydenta. Przyjechał na dwa dni w ramach podróży międzynarodowej, podczas której odwiedził też w ekspresowym tempie Kuwejt, Jordanię, Niemcy i Francję. W porównaniu ze swym przeciwnikiem, doświadczonym senatorem Johnem McCainem, Obama nie miał niemal żadnego doświadczenia w polityce zagranicznej. Objazd ten miał mu przydać nieco rozpaczliwie potrzebnej wiarygodności.

Obama zrobił obowiązkowe przystanki w Jad wa-Szem i przy Ścianie Płaczu. Ale odwiedził również Sederot, miasto w południowym Izraelu, kojarzone przede wszystkim z ostrzałem rakietowym Hamasu. Udał się na miejscowy posterunek policji i stanął na tak zwanym cmentarzysku rakiet – rozległym placu pełnym szczątków rakiet, które spadły na miasto. Miejsce

to posłużyło za tło dla przygotowanego wcześniej oświadczenia o konieczności zastopowania irańskiego programu nuklearnego.

Później jeden z reporterów zapytał senatora, czy zaakceptowałby sytuację, w której jakieś amerykańskie miasto znajdowałoby się pod nieustannym ostrzałem rakietowym, tak jak Sederot.

– Nie sądzę, żeby jakikolwiek kraj godził się na to, by na głowy jego obywateli sypały się pociski – odparł Obama. – Gdyby ktoś ostrzeliwał rakietami mój dom, w którym śpią nocą moje dwie córeczki, zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, żeby położyć temu kres. I nie wątpię, że Izraelczycy postąpią tak samo.

Wizyta w Sederocie głęboko poruszyła przyszłego prezydenta. Powiedział później swoim asystentom, że jeśli wygra wybory, jego administracja będzie musiała pomóc Izraelowi znaleźć sposób na wzmocnienie środków obrony przed rakietami ze Strefy Gazy.

Wybory w USA miały się jednak odbyć dopiero za parę miesięcy, a na razie izraelska prośba o fundusze wciąż obrastała kurzem w Pentagonie. Nikt nie spodziewał się nowej inicjatywy finansowej, kiedy urzędującemu prezydentowi pozostało zaledwie kilka miesięcy do końca kadencji. Nawet po wyborach Izrael zdawał sobie sprawę, że nie ma sensu od razu zwracać się do administracji Obamy. Potrzebowała czasu, by okrzepnąć.

Punktem zwrotnym był kwiecień 2009 roku. Tego miesiąca zastępcą asystenta sekretarza obrony do spraw Bliskiego Wschodu został Colin Kahl, profesor z Georgetown University, specjalista od polityki zagranicznej. Jego zadaniem było kierowanie polityką wojskową USA w tym niespokojnym regionie i szukanie rozwiązań sprzyjających stabilizacji. Wobec impasu, w jakim znalazł się proces pokojowy, Obama był zdecydowany za wszelką cenę sprowadzić Izrael i Palestyńczyków z powrotem do stołu negocjacyjnego. Rosły naciski na premiera Netanjahu, by zgodził się na zamrożenie rozbudowy osiedli. Do tego wszystkiego Stany Zjednoczone potrzebowały jakiejś karty przetargowej.

Tymczasem minister obrony Ehud Barak przybył do Waszyngtonu i przedłożył Pentagonowi dokument przedstawiający podstawowe gwarancje bezpieczeństwa, jakich Izrael domagał się, nim weźmie w ogóle pod uwagę możliwość wycofania się z Zachodniego Brzegu i utworzenia państwa palestyńskiego. Istotą rzeczy była obawa Izraela, że skutkiem opuszczenia Zachodniego Brzegu będą ataki rakietowe na centrum kraju, jak po wycofaniu się kilka lat wcześniej ze Strefy Gazy. To wtedy właśnie

Kahl znalazł na swoim biurku prośbę o sfinansowanie Żelaznej Kopuły i, jak wspominał później, „zapaliła [mu] się w głowie żarówka”.

Kahl poszedł z tym pomysłem do Dana Shapiry, ówczesnego szefa polityki bliskowschodniej w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego, który wkrótce miał zostać ambasadorem Stanów Zjednoczonych w Izraelu.

– Żelazna Kopuła wygląda obiecująco – powiedział mu. – Gdyby się sprawdziła, myślę, że Izraelczykom łatwiej byłoby zaryzykować i zgodzić się na rozwiązanie dwupaństwowe.

Kahl i Shapiro uzgodnili, że wyślą do Izraela nowy zespół ekspertów od obrony przeciwrakietowej, żeby ocenił ten system. Było to kontrowersyjne posunięcie. W owym czasie Stany Zjednoczone próbowały zainteresować Izrael *Phalanxem*, którego szybkostrzelne działko zostało już odrzucone przez Golda i jego zespół badawczo-rozwojowy. Kahl wysłał jednak nową grupę, która wróciła, piejąc peany na cześć Żelaznej Kopuły.

W czerwcu 2009 roku Kahl udał się z pierwszą oficjalną wizytą do Izraela. Cahal przetransportował go helikopterem na granicę z Libanem, gdzie opowiedziano mu o Hezbollahu i o rozbudowie wojskowego skrzydła tej organizacji od czasu wojny z 2006 roku. Następnie poleciał na południe, na granicę Strefy Gazy, gdzie wysłuchał raportu na temat rosnącego potencjału rakietowego Hamasu.

Uderzył go brak strategicznej głębi w Izraelu oraz to, jak mała odległość dzieli miasta i wioski od zagrożeń kumulujących się na północy i południu. Po powrocie do Waszyngtonu sporządził notatkę zalecającą, by Biały Dom niezwłocznie przyznał 200 milionów dolarów na sfinansowanie Żelaznej Kopuły. Jego argumentacja była prosta: Izrael chce gwarancji bezpieczeństwa, a Żelazna Kopuła może je zapewnić. Prezydent będzie mógł tchnąć nowe życie w negocjacje pokojowe, a Izrael zyska dodatkowy poziom ochrony.

* * *

Żelazna Kopuła została wprowadzona do użytku w marcu 2011 roku, kiedy Cahal ulokował pierwszą baterię pod Beer Szewą. Na chrzest bojowy nie trzeba było długo czekać. 7 kwietnia strąciła pierwszą rakietę, a w ciągu kilku dni przechwyciła osiem następnych.

Oprócz ratowania życia Izraelczyków Żelazna Kopuła okazała się też czynnikiem zmieniającym reguły gry. W niedawnych operacjach Cahalu

w Strefie Gazy przechwyciła około 90 procent rakiet wystrzelonych na Izrael. W 2012 roku Cahal nie wysłał do Gazy wojsk lądowych, a w roku 2014 wysyłał żołnierzy jedynie na pojedyncze, niewielkie operacje przeciwko tunelom. Odkąd Żelazna Kopuła strąca większość rakiet lecących w stronę izraelskich miast, rząd zyskał „dyplomatyczne pole manewru” – możliwość zastanowienia się przed reakcją, rzecz bezcenną w okresie kryzysu.

Zaprojektowanie i wyprodukowanie systemów na skalę Żelaznej Kopuły trwa przeciętnie siedem lat. Żelazna Kopuła wymagała tylko trzech. Jak Izraelowi udało się stworzyć tak rewolucyjny system w tak krótkim czasie?

Odpowiedź po części tkwi w tym, że izraelscy oficerowie i biznesmeni, tacy jak Gold, nie stronią od ryzyka tak bardzo jak ich odpowiednicy z innych zachodnich krajów. Naftali Bennett, izraelski minister edukacji, opowiedział nam o jednym ze swych doświadczeń z czasów, gdy był przedsiębiorcą w branży informatycznej. Bennett służył jako oficer w dwóch elitarnych jednostkach Cahalu – Jednostce Rozpoznawczej Sztabu Generalnego (Sajeret Matkal) i Maglanie, które specjalizują się w tajnych operacjach głęboko za liniami wroga. W wieku dwudziestu jeden lat dowodził już setką żołnierzy podczas działań w Libanie.

Kilka lat po odejściu z wojska Bennett stał przed bramą pewnego nowojorskiego banku, gdzie on i jego partnerzy mieli właśnie po raz pierwszy zareklamować swój towar. Przyszli z nowym oprogramowaniem do ochrony przed oszustwami, które kilka lat później zostanie sprzedane za 145 milionów dolarów.

– Wszyscy byliśmy w nerwach – wspominał Bennett – a ja powiedziałem: Co najgorszego może się zdarzyć? Odmówią nam, tak? Ale przynajmniej nikt nie zginie. Nikt nie wejdzie na minę.

Do pewnego stopnia takie właśnie było podejście Golda w wypadku Żelaznej Kopuły. Najgorsze, co mogło się wydarzyć, to że poniesie porażkę i zapłaci za to swoją karierą. Uznał, że potencjalna nagroda jest warta osobistego ryzyka.

Ale to wciąż nie wyjaśnia, dlaczego Gold złamał wojskowe przepisy – dlaczego nie wstrzymał się i nie obrał bezpieczniejszej drogi. Izrael, powiedział nam Gold, kiedy spotkaliśmy się pewnego dnia w Tel Awiwie, nie może sobie pozwolić na luksus czekania. Musi walczyć o byt.

– Wiedzieliśmy, że są tysiące rakiet w Gazie i dziesiątki tysięcy w Libanie – powiedział. – Co mieliśmy robić? Czekać na więcej?

Opracowane przez Izrael systemy obrony przeciwrakietowej odmieniły oblicze współczesnej wojny. Państwo żydowskie jako jedyny kraj na świecie zrobiło z nich użytek podczas działań wojennych.

Z punktu widzenia Izraela systemy takie jak Żelazna Kopuła i *Arrow* służą czemuś więcej niż tylko ratowaniu istnień ludzkich. Dają one przywódcom kraju szansę na zastanowienie się, zanim odpowiedzą atakiem na atak rakietowy. Umożliwiają Cahalowi ochronę swych baz i zagwarantowanie ciągłości operacyjnej, pozwalając samolotom startować i lądować, nawet jeśli pasy startowe są celem pocisków.

Cahal pracuje obecnie nad trzecim systemem, Procą Dawida, który będzie służył do niszczenia rakiet zbyt dużych dla Żelaznej Kopuły, ale nie na tyle dużych, by przechwycił je *Arrow*.

Inne kraje na całym świecie także zainwestowały w systemy obrony przeciwrakietowej – wymienić tu można choćby Stany Zjednoczone, Japonię i Koreę Południową. Żaden jednak nie stworzył, tak jak Izrael, wielopoziomowej architektury złożonej z rozmaitych systemów.

Jednak mimo że Izrael opracował i eksploatuje te systemy, jego najważniejsza modlitwa nie została wysłuchana. Kiedy oddano do użytku pierwsze baterie Żelaznej Kopuły, niektórzy w establishmencie obronnym przewidywali, że jeśli będą one skuteczne, Hamas zrezygnuje z rakiet. Uświadomi sobie, że rakiety nie zdają już egzaminu, i przestanie poświęcać pieniądze na gromadzenie coraz większych arsenałów.

Tak się nie stało. Wrogowie Izraela nadal gromadzą kierowane i niekierowane pociski rakietowe, i to w zawrotnym tempie. Według niedawnych ocen izraelskiego wywiadu najbardziej imponujący jest arsenał Hezbollahu. W ciągu dziesięciu lat, głównie dzięki pomocy Syrii i Iranu, udało mu się powiększyć stan posiadania z 15 tysięcy do przeszło 100 tysięcy rakiet, które są zdolne osiągnąć dowolny cel na terenie Państwa Izrael. Hamas ma ich przypuszczalnie około 10 tysięcy.

Zagrożenie dla Izraela wynika nie tylko z liczby pocisków, ale także z ich coraz wyższej jakości. Zarząd Wywiadu Wojskowego Cahalu nazywa tę transformację „sześciokrotnym pomnożeniem”, w nawiązaniu do sześciu zmian, jakie arsenał Hezbollahu przeszedł w ostatnich latach.

Dziś Hezbollah ma większą liczbę pocisków o dłuższym zasięgu, większych głowicach bojowych, większej celności oraz możliwości wystrzeliwania z głębiej położonych obszarów nieprzyjacielskiego

terytorium – nie tylko z pasa przygranicznego – a w niektórych wypadkach nawet z ufortyfikowanych, podziemnych silosów.

Na przykład syryjskiej produkcji M-600 ma zasięg 300 kilometrów, przenosi w głowicy 500 kilogramów materiałów wybuchowych i jest wyposażony w zaawansowany system nawigacyjny, który daje mu nieosiągalną dotąd dla Hezbollahu celność. Izrael sądzi, że organizacja ta ma setki M-600 zmagazynowanych w podziemnych silosach oraz domach w środkowym i południowym Libanie.

To właśnie owo nieustannie rosnące zagrożenie rozbudza kreatywność Izraelczyków. Każe im główkować, żeby przeżyć.

– Mamy tylko dwie opcje: wprowadzać innowacje albo zniknąć – mówi Arieh Herzog, były szef izraelskiej agencji obrony przeciwrakietowej, który urodził się w 1941 roku, dwa lata po niemieckiej inwazji na Polskę. Gdy jego ojciec został zamordowany przez nazistów, matka Herzoga przebrała się za chrześcijańską chłopkę i uciekła z synem na Węgry, gdzie ukrywali się przez resztę wojny.

Kiedy dygnitarze z amerykańskiej Agencji Obrony Antybalistycznej odwiedzają Izrael, Herzog, jako ich gospodarz, nim przejdzie do rzeczy, prowadzi ich do Instytutu Pamięci Męczenników i Bohaterów Holokaustu Jad wa-Szem.

– Zobaczywszy, co może spotkać nasz naród, zrozumiecie, jak ważne jest zapewnienie, że coś takiego nie zdarzy się ponownie – wyjaśnił. – To nie jest jakieś hipotetyczne zagrożenie. To nasza codzienna rzeczywistość.

1. *Szafrir* był kopią radzieckiego R-3, który z kolei został skopiowany z amerykańskiego AIM-9 *Sidewinder* (przyp. red.). [wróć]

ROZDZIAŁ 6

Inteligentne maszyny

Niewielu było wtajemniczonych w ten sekret. Szin Betowi – supertajnej izraelskiej służbie bezpieczeństwa wewnętrznego – po latach tropienia udało się zlokalizować Mohammada Deifa, najbardziej poszukiwanego i nieuchwytnego człowieka w Gazie. Była to jedna z tych chwil, które rzadko zdarzają się w karierze oficera wywiadu. W specjalnym centrum dowodzenia w siedzibie Szin Betu na peryferiach Tel Awiwu zapaliły się neonowe lampy. Funkcjonariusze zajęli miejsca przy owalnym biurku przed wielkimi ekranami plazmowymi. Zaczęły napływać dane od informatorów, z dronów i z satelitów.

W sztabie wojsk powietrznych analizowano wymiary budynku, w którym podobno ukrywał się Deif, a specjaliści starannie dobierali bomby, które miały zostać zrzucone. Musiały być wystarczająco małe, by ograniczyć szkody uboczne, ale na tyle duże, by wykonać swoje zadanie i zabić człowieka, który przez lata wymykał się śmierci. Był to wyścig z czasem. Deif nigdy nie zatrzymywał się na dłużej w jednym miejscu. Mimo to informacje wywiadu musiały zostać kilkakrotnie zweryfikowane. Zdawało się, że minęła wieczność, nim zapalono wreszcie zielone światło i dwa myśliwce sił powietrznych pomknęły w stronę celu – niewielkiego bloku mieszkalnego w dzielnicy Szejk Radwan w Gazie. Był 19 sierpnia 2014 roku i Izrael od pięciu tygodni toczył walki z Hamasem w ramach operacji Ochronny Brzeg.

Deif nie był zwyczajnym poszukiwanym. Stał na szczycie piramidy Hamasu i unikał pojmania niemal od dwudziestu lat. Izrael nie po raz pierwszy starał się go zgładzić. Poprzednio w 2006 roku, ale Deif przeżył, aczkolwiek ciężko ranny. Jakimś cudem zawsze udawało mu się wymknąć.

Mijały tygodnie walk, rosła liczba zabitych i rannych, a cały obszar kraju był pod nieustającym ostrzałem rakietowym. Likwidacja Deifa miała przynieść Izraelowi rozpaczliwie potrzebny zastrzyk morale. Zdobycie dokładnych danych na temat jego miejsca pobytu było samo w sobie

niemałym osiągnięciem. Nikt poza niewielką, mocno rozczłonkowaną grupą osobistych ochroniarzy nie miał prawa wiedzieć, gdzie znajduje się ich dowódca. To, że Izrael go zlokalizował, zakrawało na cud.

Pogłoski o zabójstwie Deifa zaczęły szerzyć się lotem błyskawicy już krótko po zrzuceniu bomb. Wśród ofiar śmiertelnych zidentyfikowano jedną z żon Deifa oraz ich ośmiomiesięcznego synka. Znaleziono jeszcze jedno ciało, ale nikt nie potrafił potwierdzić, czy były to szczątki Deifa. Tak czy inaczej, wyglądało to, jak gdyby strzała ugodziła w serce Brygad Męczenników Iz ad-Dina al-Kasama – zbrojnego skrzydła Hamasu. Deif był jej najwyższym zwierzchnikiem operacyjnym, przywódcą duchowym i jednym z głównych symboli trwającej od dziesiątków lat walki Palestyńczyków przeciwko Izraelowi. Jeśli Deif nie żył, musiała zostać po nim ogromna próżnia polityczna.

Zakładając, że ich dowódca nie żyje, Mohammad Abu Szamala, szef Dywizji Południowej Hamasu, oraz Raed al-Atar, jeden z liderów Hamasu, wyszli z ukrycia, żeby odbyć spotkanie na szczycie. Do dziś nie jest jasne, czy była to lekkomyślna decyzja spowodowana szokiem po domniemanym zabójstwie Deifa, czy podjęta naprędce próba przechwycenia władzy po swym dowódcy i zajęcia jego miejsca, nim zrobi to ktoś inny.

Pierwszy sygnał o planowanym szczycie nadszedł dwa dni po zamachu na życie Deifa. Szin Bet wpadł na trop Abu Szamali i Al-Atara w południowym mieście Rafah, znanym bastionie Hamasu, położonym na granicy Strefy Gazy z Egiptem. Był to wyścig z czasem. Liczyła się każda minuta. Jakikolwiek nieostrożny ruch w tej okolicy mógł sprawić, że hamasowskie tuzy uciekną, a Izrael straci szansę na zadanie kolejnego ciosu najwyższym władzom tej organizacji.

Izraelskie drony unosiły się nad okolicą, a ich operatorzy i analitycy wywiadu próbowali zrozumieć, co się dzieje. Informacje płynęły do centrum dowodzenia Szin Betu. Gdy tylko Izrael uzyskał ostateczne potwierdzenie, że dwaj przywódcy Hamasu są wewnątrz budynku, do odpalenia pocisku wystarczyła niespełna minuta. Później, kiedy uprzątnięto gruzy, Palestyńczycy przyznali, że dwaj arcyterroryści nie żyją. Izrael właśnie zadał Hamasowi kolejny śmiertelny cios.

Abu Szamala i Al-Atar przyszli na świat w odstępie kilku miesięcy w 1974 roku. Pochodzili z obozu dla uchodźców w Rafah, jednego z najbardziej zatłoczonych miejsc na świecie – tak tłocznego, że żołnierze Cahalu już wówczas bali się tam zapuszczać. Obaj wychowywani byli na

zagorzałych islamistów i od najmłodszych lat przyjmowali w pobliskim meczecie codzienną dawkę nienawiści do Izraela. W wieku siedemnastu lat rozpoczęli karierę w zbrojnym skrzydle Hamasu jako strażnicy ważnych hamasowskich obiektów. Dość szybko zyskali zaufanie przełożonych i zostali przeszkoleni do działań terrorystycznych. Wsławili się w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, po przeprowadzeniu szeregu ataków z użyciem broni palnej. W jednym z nich, w roku 1994, zastrzelili kapitana Guy Owadię z 933. Brygady Piechoty „Nachal". Później przeprowadzili kolejny atak w okolicy przejścia granicznego Kisufim – głównej bramy z Izraela do Strefy Gazy – i zabili siedemnastoletniego niedoszłego pilota izraelskich sił powietrznych.

Szin Bet powiązał ataki z tą dwójką, ale nagle winowajcy zniknęli. Wyglądało to, jakby zapadli się pod ziemię. Zgodnie z surowym „kodeksem poszukiwanych" palestyńskich uciekinierów, Abu Szamala i Al-Atar regularnie zmieniali kryjówki i tożsamości, unikając kontaktów z krewnymi i przyjaciółmi. Chodzili po ulicach w przebraniu, rzadko prosząc o pomoc innych terrorystów Hamasu. Ufali tylko sobie.

W 1995 roku wydawało się, że ich kariera jest już skończona. Zostali ujęci przez palestyńskie siły bezpieczeństwa pod zarzutem zamordowania w Gazie funkcjonariusza służb bezpieczeństwa Autonomii Palestyńskiej. Było to krótko po powrocie Jasira Arafata do Gazy i jego siły bezpieczeństwa próbowały zaprowadzić porządek. Potem jednak ich uwolniono, co było typowym przykładem palestyńskich „drzwi obrotowych" – nierzadko terrorysta zostawał schwytany, uwięziony, a w końcu wypuszczony na wolność. Po wyjściu z więzienia Abu Szamala wstąpił do sił bezpieczeństwa Autonomii Palestyńskiej, ale po kilku miesiącach, tęskniąc za przyjacielem z dzieciństwa, zrzucił mundur i wrócił do Hamasu. Aby na nowo dowieść swej lojalności, zamordował kolejnego funkcjonariusza służb bezpieczeństwa Autonomii Palestyńskiej. Abu Szamala i Al-Atar zostali ponownie pojmani przez Autonomię Palestyńską i tym razem skazani na dożywocie. Jednak po wybuchu drugiej intifady, w 2000 roku, obaj zostali zwolnieni wraz z innymi niebezpiecznymi więźniami, by dołączyć do zbrojnej walki przeciwko Izraelowi.

Na wieść o ich uwolnieniu Szin Bet wznowił obławę. Minęło dziesięć lat. Abu Szamala awansował na dowódcę Dywizji Południowej Hamasu, któremu podlegała Brygada Rafah, dowodzona przez jego starego

przyjaciela Raeda al-Atara. Szin Bet kilkakrotnie zlokalizował ich kryjówkę, jednak za każdym razem udawało im się wymknąć.

Przez lata Abu Szamala i Al-Atar brali udział w planowaniu i realizacji dziesiątków zamachów terrorystycznych przeciwko Izraelowi, w tym licznych ataków z wykorzystaniem poprowadzonych pod granicą tuneli. W 2002 roku Al-Atar pomagał zaplanować atak na izraelski posterunek wojskowy koło przejścia granicznego Kerem Szalom, w którym zginęło czterech żołnierzy Cahalu. W 2004 roku jego ludzie wykopali tunel pod innym izraelskim posterunkiem, wypełnili go materiałami wybuchowymi i wysadzili w powietrze, zabijając sześciu żołnierzy. Latem 2006 roku obaj przyjaciele zaangażowani byli w akcję, w ramach której terroryści Hamasu dostali się na teren Izraela przez tunel transgraniczny i uprowadzili żołnierza Cahalu, Gilada Szalita. Szalit, który pięć lat był jeńcem Hamasu, w 2011 roku został uwolniony w zamian za przeszło tysiąc palestyńskich więźniów.

Poza kopaniem tuneli Al-Atar stał też za utworzeniem oddziału Nuchba – po arabsku „wybrańcy” – elitarnej jednostki Hamasu wyszkolonej do walki i manewrowania w tunelach pieszo oraz na motocyklach. Na początku operacji Ochronny Brzeg, latem 2014 roku, Al-Atar osobiście nadzorował wtargnięcie trzynastu terrorystów Hamasu przez tunel na teren Izraela. Później bojownicy z jego brygady uczestniczyli w ataku na Rafah, w trakcie którego Hamas uprowadził zwłoki oficera Cahalu.

Po zlikwidowaniu Abu Szamali i Al-Atara wydawało się, że w Hamasie znów powstała próżnia w strukturach władzy. Jednak nie trwało to długo. Kilka miesięcy po zakończeniu operacji Cahal ujawnił, że Mohammad Deif przeżył zamach na jego życie. Najwyraźniej nie wszystkie bomby zrzucone tamtej nocy wybuchły. Deif został ranny, ale żył. Polowanie trwało.

* * *

W ciągu niemal siedmiu dziesięcioleci państwowego bytu Izrael stał się pierwszym krajem, który opanował do mistrzostwa sztukę selektywnych zabójstw, czyniąc ją integralną częścią swojej doktryny wojskowej i operacji militarnych. Jest to taktyka, którą od dwóch dekad wykorzystuje z powodzeniem na polu walki, łącząc najnowocześniejszą technikę, najwyższej klasy wywiad oraz najbardziej błyskotliwe umysły Izraela.

Według raportu ONZ z 2010 roku selektywne zabójstwo to dokonane w sposób przemyślany i rozmyślny użycie przez państwo śmiercionośnej siły w celu wyeliminowania określonych osób niepodlegających aresztowi w tymże państwie. Konkretna śmiercionośna siła może mieć różną postać, od ataku drona po pocisk samosterujący albo akcję sił specjalnych [53].

Selektywne zabójstwa nie są wynalazkiem Państwa Izrael. Posługiwano się nimi już w czasach biblijnych, podczas rzymskich rządów na Ziemi Izraela, w okresie osmańskim, a także od pierwszych dni syjonistycznego osadnictwa w ówczesnej Palestynie. Podziemne żydowskie organizacje paramilitarne – Hagana, Ecel i Lechi – stosowały taktykę selektywnych zabójstw wobec swych przeciwników.

Po utworzeniu Izraela w dalszym ciągu sięgano po selektywną eliminację. W latach pięćdziesiątych XX wieku zlikwidowano dwóch oficerów egipskiego wywiadu, którzy pomagali fedainom zorganizować szereg ataków na izraelskie miasta i osiedla. W latach sześćdziesiątych wysyłano listy z materiałami wybuchowymi do niemieckich naukowców, którzy budowali rakietowe pociski balistyczne dla Egiptu. W 1972 roku, po zamordowaniu jedenastu izraelskich sportowców na olimpiadzie w Monachium, premier Golda Meir zatwierdziła likwidację każdego wykrytego uczestnika tego zamachu. Odwet za Monachium miał być ostatnią okazją, kiedy Izrael oficjalnie zabijał z zemsty. Później polityka się zmieniła – odtąd państwo żydowskie likwidowało ludzi jedynie po to, by zapobiec atakom.

– To nie jest oko za oko – powiedział o tej nowej polityce były szef Szin Betu. – To jest zjedzenie ich na śniadanie, nim oni zjedzą cię na obiad [54].

W 1988 roku palestyński terrorysta Abu Dżihad, odpowiedzialny za liczne ataki przeciwko Izraelowi, został zabity przez elitarny izraelski zespół likwidacyjny w Tunezji, a w roku 1992, w południowym Libanie, śmigłowiec szturmowy Sił Powietrznych Izraela wystrzelił pocisk *Hellfire*, by zgładzić przywódcę Hezbollahu Abbasa Musawiego. Obaj byli przywódcami organizacji terrorystycznych, odpowiedzialnymi za liczne ataki na Izrael i planującymi wiele następnych.

Po podpisaniu w 1993 roku porozumień z Oslo między Izraelem a Organizacją Wyzwolenia Palestyny liczba selektywnych zabójstw raptownie spadła, gdy obie strony próbowały dać szansę pokojowi. Nie zrezygnowano z nich jednak do końca. W 1995 roku Fathi Szikaki, założyciel terrorystycznego ugrupowania Islamski Dżihad, został

zastrzelony na ulicach Malty, a rok później Jahja Ajasz, główny konstruktor bomb Hamasu, zwany „Inżynierem”, zginął, gdy wypełniony materiałem wybuchowym telefon komórkowy eksplodował tuż przy jego głowie. Obok sukcesów były też porażki, z których do najbardziej znanej doszło w 1997 roku, kiedy to agenci Mosadu zostali ujęci w Jordanii, gdy rozpylili śmiertelną truciznę do ucha przywódcy Hamasu Chalida Maszala.

Niemal wszystkie te operacje zostały przypisane Izraelowi, który jednak nie przyznał się do nich. Zamysłem było zlikwidować kilku wybranych terrorystów, ale zniechęcić wielu innych, dając im do zrozumienia, że Izrael może ich dosięgnąć, gdziekolwiek by byli.

Jednak pod koniec 2000 roku wszystko się zmieniło. Wybuchła druga intifada i Izrael stanął w obliczu bezprecedensowej fali terroru, wspieranej przez Organizację Wyzwolenia Palestyny Jasira Arafata. Izrael miał naprzeciw siebie dobrze uzbrojone palestyńskie siły, które nadały samobójczym zamachom bombowym wręcz przemysłową regularność i skuteczność.

W jednym z incydentów ubrani po cywilnemu żołnierze Cahalu zastrzelili wysokiej rangi terrorystę Tanzimu w pobliżu jego domu w Dżaninie. Kilka tygodni później inny terrorysta zginął, kiedy eksplodował jego telefon komórkowy. Szefowie palestyńskich ugrupowań terrorystycznych zrozumieli, że Izraelczycy wracają do swej pomonachijskiej polityki zabójstw. Podejrzenie to potwierdziło się w listopadzie 2000 roku, kiedy Izrael dokonał pierwszego publicznie uznanego selektywnego zabójstwa koło Betlejem. Izraelski śmigłowiec *Apache* wystrzelił naprowadzany laserowo pocisk w samochód, zabijając wysokiej rangi przywódcę Tanzimu, Husajna Abajata. Parę miesięcy później Masud Ijad, oficer Brygady 17 – podległej Arafatowi palestyńskiej jednostki komandosów – poniósł śmierć w kolejnym ataku śmigłowcowym. Według Izraela pracował on nad utworzeniem komórki Hezbollahu w Strefie Gazy.

Wykorzystanie śmigłowców szturmowych, zwłaszcza na Zachodnim Brzegu, stanowiło dramatyczną eskalację ze strony Izraela. Ilekroć zamachu dokonano z użyciem statku powietrznego, Izrael przyznawał się do niego.

W tym samym czasie, kiedy Szin Bet i Cahal zaliczały kolejne zabójstwa, rosła też liczba samobójczych ataków na terenie Izraela. W odróżnieniu od pierwszej intifady, w której na jednego zabitego Żyda

przypadało z grubsza dwudziestu pięciu Palestyńczyków, teraz nagle stosunek ten wyniósł jeden do trzech [55].

Do połowy 2001 roku Palestyńczykom udało się przeprowadzić dziesiątki samobójczych ataków na autobusy komunikacji publicznej, popularne kawiarnie i pękające w szwach dyskoteki. Intifada wciąż trwała i na izraelskich przywódców społeczeństwo wywierało coraz silniejszy nacisk, by nakazali agresywniejsze działania. Trzeba było coś zrobić, żeby powstrzymać tę falę terroru.

Jednak nie każdego terrorystę dało się aresztować, zwłaszcza jeżeli operował on głęboko w Strefie Gazy. Tak więc dowódcy Cahalu wpadli na pomysł usprawnienia selektywnych zabójstw – przeniknięcia w szeregi wroga i wyeliminowania przywódców terrorystycznych. Nie było czasu do stracenia. Czym prędzej opracowano wytyczne prawne i zatwierdzono ogólne normy taktyczne. Sprawy szybko nabierały tempa przy pełnym poparciu opinii publicznej – sondaż przeprowadzony w lipcu 2001 roku przez jedną z gazet wykazał, że 90 procent Izraelczyków pochwala tę taktykę.

Żołnierz elitarnej jednostki rozpoznawczej Cahalu podczas misji na Zachodnim Brzegu.

Fot. Cahal

Szef sztabu Cahalu nosił ze sobą notatnik z setkami nazwisk poszukiwanych. Niekiedy lista ta liczyła aż tysiąc pozycji. Każde ugrupowanie terrorystyczne – Hamas, Islamski Dżihad i Tanzim – oznaczone było innym kolorem. Kiedy cel został zlikwidowany, nazwisko przekreślano dużym X.

W lipcu 2002 roku poparcie zaczęło jednak słabnąć. Pierwsze miejsce na izraelskiej liście najbardziej poszukiwanych zajmował Salah Szehada, przywódca zbrojnego skrzydła Hamasu. Był on jedną z sił napędowych Hamasu, jego ideologii i działań. Brał bezpośredni udział w planowaniu i realizacji morderczych zamachów terrorystycznych przeciwko Izraelczykom, ale ponieważ ukrywał się w Gazie i często zmieniał miejsce pobytu, aresztowanie było praktycznie niemożliwe.

Zaaprobowano atak powietrzny i 22 lipca myśliwiec F-16 zrzucił jednotonową bombę na dom w Gazie, w którym nocował Szehada. Poza Szehadą i jego pomocnikiem śmierć poniosło trzynaście postronnych osób – w tym kobiety i dzieci.

Społeczność międzynarodowa gwałtownie zaprotestowała, oskarżając Izrael, że zabijając niewspółmiernie wielu cywilów, naruszył prawo międzynarodowe. Izraelska organizacja obrony praw człowieka złożyła pozew do izraelskiego Sądu Najwyższego, a rząd, pod naciskiem, postanowił powołać specjalną komisję do zbadania zasadności ataku.

Choć Sąd Najwyższy w przełomowej decyzji z 2006 roku ostatecznie zalegalizował selektywne zabójstwa, Cahal zrozumiał, że nie może dalej zrzucać jednotonowych bomb albo wystrzeliwać rakiet *Hellfire*, żeby zlikwidować terrorystów ukrywających się wśród ludności cywilnej. Musiał zbudować precyzyjniejszą broń, a także wprowadzić rygorystyczne i jasne procedury taktyczne, które ograniczyłyby straty uboczne do minimum.

Jeden z opracowanych w owym czasie pocisków rakietowych wyposażony był w głowicę zawierającą zaledwie 200 gramów materiału wybuchowego, która mogła, nie wyrządzając szkody osobom postronnym, wysadzić w powietrze jedno mieszkanie w wieżowcu albo samochód czy motocykl jadący ruchliwą ulicą.

Zmodyfikowano również metody pozyskiwania danych wywiadowczych, a proces decyzyjny prowadzący do selektywnego zabójstwa poddano ściślejszej kontroli. Wydatnie wzrosło natomiast użycie

dronów, ponieważ wybiórczej eliminacji rzadko dokonywano bez wcześniejszego namierzenia celu przez dron.

Jednak broń i wywiad to jeszcze nie wszystko. Cahal wciąż zmagał się z olbrzymimi problemami, chcąc dosięgnąć terrorystów zaszywających się w tkance miejskiej: szpitalach, meczetach, a nawet w prywatnych domach. Jednym z decydujących testów selektywnego zabójstwa jest to, czy uboczne skutki ataku są współmierne do eliminacji jednego terrorysty. Innymi słowy, jeśli ukrywa się on w szpitalu, zbombardowanie budynku oczywiście nie przystaje do korzyści płynących ze zlikwidowania jednego terrorysty. Jeśli jednak ukrywa się w domu z jedną lub dwiema postronnymi osobami, decyzja może być inna.

Próbując uporać się z tym wyzwaniem, w styczniu 2009 roku Cahal zaimprowizował i opracował, na polu walki, nową taktykę nazwaną „pukaniem w dach". Kilka dni wcześniej rozpoczął operację Płynny Ołów, pierwszą poważniejszą akcję przeciwko Hamasowi w Strefie Gazy od czasu jednostronnego wycofania się jakieś trzy i pół roku wcześniej. Informacje wywiadu, gromadzone sumiennie przez miniony rok, wskazywały, że wielka liczba budynków mieszkalnych służy jako tajne składy broni. Cahal wiedział jednak, że nie może tak po prostu bombardować domów, nawet jeśli zostały one przemienione w pełnoprawne cele wojskowe. Przed operacją Cahal i Szin Bet zebrały numery telefonów w tych domach, żeby móc zadzwonić i ostrzec mieszkańców, by wyszli przed zrzuceniem bomb. System ten okazał się niezwykle skuteczny przy pierwszych pięćdziesięciu czterech okazjach. Przy pięćdziesiątej piątej próbie zawiódł.

Tamtego dnia, po telefonie, mieszkańcy wyszli na dach budynku i po prostu stali tam, machając do unoszącego się w górze drona. W kwaterze głównej Cahalu wybuchł spór o to, jak należy postąpić, i atak został odwołany.

Następnego dnia Cahal zadzwonił do kolejnego domu i sytuacja się powtórzyła.

– Zrozumieliśmy, że straciliśmy przewagę taktyczną – wspominał pewien oficer, który był tamtego dnia na stanowisku dowodzenia.

Stworzyło to poważny dylemat. Gdyby budynek nie został zbombardowany, rakiety, które ukryto w jego piwnicy, mogłyby następnego dnia zostać użyte do ataku na Izrael. Z drugiej strony w tym domu były kobiety i dzieci. Izrael nie mógł tak po prostu zrzucić na niego bomby.

I wtedy właśnie kilku oficerów z Dowództwa Południowego Cahalu wpadło na nowy pomysł: zadzwonić do domu, zaczekać, aż mieszkańcy wyjdą na dach, po czym polecić pobliskiemu śmigłowcowi szturmowemu, by wystrzelił w róg dachu nieduży pocisk. Pocisk ten miał niewielką głowicę bojową o małym promieniu rozrzutu odłamków, tak więc gdyby strzał został oddany prawidłowo, nikomu nie stałaby się krzywda.

W jednym z pierwszych wypadków użycia tej nowej taktyki oficerowie Cahalu, zgodnie ze standardową procedurą, zadzwonili pod wszystkie numery w trzypiętrowym budynku, który wedle izraelskiego wywiadu ukrywał pokaźny arsenał Hamasu. Mówiąc po arabsku, wezwali oni mieszkańców do niezwłocznego opuszczenia budynku, zanim zostanie zbombardowany. Na mieszkańcach nie zrobiło to większego wrażenia. Wyszli na dach i machali do drona, którego nie widzieli, ale wiedzieli, że jest gdzieś tam w górze. Komunikat był jasny: ani myśleli odejść.

Pobliski śmigłowiec szturmowy otrzymał zgodę na ostrzelanie z karabinu maszynowego sąsiedniej pustej działki. Niektórzy z zebranych na dachu zrozumieli aluzję i uciekli z budynku. Jednak paru wyrostków, zdając sobie sprawę, że ich dom ma zostać zniszczony, nie dało się przepłoszyć. Zostali tam, gdzie byli.

Wówczas pilot otrzymał zgodę na wystrzelenie pocisku w róg dachu. Kiedy trafił, chłopcy uznali, że Izrael burzy budynek, nie przejmując się ich obecnością. Uciekli, zostawiając pusty dom, który siły powietrzne mogły już zbombardować bez przeszkód. Na nagraniu z nalotu budynek wali się w gruzy, zapoczątkowując szereg wtórnych eksplozji z ukrytego pod nim wielkiego składu broni. Izrael dosłownie stukał Palestyńczykom w dachy.

Im częściej sięgano po tę nową taktykę, tym wyraźniej odnotowano ciągły spadek liczby zabitych cywilów. W 2002 roku stosunek ofiar śmiertelnych wśród ludności cywilnej i uczestników walk wynosił 1:1, co oznaczało, że na każdego zabitego przez Cahal bojownika ginął jeden palestyński cywil. Na początku 2009 roku stosunek ten wynosił już tylko 1:30.

Spadek ten wynikał po części z unikatowej taktyki Cahalu, ale równie znaczącym czynnikiem była liczba precyzyjnych broni i inteligentnych bomb wykorzystywanych w uderzeniach z powietrza. W czasie operacji Płynny Ołów Cahal zrzucił na Strefę Gazy ponad 5 tysięcy pocisków. Przeszło 81 procent z nich stanowiły inteligentne bomby, co było odsetkiem niemającym precedensu we współczesnych wojnach. Dla porównania,

w początkach inwazji na Irak z 2003 roku wojska koalicji używały inteligentnych bomb w 68 procentach przypadków, a podczas wojny w Kosowie w 1999 roku ich udział wynosił zaledwie 35 procent [56].

Wraz ze spadkiem liczby zabitych cywilów wzrosło zaufanie izraelskiego rządu do operacyjnych możliwości Cahalu. Dzięki skutecznemu eliminowaniu terrorystów i minimalizowaniu ofiar wśród ludności cywilnej międzynarodowe naciski na Izrael także straciły na intensywności.

Atak na Amerykę z 11 września 2001 roku wyznaczył punkt zwrotny w wykorzystaniu selektywnych zabójstw. Stany Zjednoczone znalazły się w stanie wojny z wrogiem, który, w odróżnieniu od konwencjonalnych sił zbrojnych, wystawiał do walki bojowników w cywilnych strojach, ukrywających się wśród kobiet i dzieci. Delegacje wysokiej rangi amerykańskich wojskowych przybywały do Izraela, a w szczególności do Dowództwa Południowego, by uczyć się z izraelskich doświadczeń w tropieniu terrorystów w Strefie Gazy. Interesowała ich nie tylko stosowana przez Cahal taktyka, ale także to, jak Cahal łączył w całość dane napływające od informatorów, agentów Szin Betu, analityków wywiadu wojskowego, z nowoczesnych urządzeń monitorujących i ze zwiadu powietrznego.

Administracja Busha postanowiła posłużyć się metodą selektywnych zabójstw w Afganistanie i Iraku, a Barack Obama, po objęciu prezydentury w 2009 roku, rozszerzył ich zastosowanie na niespotykaną wcześniej liczbę organizacji terrorystycznych i państw. W 2016 roku siły zbrojne USA ujawniły, że one także wykorzystywały taktykę „pukania w dach” podczas ataków powietrznych na komórki ISIS w Iraku.

Selektywne zabójstwa, wymyślone w Izraelu, powoli stały się globalnym standardem w wojnie z terroryzmem.

* * *

Ale dlaczego Izrael? Jak doszło do tego, że ten mały kraj wyznaczył światowy standard walki z terrorystami?

Odpowiedź, jak sądzimy, kryje się w dwóch nijakich biurowcach po dwóch stronach Tel Awiwu. Jednym z nich jest centrala Szin Betu, miejsce pracy izraelskiej elity agentów terenowych. Drugi to siedziba wywiadu wojskowego, gdzie napływają wszystkie surowe informacje, analizowane

następnie przez młodych żołnierzy i oficerów Cahalu. W tych dwóch budynkach nowatorskie taktyki i nowoczesne bronie Izraela łączą się z talentami agentów i analityków wywiadu.

Pod względem prestiżu kurs rakazim [1] jest dla Szin Betu tym, czym dla Cahalu Akademia Lotnicza Sił Powietrznych. Tysiące obywateli, w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu lat, zgłaszają się do urządzanego jedynie raz do roku naboru. Przyjętych zostaje tylko garstka wybrańców, a jeszcze mniej kończy szkolenie.

Kurs zaczyna się w Ulpanie, szkole językowej Szin Betu. We wczesnych latach Izraela większość rakazim pochodziła z krajów arabskojęzycznych i przybyła do Izraela w jednej z licznych fal imigracji. Jednak od przeszło dwóch dekad bramy Ulpanu szturmują kandydaci nieznający ani słowa po arabsku, a czterdzieści dwa tygodnie później wychodzą, mówiąc płynnie w tym języku. Potrafią rozmawiać z biznesmenami, politykami i chłopami. Korespondują po arabsku w Internecie, znają na pamięć całe fragmenty Koranu i są dokładnie obznajmieni ze zwyczajami i kulturą Palestyńczyków z Hebronu, odmiennymi od zwyczajów Palestyńczyków z Dżaninu czy z Gazy.

Ukończywszy naukę w Ulpanie, rakazim są wysyłani na dziesięciomiesięczny kurs do Szkoły Wywiadu Szin Betu. Jest to moment, w którym rakaz porzuca swoją tożsamość i włącza się w izraelską antyterrorystyczną wojnę cieni. Tego samego dnia otrzymuje pseudonim, który będzie mu towarzyszył aż po jego ostatni dzień w Szin Becie – imię, którego będzie używał, werbując informatorów – a także konkretny obszar geograficzny, którym będzie się zajmował.

Nowy rakaz uczy się szanować islam jako religię i kulturę swego wroga. Jego uścisk dłoni będzie szczery, a rozmawiając przez telefon z informatorem, będzie potrafił słuchać nie tylko otrzymywanych wiadomości, ale także nastroju i tonu głosu rozmówcy oraz odgłosów z tła. Będzie wiedział o swoich informatorach wszystko – że syn jednego z nich oblał egzamin z matematyki, jakiego dnia obchodzą urodziny ich żony i o czym plotkuje się w tym tygodniu na drugim końcu dzielnicy.

Utalentowany rakaz pogłębia swą wiedzę o demograficznym, społeczno-ekonomicznym, politycznym i towarzyskim przekroju społeczności na swoim obszarze działania. Poznaje członków rozmaitych hamuli (klanów) i organizacji pozarządowych, układ ulic, przy których mają domy zamożni

mieszkańcy, wie, kto wczoraj wziął ślub, a kto ma otrzymać wielki spadek, kiedy umrze jego schorowany ojciec.

Rakaz uczy się być sceptycznym. Kiedy na ulicy mija go kobieta w hidżabie, musi spojrzeć dwa razy, by się upewnić, że nie jest to terrorystka, na którą Izrael poluje od lat. Kiedy sklepy przy ulicy Szuhada w Hebronie zamykają podwoje z powodu strajku, musi wziąć pod uwagę możliwość, że ktoś przygotowuje się do zamachu terrorystycznego w tej okolicy. Kiedy paru mieszkańców obozu uchodźców Balata pod Nablusem kupuje konserwy, musi rozważyć, czy nie ukrywają poszukiwanego człowieka albo porwanego izraelskiego żołnierza. Każdy funkcjonariusz Szin Betu żyje według zasady: „Nie wszystko, co widzisz, jest tym, czym się wydaje”.

Bycie rakazem oznacza nieustające zmagania intelektualne. Rakaz uzyskuje informacje dzięki osobistym kontaktom i wzajemnemu zaufaniu. Tego właśnie uczone były pokolenia rakazim. Praca rakaza bynajmniej nie jest prosta. Czy powinien nawiązać bliską więź z informatorem, czy utrzymywać dystans, tak by informator zachował wobec niego respekt? Czy dla zdobycia informacji wolno mu narazić życie informatora? Co powinien zrobić, kiedy szef komórki terrorystycznej podejrzewa, że jeden z jego ludzi jest izraelskim agentem, i każe mu dla dowiedzenia lojalności zastrzelić żołnierza Cahalu?

Były szef Szin Betu, Jaakow Peri, zaczynał karierę jako rakaz na Zachodnim Brzegu. Opisał tę pracę jako „sztukę uwodzenia” Palestyńczyków, by współpracowali z Izraelem, zdradzając swoich przyjaciół i krewnych. Najlepsi informatorzy Szin Betu, wyjaśnił, nie zostali skuszeni korzyściami – pieniędzmi, opieką medyczną, jaką mogli odtąd zapewnić swoim rodzinom w Izraelu, czy wyjazdami za granicę – ani zwerbowani pod presją. Dali się raczej usidlić osobistemu urokowi rakaza.

Praca rakaza jest dynamiczna. W przeszłości struktura komórki terrorystycznej była jasna. Jej szef miał zastępcę oraz podległych sobie zwykłych współpracowników. Obecnie komórka terrorystyczna może być kierowana przez zagraniczną centralę i składać się z Palestyńczyków z Zachodniego Brzegu, którzy nawet nie znają się nawzajem. W 2015 roku na przykład Szin Bet odkrył na Zachodnim Brzegu komórki terrorystyczne zarządzane ze Strefy Gazy, Kataru, a nawet Turcji.

Każdy członek komórki posuwa przygotowania do zamachu o jeden krok, nigdy nie widząc na oczy żadnego z pozostałych członków. Pierwszy

kupuje samochód i parkuje go obok budynku, który został wynajęty przez drugiego członka. Trzeci umieszcza w samochodzie bombę, podczas gdy czwarty jedzie wozem w wyznaczone miejsce, a piąty detonuje bombę sygnałem z telefonu komórkowego.

Podczas operacji Ochronny Brzeg – izraelskiego starcia z Hamasem w Strefie Gazy latem 2014 roku – rakazim towarzyszyli żołnierzom z Brygady „Nachal" podczas ataku na miasto Bajt Hanun w północnej części Strefy Gazy. Oficerowie piechoty byli zaskoczeni ogromem wiedzy wywiadowców: ich znajomością nazw ulic i imion mieszkańców, aż po najdrobniejsze szczegóły, na przykład, co kryje się pod klapą w podłodze kuchni wysokiej rangi działacza Hamasu. Wiedzieli to wszystko, nigdy wcześniej nie postawiwszy nogi w Strefie Gazy.

Cała ta wiedza pochodziła nie tylko od informatorów, ale także z analizowania gazańskiego krajobrazu. Jedną z metod jest szkolenie z wykorzystaniem unikatowego symulatora używanego przez izraelskie siły powietrzne, który pozwala pilotom, zanim wyruszą na faktyczną misję, przećwiczyć wirtualny lot nad terenem identycznym z przyszłym celem.

W przeszłości profil zagrożeń ze strony Zachodniego Brzegu i Strefy Gazy obejmował strzelaniny, obrzucanie kamieniami, koktajle Mołotowa i od czasu do czasu laboratoria, w których budowano prymitywne bomby i fugasy. W ostatnich latach rakaz Szin Betu musi się także skupić na tunelach terrorystów, na projektowaniu, produkcji i przemycie pocisków rakietowych z Iranu oraz na potencjalnym użyciu przez Hamas dronów. W jednej chwili może dyskutować z palestyńskim biznesmenem o podatkach i uciążliwej procedurze importowo-eksportowej w Gazie, a parę minut później rozmawiać z kopaczem tuneli, by poznać wymiary i model nowej rakiety przeszmuglowanej niedawno do Gazy.

Jego praca jest walką umysłów – nieustannym wysiłkiem, by być o jeden krok przed wrogiem.

* * *

Na drugim końcu Tel Awiwu, w innym mało efektownym biurowcu, znajduje się siedziba Departamentu Informacyjno-Analitycznego Zarządu Wywiadu Wojskowego. Napływają tu wszelkie informacje wywiadowcze. Zadaniem departamentu jest przesiać olbrzymią liczbę danych zebranych przez rozmaite receptory kraju – szpiegów, satelity, drony, media i tak dalej

– przeanalizować je, a następnie przewidzieć, co się wydarzy. Czy Iran pogwałci porozumienie nuklearne, które zawarł w 2015 roku z grupą zachodnich supermocarstw pod przewodnictwem Stanów Zjednoczonych, określaną jako P5+1? Czy Mahmud Abbas zgodzi się na bezwarunkowe wznowienie negocjacji pokojowych z Izraelem? I jak stabilna jest władza króla Abdullaha w Jordanii?

Rolą Departamentu Informacyjno-Analitycznego jest dostarczanie wojskowym i politycznym przywódcom Izraela najlepiej podbudowanych hipotez w odpowiedzi na takie pytania. Jest to skomplikowana gra z wieloma ruchomymi pionkami.

W połowie sierpnia 2014 roku grupa analityków zebrała się na bardzo ważną naradę. Minęło czterdzieści dni od rozpoczęcia operacji Ochronny Brzeg. Izrael szukał sposobu na jej skrócenie i zakończenie walk, które miały trwać jeszcze tydzień i stać się najdłuższą wojną, jaką państwo żydowskie prowadziło od 1948 roku. Oficerowie wywiadu weszli do sali, zostawiwszy telefony komórkowe w specjalnym brązowym pudle na zewnątrz. Iran, Hezbollah i Hamas nie szczędzą starań, by śledzić, co dzieje się w Izraelu. Nawet wyłączona komórka może zostać wykorzystana jako urządzenie podsłuchowe.

Żołnierze nadali pomieszczeniu, w którym siedzieli, nazwę Szaci, akronim od niektórych z ich nazwisk. Do owej sali, dostępnej tylko dla osób z najwyższymi uprawnieniami, wchodzi się przez grube stalowe drzwi z elektronicznym zamkiem szyfrowym. Kamery monitorujące śledzą wszystko czujnym okiem. Na jednej ze ścian wisi flaga Hezbollahu z dedykacją dla oficera, który niedawno przeszedł na emeryturę, nieustanne przypomnienie o wrogach, z którymi walczy Aman. Wewnątrz są kolejne drzwi z kolejnym zamkiem szyfrowym, które prowadzą do małej salki dowodzenia. Tu znajdują się ekrany telewizyjne, komputery i kodowane linie telefoniczne z bezpośrednim dostępem do odpowiednich działów Cahalu i Szin Betu. Żołnierze obsadzają stanowiska przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, obserwując ekrany, analizując obrazy i instruując operatorów dronów zwiadowczych, czego wypatrywać, kiedy szukają celów. To syzyfowa praca, ale jeśli wykona się ją jak należy, może przynieść zdumiewające owoce.

Zespół Szaci to elita wywiadu wojskowego. Podczas izraelskich operacji w Gazie, na przykład, jego członkowie sporządzają czarne listy i tropią ludzi, których Izrael chciałby wyeliminować. W tym celu gromadzą

wszelkie możliwe informacje o potencjalnych celach – jakie mają nawyki, gdzie mieszkają i z kim być może sypiają na boku. Dane te są nieustannie aktualizowane, tak że kiedy przychodzi rozkaz ataku, zespół wie, gdzie szukać wskazanej osoby.

Na naradzie z sierpnia 2014 roku oficerowie wywiadu wysunęli kilka propozycji, jak uderzyć w Hamas i skłonić go do zaprzestania ataków rakietowych. Jedno szybko stało się jasne: Izrael musiał znaleźć sposób na zlikwidowanie czołowych działaczy tej organizacji. Cahal znał miejsce pobytu wielu z nich, jednak szkopuł tkwił w tym, że ukrywali się oni w szpitalach i meczetach albo otaczali się cywilami. Potencjalne straty uboczne – zwłaszcza wśród ludności cywilnej – oznaczały, że w większości wypadków atak nie wchodził w grę.

Zebranie zakończyło się nowymi, jasnymi instrukcjami: non stop zbierać informacje o osobach ze szczytu czarnej listy i rozszerzyć opcje ataku. Jednocześnie analitycy musieli być przygotowani na otrzymanie rządowego upoważnienia do zlikwidowania wysokiego członka Hamasu. Mogło ono przyjść w każdej chwili.

Minęło kilka dni. W sali Szaci przez cały ten czas wrzało jak w ulu. Był piątek i porucznik S. – regulamin Cahalu zabrania upubliczniania pełnych nazwisk oficerów wywiadu – niechętnie zrobił sobie bardzo potrzebną przerwę po jedenastu kolejnych weekendach na służbie. Nie trwała ona długo. Po kilku godzinach zadzwonił jego mountain rose – nieporęczny, opracowany na potrzeby wojska, telefon komórkowy Motoroli szyfrujący przesyłane dane.

– Mamy zielone światło – powiedział jego dowódca. – Idziemy po Al-Ghula.

Parę chwil wcześniej gabinet bezpieczeństwa zaaprobował selektywne zabójstwo Mohammada al-Ghula, finansisty Hamasu, odpowiedzialnego za transfer milionów dolarów dla zbrojnego skrzydła tej organizacji i za finansowanie budowy tuneli łączących Strefę Gazy z Izraelem. Informacje w jego głowie były cenniejsze niż stosy dolarów i szekli, które nosił ze sobą. Znał numery kont bankowych, nazwiska zaufanych właścicieli kantorów z Kairu i Ammanu oraz lokalizację tuneli przemytniczych na granicy z Egiptem, którymi pieniądze wciąż mogły napływać do Strefy Gazy.

W Szaci monitory komputerowe wyświetlały na bieżąco obraz z dronów krążących nad domem Al-Ghula. Terrorysta zaszył się tam razem z żoną

i trojgiem dzieci, ale najświeższe doniesienia wskazywały, że jego rodzina wybiera się do domu jego teściów. Al-Ghul miał zostać sam. To był moment, na który czekał Izrael. Podjechał samochód i żona Al-Ghula z dziećmi wsiadła do środka. Jednak nim minęła minuta, Al-Ghul również wyszedł z domu, wsiadł do swojego auta i ruszył przed siebie. Dron w górze potwierdził, że nikt mu nie towarzyszy.

Opublikowane przez Izrael w 2008 r. zdjęcie wojskowego obozu szkoleniowego Hamasu w Strefie Gazy.
Fot. Cahal

Echa bomb zrzucanych na okolicę przez Siły Powietrzne Izraela nie wystraszyły Al-Ghula, kiedy opuszczał dom. Oficerowie Szaci wcześniej już przeanalizowali potencjalne trasy jego przejazdu i wyznaczyli kilka idealnych punktów ataku. Chodziło o wybranie miejsca, w którym można by zabić jego i nikogo więcej. W pewnym momencie minister obrony i szef sztabu Cahalu poprosili salę dowodzenia o aktualny raport. Do tej pory

kontrolę nad operacją przejął najwyższy rangą dyżurujący oficer sił powietrznych. Tylko on mógł wydać ostateczny rozkaz ataku.

Dron leciał przez dłuższy czas śladem Al-Ghula. Terrorysta zatrzymał się przed innym budynkiem i wyciągnął coś, co wyglądało na worek pieniędzy dla grupy agentów Hamasu. Mimo zielonego światła dla ataku dowódca sił powietrznych wciąż czekał. Chciał sterylnego zamachu bez ofiar cywilnych. Kiedy pocisk został wreszcie wystrzelony, wszyscy wstrzymali oddech. Eksplozja rozerwała srebrny sedan Al-Ghula na strzępy, zabijając go na miejscu. Rozrzucone w wybuchu banknoty dolarowe wolno opadały na ulicę.

* * *

Porucznik S. rozpoczął karierę wojskową w siłach powietrznych jako dowódca rekrutów. Z czasem awansował na dowódcę plutonu. Jego osobowość i talenty przywódcze wyróżniały go z tłumu; jego nazwisko zarekomendowano szefostwu sił powietrznych, które poszukiwało grupy kreatywnych oficerów i błyskotliwych umysłów do pracy w swoim wydziale wywiadu, gdzie lotnictwo wojskowe analizuje możliwości ataku, buduje banki celów i obmyśla nowatorskie sposoby tropienia najbardziej poszukiwanych wrogów Izraela.

Po trzyletnim szkoleniu – obejmującym niezwykle drobiazgową weryfikację i testy osobowości – S. został przydzielony do zespołu wywiadowczego odpowiedzialnego za śledzenie wysokiej rangi terrorystów w Strefie Gazy. Miał dryg do tej pracy, potrafił łączyć w całość strzępki danych i trafnie przewidywać, jak śledzone osoby zachowają się, usiłując przechytrzyć Izrael. Po kilku miesiącach powierzono mu dowództwo nad dwoma zespołami gromadzenia danych. Razem z grupą kolegów S., dwudziestoparolatek, opracował jedyne w swoim rodzaju narzędzie wykorzystywane przez wywiad wojskowy.

S. jest przekonany, że młody wiek żołnierzy Cahalu zajmujących jak on ważne stanowiska daje Izraelowi zdecydowaną przewagę nad jego wywiadowczymi odpowiednikami z całego świata.

– Energiczniej dążymy do zmian. Wciąż rozmawiamy o innowacjach, jakie można wprowadzić, i wysuwamy nowe pomysły modyfikacji reguł – powiedział. – To bezsprzeczny atut.

W Izraelu młodzi analitycy wywiadu, tacy jak S., mają bezpośredni dostęp do najwyższych elit wojskowych i politycznych. Muszą dorosnąć do swoich zadań i podejmować decyzje w mgnieniu oka. Ogromną różnicę stanowi to, że dla S. i jego zespołu wojna nie toczy się gdzieś za oceanem.

– To, co robię, robię dla własnego dobra – bronię moją rodzinę, moich przyjaciół i mój kraj – powiedział. – Codziennie widzę efekty swoich działań, a jeśli nie dziś, to zobaczę je podczas następnej wojny.

S. jest tylko jednym z analityków wywiadu wojskowego, którzy podejmują decyzje o życiu i śmierci. Śledzi poszukiwanych terrorystów i obserwuje zwyczajnie wyglądające bloki mieszkalne, pod którymi Hamas i Hezbollah przypuszczalnie składują rakiety i broń. Jeśli któryś z jego „podopiecznych" zmieni miejsce pobytu, dział operacyjny informuje go o tym. Jeśli w budynku, który obserwuje, zaczyna się remont, odnotowuje to. Odnotowywane jest wszystko. Wszystko budzi podejrzenia.

S. oraz inni analitycy poznają codzienne nawyki obserwowanych i wiedzą, czy wybierają się oni z wizytą do kochanki, czy do matki. Czy idą do supermarketu, czy do pralni. Analitycy ci są uprawnieni do wszczęcia alarmu i zwołania najwyższych dowódców wojskowych tylko dlatego, że zauważyli coś odbiegającego od rutyny. Tego rodzaju odpowiedzialność spoczywająca na tak młodych oficerach nie ma odpowiednika w innych zachodnich siłach zbrojnych. W Izraelu takich oficerów są setki.

* * *

Przez lata izraelski aparat selektywnych zabójstw dostosowuje się podobno do rozmaitych frontów i „obszarów zainteresowania" tego kraju. Wyzwanie jest ogromne, a cele zmieniają się z dnia na dzień. Odkąd Bliskim Wschodem targają epokowe zmiany, zmieniają się również granice. Szczególnie trudna jest, na przykład, sytuacja w Syrii. Aż do wybuchu wojny domowej w 2011 roku izraelski wywiad obserwował państwo i siły zbrojne o jasno określonej hierarchii. Do roku 2016 jednak w Syrii zaroiło się od bojowników Hezbollahu, irańskich Strażników Rewolucji, komórek Al-Kaidy i tysięcy dżihadystów ISIS. Jedno syryjskie miasto może być kontrolowane przez Baszara al-Asada, a inne, raptem parę kilometrów dalej, przez Państwo Islamskie.

Świat nie stoi z boku, podziwiając kunszt, z jakim Izrael stosuje taktykę selektywnych zabójstw. Rozmaite instytucje międzynarodowe, w tym ONZ,

oskarżają często państwo żydowskie o zbrodnie wojenne, zbrodnie przeciwko ludzkości i łamanie prawa międzynarodowego z powodu posługiwania się tą metodą. Trwająca obecnie kampania prawna zmusiła Izrael do wprowadzenia ścisłego nadzoru prawnego nad tym, jak działa i przeciwko komu postanawia działać.

Gdy państwa narodowe oraz regularne armie wokół Izraela i na całym Bliskim Wschodzie rozpadają się jedne po drugich, niezbędny akt uderzenia w ośrodek władzy adwersarza ogromnie się komplikuje. Ugrupowania terrorystyczne w rodzaju Hamasu, Hezbollahu czy ISIS nie mają wyraźnych ośrodków władzy. Z reguły nie mają terytoriów, nie mówiąc już o wyraźnie określonych bazach. Mają jednak przywódców – wodzów i bojowników, których śmierć oznacza niekiedy zabójczy cios dla ich dalszego funkcjonowania. Prawdopodobnie zadaniem Szaci będzie dopilnować, żeby tak się działo.

1. Dosł. koordynatorzy – funkcjonariusze operacyjni Szin Betu prowadzący siatki informatorów (przyp. red.). [wróć]

ROZDZIAŁ 7

Cyberwirusy

Około 320 kilometrów na południe od irańskiej stolicy, Teheranu, leży niewielkie, starożytne miasto Natanz. Jest ono znane ze swego chłodnego klimatu, dorodnych owoców, zabudowań z terakotowej cegły oraz paru pobliskich świątyń sufickich mistyków.

14 sierpnia 2002 roku miasteczko to trafiło na pierwsze strony wszystkich liczących się gazet świata. Narodowa Rada Irańskiego Ruchu Oporu (NRIRO), irańska koalicja opozycyjna, zorganizowała w hotelu Willard w Waszyngtonie konferencję prasową i ujawniła istnienie podziemnego, silnie ufortyfikowanego zakładu wzbogacania uranu, który zbudowano koło Natanzu.

Była to szokująca nowina. Świat wiedział o budowanym przez Iran reaktorze jądrowym w Buszehr – rozpoczętym przez Niemców i kontynuowanym przez Rosjan – ale Teheran zawsze twierdził, że ma on służyć wyłącznie celom pokojowym. Od lat krążyły pogłoski o tajnych obiektach, jednak nigdy żadnego nie odkryto. Znalezienie ich na bezkresnych pustynnych pustkowiach Iranu uważano zresztą za niemal niemożliwe.

Jednak tamtego dżdżystego dnia w Waszyngtonie NRIRO ujawniła istnienie nie tylko Natanzu, ale także budowanego pod Arakiem reaktora ciężkowodnego, który za kilka lat mógłby wytwarzać pluton nadający się do produkcji broni.

W centrum zainteresowania był jednak Natanz. Nie była to po prostu zwyczajna fabryka. Została zbudowana pod ziemią i ufortyfikowana jak twierdza. Każda z jej hal znajdowała się na głębokości dwudziestu metrów, chroniona grubą betonową skorupą i dodatkową warstwą stali, by nie dopuścić do penetracji przez rakiety powietrze-ziemia. Zwykły nalot nie wyrządziłby jej żadnej szkody. Irańczycy wyraźnie wyciągnęli naukę z wcześniejszego ataku Izraela na iracki reaktor jądrowy w roku 1981.

Analitycy z miejsca nabrali podejrzeń, że za informacjami ujawnionymi tamtego dnia przez NRIRO stał Mosad. Źródło jednak nie miało znaczenia. Iran został przyłapany na gorącym uczynku przy budowie nielegalnego obiektu nuklearnego. Świat nie mógł już dłużej ignorować tego, co dzieje się w tym kraju. Ajatollahowie konstruowali bombę.

Izrael wykorzystał to odkrycie, żeby podkreślić zagrożenie, jakie Iran stanowi dla świata. Naciski przyniosły owoce i koniec końców Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej (MAEA) – nuklearnemu nadzorcy ONZ – zezwolono na wizytację Natanzu. Jej inspektorzy potwierdzili, że są tam zainstalowane nowoczesne wirówki zbudowane według projektów otrzymanych z Pakistanu.

Państwa Zatoki Perskiej, obawiające się programu nuklearnego i regionalnych ambicji Iranu, zadbały o to, by świat nie zapomniał o tej sprawie. Izrael również dołożył swoje, powtarzając jak mantrę, że pod uwagę brane są wszystkie opcje, z militarnymi włącznie. Irański Korpus Strażników Rewolucji potraktował te groźby poważnie i wzmocnił instalacje obronne wokół obiektu działami przeciwlotniczymi i rakietami ziemia-powietrze.

Natanz powstał w wyraźnym celu. Jego dwie podziemne hale – każda wielkości około 9 tysięcy metrów kwadratowych – mogły pomieścić dziesiątki tysięcy wirówek, wielkich stalowych maszyn służących do wzbogacania uranu. Jeśli Iran chciał mieć broń jądrową, tam właśnie zamierzał uzyskiwać wzbogacony uran.

W 2009 roku w Natanzu zaczęło się dziać coś osobliwego. Wirówki fiksowały. Jednego dnia przestawała działać grupa na końcu sali. Następnego dnia kilka sztuk po drugiej stronie. Wydawało się, że nie ma żadnego związku między tymi usterkami a komputerami, które sterowały kaskadami wirówek i wskazywały, że wszystko jest w porządku. Była to zagadka.

Trwało to pewien czas, jednak w listopadzie 2010 roku MAEA potwierdziła, że Iran wstrzymał prace w Natanzu. Kilka dni później, zrozumiawszy, że sekret się wydał, irański prezydent Mahmud Ahmadineżad zbagatelizował skalę problemu, ale przyznał, że wrogom Iranu udało się wyrządzić niewielkie szkody w systemach komputerowych kilku obiektów nuklearnych. Źródło problemu, oświadczył, zostało zidentyfikowane, a sytuację opanowano.

Kłamał. Przeszło tysiąc z blisko 9 tysięcy wirówek w Natanzu zostało wyłączonych z eksploatacji. Komuś udało się wyeliminować ponad dziesięć procent irańskich wirówek bez choćby jednego wystrzału.

Pytanie brzmiało: jak?

* * *

Odpowiedź nazywała się Igrzyska Olimpijskie – dyskretna akcja rozpoczęta rzekomo w 2006 roku przez Izrael i Stany Zjednoczone. Te „igrzyska" jednak nie miały nic wspólnego ze sportem, ale były ściśle tajnym planem opracowania broni cybernetycznej, która mogłaby posłużyć do zastopowania programu nuklearnego Iranu [57].

Dla obu krajów pomysł ten był nowy, a jego szanse na powodzenie nieznane. Mimo wszystko jednak wydawał się niezwykle atrakcyjny. Cybernetyczna broń nie zostawiałaby odcisków palców, byłaby niewykrywalna i, co najważniejsze, nie wymagałaby wysłania myśliwców z Izraela czy USA dla zbombardowania Iranu. Z drugiej strony atak musiałby być równie niszczycielski jak uderzenie rakiety balistycznej.

Do współpracy między Izraelem a Stanami Zjednoczonymi doszło w okresie zacieśnienia izraelsko-amerykańskich związków w dziedzinie obronności. Izrael wciąż jeszcze nie otrząsnął się z szoku po drugiej wojnie libańskiej, a Stany Zjednoczone szukały sposobów na uśmierzenie obaw Jerozolimy co do Iranu. Jeśli wspólna praca nad bronią cybernetyczną mogła odroczyć izraelski atak, to z perspektywy Białego Domu gra była warta świeczki.

Za cel obrano Natanz, a konkretnie przemysłowe systemy komputerowe firmy Siemens, które sterują rzędami tamtejszych wirówek.

Robak, który później otrzymał nazwę Stuxnet, infekował urządzenia kontrolujące prędkość silników wirówek służących do rozdzielania izotopów uranu. Kod Stuxnetu zmieniał częstotliwość konwertera, najpierw podwyższając ją do przeszło 1400 herców, a następnie obniżając do 2 – rozpędzając wirówkę, a potem niemal ją wyhamowując – aż wreszcie stabilizował ją na poziomie nieco powyżej 1000 herców.

Mówiąc w skrócie, Stuxnet sprawiał, że silniki irańskich wirówek to zwiększały, to zmniejszały prędkość obrotów, co wystarczało, by w końcu przestawały działać.

Początkowo Irańczykom trudno było uwierzyć, że problemy w Natanzu zostały spowodowane przez wirus, gdyż tamtejsze komputery nie były podłączone do Internetu. W miarę upływu czasu jednak przyznano, że jedyną możliwością jest, iż jeden z komputerów zakładu został zainfekowany wirusem przez tajnego agenta, prawdopodobnie za pomocą przenośnej pamięci USB.

Aby się to udało, nie wystarczyłoby po prostu wprowadzić robaka do komputerów Natanzu. Haker musiałby znać dokładną strukturę irańskiego systemu komputerowego aż po poszczególne przewody, tak by robak wiedział, jak przemieszczać się i przeskakiwać z jednego urządzenia na drugie. Izrael i Stany Zjednoczone musiałyby jakoś zdobyć te szczegółowe schematy.

Po drugie, musiałyby znaleźć kogoś, czyj komputer mogłyby zainfekować i wykorzystać jako odskocznię do ataku na sieć Natanzu. Pod tym względem CIA podobno zdała się na Izrael, który, jak się sądzi, miał informatorów wśród personelu nuklearnych obiektów Iranu [58].

Takie metody sprawdzały się w przeszłości. W 2008 roku pewien amerykański żołnierz znalazł kilka pendrive'ów walających się na ziemi koło jednej z baz wojskowych na Bliskim Wschodzie. Pendrive'y zostały celowo zainfekowane robakiem komputerowym, a stojąca za tą operacją obca agencja wywiadowcza liczyła na to, że żołnierz, kierowany zwykłym ludzkim instynktem, podniesie je i podłączy do swojego komputera, żeby zobaczyć, co zawierają. Skutek był niemal katastrofalny: do systemu komputerowego centralnego dowództwa amerykańskich sił zbrojnych dostał się robak, którego usunięcie zajęło czternaście miesięcy [59].

Stuxnet został podobno stworzony przez zespoły działające w Izraelu i USA. W Izraelu pracami kierowała Jednostka 8200 – odpowiednik amerykańskiej Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, NSA – wspomagana przez Mosad [60]. W Stanach Zjednoczonych głównym wykonawcą była NSA. Jednostka 8200 i NSA współpracowały ze sobą od lat.

Jednym z pierwszych niezależnych ekspertów, którzy analizowali kod Stuxneta po tym, jak wyciekł on z Iranu, był niemiecki informatyk Ralf Langner. Z ustami otwartymi ze zdumienia wpatrywał się on w 15 tysięcy linii jego kodu. Według jego oceny robakowi udało się cofnąć irański program nuklearny o dwa lata [61].

– Z perspektywy militarnej był to olbrzymi sukces – powiedział.

Wirus, który odkrył Langner i inni eksperci, był obecny w irańskich komputerach od paru lat i zdążył rozprzestrzenić się na kilkanaście krajów. Jak stwierdzono, zainfekowanych zostało około 100 tysięcy komputerów, w tym blisko 80 tysięcy w samym Iranie.

„Sabotaż", o którym mówił Ahmadinedżad, był jednak znacznie większą sprawą. Stuxnet nie był zwyczajnym wirusem. Był bronią, która dyktowała nowe reguły gry. Jego użycie odmieniło oblicze współczesnej wojny.

Eksperci komputerowi od razu przyjęli, że to Izrael stoi za stworzeniem robaka. Izrael miał największy interes w zastopowaniu irańskiego programu nuklearnego i był jego najbardziej zagorzałym krytykiem. Wskazywały na to też pewne poszlaki odkryte w samym kodzie: liczba, która rzekomo odpowiadała dacie zamordowania pewnego irańsko-żydowskiego filantropa, oraz słowo *myrtus* (mirt), możliwe nawiązanie do Estery, żydowskiej żony króla starożytnej Persji, której heroizm upamiętnia święto Purim [62].

Choć Izrael nigdy nie potwierdził ani nie zdementował tych domysłów, pojawił się pewien ważny trop. W 2011 roku szef sztabu Cahalu odchodził ze stanowiska i, jak jest w zwyczaju, wojsko zorganizowało dla niego przyjęcie pożegnalne. Obecne były najważniejsze osoby w państwie – premier, prezydent, minister obrony i oczywiście cała wierchuszka sił zbrojnych. W czasie imprezy wyświetlono film dokumentujący karierę dowódcy Cahalu. Pokazano tam jego udział w pierwszej wojnie libańskiej w 1982 roku i rozmaite operacje, którymi dowodził w Strefie Gazy i na Zachodnim Brzegu. Pod koniec materiał nawiązał do innej przypisywanej Izraelowi operacji – na ekranie mignęło krótko jedno słowo. Stuxnet.

* * *

Z pozoru wydaje się dziwne, że Izrael i Iran są wrogami. Kraje te nie mają wspólnej granicy, są jedynymi niearabskimi państwami na Bliskim Wschodzie i nawiązały oficjalne stosunki dyplomatyczne już w 1948 roku, krótko po proklamowaniu niepodległości Izraela. Wszystko jednak zmieniła rewolucja islamska z 1979 roku. Z najlepszych przyjaciół – według ówczesnych pogłosek Izrael rozważał sprzedanie Iranowi zaawansowanych pocisków balistycznych – oba kraje przeistoczyły się w zaprzysięgłych wrogów.

Początkowo źródłem konfliktu było przede wszystkim poparcie Iranu dla antyizraelskich ugrupowań terrorystycznych – Hezbollahu w Libanie oraz Hamasu i Islamskiego Dżihadu w Strefie Gazy. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych XX wieku izraelski wywiad nie miał cienia wątpliwości – Iran zmierzał szybkimi krokami do uzyskania broni jądrowej.

Irański program nuklearny został zainicjowany kilka dekad wcześniej, z pomocą Stanów Zjednoczonych. W pierwszych dniach po rewolucji mułłowie wstrzymali wszelkie prace w tym zakresie, jednak nie trwało długo, nim uświadomili sobie, jaki mają potencjał: energia jądrowa mogła uczynić z Iranu globalne supermocarstwo.

W 2002 roku Izrael nasilił walkę przeciwko nuklearnym ambicjom Iranu. W owym roku premier Ariel Szaron powołał Meira Dagana, doświadczonego generała Cahalu, na stanowisko szefa Mosadu, działającej w cieniu izraelskiej agencji wywiadu zewnętrznego.

Podczas kilkudziesięcioletniej służby w Cahalu Dagan dał się poznać jako śmiały żołnierz i nowatorski taktyk. Jego odwaga była legendarna: w jednej z akcji wyrwał granat z rąk nieprzyjacielskiego żołnierza, za co otrzymał Medal za Odwagę.

W 1970 roku Szaron, wówczas szef Dowództwa Południowego Cahalu, wybrał Dagana na dowódcę jednostki specjalnej Sajeret Rimon, której komandosi, przebrani za Palestyńczyków, operowali w Strefie Gazy, polując na terrorystów z OWP.

O charakterze kadencji Dagana jako dyrektora Mosadu wiele mówi sposób, w jaki udekorował on swój gabinet. Na ścianie skromnego pokoju zawisło czarno-białe zdjęcie starego, brodatego Żyda w tałesie – żydowskim szalu modlitewnym – klęczącego przed dwoma hitlerowskimi żołnierzami, z których jeden trzyma w ręku kij, a drugi karabin.

– Spójrzcie na tę fotografię – mówił Dagan swoim gościom. – Ten człowiek klęczący przed nazistami to mój dziadek tuż przed tym, jak go zamordowano. Codziennie patrzę na to zdjęcie i przyrzekam sobie, że Holokaust nigdy się nie powtórzy.

Wysiłki Mosadu przyniosły owoce. Irańscy naukowcy zaczęli znikać. Niektórzy uciekli na Zachód. Inni zginęli zastrzeleni przez zamaskowanych osobników na ulicach Teheranu.

W styczniu 2007 roku, na przykład, Ardaszir Hosejnpur, wysokiej rangi irański naukowiec, został znaleziony martwy w swoim biurze w zakładzie konwersji uranu w Isfahanie, kluczowym obiekcie irańskiego programu

nuklearnego. Sądzi się, że został zagazowany na śmierć. W styczniu 2010 roku Masud Ali Mohammadi, inny znany irański fizyk jądrowy, zginął, kiedy przed bramą jego teherańskiego domu eksplodował motocykl wyładowany materiałami wybuchowymi. Kilka miesięcy później, w listopadzie, w centrum Teheranu wybuchła bomba, zabijając Madżida Szahrijariego, kolejnego czołowego fizyka jądrowego.

Zamachy nie były jedynym narzędziem, z jakiego korzystał Izrael, by wyhamować irański program nuklearny. Donoszono również o niezliczonych aktach sabotażu. W 2007 roku, na przykład, elektryczne podzespoły służące do regulowania prądu w Natanzu z niewiadomego powodu rozerwały się, niszcząc dziesiątki wirówek. Przy innych okazjach agencje wywiadowcze nakłaniały firmy z całego świata, by celowo sprzedawały Iranowi wadliwy sprzęt dla potrzeb jego programu nuklearnego i zbrojeniowego.

Choć Mosadowi udało się spowolnić postępy Iranu, ajatollahowie nie dali za wygraną. Sięgnęli po fundusze przeznaczone pierwotnie na cele socjalne, krajowe placówki medyczne i uniwersytety. Naukowcom przydzielono ochroniarzy i zakazano im opuszczania kraju. Wszędzie wzmożono środki bezpieczeństwa.

W połowie pierwszej dekady XXI wieku izraelski wywiad doszedł do wniosku, że Iran opanował całą technologię niezbędną do wyprodukowania bomby. Odtąd wszystko było jedynie kwestią decyzji, by to zrobić. Jeśli Izrael nie znajdzie – i to szybko – sposobu na zapobieżenie temu, to atak zbrojny, ostatnia deska ratunku państwa żydowskiego, stanie się jedyną opcją. O wojnie, która byłaby tego następstwem, rozmawiano w kategoriach katastroficznych.

Stuxnet nie był pierwszym cybernetycznym atakiem w historii, ale jego skuteczność ukazała w pełnym świetle najgłębsze obawy świata. Dotychczas ataki na witryny internetowe powodowały stosunkowo niewielkie szkody. Na przykład w 2007 roku atak na Estonię przejściowo sparaliżował banki, agendy rządowe i lokalne media. Stuxnet jednak stanowił znacznie większe zagrożenie. Mógł zatrzymać ruch pociągów w całym kraju lub wyłączyć sieć energetyczną w danym mieście. Jak powiedział Dmitrij Rogozin, ówczesny przedstawiciel Rosji przy NATO, Stuxnet mógł nawet „doprowadzić do nowego Czarnobyla”.

* * *

Iran postanowił odpowiedzieć na atak i w ciągu roku od wykrycia Stuxnetu stworzył własną jednostkę cybernetyczną, inwestując przeszło miliard dolarów w budowę potężnego potencjału ofensywnego i defensywnego.

Irańscy informatycy zdali sobie sprawę, że Stuxnet był tylko wierzchołkiem góry lodowej, a przyszłość może przynieść ataki o bardziej wyrafinowanym i niszczycielskim charakterze. I faktycznie, w 2012 roku Iran wykrył kolejnego wirusa – o nazwie Flame – który zainfekował komputery w całym kraju. Flame, opracowany podobno przez Izrael i Stany Zjednoczone, przeszukuje sieci komputerowe i wykrada dane z zainfekowanych komputerów [63].

W odpowiedzi Iran wystarał się o nowe narzędzia pozwalające działać w darknecie, ciemnej stronie Internetu, odwiedzanej przez wrogi element i cyberprzestępców. Sądzi się także, że podzielił się swoją wiedzą i techniką z Hezbollahem – swoją wtyczką w Libanie – dla pomnożenia sił w razie ewentualnej wojny z Izraelem.

W tym samym roku amerykański wywiad ujawnił, że cybernetyczny potencjał Iranu drastycznie wzrósł pod względem „głębi i złożoności". W ciągu dwóch lat po Stuxnecie Iran nasilił ataki cybernetyczne, obierając za cel saudyjski państwowy koncern naftowy, katarską spółkę gazowniczą i kilka amerykańskich banków [64].

Zaniepokojony tym potęgującym się zagrożeniem premier Binjamin Netanjahu wezwał swojego sekretarza wojskowego na specjalne spotkanie, by przedyskutować następne kroki Izraela. Choć kraj zbudował imponujące mechanizmy obronne, Netanjahu obawiał się, że Iran ze swym rosnącym potencjałem cybernetycznym zdoła przez nie przeniknąć. Sekretarz wojskowy zaproponował zasięgnięcie porady u profesora Icchaka Ben Israela, swego dawnego kolegi z sił powietrznych i światowej sławy eksperta w dziedzinie bezpieczeństwa narodowego, techniki i, w szczególności, wojny cybernetycznej.

Spotkanie odbyło się kilka dni później i Ben Israel odniósł z rozmowy z Netanjahu wrażenie, że czasu jest mało i że trzeba zrobić coś, by uchronić się i obronić przed potencjalnym irańskim atakiem. Sytuacji nie poprawiało też to, że hakerzy z byłego Związku Radzieckiego oferowali broń cybernetyczną temu, kto zaproponuje najwyższą cenę. Nad Izraelem zawisła groza.

Ben Israel był człowiekiem sukcesu. Urodzony w 1949 roku w Tel Awiwie jako syn dwojga członków Lechi, jednej z przedpaństwowych

podziemnych organizacji żydowskich, w młodym wieku nauczył się, że Izrael nie może traktować swego bezpieczeństwa jako czegoś danego raz na zawsze.

Po szkole średniej wstąpił do Cahalu jako naukowiec, studiował fizykę oraz matematykę i szybko zasłynął z nieszablonowego myślenia, biorąc udział w wielu ważnych operacjach i misjach wywiadowczych SPI. W 1972 roku otrzymał prestiżową Nagrodę za Zasługi dla Obronności Izraela za opracowanie nowego systemu bombowego dla myśliwców *Phantom*, który znacząco poprawił ich możliwości ataku. Rok później stał u boku dowództwa sił powietrznych podczas ich najczarniejszej godziny, wojny Jom Kipur, kiedy to zestrzelonych zostało ponad sto izraelskich samolotów bojowych. Był członkiem zespołu inżynierów i techników, którzy pomogli Siłom Powietrznym Izraela zrehabilitować się po wojnie, prowadząc je ku potędze technicznej.

Zimą 1992 roku Ben Israel odwiedził Londyn, gdzie miał się spotkać z przedstawicielami niemieckich sił zbrojnych. Podczas jednego z tych spotkań jego niemieccy koledzy zaczęli rozmawiać o Internecie i jego możliwych zastosowaniach wojskowych. Ben Israel nie miał pojęcia, o czym oni mówią, i niemieccy oficerowie zaproponowali, że prześlą mu e-mailem kilka prac naukowych. To także niewiele powiedziało Izraelczykowi. Dopiero później tego roku Internet, stworzony pierwotnie jako amerykański projekt wojskowy, wkroczył na rynek cywilny i dotarł do Izraela.

Po powrocie do Tel Awiwu Ben Israel pogrążył się w lekturze pism Alvina Tofflera, amerykańskiego pisarza i futurysty znanego z książek takich jak *Szok przyszłości*, *Trzecia fala* i *Rewolucyjne bogactwo*. Ben Israel był zafascynowany poglądami Tofflera na to, jak będzie wyglądał świat w dobie Internetu. Kręciło mu się w głowie na myśl o tym, co Internet oznaczałby dla Cahalu i przyszłości sztuki wojennej.

W roku 1995 uznał, że nadeszła pora, by wojsko powołało jednostkę walki komputerowej. W owym czasie nikt nawet nie używał słowa „cybernetyczny”. Spotkał się z szefem sztabu Cahalu, który, ku jego zaskoczeniu, zaaprobował ten pomysł i przydzielił pokaźny budżet. Tak było, dopóki o tych planach nie dowiedziały się siły powietrzne. „Jest za wcześnie, by inwestować w taką technologię”, protestowali oficerowie lotnictwa, chcąc utrzymać swój status najbardziej zaawansowanej technicznie formacji sił zbrojnych.

Pomimo sprzeciwów Ben Israelowi udało się znaleźć sojusznika w osobie młodego pułkownika Amanu, Pinchasa Buchrisa. Ten odznaczony oficer i dowódca elitarnej Sajeret Matkal znany był w kręgach wojskowych z roli, jaką odegrał w rozmaitych operacjach, między innymi uwolnienia zakładników w Entebbe z 1976 roku. Operacja ta była jedną z najśmielszych izraelskich akcji i zademonstrowała całemu światu, jak daleko sięga ramię Cahalu.

Później Buchris został dowódcą Jednostki 8200 i pełnił funkcję dyrektora generalnego w Ministerstwie Obrony. Ale wtedy, jako młody pułkownik, postanowił wydzielić w Amanie małą podjednostkę do kierowania walką komputerową. Ben Israel i Buchris uzgodnili wspólnie, że skupiać się ona będzie na ofensywnych i defensywnych operacjach komputerowych. W owym czasie niewielu ludzi wiedziało, co to w ogóle znaczy, ale już wkrótce zaczęły wykluwać się pierwsze pomysły – na przykład użycie komputerów do ataku na wroga.

W 1998 roku Ben Israel, awansowany na generała majora, stanął na czele Mafatu – Departamentu Badań i Rozwoju Ministerstwa Obrony. Jego obowiązki były różnorodne. Z jednej strony Mafat asystował, zapewniając wsparcie, przy bieżących operacjach wojskowych, z drugiej zaś musiał wybiegać wzrokiem naprzód i wymyślać nowe bronie, których Izrael będzie potrzebował, aby odnieść zwycięstwo w przyszłych wojnach. Wkrótce jednym z priorytetów Ben Israela stała się walka cybernetyczna.

W 2000 roku Ben Israel napisał list do premiera Ehuda Baraka, ostrzegając, że Izrael jest narażony na atak komputerowy. Gdyby jakaś wroga siła odkryła koncepcje opracowywane w jednostce komputerowej Cahalu, powiedział Barakowi, kraj mógłby zostać sparaliżowany. Potencjalne szkody byłyby ogromne.

Barak – zaabsorbowany w owym czasie negocjacjami pokojowymi z Jasirem Arafatem i powstrzymaniem nowego palestyńskiego powstania – potraktował przestrogi Ben Israela poważnie. Polecił Radzie Bezpieczeństwa Narodowego przeanalizowanie podatności na atak kluczowej infrastruktury Izraela – sieci wodociągowej, elektrycznej i gazowej. Zajęło to trochę czasu, jednak dwa lata później rząd oficjalnie powołał nową instytucję o nazwie Re’em – hebrajski akronim od Zarząd Narodowego Bezpieczeństwa Informacyjnego – odpowiedzialną za ochronę infrastruktury kraju.

W roku 2011, po spotkaniu z Netanjahu, Ben Israel uzyskał zgodę na utworzenie kilku grup roboczych dla rozważenia, jak Izrael mógłby się przygotować do przyszłej wojny, która niewątpliwie obejmowałaby ataki cybernetyczne. Zwerbował osiemdziesięciu ekspertów z różnych dziedzin, w tym pracowników naukowych i wysokich urzędników państwowych, których podzielił następnie na rozmaite komisje, z których każda miała sporządzić listę zaleceń dotyczących gospodarki, przemysłu zaawansowanych technologii, sił zbrojnych, a nawet wyższych uczelni. Buchris został wybrany na szefa ósmej, tajnej komisji, zajmującej się sprawami obronności. Kilka miesięcy później Ben Israel wrócił do premiera z dwustupięćdziesięciostronicowym raportem i długim wykazem zaleceń.

Już wtedy widać było wyraźnie, że cyberprzestrzeń jest zatłoczona i że wielka liczba graczy – Mosad, Aman i Szin Bet – prowadzi tam działalność bez jakiejkolwiek koordynacji. Konieczne było stworzenie wspólnego języka dla wszystkich agencji. W tym celu Ben Israel zalecił powołanie pod auspicjami Kancelarii Premiera Narodowego Urzędu Cyberbezpieczeństwa, jedynej i centralnej władzy odpowiedzialnej za koordynowanie działań rozmaitych graczy i zdolnej przedstawiać szybkie rozwiązania zagrożeń i problemów. Członkowie poszczególnych komisji zalecali rozbudowę wydziałów informatyki na izraelskich uniwersytetach, przydzielenie dodatkowych funduszy rządowych na wzmocnienie prywatnego przemysłu oraz utworzenie nowych ośrodków badań cybernetycznych. W 2016 roku było w Izraelu pięć takich ośrodków, z których jednym – Interdyscyplinarnym Ośrodkiem Badań Cybernetycznych Bławatnika na Uniwersytecie Telawiwskim – kierował sam Ben Israel.

Tajna komisja, na czele której stał Buchris, zaleciła utworzenie wojskowego zespołu cybernetycznego w ramach Jednostki 8200. Ta największa jednostka Cahalu jest odpowiedzialna za wywiad elektroniczny – mówiąc w skrócie, pozyskiwanie i przetwarzanie wszelkich informacji transmitowanych sieciami telefonicznymi lub przez Internet.

Jednostka 8200 jest symbolem zdumiewającego skoku technologicznego, jaki dokonał się w Izraelu w ostatnich dwudziestu latach. Fakt, że jej dawni członkowie założyli niektóre z najlepiej prosperujących izraelskich firm z branży high-tech, czyni ją jednym z najbardziej upragnionych przydziałów w Cahalu. Służba w niej wpaja żołnierzom obok zaawansowanej wiedzy technicznej także silny zmysł przedsiębiorczości i nowatorstwa.

Żołnierze jednostki współpracują ściśle z wydłużającą się wciąż listą izraelskich firm informatycznych, a w wielu wypadkach opracowują technologię na miejscu. Ich zadanie jest łatwe do opisania, ale trudne do wykonania – przysłuchiwać się rozmowom z całego świata arabskiego, przechwytywać e-maile i śledzić na bieżąco aktualne wydarzenia.

Choć Izrael oficjalnie milczy na temat swego potencjału cybernetycznego, nie da się ukryć, że jest dziś światowym liderem w dziedzinie cyberbezpieczeństwa, eksportującym produkty informatyczne o wartości przeszło 6 miliardów dolarów rocznie, co dorównuje jego rocznemu eksportowi uzbrojenia. Liczący raptem 8 milionów mieszkańców Izrael przechwycił około 10 procent globalnego rynku cybernetycznego – setki firm z sektora high-tech zostały założone przez samych tylko byłych żołnierzy i pracowników Amanu – co stawia go na równi z krajami takimi jak Stany Zjednoczone, Chiny czy Rosja [65].

* * *

Ale w jaki sposób Izrael zyskał taką przewagę cybernetyczną? Według Ben Israela źródła pozycji kraju jako cybernetycznego supermocarstwa tkwią w trzech decyzjach podjętych przez Davida Ben Guriona po proklamowaniu niepodległości Izraela w 1948 roku.

Jak pisaliśmy w rozdziale pierwszym, dla Ben Guriona oczywiste było, że Państwo Izrael nie zdoła pokonać swych arabskich wrogów siłą liczebną. Jeśli kraj miał przetrwać, trzeba było zrealizować trzy główne cele. Po pierwsze, Izrael musiał stworzyć „armię narodową”, powołując bezprecedensowy odsetek obywateli, zarówno mężczyzn, jak i kobiet. To dzięki temu właśnie po ogłoszeniu niepodległości Cahal stał się armią, która zawsze liczyła około 5 procent całej ludności kraju. W krajach Zachodu odsetek populacji służący w siłach zbrojnych wynosi od 0,2 do 0,4 procent.

Drugą decyzją Ben Guriona było zadbanie o to, by siły zbrojne w procesie rekrutacji kładły nacisk nie tylko na ilość, ale na jakość. Jego celem było wykształcone wojsko, złożone z inteligentnych, nieszablonowo myślących żołnierzy, którzy potrafiliby czerpać z żydowskich tradycji edukacyjnych i naukowych zaimportowanych do raczkującego państwa przez kolejne fale imigrantów z Europy i Afryki Północnej.

– To nie jest sprawa genetyki, ale kultury – powiedział nam Ben Israel, kiedy spotkaliśmy się na Uniwersytecie Telawiwskim, przywołując fakt, że przeszło 20 procent laureatów Nagrody Nobla jest żydowskiego pochodzenia, wliczając w to kilku Izraelczyków.

Trzecią decyzją Ben Guriona było podkreślanie znaczenia nauki i techniki w siłach zbrojnych. Nie jest zbiegiem okoliczności, że kiedy oficjalnie utworzono Siły Obronne Izraela, były one jedyną w owym czasie armią, która oprócz tradycyjnej piechoty, marynarki i lotnictwa miała też korpus naukowy.

Pojawiło się jednak pytanie: jeśli żołnierze są powoływani w wieku osiemnastu lat, skąd siły zbrojne mają wziąć swoich inżynierów, matematyków i fizyków? Odpowiedzią był program Atuda, specjalna ścieżka akademicka dla izraelskiej młodzieży. Żołnierze najpierw studiowali na uniwersytecie, a następnie służyli w wojsku przez sześć lat, o trzy lata dłużej niż zwykli rekruci. Była to wielka prośba, ale młodzi Izraelczycy spełniali ją ochoczo.

Atuda była postrzegana w siłach zbrojnych jako elitarna kadra wysokiej jakości kapitału ludzkiego. Jej absolwenci – nazywani cudownymi dziećmi Cahalu – służyli w rozmaitych jednostkach technicznych armii, opracowując i obsługując jej najbardziej zaawansowane systemy. Niektórzy z absolwentów przedłużali służbę poza wymagane sześć lat i przechodzili do cywila jako dwudziestoośmio- lub trzydziestolatkowie z pokaźnym doświadczeniem. Wielu wracało na uniwersytet, by podjąć karierę naukową, ale większość włączyła się do kiełkującego izraelskiego sektora zaawansowanych technologii.

Po wojnie Jom Kipur, w 1973 roku, program Atuda nabrał większego znaczenia. Francuskie embargo – nałożone w 1967 roku po wojnie sześciodniowej – wciąż obowiązywało i Izrael został bez części zamiennych do swoich samolotów, czołgów oraz innych systemów uzbrojenia. Ta wielka próżnia uświadomiła państwu żydowskiemu, że musi rozbudować krajowy przemysł obronny choćby po to, by związać koniec z końcem.

W następnych trzech dekadach izraelski przemysł zbrojeniowy rozwinął się od zaledwie kilku tysięcy pracowników do przeszło 40 tysięcy. Dokonało się to ogromnym kosztem dla państwa. Nieustanny rozwój rozmaitych przedsiębiorstw zmuszał kolejne rządy do pokrywania ich corocznych deficytów. Firmy prześcigały się w projektowaniu

i wytwarzaniu najbardziej zaawansowanych technologii i systemów uzbrojenia, ale obawa przed utratą przewagi technicznej powstrzymywała je przed sprzedażą swych wyrobów obcym siłom zbrojnym.

Mimo że Izrael zdawał sobie sprawę z ryzyka, postanowił powoli otworzyć swoje przedsiębiorstwa zbrojeniowe na świat. W połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku jego roczny eksport uzbrojenia przekroczył miliard dolarów, a dziesięć lat później sięgnął 4 miliardów. Proces ten postępował wolno, właśnie z uwzględnieniem ryzyka. Jednak Izrael wyraźnie zmierzał do roli militarnego supermocarstwa.

* * *

Jednym z „cudownych dzieci" Atudy jest Janiw Harel, który do 2015 roku pełnił funkcję szefa Departamentu Informatyki Ministerstwa Obrony. Harel, najmłodszy syn ocalałych z Holokaustu, dorastał na przedmieściach Hajfy w północnym Izraelu, a w 1992 roku przystąpił do Atudy i studiował elektronikę na Technionie. Pod koniec studiów złożył podanie o przyjęcie do jednej z tajnych jednostek wywiadowczych Amanu. Wysokie oceny otworzyły mu drzwi i wkrótce dał się poznać jako nieszablonowy inżynier, który nie cofa się przed łamaniem biurokratycznych barier między rozmaitymi agencjami wywiadowczymi. Dla Harela partnerstwo było źródłem siły, co kłóciło się z konwencjonalną kulturą społeczności wywiadowczej, gdzie większość dowódców wolała zatrzymywać poufne informacje dla siebie. Jeden z tajnych projektów, którym kierował, przyniósł Harelowi Nagrodę za Zasługi dla Obronności Izraela.

Po piętnastu latach służby Harel zawiesił mundur na kołku, by wrócić do szkoły i uzyskać doktorat z zarządzania strategicznego na Uniwersytecie Telawiwskim. Miał mieszane uczucia, gdyż wiedział, że nie wróci już do jednostki, w której dojrzewał jako oficer.

Po uzyskaniu stopnia naukowego Harel odrzucił wysokie stanowisko w Amanie, by dołączyć do Ministerstwa Obrony, gdzie został szefem Departamentu Informatyki Mafatu. W armii toczył się właśnie zażarty spór o to, jak wielka powinna być jej jednostka cybernetyczna. Jedna szkoła myślenia opowiadała się za przyjęciem do Jednostki 8200 setek nowych żołnierzy i oficerów, którzy mieli tworzyć nowe systemy i bronie. Harel nie zgadzał się z tym. Twierdził, że jednostka powinna otworzyć się na rynek

cywilny i nawiązać ściślejszą współpracę z izraelskimi firmami, które dokonywały zdumiewających postępów technicznych.

– Nie potrzebujemy więcej ludzi, żeby powtarzali to, co już jest robione – mówił innym oficerom. – Potrzebujemy po prostu lepszych stosunków z cywilnymi przedsiębiorstwami.

To, co proponował Harel, oznaczało rewolucję. Izraelski potencjał cybernetyczny był ściśle strzeżoną tajemnicą i aż do tej pory rozwijany był w większości we własnym zakresie, przez jednostki takie jak 8200.

Harel rozumiał jednak, że globalny cyberpociąg ruszył już ze stacji i pędzi naprzód. Jeśli Cahal nie przyspieszy kroku i nie rozszerzy swoich możliwości rozwojowych i produkcyjnych, wrogowie przegonią go. W pierwszym roku urzędowania Harel zainicjował piętnaście umów o współpracy między siłami zbrojnymi a izraelskimi start-upami. Do roku 2014, zanim odszedł ze stanowiska, takich projektów było już osiemdziesiąt.

Zdaniem Harela Izraelowi udało się zostać cybernetycznym supermocarstwem dzięki panującej w tym kraju kulturze akceptowania porażek.

– Są kultury, w których człowiek jest praktycznie wykluczany, jeśli powinie mu się noga, a to sprawia, że myśli bardziej zachowawczo, gdyż obawia się, że działanie zagrozi jego pozycji – powiedział nam w swoim gabinecie w siedzibie EMC, gdzie kieruje Grupą Rozwiązań Cybernetycznych. – Przeciętny Izraelczyk odważa się podjąć ryzyko bez obawy porażki.

Inny atut Izraela, mówi Harel, jest widoczny w Cahalu, gdzie młodsi oficerowie są zachęcani do zabierania głosu w ważnych dyskusjach i otwartego wyrażania opinii odmiennych, niż mają ich przełożeni. Ma to nie dopuścić do sytuacji, w której ważna informacja pozostawałaby w rękach jednego żołnierza, który z obawy przed reakcją hierarchii postanowiłby zatrzymać ją dla siebie.

Na ścianie gabinetu Harela wisi fotografia przedstawiająca braci Wright obok jednego z ich pierwszych samolotów. Zdjęcie to jest dla niego symbolem – ale nie przeszłości, lecz przyszłości. Kiedy bracia Wright po raz pierwszy wzbili się w powietrze, nie wiedzieli, że otwierają drzwi do nowego wymiaru wojen, w którym pojawią się wojska lotnicze, niewidoczne dla radarów myśliwce i drony szturmowe. Drzwi do nowego

wymiaru cyberprzestrzeni są już otwarte. Wciąż jednak nie jest jasne, co znajduje się za nimi.

* * *

Ten nowy charakter sztuki wojennej dobrze obrazuje pewna legendarna operacja – o której wciąż mówi się ściszonym głosem – w której połączyły się elementy szpiegostwa, wojny cybernetycznej, wojny elektronicznej i zbrojeń nuklearnych [66].

Pierwszy sygnał, że coś się stało, dała syryjska państwowa agencja prasowa, SANA, 6 września 2007 roku. Poinformowała ona, że syryjskie jednostki obrony powietrznej wykryły poprzedniej nocy infiltrację myśliwców Sił Powietrznych Izraela, wystrzeliły w stronę samolotów rakiety i przepłoszyły pilotów. Raport twierdził, że myśliwce zrzuciły pociski na pustynię, nie wyrządzając żadnych szkód.

Choć wieść o nalocie była osobliwa, nie był to pierwszy wypadek, kiedy izraelskie myśliwce wtargnęły do Syrii. W 2003 roku cztery F-16 przemknęły tuż nad letnią rezydencją prezydenta Syrii Baszara al-Asada w Latakii, gdzie spędzał wakacje, w odwecie za śmierć małego izraelskiego chłopca w ostrzale rakietowym Hezbollahu. Izrael chciał upokorzyć Asada i dać mu do zrozumienia, by trzymał w ryzach swego libańskiego terrorystycznego agenta. Samoloty leciały podobno tak nisko, że w oknach pałacu popękały szyby. Parę miesięcy później SPI zbombardowały bazę szkoleniową Islamskiego Dżihadu w Syrii w odpowiedzi na samobójczy zamach bombowy, w którym zginęło dziewiętnaście osób. W 2006 roku natomiast izraelskie myśliwce ponownie przeleciały nad rezydencją w Latakii, by przypomnieć Asadowi, że zapłaci za udzielanie schronienia przywódcom Hamasu w Damaszku.

Ale tym razem Izrael milczał. Prośby mediów o komentarz pozostawały bez odpowiedzi. Parę dni później Departament Stanu USA przyznał, że słyszał o tym incydencie z drugiej ręki, ale zaprzeczył, jakoby wiedział coś więcej. Pierwszy dowód, że w ogóle coś się wydarzyło, pojawił się w tureckiej gazecie „Hürriyet”, która opublikowała zdjęcia dwóch izraelskich samolotowych zbiorników paliwa znalezionych po tureckiej stronie granicy z Syrią, na domniemanej trasie lotu myśliwców. Po kilku kolejnych dniach zaczęły ukazywać się doniesienia, jakoby celem był

w istocie reaktor jądrowy, który Syria budowała nad Eufratem w północno-wschodniej części kraju.

Wiadomość ta wywołała szok. Świat wiedział o poparciu Asada dla Hezbollahu, jak również o jego ogromnym arsenale broni chemicznej, ale nikt nie sądził, że będzie on próbował zbudować nielegalną bombę jądrową. Za kulisami MAEA zaczęła naciskać na Syrię, by pozwoliła jej inspektorom przybyć na miejsce zdarzenia, ale Asad odmówił, twierdząc, że zaatakowany obiekt był pustym magazynem.

Nalot przeprowadziło podobno dziesięć myśliwców F-15. Kilka minut po wylocie nadszedł ostateczny rozkaz ataku i siedem samolotów odłączyło się od formacji, zwiększając prędkość, gdy wkroczyły w syryjską przestrzeń powietrzną. Parę sekund później zrzuciły już pierwsze bomby na instalację radarową. Dwie minuty później myśliwce znalazły się nad reaktorem jądrowym. Tam zrzuciły pociski AGM-65, każdy o wadze około pół tony.

Gdy piloci zaczęli wycofywać się z nieprzyjacielskiej przestrzeni powietrznej, syryjskie siły zbrojne zorientowały się w końcu, że nastąpił atak, i wystrzeliły na ślepo w niebo salwę rakiet przeciwlotniczych. Myśliwce były już wtedy daleko.

Piloci, którzy tamtej nocy polecieli nad Syrię, zaledwie kilka godzin przed startem dowiedzieli się, co tak naprawdę ma być celem ataku. Aż dotąd przygotowywali się do misji bombowej w Syrii, ale nie powiedziano im, czym jest atakowany obiekt. Jeśli faktycznie do tego doszło, był to drugi zniszczony przez Izrael reaktor jądrowy, tyle że tym razem, w odróżnieniu od zbombardowania reaktora Osirak w Iraku w 1981 roku, pilotom nie wolno było o tym mówić ani z przyjaciółmi, ani z rodzinami.

Mniej znanym faktem dotyczącym nalotu na reaktor jest domniemane użycie przez Izrael innowacyjnego cyberataku elektronicznego, który zmylił syryjskie systemy obrony powietrznej, najpierw sprawiając wrażenie, że na niebie nie ma żadnych myśliwców, a potem, w mgnieniu oka, sygnalizując, że są ich setki [67].

Była to rewolucyjna technika. Świat wiedział już, czym są cyberataki i walka elektroniczna. Nie widział jeszcze ich obu wykorzystanych łącznie.

Wyglądało na to, że Izrael dysponował odpowiednikiem amerykańskiego programu Suter, który, mówiąc w skrócie, ogłupia systemy radarowe tak, że widzą coś, co nie istnieje. Został on opracowany przez Pentagon już kilka lat wcześniej, sądzono jednak, że jest nieosiągalny dla Izraela. Jak Izrael

zdobył tę technologię, pozostaje tajemnicą, ale wydaje się, że została ona opracowana na miejscu, przez izraelskich inżynierów [68].

Ostatecznie jednak nie miało to żadnego znaczenia. Choć uwaga większości świata skupiła się na zniszczeniu reaktora jądrowego, atak z tamtej nocy przyniósł przełom – Izrael przypuszczalnie posłużył się techniką cybernetyczną na polu walki.

* * *

Kiedy Baszar al-Asad latem 2000 roku objął po swoim ojcu fotel prezydenta Syrii, na Zachodzie żywiono nadzieję, że ten wykształcony w Wielkiej Brytanii okulista otworzy kraj na świat i zainicjuje rozległe reformy, a może nawet zawrze pokój z Izraelem. Asad, jak się okazało, miał inne plany. Zacieśnił więzi z Hezbollahem i Iranem oraz nawiązał strategiczne stosunki z Koreą Północną.

W 2004 roku NSA wykryła rosnącą liczbę połączeń telefonicznych między Koreą Północną a Syrią. Po stronie syryjskiej wiele połączeń zdawało się wychodzić z pewnego miejsca na pustyni, w pobliżu miasta Dajr az-Zaur nad brzegami Eufratu. NSA podobno przekazała tę informację Jednostce 8200, swej izraelskiej odpowiedniczce, która z kolei powołała zespół analityków, żeby ustalić, co się dzieje na północ od Izraela.

Początkowo możliwość, że Syria współpracuje z Koreą Północną przy projekcie nuklearnym, zdawała się nie wchodzić w grę. Budowa reaktora pozostawiłaby szereg śladów, które nie mogłyby ujść uwagi Izraela. Robocza hipoteza mówiła, że relacje te koncentrują się na projektowaniu rakiet balistycznych. Oba kraje miały ich pokaźne arsenały i można było sądzić, że starają się rozwinąć swój potencjał. Wydawało się nieprawdopodobne, by Asad próbował wskrzesić ideę syryjskiej broni jądrowej, którą jego ojciec rozważał, ale ostatecznie zarzucił w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy to nie skorzystał z okazji zakupienia technologii jądrowej od nieuczciwego pakistańskiego naukowca, Abdula Kadira Chana.

Tak więc pod koniec 2006 roku Mosad wyekspediował podobno dwóch agentów do Londynu, by skonsultowali się z MI6, brytyjską agencją wywiadu zagranicznego, i spróbowali rozpracować sojusz między Syrią a Koreą Północną [69].

W Londynie na agentów Mosadu czekała niespodzianka. Jak pisze „Der Spiegel”, w tym czasie w mieście bawił pewien wysoki syryjski urzędnik państwowy, który zameldował się w luksusowym hotelu w dzielnicy Kensington. Syryjczyk generalnie nie ruszał się nigdzie bez torby z laptopem. Raz jednak, wychodząc z hotelu na jakieś spotkanie, zostawił komputer w pokoju. Ekipa Mosadu otrzymała podobno pozwolenie na włamanie się do środka i zhakowanie komputera. Cała operacja trwała sekundy: agenci włamali się do pokoju, zainstalowali konia trojańskiego i wyszli.

Już parę minut później koń trojański przesyłał informacje z komputera Syryjczyka do centrali Mosadu pod Tel Awiwem. Twardy dysk był wywiadowczą żyłą złota. Zawierał plany budowy i fotografie konstruowanego przez Syrię reaktora. Jedno ze zdjęć przedstawiało dwóch pięćdziesięcioparoletnich mężczyzn: Azjaty w niebieskim dresie oraz Araba. Byli to Chon Chibu, wysokiej rangi północnokoreański fizyk jądrowy, i Ibrahim Othman, szef syryjskiej Komisji Energii Atomowej. Te zdjęcia zmieniły wszystko. Wszelkie izraelskie domysły w kwestii poczynań Korei Północnej w Syrii okazały się mylne [70].

Teraz jednak Izrael musiał znaleźć to miejsce. Zadanie to powierzono Jednostce 9900 Amanu, która zajmuje się rozpoznaniem obrazowym i jest odpowiedzialna za gromadzenie i przetwarzanie wszelkich tego rodzaju danych pozyskanych przez izraelskie satelity. Nie trwało długo, nim analitycy namierzyli podejrzany obiekt: kilka otoczonych drzewami niskich budynków w północno-wschodniej Syrii. Inżynierowie, którzy wybrali to miejsce, zadbali, by nie przyciągało uwagi i pozostało niewykryte przez satelity zwiadowcze. Domniemany reaktor przypominał z zewnątrz jedną z bizantyjskich twierdz rozsianych licznie w syryjskim krajobrazie i został zbudowany w wąwozie, tak że widoczny był tylko z góry. W pobliżu nie było też żadnych zabezpieczeń – żadnych systemów obrony powietrznej ani dział przeciwlotniczych, które mogłyby wzbudzić podejrzenia. Był jednak jeden budynek, którego nie dało się zamaskować: pompownia wody, której wymaga każdy reaktor ciężkowodny, oraz towarzyszący jej rurociąg, który biegł w stronę odległego o niespełna półtora kilometra Eufratu.

O odkryciu poinformowano niezwłocznie premiera Ehuda Olmerta, ten zaś zorganizował dwa specjalne fora. W skład pierwszego weszli: minister obrony Amir Perec, dyrektor Mosadu Meir Dagan, szef sztabu Cahalu generał porucznik Gabi Aszkenazi, szef Amanu oraz dowódca Sił

Powietrznych Izraela. Drugie tworzyło trzech byłych premierów: Szimon Peres, Binjamin Netanjahu i Ehud Barak [71].

Forum bezpieczeństwa przedstawiło trzy różne opcje ataku. Pierwszą był dokonany po kryjomu nalot z udziałem niewielkiej liczby myśliwców, co pozwoliłoby Izraelowi w pewnej mierze wyprzeć się odpowiedzialności. Drugą opcją była głośna operacja powietrzna z pełnym pokazem siły w celu publicznego upokorzenia Asada. Trzecia, być może najbardziej ryzykowna, przewidywała wysłanie do Syrii oddziałów specjalnych, by zaminowały i wysadziły reaktor [72].

Olmert i Perec polecili Cahalowi przygotować wszystkie trzy, choć wcześnie stało się jasne, że preferowana jest opcja dyskretna, która nie pozostawiłaby śladów prowadzących do Izraela [73].

Zegar tykał. Analitycy wywiadu Cahalu ostrzegali, że akcję trzeba przeprowadzić, zanim reaktor zostanie uruchomiony. W przeciwnym razie atak na pracujący reaktor doprowadziłby do skażenia Eufratu, stwarzając zagrożenie dla mieszkańców Syrii i Turcji.

Nawet dysponując zdobytymi w Londynie zdjęciami i planami konstrukcyjnymi, izraelskie agencje wywiadowcze wciąż nie szczędziły starań, by uzyskać więcej informacji. Chciały mieć pewność. W marcu 2007 roku podobno trafiła im się kolejna gratka. Othman, szef syryjskiego programu nuklearnego, wyjechał do Wiednia na zebranie MAEA. Agenci Mosadu włamali się do jego domu, zainstalowali na jego komputerze konia trojańskiego i ulotnili się bez śladu. Informacje znów nie pozostawiały cienia wątpliwości – Syryjczycy zamierzali zbudować broń jądrową [74].

Olmert zdecydował, że Syrię trzeba powstrzymać, ale nie chciał atakować. Wolał, żeby operację przeprowadzili Amerykanie. W kwietniu Izrael odwiedzić miał sekretarz obrony USA, Robert Gates. Miała to być pierwsza wizyta szefa Pentagonu niemal od dziesięciu lat. Pora nie mogłaby być lepiej wybrana. Kiedy Gates przybył, jego personel poinformowano, że Perec za kilka godzin zjawi się w hotelu na prywatne, nieoficjalne spotkanie. Była to osobliwa prośba, ale Izraelczycy nalegali.

– Ma do przekazania ważną wiadomość – powiedzieli Amerykanom.

Tymczasem Dagan, szef Mosadu, zmierzał do Waszyngtonu na rozmowy z wiceprezydentem Dickiem Cheneyem i doradcą do spraw bezpieczeństwa narodowego Stephenem Hadleyem. Chodziło o to, by mniej więcej w tym samym czasie zaprezentować im zebrane informacje na temat reaktora.

Amerykanie byli zaskoczeni tymi nowinami, ale Olmert podobno postanowił pójść o krok dalej i prosto z mostu poprosił prezydenta George’a W. Busha, by USA zniszczyły reaktor. Według amerykańskich urzędników wtajemniczonych w przebieg rozmów Bush rozważył tę prośbę, ale koniec końców ją odrzucił. Tocząc już dwie wojny na Bliskim Wschodzie, nie chciał otwierać kolejnego frontu z innym arabskim krajem. Jeśli miało dojść do ataku, musiał go przeprowadzić Izrael.

Ostateczne zbombardowanie reaktora zademonstrowało nowy rodzaj sztuki wojennej praktykowany rzekomo przez Izrael – połączone działanie szpiegów, komandosów, satelitów i walki cybernetycznej, uwieńczone uderzeniem z powietrza.

* * *

Przyszłość jest niewiadomą. Nie ma dotąd podręcznika, który ustalałby reguły toczenia wojen w cyberprzestrzeni. Czy atak cybernetyczny za pomocą Stuxneta lub zainstalowanie konia trojańskiego na rządowym komputerze innego państwa stanowi akt wojny, jak nalot albo inwazja lądowa? Stuxnet wstrzymał irański program nuklearny, ale Teheran nie zdobył się na odwet. Syryjski reaktor jądrowy został zniszczony, a Damaszek również zachował milczenie.

Jak postąpiłby Izrael, gdyby sam padł ofiarą cyberataku? Czy zareagowałby, czy pozostał bezczynny jak Iran i Syria?

Na pytania te nie ma na razie odpowiedzi. Jasne jest jednak, że przyszłe wojny będą wyglądały zupełnie inaczej niż te z przeszłości. Już dziś armie takie jak Cahal obsadzają żołnierzy w nowej roli „cyberwojowników” uzbrojonych w klawiaturę, którzy naciskając kilka klawiszy, mogą rzucić wrogi kraj na kolana. Cokolwiek zrobi Izrael, świat będzie bacznie to śledził.

ROZDZIAŁ 8

Oręż dyplomatyczny

Nieoznakowany pasażerski boeing 707 wystartował z Portu Lotniczego Ben Guriona i wylądował godzinę później w Ejlacie, kurorcie na południu kraju. Była późna noc, a dla turystów spacerujących deptakiem wzdłuż plaży samolot był znajomym widokiem. Po godzinie na ziemi maszyna znów wzbiła się w powietrze, tym razem biorąc kurs na wschód. Dziesięć godzin później wylądowała w Kalkucie, spędziła parę godzin na ziemi, by uzupełnić paliwo, i wystartowała ponownie. Jej celem był Kanton, stolica jednej z południowych prowincji Chin. Tam na pokład weszła grupa mówiących po niemiecku chińskich nawigatorów, a samolot rozpoczął czwarty i ostatni etap podróży – do zamkniętej bazy wojskowej na peryferiach stolicy Chin.

Po wylądowaniu w Pekinie „cudzoziemcom” – jak określano tę grupę – pozwolono w końcu wysiąść z samolotu i zabrano ich do pobliskiego ogrodzonego obiektu, gdzie mieściła się niegdyś ambasada Belgii. Wyjście poza teren kompleksu, jak ich uprzedzono, nie wchodziło w grę.

„Cudzoziemcy” prawie nie odzywali się do siebie, domyślając się, że wszystkie pomieszczenia kompleksu są na podsłuchu i ich rozmowy będą nagrywane. Jeśli mieli coś ważnego do omówienia, wychodzili na dwór w zimną, gęstą od smogu chińską noc.

Chińczycy nie wiedzieli naprawdę, kim jest tych dwudziestu kilku mężczyzn. Powiedziano im, że to zagraniczni biznesmeni mający powiązania z paroma największymi międzynarodowymi koncernami zbrojeniowymi, między innymi z Izraela. To była tylko przykrywka. W rzeczywistości delegacji przewodził dyrektor generalny Israel Aerospace Industries, czołowej państwowej firmy zbrojeniowej, któremu towarzyszyli wysokiej rangi przedstawiciele Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Ministerstwa Obrony.

Był luty 1979 roku i członkowie izraelskiego establishmentu obronnego po raz pierwszy postawili nogę w Chinach.

Ta długo planowana wizyta była ściśle strzeżoną tajemnicą. Izrael i Chiny nie utrzymywały kontaktów dyplomatycznych. Nikt – z wyjątkiem członków delegacji, premiera, ministra obrony i garstki innych osób – nie wiedział o tej wyprawie. Gdyby rzecz się wydała, Izrael wiedział, że Amerykanie byliby wściekli. Z drugiej strony USA miały lada dzień ogłosić nawiązanie oficjalnych stosunków dyplomatycznych z Chinami, więc jeśli chciało się postawić wszystko na jedną kartę, to właśnie był odpowiedni moment.

Do zbliżenia skłoniły oba państwa wspólne interesy. Chiny, po rewolucji kulturalnej, były w trakcie wprowadzania szeroko zakrojonych reform i otwierały się na Zachód. W Iranie ajatollah Chomejni wrócił właśnie z wygnania we Francji, a reżim szacha upadł, co oznaczało, że Izrael wkrótce straci jednego z głównych nabywców broni. Chiny mogły wypełnić tę próżnię.

Człowiekiem, który otworzył przed Izraelem drzwi do Chin, był Saul Eisenberg, żydowski miliarder, który podczas drugiej wojny światowej, tak jak 20 tysięcy innych Żydów, uciekł przed Holokaustem do Szanghaju. Po wojnie zbudował na Dalekim Wschodzie imperium finansowe, stając się jednym z pierwszych ludzi Zachodu robiących interesy w Chinach, Japonii i Korei. Wykorzystał te powiązania, by zainteresować Chiny izraelskim uzbrojeniem, a nawet przekazał swego prywatnego boeinga 707, by przywieźć izraelską delegację owym dziewiczym lotem do Pekinu w 1979 roku [75].

Mimo wszystko Chińczycy byli pełni obaw. Nie chcieli rozdrażnić swych tradycyjnych i długoletnich sojuszników – Związku Radzieckiego i bloku państw arabskich – nagłym otwarciem się dla Izraela. Zarówno Izrael, jak i Chiny musiały stąpać ostrożnie.

Eisenberg zapoznał się z produktami izraelskiego przemysłu zbrojeniowego przy okazji innych umów, które pomagał wynegocjować w całej Azji. Po serii wstępnych spotkań z Chińczykami wrócił do Izraela z listą zakupów – miszmaszem rakiet, radarów, pocisków artyleryjskich i broni pancernej – i nalegał, żeby rząd wysłał delegację.

W Izraelu decyzja o udaniu się do Chin nie zapadła łatwo. Premier Menachem Begin był wtajemniczony od samego początku, ale przekazał pytania dotyczące listy zakupów ministrowi obrony Ezerowi Weizmanowi, któremu polecił osobiście zatwierdzić, co izraelskie firmy mogą, a czego nie mogą sprzedać [76].

Chińczykom powiedziano, że delegację tworzy grupa przyjaciół Eisenberga, którzy mają kontakty w Izraelu i mogą sprowadzić żądaną broń. Izraelczycy równie słabo orientowali się, z kim mają do czynienia.

– Czy to byli inżynierowie? Agenci wywiadu? Wojskowi? – wspominał jeden z członków izraelskiej delegacji. – Wszyscy nosili te mundurki w stylu Mao. Nie mieliśmy zielonego pojęcia, z kim w ogóle rozmawiamy.

Przez tydzień, który delegaci spędzili w Pekinie, nie pozwalano im kontaktować się z Izraelem. Zmarła w tym czasie matka jednego z nich, ale nie było możliwości powiadomienia go o tym. Dowiedział się o jej śmierci dopiero w samolocie, wracając do kraju.

W trakcie wizyty „cudzoziemcy” rozdawali Chińczykom prospekty reklamowe rozmaitych broni, twierdząc, że mogą je sprowadzić z Izraela. Chińczycy byli pod wrażeniem, ale nie składali żadnych zobowiązań. W ślad za pierwszym nastąpiły kolejne wyjazdy, niekiedy samolotami Sił Powietrznych Izraela, z których usunięto niebieskie gwiazdy Dawida. Do tej pory Chińczycy wiedzieli już, że kontaktują się bezpośrednio z izraelskim rządem. Kiedy lista zakupów została sfinalizowana, przedstawiono ją Beginowi i Weizmanowi do akceptacji.

Negocjacje te były zderzeniem kultur. Izraelczycy chcieli podpisać kontrakt, który mógłby posłużyć jako ogólny wzorzec przyszłych transakcji. Liczyli na lawinową sprzedaż. Problem polegał na tym, że Chińczycy nie byli przyzwyczajeni do skomplikowanych umów. I tak, na przykład, w pewnym momencie negocjacji Izraelczycy nalegali na umieszczenie w umowie klauzuli siły wyższej.

– Co to takiego? – zapytali Chińczycy.

Kiedy Izraelczycy wyjaśnili im, że zwalnia ona strony od odpowiedzialności za niedotrzymanie umowy w razie niedającego się przewidzieć „dopustu bożego”, Chińczycy odpowiedzieli po prostu:

– Ach, to niepotrzebne, my nie wierzymy w Boga.

Zabrało to rok, ale po długotrwałych negocjacjach strony wypracowały w końcu ramowe porozumienie. Pierwsza dostawa – amunicja do czołgów – przybyła w 1981 roku.

Kontakty trwały, ale nawet gdy stosunki się ociepliły, umowy wciąż musiały być zawierane w zupełnej tajemnicy. Chińczycy ze swej strony nigdy nie wybrali się do Izraela, ale nie mieli nic przeciwko podpisywaniu kontraktów wartych setki milionów dolarów na podstawie paru zdjęć broni

i nagrań wideo. Nigdy nie obejrzeli na własne oczy linii produkcyjnych. W świecie handlu bronią taka ufność była czymś niespotykanym.

W 1985 roku Chińczycy uchylili jednak rąbka tajemnicy. Po raz pierwszy zgodzili się wydać wizy dziewięciu przedstawicielom izraelskiego przemysłu rolnego, w tym urzędnikowi z Ministerstwa Rolnictwa, by poznać stosowane przez Izrael nowatorskie techniki uprawy roli. W tym samym roku państwo żydowskie ponownie otworzyło swój konsulat w Hongkongu, który zamknęło dziesięć lat wcześniej [77]. Izrael naciskał Pekin na ustanowienie oficjalnych stosunków, to jednak musiało poczekać do upadku Związku Radzieckiego i madryckiej konferencji pokojowej z 1991 roku. Dopiero kiedy Arabowie jawnie usiedli z Izraelem przy stole rokowań, Chińczycy byli skłonni zrobić to samo.

W 1992 roku ustanowiono w końcu stosunki dyplomatyczne. Handel cywilny rozwinął się w zawrotnym tempie, wzrastając od niespełna 100 milionów dolarów w 1991 roku do przeszło 8 miliardów dwadzieścia lat później, a Chiny stały się najważniejszym partnerem handlowym Izraela w Azji. Wszystko to stało się możliwe dzięki owej tajnej delegacji w sprawie handlu bronią z 1979 roku.

* * *

Od czasu utworzenia Państwa Izrael kontakty w dziedzinie obronności, a zwłaszcza sprzedaż broni, odgrywały rolę wykraczającą poza oczywisty ekonomiczny cel dostarczenia izraelskiej gospodarce miliardów dolarów. Otoczony przez wrogie kraje arabskie Izrael wykorzystał swoją przodującą technikę i doświadczenie wojskowe jako kartę przetargową dla nawiązania stosunków dyplomatycznych z krajami – takimi jak Rosja, Chiny, Singapur czy Indie – które normalnie trzymałyby się od państwa żydowskiego z daleka.

Interesy bywały różnorodne. Niektóre kraje z podziwem patrzyły na rozkwit Izraela i chciały powtórzyć jego sukces. Inne stały w obliczu podobnych zagrożeń ze strony państw, które, jak te na granicach Izraela, dysponowały radzieckim sprzętem wojskowym. Chciały skorzystać z izraelskich doświadczeń, zdobywanych przez lata konfliktów i wojen.

Choć handel bronią pomagał nawiązać kontakty dyplomatyczne, jak w wypadku Chin, miał on także pewną cenę, często stwarzając napięcia

między Izraelem a jego najważniejszym sojusznikiem, Stanami Zjednoczonymi.

Tak właśnie stało się z *Phalconem*, który stanowił przedmiot być może najbardziej niefortunnej umowy na sprzedaż broni, jaką Izrael zawarł kiedykolwiek z obcym krajem. *Phalcon* był montowanym na samolotach systemem wczesnego ostrzegania, dowodzenia i kontroli przestrzeni powietrznej (AEWC&C) i spodziewano się, że jego sprzedaż Chinom osiągnie wartość rzędu 2 miliardów dolarów, co byłoby największą izraelską transakcją na sprzedaż broni w dziejach. Spodziewano się, że korzyści będą nie tylko ekonomiczne. Chiny miały wpływ na niektórych wrogów Izraela i Jerozolima liczyła na to, że transakcja ta – która ugruntowałaby pozycję państwa żydowskiego jako czołowego chińskiego dostawcy broni – stanie się narzędziem kształtowania polityki Pekinu.

Rozmowy w sprawie sprzedaży *Phalcona* rozpoczęły się pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku, zanim jeszcze oba kraje nawiązały oficjalne stosunki dyplomatyczne. W 1993 roku, rok po tym, jak Izrael otworzył ambasadę w Pekinie, premier Icchak Rabin jako pierwsza izraelska głowa państwa odwiedził Chiny, a rozmowy nabrały rozpędu. Chińczycy ogłosili globalny przetarg, a Izrael złożył oficjalną propozycję, obok Rosji i Wielkiej Brytanii.

Systemy AEWC&C odgrywają wielką rolę na współczesnym polu walki, pozwalając prowadzić w czasie rzeczywistym rozpoznanie radarowe niezbędne do zdobycia i utrzymania przewagi powietrznej. Izraelski *Phalcon*, opracowany i produkowany przez Eltę, filię państwowego koncernu IAI, jest jednym z najbardziej zaawansowanych systemów AEWC&C świata, zdolnym śledzić dziesiątki celów równocześnie. Chiny planowały wykorzystać go, by obserwować, co dzieje się wzdłuż ich morskich granic, i roztoczyć swoją władzę na całą Azję.

Po owej wizycie Rabin poprosił Ministerstwo Obrony, aby powiadomiło Pentagon, że Izrael postanowił wystartować w chińskim przetargu. Był to naturalny krok. Izrael kilka lat wcześniej uzyskał od Stanów Zjednoczonych zgodę na sprzedaż broni Chinom, jeśli tylko nie będzie ona wykorzystywać amerykańskiej technologii.

Choć Izrael w swojej ofercie przewidywał zainstalowanie *Phalcona* – zestawu radarów i systemów rozpoznania elektronicznego – na standardowych samolotach Boeinga, Chińczycy nalegali na wykorzystanie rosyjskich transportowych iłów. To komplikowało sprawy. Izrael nigdy nie

kupował sprzętu wojskowego od Rosji, głównego dostawcy broni dla jego wrogów. Poza tym Rosja przegrała przetarg. Ostatnim, czego można było od niej oczekiwać, była pomoc Izraelowi.

Rabinowi zależało jednak na tej umowie, tak więc w 1995 roku poprosił Borysa Jelcyna o samolot. Odpowiedź była przychylna, ale niezobowiązująca. Dwa lata później premier Binjamin Netanjahu udał się do Moskwy i sfinalizował transakcję. Aby udział Chin nie wyszedł na jaw, towarzyszącym premierowi reporterom powiedziano, że samolot jest przeznaczony dla Izraela [78].

Po wizycie Netanjahu do Moskwy poleciał Mosze Keret, dyrektor generalny IAI, żeby dograć szczegóły techniczne. Udało mu się wynegocjować obniżenie ceny do 45 milionów dolarów. Problemem było jednak wyjaśnienie rosyjskim inżynierom, jakich zmian wymaga Izrael w projekcie samolotu, żeby mógł on pomieścić systemy radarowe *Phalcona*. Okazało się to nieco skomplikowane, bo choć macierzyste przedsiębiorstwo miało siedzibę w Moskwie, iły były montowane w Uzbekistanie, a silniki pochodziły z Ukrainy.

Natychmiast po sfinalizowaniu umowy z Moskwą o zakup samolotu Izrael podpisał z Chinami kontrakt na *Phalcona* i otrzymał zaliczkę. Zdawało się, że wszystko idzie jak z płatka.

Netanjahu był zwolennikiem pełnej przejrzystości, tak więc po zawarciu umowy w sprawie samolotu poinformował o tym prezydenta Billa Clintona. Amerykanie nie byli zachwyceni, nie zgłosili też jednak poważnego sprzeciwu. Ale potem, w 1999 roku, wszystko się zmieniło. Premierem został Ehud Barak, a kilka miesięcy później ił wylądował w Porcie Lotniczym Ben Guriona. W ciągu paru dni zdjęcie osobliwie wyglądającego samolotu z potężną kopułą pojawiło się na pierwszych stronach miejscowych gazet. Układ z Chinami przestał być tajemnicą.

Skoro wszystko wyszło na jaw, chiński minister obrony Chi Haotian postanowił odwiedzić Izrael, by przyjrzeć się postępom prac. Była to historyczna wizyta, pierwsza, jaką złożył jakikolwiek minister obrony Chin. Izrael nie przewidział jednak gniewu, jaki zdjęcia Haotiana dokonującego inspekcji gwardii honorowej w Tel Awiwie wzbudzą w USA.

Wpływowy felietonista „New York Timesa” Abraham M. Rosenthal, na przykład, potępił rząd Baraka za wpuszczenie do kraju „jednego z głównych zabójców z placu Tiananmen”. Państwo żydowskie, stwierdził, nie powinno sprzedać Chinom nawet jednego pistoletu, a co dopiero

technologii, która może pewnego dnia pozwolić Pekinowi na zestrzelenie amerykańskiego samolotu [79].

Krytyka wzmagała się i Kongres zwrócił baczniejszą uwagę na to, co się dzieje. Nagle rozpętało się piekło.

W kwietniu 2000 roku sekretarz obrony William Cohen publicznie potępił kontrakt i przestrzegł, że ograniczy on zdolność Ameryki do swobodnego operowania w Azji. W czerwcu Izba Reprezentantów Stanów Zjednoczonych uchwaliła niewiążącą rezolucję sprzeciwiającą się sprzedaży. Przewodniczący Podkomisji Środków i Zasobów do spraw Operacji Zagranicznych, deputowany Sonny Callahan, zasugerował obcięcie amerykańskiej pomocy dla Izraela o 250 milionów dolarów, sumę równą kwocie, którą Chiny zapłaciły już za samolot [80].

– Co powie pani Goldberg z Nowego Jorku, kiedy jej syn służący na Pacyfiku zostanie zastrzelony za sprawą żydowskiego AWACS-a? – zapytali swych izraelskich kolegów urzędnicy z Pentagonu.

Keret poleciał do Waszyngtonu, żeby sprawdzić, czy uda mu się nakłonić którąś z czołowych firm lobbingowych z K Street do obrony sprawy *Phalcona*. Jedna firma obiecała, że zastanowi się nad tym. Pozostałe stwierdziły, że nic nie da się zrobić. Keret wrócił do Izraela ze świadomością, że umowa jest klapą. Pozostało publicznie przyznać się do klęski.

W połowie 2000 roku Barak doprowadził do końca wycofanie, po osiemnastoletniej obecności, izraelskich wojsk z Libanu i przygotowywał się do szczytu w Camp David, na którym miał ostatecznie zaproponować Jasirowi Arafatowi szereg ustępstw, lecz spotkał się z odmową. Aby zawrzeć pokój z Palestyńczykami, Izrael potrzebował wsparcia USA – dokładniej mówiąc, wsparcia finansowego, by wzmocnić potencjał Cahalu i przeprowadzić ewakuację osiedli. *Phalcon* musiał zostać złożony w ofierze.

Anulowana umowa na *Phalcona* oraz późniejszy kryzys z 2004 roku wywołany zarzutami, jakoby Izrael wykorzystał amerykańską technologię do modernizacji dronów, które parę lat wcześniej sprzedał Chinom, rozwścieczyły Pentagon. W odpowiedzi zawieszono udział Izraela w pracach nad F-35, myśliwcem stealth, który państwo żydowskie planowało zakupić. Kontakty między Pentagonem a izraelskim Ministerstwem Obrony zostały ograniczone do absolutnego minimum. Izrael musiał wybrać, po czyjej stoi stronie, i pod olbrzymią presją zgodził

się bezwzględnie i na czas nieokreślony zaprzestać sprzedaży uzbrojenia Chinom.

Chiński kontradmirał Yang Jun-Fei witany przez wiceadmirała Eliego Szarwita na nabrzeżu portu w Hajfie. 2012 r.
Fot. Cahal

Afera *Phalcona* była dla Izraela istotną lekcją. Handel bronią może pomóc otworzyć drzwi, ale prowadzony nieumiejętnie może również je zatrzasnąć, i to nie tylko w jednym kraju.

* * *

Izrael został teraz z samolotem i olbrzymią karą, którą musiał zapłacić Pekinowi za zerwanie umowy. Do tego czasu IAI niemal uporało się już z instalacją radaru i pozostałych podsystemów. Musiało jak najszybciej znaleźć nowego nabywcę.

Keret udał się do Indii i podpisał kontrakt – i to nie na jednego, ale na trzy phalcony, za zawrotną sumę miliarda 100 milionów dolarów. Wybór

Indii jako klienta był osobliwy. Kraj ten nawiązał pełne stosunki dyplomatyczne z Izraelem niespełna dziesięć lat wcześniej i w momencie transakcji niewiele było publicznie wiadomo o powiązaniach między obydwoma państwami; niewielu wiedziało, że obejmowały one też kwestie obronne.

Podobnie jak w wypadku Chin kontakty izraelsko-indyjskie rozpoczęły się, zanim oficjalnie ustanowiono stosunki dyplomatyczne. Już w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku indyjscy oficerowie często odwiedzali Izrael, by prosić o pomoc w wojnie, którą toczyli w Kaszmirze przeciwko Pakistanowi. Hindusi byli zainteresowani poznawaniem nowych taktyk, z naciskiem na wchodzące właśnie w użycie metody walki elektronicznej, specjalności Izraela. Umowy opiewały na niewielkie sumy i były realizowane w większości przez pośredników.

Choć jednak kontakty z Izraelem przynosiły Indiom korzyści, odbywały się bez rozgłosu, czego powodem były sojusze z czasów zimnej wojny, obawa przed zrażeniem ich wielkiej muzułmańskiej populacji, a także konieczność pielęgnowania powiązań ze światem arabskim.

W 1990 roku kontakty te się ożywiły. Dawid Iwri, były dowódca sił powietrznych, a obecnie dyrektor generalny w Ministerstwie Obrony, poleciał w tajemnicy do Londynu na spotkanie z indyjskim ministrem obrony Wiświanatem Pratapem Singhiem. Wojna w Kaszmirze wciąż trwała i Hindusi musieli zmodernizować swoje siły zbrojne, które bazowały głównie na starych radzieckich platformach.

Kilka miesięcy później Iwri wysłał do Nowego Delhi delegację wysokich oficerów Cahalu i przedstawicieli firm zbrojeniowych. Następnie sam udał się tam na rozmowy z premierem Pamulapartim Wenkatą Narasimhą Rao. Było to pierwsze spotkanie wysokiego urzędnika izraelskiego resortu obrony z szefem indyjskiego rządu.

Do gabinetu premiera wprowadził Iwriego jego bezpośredni odpowiednik, dyrektor generalny Ministerstwa Obrony Indii. Iwri miał ze sobą list od Icchaka Rabina, ówczesnego izraelskiego ministra obrony, w którym Rabin wyrażał radość z perspektywy ustanowienia z Indiami związków w sferze obronności. Po prezentacji Rao poprosił swego podwładnego o opuszczenie pokoju. Chciał przez kilka minut porozmawiać z Iwrim na osobności, by usłyszeć, co oferuje Izrael i jak głębokie stosunki z Indiami ma na myśli państwo żydowskie.

Iwri przedstawił Rao w skrócie militarny potencjał Izraela, przekazał mu list od Rabina i wyjaśnił kwestię, która miała okazać się zasadnicza dla kiełkujących stosunków izraelsko-indyjskich.

– Z transakcją nie wiążą się żadne dodatkowe zobowiązania – powiedział. – Jesteśmy małym krajem. Supermocarstwa dołączają do kontraktów zbrojeniowych warunki dyplomatyczne. My tego nie robimy.

Indyjskiemu premierowi spodobało się to, co usłyszał. Zanim zwróciły się do Izraela, Indie próbowały zakupić broń od Stanów Zjednoczonych, ale powiedziano im, że zanim transakcja będzie mogła dojść do skutku, spełniona musi zostać długa lista warunków dyplomatycznych – w większości związanych z prawami człowieka.

Rao wezwał dyrektora generalnego Ministerstwa Obrony Indii z powrotem do gabinetu i dał mu zielone światło na podpisanie z Państwem Izrael umów na zakup broni o wartości 2 miliardów dolarów. Izraelczycy musieli się jeszcze wiele nauczyć o tym, jak robić interesy w Indiach, ale ostatecznie opłaciło się to: do 2014 roku łączna sprzedaż przekroczyła 10 miliardów dolarów, co czyni Izrael drugim, po Rosji, dostawcą broni dla Indii [81]. Handel bronią pomógł z kolei odmienić dyplomatyczne nastawienie Indii wobec konfliktu izraelsko-palestyńskiego. W 2015 roku na przykład Indie zaskoczyły wszystkich, wstrzymując się podczas głosowania nad trzema antyizraelskimi rezolucjami w ONZ.

Singapur jest kolejnym krajem, z którym Izrael nawiązał kontakty dyplomatyczne, ustanowiwszy najpierw powiązania wojskowe [82]. Z czasem wyewoluował do roli jednego z kluczowych sojuszników Izraela i, według różnych doniesień, jest fundatorem stojącym za opracowaniem niektórych z najbardziej zaawansowanych systemów uzbrojenia, jakimi dysponuje Cahal. Dziś singapurskie siły zbrojne są jednymi z najlepiej wyposażonych na świecie i otrzymują 20 procent całkowitego budżetu tego wyspiarskiego państwa.

Kontakty między Singapurem a Izraelem datują się od roku 1965, kiedy to Singapur ogłosił niepodległość, oderwawszy się od Federacji Malezji. W owym czasie nie miał żadnych godnych uwagi sił zbrojnych, a choć Brytyjczycy pomagali Malezji zorganizować armię, ich oferta nie rozciągała się na Singapur. Kraj rozpaczliwie potrzebował pomocy.

Świeżo upieczony singapurski minister obrony, Goh Keng Swee, zaprosił w tajemnicy na wyspę Mordechaja Kidrona, ambasadora Izraela w Tajlandii. Kidron, wraz z przedstawicielem Mosadu, przybył kilka dni po

ogłoszeniu niepodległości z wyraźnymi instrukcjami z Jerozolimy: zaoferować nowo powstałemu państwu wsparcie wojskowe. Oferta była atrakcyjna. Podobnie jak Singapur, Izrael uzyskał niepodległość nie tak dawno temu i zdołał w krótkim czasie zbudować potężne siły zbrojne. Oba kraje miały ze sobą wspólnego coś jeszcze: były niewielkie i otoczone przez wrogie państwa: Egipt i Syrię na granicach Izraela oraz Malezję i Chiny u wrót Singapuru [83].

Lee Kuan Yew, ojciec założyciel i pierwszy premier Singapuru, znał i lubił Kidrona. Poznali się kilka lat wcześniej, kiedy Kidron przyjechał prosić o otwarcie izraelskiego konsulatu w Singapurze, który był wówczas jeszcze częścią Malezji. Mimo zaufania do państwa żydowskiego Kuan Yew polecił Kengowi Swee odłożyć izraelską opcję na półkę, dopóki nie otrzyma odpowiedzi z Indii i Egiptu, dwóch krajów, do których już wcześniej zwrócił się o pomoc. Kilka dni później nadeszły jednak rozczarowujące wieści. Indie przesyłały Singapurowi „serdeczne życzenia szczęścia i pomyślności", ale puściły mimo uszu jego prośbę o pomoc wojskową. Odpowiedź Egiptu była podobna; uznawał on niepodległość Singapuru, ale zignorował prośbę o przysłanie doradcy do spraw marynarki wojennej. Kuan Yew był szczególnie zawiedziony postawą egipskiego prezydenta Nasera, którego uważał za osobistego przyjaciela [84].

Nie mając innego wyboru, Kuan Yew zapalił zielone światło dla rokowań z Izraelem, kazał jednak zachować tę informację w sekrecie, aby nie prowokować Malezji, która była krajem muzułmańskim. Trzy miesiące później do Singapuru przybyła grupa Izraelczyków, na czele której stał niejaki pułkownik Jack Elazari. Aby ukryć prawdziwą tożsamość gości, Singapurczycy określali ich jako „Meksykanów".

Przed wyjazdem do Singapuru Elazari spotkał się z Icchakiem Rabinem, ówczesnym szefem sztabu Cahalu.

– Proszę pamiętać – powiedział Rabin. – Nie chcemy zrobić z Singapuru izraelskiej kolonii. Pańskim zadaniem jest nauczyć ich żołnierskiego fachu, pomóc im stanąć na własnych nogach i z czasem samodzielnie zarządzać swoją armią [85].

I to właśnie zrobili Izraelczycy. Zamiast organizować powszechne szkolenia, skupili się na małych grupach Singapurczyków, którzy mieli jakie takie doświadczenie wojskowe, i wyszkolili ich na dowódców. Zajęli się także budową baz, pisaniem doktryny i tworzeniem niezbędnej struktury

między siłami zbrojnymi a przywództwem politycznym. Ogółem zwerbowano i przeszkolono około dwustu dowódców [86].

Kuan Yew chciał armii narodowej, na wzór Izraela, opierającej się na obowiązkowym poborze. Na początek jednak singapurski przywódca zażądał, by Izraelczycy przeprowadzili zaciąg tylko wśród bezrobotnych, których nazwał „społecznymi prymitywami". Powołał się na przykład Japonii. Japończycy, oświadczył, walczyli podczas drugiej wojny światowej przeciwko inteligentnym brytyjskim wojskowym i wygrali, dowodząc, że intelekt nie jest u żołnierza atutem. Żołnierze, powiedział, nie muszą wiele myśleć. Muszą umieć wykonywać rozkazy.

Elazari i jego zespół nie zgodzili się z tym. Wyjaśnili Kuan Yewowi, że japońscy żołnierze wypełniali rozkazy i walczyli mężnie w czasie wojny dlatego, że byli oddani swemu cesarzowi. „To nie jest kwestia wykształcenia – stwierdzili Izraelczycy – ale motywacji". Kuan Yew dał się przekonać.

Podczas gdy izraelska delegacja kontynuowała pracę, Kidron wrócił do Singapuru i zażądał rewanżu. Najwyższy czas, oświadczył, żeby Singapur uznał Izrael i by oba państwa wymieniły ambasadorów. Kuan Yew odparł, że nie ma o tym mowy. Nawiązanie stosunków z Izraelem oburzyłoby miejscową muzułmańską populację i rozdrażniłoby Malezję, jawnie sprzymierzoną z blokiem arabskim.

W 1967 roku wybuchła wojna sześciodniowa. Choć Kuan Yew z ulgą przyjął zwycięstwo Izraela, wojna ta postawiła Singapur przed nowym dylematem. ONZ debatował nad rezolucją potępiającą Izrael i Kuan Yew wiedział, że jeśli Singapur ją poprze, Elazari i jego zespół wrócą do domu. Jeśli jednak wstrzyma się od głosu lub zagłosuje przeciwko, świat natychmiast się domyśli, że Izrael i Singapur coś łączy. Był w kropce.

Po głębokim namyśle singapurski przywódca postanowił wstrzymać się od głosu, de facto przyznając, że jego wyspiarski kraj ma powiązania z państwem żydowskim. Odtąd nie było już żadnego powodu, by nie dać Izraelowi tego, czego chciał. W październiku 1968 roku pozwolono Izraelowi otworzyć przedstawicielstwo handlowe w Singapurze, a pół roku później ambasadę.

* * *

Chiny, Indie i Singapur to trzy przykłady państw, wobec których Izrael posłużył się, jak to nazywamy, „dyplomacją oręża”, aby ustanowić stosunki dyplomatyczne. To, co Iwri powiedział w 1990 roku indyjskiemu premierowi Rao o braku dodatkowych zobowiązań przy zakupach broni, było kluczową zasadą podczas tych zabiegów, pozwalającą Izraelowi stać się dominującym graczem na rynkach, na które innym krajom Zachodu niełatwo jest wkroczyć – takich jak Afryka, Europa Wschodnia czy Azja.

Tuż po ogłoszeniu niepodległości Izrael nie miał wielu prawdziwych przyjaciół – a już na pewno nie w najbliższym sąsiedztwie, na Bliskim Wschodzie.

Niewielkie liczebnie Siły Obronne Izraela nie były, i wciąż nie są, klientem na tyle dużym, by zdopingować miejscowy przemysł do opracowywania kosztownych, zaawansowanych broni. Z tego powodu olbrzymia większość produkcji izraelskich firm zbrojeniowych trafia na eksport. Dzięki temu mogą one kontynuować działalność i oferować Cahalowi niskie ceny.

W IAI, na przykład, 78 procent sprzedaży za 2014 rok stanowiły transakcje zagraniczne. Podobnie wyglądało to we wszystkich większych przedsiębiorstwach zbrojeniowych Izraela. Taki układ nie ma odpowiednika nigdzie na świecie. W Stanach Zjednoczonych do klientów zagranicznych trafia zdecydowanie mniejszy odsetek produkcji koncernów zbrojeniowych. Międzynarodowe transakcje działu zbrojeniowego Boeinga stanowiły w 2014 roku około 35 procent jego obrotów. W wypadku Lockheeda Martina było to tylko 20 procent.

Weźmy na przykład pocisk *Popeye*, jedną z najbardziej zaawansowanych broni Sił Powietrznych Izraela. Opracowany przez państwowy koncern Rafael Advanced Defense Systems *Popeye* może precyzyjnie trafić w cel przez okno z odległości przeszło 100 kilometrów. Jest to jeden z najbardziej zaawansowanych pocisków manewrujących dalekiego zasięgu, jakim dysponują siły powietrzne. Ale jak wiele może ich zamówić izraelskie lotnictwo? Aby utrzymać cenę na niskim poziomie, firma musi znaleźć klientów za granicą. Oto dlaczego jedna z najbardziej wyrafinowanych izraelskich broni – w rodzaju tych, jakie większość państw woli zatrzymać dla siebie – została sprzedana Stanom Zjednoczonym, Indiom, Korei Południowej, Australii i Turcji [87].

Krótko mówiąc, gdyby Izrael nie eksportował *Popeye’a*, Rafael nie mógłby sobie pozwolić na jego opracowanie i produkcję.

Ale nie zawsze jest to takie proste. Kontrowersyjne transakcje, takie jak sprzedaż *Phalcona* Chinom, mogą wytworzyć napięcia i podejrzenia między przyjaciółmi. Sojusznicy muszą sobie ufać, a handel bronią może podkopać to zaufanie.

W 2005 roku, w następstwie kryzysu wywołanego niedoszłą transakcją z Chinami, Ministerstwo Obrony wprowadziło nowy mechanizm kontroli eksportu broni. Dotychczas cała jej sprzedaż nadzorowana była przez organ Ministerstwa Obrony o nazwie Sibat, którego głównym zadaniem było promowanie izraelskiego uzbrojenia za granicą i pomoc firmom w nawiązywaniu kontaktów z obcymi rządami. Na mocy nowych zasad Izrael powołał Agencję Kontroli Eksportu Uzbrojenia, która prowadzi rejestr eksporterów, zatwierdza transakcje i wydaje koncesje na sprzedaż na zagranicznych rynkach.

Izrael zgodził się także zwiększyć koordynację ze Stanami Zjednoczonymi. Mówiąc w skrócie, ilekroć rozważany jest drażliwy eksport broni, Izrael konsultuje się z Pentagonem. Utrata niezależności była wysoką ceną, ale warto było ją zapłacić, żeby pozostać w dobrych stosunkach z Waszyngtonem.

To właśnie ten nowy mechanizm sprowadził pod koniec 2008 roku do Pentagonu grupę wysokich urzędników izraelskiego resortu obrony. Przybyli, żeby omówić coś bezprecedensowego – wartą miliard dolarów umowę na sprzedaż izraelskich dronów wojskowych do Rosji.

Nie była to zwyczajna sprzedaż. Izrael jest największym na świecie eksporterem dronów: sprzedaje bezzałogowe statki powietrzne krajom Afryki, Europy, Ameryki Południowej, Azji, a także Stanom Zjednoczonym. Nigdy jednak nie sprzedawał dronów – ani, skoro już o tym mowa, jakiegokolwiek sprzętu wojskowego – Rosji. Od dziesiątków lat Rosja jest głównym dostawcą broni dla wrogów Izraela, zwłaszcza Iranu i Syrii. Rosyjska broń, na przykład pociski przeciwpancerne, trafiła też do arsenałów Hezbollahu i Hamasu. Gdyby Izrael sprzedał Rosji własną technologię, istniało wysokie prawdopodobieństwo, że pewnego dnia zawędrowałaby ona do Libanu, Syrii i Strefy Gazy.

Zainteresowanie Rosji izraelskimi dronami było pokłosiem wojny, którą toczyła ona latem 2008 roku z Gruzją w Osetii Południowej. Wojna trwała pięć dni i choć Rosja ostatecznie zwyciężyła – kładąc jej kres przez uznanie niepodległości Osetii Południowej i Abchazji – walki brutalnie obnażyły

techniczne niedostatki rosyjskich sił zbrojnych, zwłaszcza jeśli chodzi o drony.

W tygodniach poprzedzających wojnę i wśród rosnących obaw, że Rosja zaanektuje separatystyczne terytoria, Gruzja zaczęła wysyłać drony na rutynowe misje rozpoznawcze w rejonie konfliktu. Nie były to pierwsze lepsze drony. Były to hermesy 450, produkowane przez izraelski koncern Elbit i wykorzystywane przez Siły Powietrzne Izraela. W trzy miesiące Rosjanie zestrzelili trzy bezzałogowce. W jednym, pamiętnym wypadku Gruzja wypuściła nagranie, na którym widać, jak myśliwiec MiG odpala pocisk w stronę drona i zalicza bezpośrednie trafienie.

Wykorzystanie bezzałogowców przez Gruzję unaoczniło jednak pewien problem po stronie Rosji. Przede wszystkim rosyjskie drony późno wkroczyły do akcji i nie dostarczały informacji w czasie rzeczywistym, tak więc Moskwa zmuszona była wysyłać na standardowe misje rozpoznawcze samoloty załogowe. Jednym z używanych podczas wojny dronów był stary *Tipczak*, który, jak Rosja przyznała później, robił zbyt wiele hałasu, w związku z czym był łatwy do wykrycia i przechwycenia.

Z drugiej strony gruzińskie siły zbrojne sprawnie pozyskiwały dane zwiadowcze, w dużej mierze dzięki swej małej flocie izraelskich dronów [88].

Kilka tygodni po zakończeniu wojny Rosja skontaktowała się z Izraelem, wyrażając chęć zakupu *Hermesa 450*, tego samego, którego używała Gruzja. W pierwszej chwili Izrael był zaszokowany. Rosja nigdy wcześniej nie kupowała broni od obcych państw, a już na pewno nie od państwa żydowskiego. Ale wojna była dzwonkiem alarmowym dla Moskwy, która chcąc nie chcąc przyznała, że potrzebuje wsparcia technicznego.

Wszyscy byli zgodni, że bez względu na wszystko Izrael nie może sprzedać dronów, które wciąż są na uzbrojeniu jego sił powietrznych. Podczas drugiej wojny libańskiej, w 2006 roku, Hezbollah ostrzeliwał izraelskie czołgi dziesiątkami rosyjskich pocisków przeciwpancernych. Izrael absolutnie nie mógł sobie pozwolić na to, by pewnego dnia użyto przeciwko niemu jego własnych dronów.

Nagle jednak przedstawicielom resortu obrony przyszła do głowy pewna myśl. A gdyby, sprzedając drony Rosji, Izrael mógł zablokować sprzedaż zaawansowanej broni, która miała zostać dostarczona do Iranu lub Syrii? Coś takiego nie tylko umożliwiłoby pogodzenie się z ryzykiem, jakie stwarzała sprzedaż dronów, ale mogło nawet uczynić ją wartą zachodu [89].

W Izraelu zdania były podzielone. Ministerstwo Spraw Zagranicznych popierało transakcję i twierdziło, że może ona pomóc zacieśnić powiązania z Moskwą, zwłaszcza że Iran właśnie posuwał naprzód swój program nuklearny. Sprzedaż dronów, argumentowali ci urzędnicy, zapewniłaby Izraelowi realny wpływ na rosyjską politykę w kwestiach takich jak irańska. Z kolei Ministerstwu Obrony, choć chętnie widziałoby możliwość wywierania nacisku na Moskwę, trudno było przezwyciężyć autentyczne obawy, że technologia dronowa zawędruje pewnego dnia do Iranu, Syrii, a nawet do Hezbollahu w Libanie i Hamasu w Strefie Gazy.

W owym czasie była pewna rosyjska transakcja, co do której wszyscy w Izraelu zgadzali się, że należy powstrzymać ją za wszelką cenę: sprzedaż zaawansowanego systemu obrony powietrznej S-300 dla Iranu. Pierwotna umowa wartości 800 milionów dolarów została podpisana w tajemnicy w 2005 roku, ale pod presją ze strony Izraela i Stanów Zjednoczonych Rosja opóźniała dostawę.

Powody Izraela, by w ogóle brać pod uwagę tego rodzaju wymianę przysług, były proste. S-300 był jednym z najbardziej zaawansowanych systemów obrony przeciwlotniczej świata, dowiódł swej przydatności w warunkach bojowych, potrafił śledzić do 100 celów jednocześnie i mógł potencjalnie uniemożliwić Izraelowi atak z powietrza na irańskie obiekty nuklearne.

Rosjanie doskonale zdawali sobie sprawę z izraelskich obaw co do S-300. Wypływały one w niemal każdej dyskusji. Mniej więcej tydzień po zakończeniu wojny w Osetii Południowej premier Izraela Ehud Olmert rozmawiał przez telefon z rosyjskim prezydentem Dmitrijem Miedwiediewem. Rosja była niezadowolona, że Izrael zaopatruje Gruzję w broń i drony. Podczas rozmowy Olmert zgodził się na moratorium na sprzedaż izraelskiego uzbrojenia Gruzji, jednak naciskał też Moskwę w kwestii sprzedaży rosyjskiej broni Syrii i Iranowi [90].

Oficjalnie Kreml zapewnił Izrael, że nie przekaże Iranowi broni, która mogłaby zdestabilizować region, co można było zinterpretować jako decyzję o anulowaniu dostawy S-300. Równocześnie jednak Moskwa oświadczyła jasno, że jeśli Iran wypełni swoje zobowiązania wobec MAEA – nuklearnego nadzorcy Organizacji Narodów Zjednoczonych – sprzedaż S-300 zostanie rozpatrzona pozytywnie [91]. Tak czy inaczej, argumentował Kreml, S-300 jest systemem defensywnym i jeśli Izrael żywi wobec niego obawy, po prostu nie powinien atakować.

Rosja konsekwentnie ukrywała swoje prawdziwe zamiary. W początkach 2009 roku, na przykład, kraj ten odwiedził amerykański senator Carl Levin. Jako przewodniczący senackiej komisji do spraw sił zbrojnych przybył on do Moskwy, by zabiegać o wzmożenie współpracy w zakresie obrony przeciwrakietowej w obliczu nieustającej pogoni Iranu za bronią jądrową. Levin, jawny sympatyk Izraela, poruszył także kwestię sprzedaży S-300 i starał się nakłonić wiceministra spraw zagranicznych Siergieja Riabkowa, by nie przekazywał tego systemu Iranowi. Riabkow jednak oświadczył stanowczo, że choć kontrakt jest aktualnie zamrożony, ciągłe mówienie o nim w niczym nie pomoże.

– Im mniej słyszymy na ten temat z Waszyngtonu, tym lepiej – powiedział [92].

Wieść o zamrożeniu nie uśmierzyła obaw Izraela. W Jerozolimie niektórzy uznali, że atak na Iran należałoby przyspieszyć, tak by zdążyć z nim przed dostawą S-300.

Izrael zadbał o to, by komunikat ten dotarł do paru umiarkowanych państw arabskich znad Zatoki Perskiej, z którymi był w przyjaznych stosunkach. I tak na przykład szef sztabu generalnego Zjednoczonych Emiratów Arabskich (ZEA), Hamid Tani ar-Rumajti, zwrócił się na początku 2009 roku do Richarda Olsona, ówczesnego ambasadora USA w Abu Zabi, z pilną prośbą: by Stany Zjednoczone niezwłocznie rozmieściły w ZEA pięć baterii rakiet *Patriot*. Przyczyną była obawa, że z powodu kontraktu na S-300 Izrael lada moment może zaatakować Iran, a wtedy Iran weźmie odwet na ZEA [93].

– Będę z panem zupełnie szczery: w regionie zachodzą zmiany, które nas niepokoją – powiedział Olsonowi Rumajti. Baterie *Patriot*, jak wyjaśnił, zostałyby rozmieszczone wokół Abu Zabi oraz w samym mieście, by chronić je przed potencjalnym irańskim atakiem rakietowym w odwecie za uderzenie ze strony Izraela. Zapytany, co mogłoby sprowokować izraelską napaść, Rumajti podał jako przykład dostawę systemu S-300. – Nie ufam Rosjanom, nigdy nie ufałem Rosjanom ani Irańczykom – dodał.

* * *

Tymczasem w Izraelu kwestia sprzedaży dronów nagle stała się jeszcze pilniejsza. Ostateczna decyzja jednak nie leżała wyłącznie w gestii Ministerstwa Obrony. Gdyby Ministerstwo Finansów zawetowało

transakcję, Ministerstwo Obrony mogło się jeszcze zwrócić do izraelskiego Komitetu do Spraw Bezpieczeństwa Narodowego, który był władny unieważnić tę decyzję.

Komitet do Spraw Bezpieczeństwa zbierał się wielokrotnie w 2009 roku, by debatować nad proponowaną umową. Rosja chciała zakupić drony zdolne do długotrwałych lotów, takie jak te, których używała Gruzja w czasie wojny. Izrael przedstawił kontrofertę: rozważy sprzedaż dronów, ale wyłącznie starszych modeli, takich jak *Searcher*, które siły powietrzne wycofały ze służby kilka lat wcześniej.

W czerwcu 2009 roku nowy izraelski minister spraw zagranicznych, Awigdor Lieberman, udał się do Moskwy. Było to w okresie szczególnego ożywienia kontaktów izraelsko-rosyjskich, kultywowanych głównie przez urodzonego w Mołdawii Liebermana. Do tego lata Moskwę odwiedziło pięciu izraelskich ministrów, turystyka osiągnęła rekordowo wysoki poziom, pracowano nad porozumieniem o wolnym handlu, a Rosja omawiała z Izraelem plany zorganizowania w Moskwie konferencji w sprawie pokoju na Bliskim Wschodzie.

W pewnych waszyngtońskich kręgach pojawiła się obawa, że Izrael liczy na to, iż Rosja przejmie rolę Stanów Zjednoczonych jako jego głównego sojusznika. Kontakty izraelsko-amerykańskie tak czy inaczej nie wyglądały najlepiej. Binjamin Netanjahu został ponownie wybrany na premiera Izraela i już teraz ścierał się z Barackiem Obamą, nowym prezydentem USA.

Podczas moskiewskich rozmów Lieberman poruszył kwestię sprzedaży S-300. Rosjanie, którzy otwarcie sprzeciwiali się izraelskiemu atakowi na irańskie obiekty nuklearne, powiedzieli mu, że S-300 „może działać destabilizująco, tylko jeśli planujecie napaść na Iran”, i nie wykluczyli, że system zostanie dostarczony [94].

Sekretarz obrony USA Ashton Carter (po prawej) przyjmuje w Pentagonie izraelskiego ministra obrony Awigdora Liebermana.
Fot. Departament Obrony USA

Lieberman wyciągnął z tego jasny wniosek – sfinalizowanie umowy na S-300 jest dla Rosjan kwestią prestiżu i prędzej czy później dojdzie do skutku. Jeśli istniały jakieś wątpliwości co do sensu forsowania sprzedaży dronów, zniknęły one, kiedy Lieberman wrócił do Jerozolimy.

Parę tygodni później przedstawiciele amerykańskich i izraelskich władz zebrali się w Tel Awiwie na dorocznym Dialogu Strategicznym, forum utworzonym dla omawiania wydarzeń w regionie oraz praktycznych sposobów zapewnienia Izraelowi jakościowej przewagi militarnej nad sąsiadami. W dyskusjach wypłynęła kwestia S-300 i Izraelczycy podzielili się z Amerykanami swym najnowszym odkryciem, że Rosja zamierza doprowadzić umowę do skutku, jeśli Stany Zjednoczone będą kontynuować realizację planu rozmieszczenia systemów obrony przeciwrakietowej w Polsce i Republice Czeskiej [95].

Jeśli Izrael miał pchnąć do przodu sprzedaż dronów, teraz był na to odpowiedni moment.

Przed podpisaniem umowy z Moskwą Izrael musiał ominąć jeszcze jedną poważną przeszkodę, którą stanowiły Stany Zjednoczone. Rosja i Ameryka były dawnymi przeciwnikami i Waszyngton nie mógł być zadowolony, że Izrael sprzedaje zaawansowane drony państwu, które niegdyś było – i w niektórych kręgach wciąż jest – wrogiem USA.

Jednym z pierwszych amerykańskich dygnitarzy, którzy dowiedzieli się o proponowanej transakcji, była Mary Beth Long, asystentka sekretarza obrony do spraw bezpieczeństwa międzynarodowego. Long, która swego czasu dała szansę systemowi obrony przeciwrakietowej Żelazna Kopuła, była zaskoczona izraelską prośbą głównie dlatego, że nadeszła ona w czasie, kiedy Izrael prosił Stany Zjednoczone, by nie sprzedawały zaawansowanego uzbrojenia Arabii Saudyjskiej i innym państwom znad Zatoki Perskiej.

– Mówicie, że nie mogę bez waszej aprobaty sprzedawać broni krajom arabskim, a sami sprzedajecie zaawansowaną broń, która być może opiera się na amerykańskiej technologii, Rosji – zwróciła uwagę swym izraelskim odpowiednikom [96].

Izraelczycy zaprotestowali. Po pierwsze stwierdzili, że technologia nie jest oparta na żadnych pomysłach, które narodziły się w Stanach Zjednoczonych. Po drugie wyjaśnili Long, że drony, które zamierzają sprzedać Rosji, stanowią jedynie nieznaczny postęp jakościowy w stosunku do aktualnego potencjału Moskwy i nie różnią się od dronów, które zaoferowały Rosjanom Chiny [97].

Long zapytała o możliwość, że Rosja pewnego dnia przekaże tę technologię Hezbollahowi lub Iranowi, ale Izraelczycy zapewnili ją, że nawet gdyby tak się stało, drony obecnie wykorzystywane przez Izrael wyprzedzają o całą generację te, które chcą sprzedać Moskwie.

Gdyby Izrael sprzedał drony Rosji, od czasu do czasu musiałaby się ona zwrócić do państwa żydowskiego o serwis techniczny, części zamienne i fachowe porady. Tę zależność, zdaniem Izraela, można przekuć w realny wpływ na rosyjską politykę zagraniczną, a zwłaszcza sprzedaż broni dla jego arabskich przeciwników. Gdyby Kreml zrobił coś sprzecznego z izraelskimi interesami, Jerozolima mogłaby uziemić rosyjskie drony, odmawiając sprzedaży części zamiennych lub serwisu.

Long przekazała tę propozycję swoim przełożonym. Specjalnie powołany zespół Pentagonu przyjrzał się izraelskim dronom i stwierdził, że nie korzystają one z amerykańskich rozwiązań i są sprzętem tej samej klasy co drony oferowane przez Chiny. Choć Waszyngton nie był zachwycony rozwijającym się sojuszem Izraela z Rosją, chcąc nie chcąc dał Jerozolimie zielone światło dla tej transakcji.

– Ponieważ jest to joint venture i Rosja naraża własną skórę, Izraelczycy sądzili, że może uda im się później manewrować tak, by zyskać wpływ na rosyjskie decyzje w Iranie i w całym regionie – wspomina Lang.

Skoro ubijano interes, dlaczego sprzedawcą nie miałby być Izrael?

* * *

Przez niemal pięć lat izraelskie kalkulacje zdawały się sprawdzać. Iran wciąż naciskał na Rosję o dostawę S-300, ale Kreml odmawiał dostarczenia systemu. Od czasu do czasu pojawiały się doniesienia, że Irańczycy szkolą się na S-300 w Rosji, co grało Jerozolimie na nerwach, ale system pozostawał uziemiony w Rosji.

Latem 2015 roku jednak wszystko się zmieniło. Po niemal rocznych negocjacjach zachodnie supermocarstwa pod przewodnictwem Stanów Zjednoczonych – grupa P5+1 – zawarły historyczne porozumienie z Iranem, nakładające ograniczenia na jego program nuklearny. Wobec tego Rosja zaczęła ponownie przebąkiwać, że nie ma już powodu, by wstrzymywać dostawę. Jak oświadczył państwowy koncern Rostech, kontrakt „znów jest w mocy”.

Izrael zaczął szykować się do nowej dyplomatycznej bitwy. Ale wtedy wydarzyło się coś nieoczekiwanego. We wrześniu Rosja, próbując uratować reżim Baszara al-Asada, zaczęła bombardować cele Państwa Islamskiego w Syrii. Skierowała do Syrii eskadry lotnictwa i wysłała na Morze Śródziemne okręty wojenne i podwodne. Izrael nie widział rosyjskich wojsk na swoich granicach, odkąd Sowieci opuścili Egipt w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Obawiając się nieporozumień, które mogłyby doprowadzić do konfliktu, izraelski premier Netanjahu poleciał natychmiast do Moskwy, by uzgodnić z prezydentem Władimirem Putinem delikatny mechanizm koordynacji między Cahalem a armią rosyjską.

W listopadzie nad Turcją zestrzelony został rosyjski bombowiec Suchoj. Rozwścieczona Moskwa zagroziła interwencją zbrojną i zawiesiła handel

z Ankarą. Ale potem Putin zrobił coś innego. Wysłał S-400 – zmodernizowaną wersję S-300 – nie do Iranu, kraju, którego wyposażenie w ten system było czymś, przeciwko czemu Izrael walczył od lat, ale do Syrii, tuż za północną granicą państwa żydowskiego, dosłownie na podwórku izraelskich sił powietrznych.

Podobnie jak S-300, S-400 może śledzić i przechwytywać kilka celów naraz z odległości setek kilometrów, a ponadto wyposażony jest w nowocześniejszy, bardziej odporny na zagłuszanie system radarowy, oraz w zestaw różnego typu rakiet, które zapewniają kilka warstw ochrony. Dzięki zwiększonemu zasięgowi S-400 może strącać samoloty nad Tel Awiwem wprost z terytorium Syrii.

W Izraelu ta nowina wywołała szok.

– W najczarniejszych snach nie przypuszczaliśmy, że do tego dojdzie – powiedział pewien wysoki oficer SPI.

Poza konsekwencjami operacyjnymi – Siły Powietrzne Izraela musiały zmienić niektóre ze swoich tras lotów – rosyjska obecność w Syrii dowiodła Izraelowi, że handel bronią ma ograniczoną moc oddziaływania. W regionie tak skomplikowanym jak Bliski Wschód rzeczywistość zawsze okazuje się silniejsza.

ZAKOŃCZENIE

Armagedon i broń przyszłości

Miał to być izraelski 11 września, atak, który wstrząsnąłby całym krajem. Lata wojen, samobójczych zamachów bombowych, ostrzałów rakietowych i rozlewu krwi miały zblednąć w porównaniu z tym, co przywódcy Hamasu szykowali dla Izraela w Strefie Gazy. Miał to być dzień sądu ostatecznego.

Około wpół do piątej rano spod ziemi zaczęli wychodzić ludzie. Z dziury wychynęło kilkunastu mężczyzn w mundurach polowych, uzbrojonych po zęby w kałasznikowy, granatniki rakietowe, pistolety i granaty ręczne. Mieli noktowizory, a niektórzy zamontowane na hełmach kamery GoPro, by móc filmować operację. Pojawili się znikąd, na samym środku pola ogórków.

Był 17 lipca 2014 roku i od przeszło tygodnia toczyła się najnowsza bitwa między Izraelem a Hamasem w Strefie Gazy. Codziennie w stronę izraelskich miast wystrzeliwano dziesiątki rakiet, a myśliwce bombardowały Gazę, polowały na dowódców Hamasu i atakowały bazy terrorystów, wyrzutnie rakiet, stanowiska dowodzenia oraz składy broni.

Izrael przygotowywał się na atak z tunelu, ale nie wiedział dokładnie, gdzie on nastąpi. Wywiad wskazywał przybliżoną lokalizację. Okolica została gęsto obstawiona żołnierzami Cahalu, w górze krążyły drony.

Na czarno-białym filmie z kamery termowizyjnej, nagranym przez jeden z dronów i udostępnionym później przez Cahal, widać, jak bojownicy Hamasu wyczołgują się z dziury w ziemi. Następnie rozchodzą się po polu, aż nagle spostrzegają, że zostali dostrzeżeni. Pędzą z powrotem do włazu i, jeden po drugim, znikają pod ziemią. Kiedy ostatni mężczyzna zaczyna schodzić, spada izraelski pocisk, niszcząc wylot tunelu i zabijając w środku kilku członków komórki.

Ten niedoszły atak miał nastąpić zaledwie kilka godzin przed wejściem w życie zawieszenia broni między Izraelem a Hamasem. Dla państwa żydowskiego jednak była to kropla, która przepełniła czarę goryczy. Jakieś

dziesięć dni wcześniej Izrael zbombardował inny potężny tunel, odkryty nieco dalej na południe, który prowadził do pobliskiego kibucu.

Izrael wiedział, że Hamas przekopuje pod granicą „tunele szturmowe" i że utworzył tajną jednostkę komandosów o nazwie Nuchba – po arabsku „wybrańcy". Najlepsi z nich zostali wyszkoleni do przemieszczania się i walk w wąskich tunelach, głównie pieszo, ale także na małych motocyklach [98].

Hamas, jak twierdził Cahal, planował zinfiltrować izraelskie tereny dziesiątkami swych bojowników z wykorzystaniem około trzydziestu różnych tuneli, każdy wychodzący na obrzeża innego kibucu lub miasta. Ludzie ci mieli wtargnąć do prywatnych domów, stołówek oraz przedszkoli i rozpocząć zabójczą strzelaninę. Jedna część grupy miała pojmać kilkoro izraelskich mężczyzn oraz kobiet i siłą przeprowadzić ich tunelem do Gazy, gdzie byliby trzymani jako karty przetargowe w przyszłych wymianach jeńców. Cel: dziesiątki zabitych i dziesiątki uprowadzonych. Byłby to cios dla morale Izraela.

To, że Gaza jest przeryta tunelami, nie było wielką tajemnicą. Stanowiły one element krajobrazu od lat osiemdziesiątych XX wieku, odkąd Rafah, miasto w południowej części Strefy Gazy, zostało przedzielone na dwoje w następstwie układu pokojowego między Izraelem a Egiptem i zwrotu półwyspu Synaj. Wtedy jednak tunele wykorzystywane były głównie do szmuglowania towarów przez granicę. Jeden z pierwszych wypadków wykorzystania tuneli przez terrorystów nastąpił w 1989 roku, gdy Mahmud al-Mabhuh, bojownik Hamasu, uciekł tunelem z Gazy po porwaniu i zamordowaniu dwóch żołnierzy Cahalu. Mabhuh został później jednym z czołowych agentów Hamasu, odpowiedzialnym za zaopatrzenie w broń. W 2010 roku został zabity przez domniemaną ekipę likwidacyjną Mosadu w swoim pokoju w jednym z dubajskich hoteli.

W pierwszych latach XXI wieku pod granicą między Egiptem a Strefą Gazy funkcjonowały już setki tuneli, którymi przemycano do Gazy wszystko, co mogło się w nich zmieścić – od broni po papierosy, od materiałów wybuchowych po telewizory plazmowe, a nawet samochody.

Z powodu usytuowania Rafah – tuż przy granicy z Egiptem – jego mieszkańcy stali się ekspertami od kopania tuneli. Do ich budowy i szmuglu często wykorzystywali małe dzieci. Szyby kopano początkowo z przygranicznych domów, a budowa zajmowała od dwóch tygodni do dwóch miesięcy, przy kosztach sięgających niekiedy 100 tysięcy dolarów.

Choć nie było to tanie przedsięwzięcie, dochody, jakie mógł przynieść taki tunel, były ogromne.

Z upływem lat Hamas włączał większe i bardziej rozbudowane tunele w swoją doktrynę bojową i wykorzystywał je do ataków na forty Cahalu w Strefie Gazy. W 2004 roku, na przykład, w tunelu pod posterunkiem Cahalu koło Rafah wybuchła potężna półtoratonowa bomba. Następnie komandosi Hamasu zaatakowali placówkę i zabili pięciu izraelskich żołnierzy.

Ze strategicznego punktu widzenia wykorzystywanie tuneli przez Hamas miało sens. Choć jego rakiety terroryzowały izraelskich cywilów, silnie strzeżona granica utrudniała przeprowadzenie zakrojonych na wielką skalę ataków, które mogłyby wywołać szok w państwie żydowskim. Naziemna infiltracja Izraela była praktycznie niemożliwa za sprawą potężnego muru strzeżonego przez finezyjną kombinację radarów, posterunków obserwacyjnych i patroli. Tunele były doskonałym sposobem przedostania się na teren Izraela, przeprowadzenia ataku i ucieczki. Miały olbrzymi potencjał.

Izraelski żołnierz nad wylotem „tunelu terroru” odkrytego w pobliżu granicy Strefy Gazy. 2014 r.
Fot. Cahal

W „przemyśle tunelowym” dokonał się znaczny postęp. W październiku po izraelskiej stronie granicy Strefy Gazy koło En ha-Szelosza, rolniczego kibucu założonego w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku przez grupę nowych imigrantów z Ameryki Łacińskiej, został odkryty ogromnych rozmiarów tunel. Odkrycia tego dokonano zupełnie przypadkowo – łącząc sygnały dostarczane przez wywiad ze skargami mieszkańców, którzy słyszeli dziwne odgłosy.

Tunel znajdował się na głębokości piętnastu metrów, miał blisko półtora kilometra długości i metr osiemdziesiąt wysokości, dość, by dorosły człowiek mógł stanąć w nim prosto. Na obmurowanie tego potężnego podziemnego korytarza, który według jednego z mieszkańców kibucu przypominał nowojorskie metro, zużyto przeszło 500 ton betonu. Izraelski wywiad ocenił, że budowa tunelu kosztowała miliony dolarów i że Hamas planował wykorzystać go, by dostać się na teren kibucu i wymordować tylu mieszkańców, ilu tylko zdoła.

* * *

Choć Izrael wiedział o tunelach, nic nie przygotowało go na lato 2014 roku. Po ataku z 17 lipca izraelski Komitet do Spraw Bezpieczeństwa Narodowego postanowił wysłać do Gazy wojska lądowe, by odszukać, ustalić przebieg i zniszczyć tunele transgraniczne. Wiązały się z tym jednak dwa problemy. Izraelski wywiad nie znał lokalizacji wszystkich tuneli, brakowało też szczegółowej taktyki ich niszczenia. Choć żołnierze Cahalu wiedzieli, na czym ma polegać ich zadanie, nie mieli zielonego pojęcia, jak je wykonać.

Żołnierze wyruszyli na niewielką, choć ważną operację, ale to, co odkryli, zaszokowało nawet weteranów. Hamas zbudował około trzydziestu tuneli prowadzących ze Strefy Gazy do Izraela. Większość była już gotowa. Inne były bliskie ukończenia. Nie były to już krótkie i wąskie przekopy, jak te, które Izrael odkrywał w przeszłości. Miały kanały wentylacyjne, betonowe ściany oraz linie łączności i były na tyle duże, że dało się stanąć w nich prosto. Niektóre ciągnęły się kilometrami, z kilkoma odnogami od

głównego korytarza, co oznaczało, że nawet jeśli zlokalizowało się jedno wejście, prawdopodobnie pozostawało wciąż jeszcze kilka innych. W konsekwencji żołnierze musieliby zejść głęboko pod ziemię, żeby zbadać cały ten labirynt.

To z kolei, według relacji w „The Wall Street Journal", stwarzało dwa zasadnicze wyzwania. Po pierwsze: jak zlokalizować i rozpoznać tunele, po drugie zaś: jak je zniszczyć. Co do pierwszego, Cahal miał pewne rozwiązanie. Przed operacją, wykorzystując techniki przeczesywania sieci komórkowych, izraelskiemu wywiadowi udało się zidentyfikować punkty początkowe, śledząc sygnały z telefonów komórkowych kopaczy. Sygnały te, jak odkrył Izrael, znikały, kiedy kopacze schodzili pod ziemię, i odzywały się z tego samego miejsca kilka godzin później, gdy znów wychodzili na powierzchnię [99]. Taki schemat oznaczał zwykle, że wylot tunelu jest nieopodal.

Od pierwszych lat XXI wieku Ministerstwo Obrony testowało rozmaite systemy, by sprawdzić, czy będą przydatne do wykrywania tuneli. Raport urzędu Kontrolera Państwa Izrael z 2007 roku stwierdził jednak, że ministerstwo i Cahal robią zbyt mało. Tak czy inaczej, kiedy żołnierze w 2014 roku wkroczyli do Strefy Gazy, działali po omacku, bez jakichkolwiek przydatnych pomocy technicznych. Na początku operacji antytunelowej minister obrony przewidywał, że zajmie ona dwa, góra trzy dni. Ostatecznie trwała ona niemal trzy tygodnie, w ciągu których Hamas wciąż prowadził ataki, wykorzystując tunele.

Nie mając jasno określonej metodologii wykrywania i niszczenia tuneli, Cahal improwizował, wypróbowując przy okazji różne systemy. Początkowo żołnierze natychmiast wysadzali każdy odkryty szyb. Wkrótce jednak Cahal uświadomił sobie, że zniszczenie jednego wylotu nic tak naprawdę nie daje, jeżeli tunel ma kilka odgałęzień – a miały je niemal wszystkie.

Później żołnierze zaczęli spuszczać do środka roboty i prowadzić je korytarzami tunelu. Kiedy indziej wlewali do szybu płynne materiały wybuchowe, a w rzadkich wypadkach sami schodzili do tuneli i wykładali ściany dynamitem i minami. W operacji uczestniczyły także siły powietrzne. Kiedy przebieg tunelu został ustalony, myśliwce zrzucały na jego trasę dziesiątki bomb do zwalczania celów podziemnych precyzyjnie naprowadzanych przez system JDAM. Cahal nazywał to „wierceniem udarowym".

Jednak nawet gdy izraelscy żołnierze operowali w Strefie Gazy, lokalizując i niszcząc tunele, Hamasowi wciąż udawało się przeprowadzać kolejne ataki. W jednym z nich grupa bojowników Hamasu wyszła z tunelu w pobliżu kibucu Nachal Oz. Na udostępnionym później przez Hamas filmie, nakręconym zamontowaną na hełmie kamerą GoPro, widać, jak uzbrojeni mężczyźni wychodzą z tunelu, biegną w biały dzień przez pole, wpadają do pobliskiego posterunku granicznego Cahalu i zabijają pięciu żołnierzy. Później napastnicy popędzili z powrotem do tunelu i uciekli do Gazy.

Nim operacja dobiegła końca, Izraelowi udało się zniszczyć około trzydziestu tuneli za ogromną cenę – obok setek Palestyńczyków życie straciły dziesiątki żołnierzy Cahalu. Co więcej, operacja wojskowa, która powinna była zająć raptem kilka dni, ostatecznie przeciągnęła się do pięćdziesięciu, stając się najdłuższym konfliktem w dziejach państwa żydowskiego od czasu pierwszej wojny izraelsko-arabskiej z 1948 roku.

Był to głośny dzwonek alarmowy. Izrael zdawał sobie sprawę, że Hamas wykorzystuje szpitale i szkoły jako tajne składy broni i centra dowodzenia, ale tunele, które odkrył, przenosiły walkę na nowy poziom. Mogły one potencjalnie umożliwić atak na skalę 11 września.

To, z czym Izrael spotkał się w 2014 roku podczas wojny w Strefie Gazy, było nowym typem sztuki wojennej. Cahal sądził, że jest przygotowany do wojny w Gazie. Jego żołnierze byli specjalistami od walk w terenie zurbanizowanym, jego czołgi zostały wyposażone w nowy system obrony aktywnej *Trophy*, który chronił je przed pociskami przeciwpancernymi, a Żelazna Kopuła okazała się nadspodziewanie skuteczna w przechwytywaniu kierowanych na Izrael katiusz i kasamów. Jednak tunele sprawiły, że wszystkie przygotowania Cahalu zdawały się nieistotne.

Był to klasyczny przykład „innowacji destruktywnej”, jak Clayton Christensen, profesor Harvard Business School, określa wynalazki (w tym wypadku „tunele terroru”), które sprawiają, że dotychczasowi konkurenci (w tym wypadku Cahal) wypadają z gry.

Koniec końców jednak Cahal wyszedł z tych zmagań zwycięsko. Trwało to dłużej, niż przewidywano, i kosztowało życie większej liczby ludzi po obu stronach, niż ktokolwiek sobie życzył, ale armia w końcu znalazła sposób na zlokalizowanie i zniszczenie tuneli. Dostosowała się do zmian na

polu walki i stworzyła nową bazę wiedzy, o którą zabiegają dziś siły zbrojne całego świata.

Izrael mógł być pierwszym państwem, które zetknęło się z „tunelami terroru” na swych granicach, ale te same tunele mogą pewnego dnia pojawić się między Stanami Zjednoczonymi a Meksykiem, między Turcją a Syrią albo wzdłuż granicy Indii z Pakistanem. Nie są to zagrożenia czysto teoretyczne.

* * *

Izraelskie doświadczenia z wojny w Strefie Gazy uzmysłowiły Cahalowi, że mimo najlepszych przygotowań zawsze może zostać zaskoczony.

Nie jest to odczucie nowe dla tego kraju, a zwłaszcza dla jego sił zbrojnych. Na przykład gdy w 1973 roku wybuchła wojna Jom Kipur, na rozstawione wzdłuż egipskiej granicy czołgi Cahalu zaczęły spadać tajemnicze pociski. Początkowo dowódcy sądzili, że są to zwykłe granaty rakietowe odpalane przez żołnierzy piechoty. Gdy jednak nieco wycofali czołgi, rzekomo poza ich zasięg, pociski nadal trafiały.

W toku walk czołgiści Cahalu zrozumieli w końcu, że mają do czynienia z nowym zagrożeniem – pociskiem, który jest wystrzeliwany przez jednego żołnierza, naprowadzany przewodowo i zdolny precyzyjnie razić cele z ponad półtora kilometra. Był to nowy radziecki pocisk przeciwpancerny 9M14 *Malutka*. Aby sobie z nimi poradzić, Cahal musiał improwizować. Ilekroć wykryto wyrzutnię pocisków, czołgi ostrzegały się nawzajem, po czym zaczynały jeździć każdy w inną stronę, wzbijając tumany piasku i kurzu, by zablokować linię obserwacji wyrzutni.

Taktyka ta sprawdziła się i została później przyjęta przez NATO. Choć okazała się skuteczna, nie dawała jednak stuprocentowej ochrony; przeszło 180 izraelskich czołgów zostało wyeliminowanych pierwszego dnia wojny, z tego połowa przez malutki [100].

W roku 1973, 2014 i w całej swej historii Izraelczycy dowiedli jednak, że potrafią błyskawicznie improwizować, pod presją i w czasie walki. Jak pokazaliśmy na kartach tej książki, improwizacja jest izraelską cechą charakterystyczną, do której kraj często się odwołuje, by stawić czoło rozmaitym wyzwaniom i zagrożeniom.

Z doświadczeń tych płynie nauka, że choćby Cahal jak najlepiej się przygotował, zawsze czekają go niespodzianki. Izrael sądził, że zablokował

dostawę S-300 dla Iranu, po czym zobaczył zmodernizowaną wersję tego systemu w Syrii; sądził, że ostrzał rakietowy ze Strefy Gazy nie stanowi strategicznego zagrożenia, dopóki tysiące rakiet nie posypały się na jego miasta. Dziś, gdy Bliskim Wschodem targają jedne z największych wstrząsów w jego dziejach, dowódcy Cahalu wiedzą, że niespodzianki są rzeczą pewną. Najlepsze, co mogą zrobić, to zminimalizować ich skutki.

Przygotowywanie się na niewiadome zakrawa na paradoks, ale to właśnie Cahal robi każdego dnia. Nie ma pewności, jak będzie wyglądała następna wojna, ale wzorem wszystkich współczesnych armii dokłada wszelkich starań, by szykować się na wojny przyszłości, a nie z przeszłości.

Stanowisko testowania przyszłych izraelskich konfliktów znajduje się kilkadziesiąt metrów pod siedzibą Ministerstwa Obrony w Tel Awiwie, w podziemnym centrum dowodzenia Bor, po hebrajsku „dół".

Bor jest ośrodkiem nerwowym Cahalu. Planuje się w nim i kieruje się z niego wszystkimi ważniejszymi operacjami. Prowadzi do niego dwoje masywnych stalowych drzwi zamykanych szczelnie na wypadek ataku bronią niekonwencjonalną. Wielka tablica nakazuje przybyłym, by przed wejściem zostawiali telefony komórkowe. Iran i Hezbollah aktywnie podsłuchują Izrael, nie jest to więc zbyteczna ostrożność. Bor ma własny system oczyszczania powietrza i własne źródła zasilania. Nawet gdyby budynki na powierzchni zostały zniszczone, wciąż mógłby funkcjonować.

Schody zdają się biec kilometry w głąb ziemi. Na jednej z kondygnacji są drzwi opatrzone tabliczką z napisem „Front Północny – Syria". Ten sam korytarz prowadzi do pomieszczeń, w których pracuje się nad działaniami w Strefie Gazy i Libanie, a także na froncie nazywanym „Głębią" – w miejscach, gdzie Cahal może być zmuszony operować daleko od granic Izraela. To w tych salach oficerowie operacyjni ślęczą nad mapami, kreślą plany przyszłych operacji i decydują, które jednostki zostaną wysłane na poszczególne misje i pola bitew.

Kilka kondygnacji niżej mieści się sala konferencyjna szefa sztabu Cahalu. Tu, wokół ustawionych w podkowę stołów, raz w tygodniu zbiera się najwyższe dowództwo wojskowe, żeby analizować bieżące operacje oraz debatować nad doktrynami i taktykami, które mogłyby znaleźć zastosowanie w przyszłych konfliktach. Na ścianach wiszą fotografie dokumentujące wcześniejsze doniosłe zebrania, które odbyły się w tej sali podczas rozmaitych kryzysów, nader licznych w dziejach Izraela. Poważne, zatroskane twarze generałów ze zdjęć nieustannie przypominają

o podejmowanych tu decyzjach i tajemnicach, które nie opuściły tego pomieszczenia.

Jedną ścianę sali konferencyjnej stanowi sięgająca od sufitu do podłogi szyba oddzielająca ją od głównego centrum dowodzenia Cahalu zwanego Salą Wojenną. Szef sztabu ma krzesło pośrodku długiego stołu zastawionego komputerami i telefonami w różnych kolorach odpowiadających poziomom kodowania. Generałowie siedzą przed ścianą monitorów, z których każdy wyświetla obraz z innego sensora – samolotu, jednostki pływającej lub satelity. To tu szef sztabu nadzoruje na żywo operacje.

Pewnego letniego dnia, kilka lat po drugiej wojnie libańskiej, jeden z wysokich generałów Cahalu stał w sali konferencyjnej, wygłaszając referat na temat izraelskich konfliktów przyszłości. Obraz był ponury. Wrzenie na Bliskim Wschodzie, wyjaśniał, ma dobre strony, przede wszystkim jednak jest źródłem nowych zagrożeń i wyzwań. Z jednej strony syryjskie siły zbrojne, niegdyś główny przeciwnik Izraela, przestały istnieć, w związku z czym państwo żydowskie jest wolne od konwencjonalnych militarnych zagrożeń z prawdziwego zdarzenia. Wygląda na to, powiedział, że dni, kiedy Izrael musiał się liczyć z możliwością inwazji czołgów i utraty terytorium na rzecz swoich wrogów, należą już do przeszłości.

Z drugiej strony, ciągnął oficer, Hezbollah i Hamas nie są już mało znaczącymi ugrupowaniami terrorystycznymi. W przyszłych konfliktach, powiedział, Cahal będzie miał do czynienia z „wojną kolażową” i będzie musiał radzić sobie w tym samym czasie z pociskami przeciwpancernymi (broń konwencjonalna), porwaniami żołnierzy (terroryzm) oraz bojownikami wyskakującymi z tuneli (partyzantka). Choć samoloty bojowe są nieodzowne, jeśli chodzi o bombardowanie celów strategicznych i projekcję siły w regionie, nie mogą praktycznie nic zdziałać, kiedy pięćdziesięciu terrorystów Hamasu wypada z tunelu i wdziera się do stołówki pobliskiego kibucu.

By przygotować się do takich „kolażowych” konfliktów, Cahal kładzie w ostatnich latach nacisk na trzy różne obszary: poprawę interoperacyjności, większe wykorzystanie platform autonomicznych/robotycznych i dbałość o zachowanie międzynarodowej akceptacji dla swych działań zbrojnych.

„Interoperacyjność” oznacza zdolność współpracy oddziałów wojskowych ze wszystkich rodzajów sił zbrojnych. Na najbardziej

podstawowym poziomie oznacza to, że lotnicy i piechurzy mówią tym samym językiem, by móc zrozumieć się nawzajem, gdy żołnierze wojsk lądowych próbują, na przykład, nakierować pilota na cel, który ma zbombardować. Na wyższym poziomie ma to bezpośrednie implikacje techniczne. O ile dawniej piloci sił powietrznych nie mogli widzieć celów, przeciwko którym piechota walczyła na ziemi, na monitorach w samolocie, o tyle dziś mają już taką możliwość.

Ten wzrost interoperacyjności jest zasługą takich oficerów jak pułkownik Hanan Iserowicz, który do roku 2015 pełnił funkcję dowódcy Mamramu, elitarnej jednostki komputerowej Cahalu. Mamram, akronim nazwy Centrum Systemów Obliczeniowych i Informatycznych, zasłynął jako synonim perfekcji, odpowiedzialny za obsługę sieci komputerowych Cahalu i zapewnianie łączności taktycznej. Jego żołnierze są werbowani przez firmy high-tech natychmiast po zakończeniu obowiązkowej służby.

Jednym z najnowszych wynalazków tej jednostki jest system, który Cahal nazywa Kryształową Kulą, pozwalający dowódcom nanosić współrzędne celów na mapy cyfrowe dosłownie dotykając cel na monitorze transmitującym na żywo obraz z pola walki.

Dzięki temu oficerowie siedzący w centrach dowodzenia mogą wybierać cele, które widzą na obrazie wideo dostarczanym przez dowolny sensor – na przykład kamerę dronu – i błyskawicznie przekształcać je we współrzędne cyfrowe, które są przekazywane do cyfrowych systemów mapujących wszystkich jednostek bojowych operujących na danym obszarze.

Kryształowa Kula i inne podobne systemy skracają cykl sensor-to-shooter Cahalu. Dzisiaj coś, co dawniej zajmowało dwadzieścia minut, odbywa się w ułamku tego czasu.

Iserowicz wie, jak wielką rolę mogą odgrywać tego rodzaju systemy. W roku 2006, podczas drugiej wojny libańskiej, był dowódcą 50. batalionu piechoty Brygady „Nachal” i został wysłany ze swymi żołnierzami do południowego Libanu. Pewnego dnia odezwało się jego radio. Po drugiej stronie linii był oficer wywiadu, przebywający w Izraelu, w kwaterze głównej Dowództwa Północnego. Miał dla niego ważną informację.

– W jednym z pobliskich domów jest stanowisko przeciwpancerne Hezbollahu – powiedział. – Bądźcie gotowi.

Takie informacje były podczas tej wojny rzadkością. Cahal postanowił dokonać inwazji na Liban, by położyć kres jawnemu rozlokowywaniu

oddziałów Hezbollahu wzdłuż granicy, nie miał jednak dokładnych informacji o jego pozycjach w południowym Libanie. Ale tym razem informacja była precyzyjna. Sięgnąwszy po noktowizor, Iserowicz bez trudu wypatrzył odległą o niespełna półtora kilometra komórkę Hezbollahu. Kluczowym czynnikiem był czas. Choć Iserowicz widział komórkę, bojownicy Hezbollahu nie odkryli jeszcze obecności wojsk Cahalu.

Iserowicz skontaktował się z latającym w pobliżu śmigłowcem szturmowym *Apache* Sił Powietrznych Izraela i poprosił pilota, żeby zbombardował dom, w którym ukrywała się komórka Hezbollahu. Rozmawiał z nim przez piętnaście minut, tłumacząc mu wciąż od nowa, gdzie jest cel, a gdzie są żołnierze Cahalu. Pilot chciał mieć pewność, że przez pomyłkę nie ostrzela domu, w którym ukrywał się Iserowicz ze swoimi ludźmi. Długo trwało, nim pilot się upewnił, że obaj mówią o tym samym budynku.

Takie doświadczenia doprowadziły Cahal do wniosku, że ma poważne braki w interoperacyjności. Teraz, dysponując systemami w rodzaju Kryształowej Kuli, dowódca taki jak Iserowicz musi jedynie zaznaczyć kryjówkę Hezbollahu na swej elektronicznej mapie, by stała się ona widoczna dla wszystkich innych jednostek, włącznie z myśliwcami i śmigłowcami, podłączonych do tej samej sieci.

– Dzisiejszy wróg, czy to Hezbollah, czy Hamas, jest nieuchwytny i operuje na terenach zabudowanych – wyjaśnił pewien wysoki oficer Cahalu. – Musimy umieć szybko i bezbłędnie wykrywać, identyfikować i zwalczać tego rodzaju cele.

Drugą istotną zmianą, jaką przechodzi Cahal, jest włączanie do walki bardziej autonomicznych systemów – robotów. Już w 2015 roku większość lotów wykonywanych przez Siły Powietrzne Izraela odbywały drony. W nadchodzących latach liczba ta wciąż będzie rosła, a SPI planują, że do roku 2030 ich flota będzie się składać wyłącznie z dronów i myśliwców stealth.

Bezzałogowce jednak operują nie tylko w powietrzu. Na ziemi Cahal wykorzystuje szeroki wachlarz mniej lub bardziej autonomicznych systemów bezzałogowych, od kamer w kształcie piłki, które wrzucone do pomieszczenia turlają się wkoło, zapewniając obraz tego, co dzieje się w środku, po bezzałogowe pojazdy naziemne, które patrolują niespokojne granice Izraela ze Strefą Gazy i Syrią bez wystawiania żołnierzy na niebezpieczeństwo.

Kolejną opcją przyszłości jest wysyłanie bezzałogowych pojazdów naziemnych na terytorium nieprzyjaciela, zanim wkroczą tam żołnierze. Ryzykowne zadania, które dawniej wykonywane były przez elitarne oddziały rozpoznawcze, dziś realizować może niewielki bezzałogowy łazik wyposażony w kamery, głośniki i karabin automatyczny. Szturmowanie budynków bez wiedzy, co dzieje się w środku, należy już do przeszłości. Wkrótce przed atakiem do stanowisk wroga będą wpełzać roboty węże. Do tego dochodzą jeszcze bezzałogowe łodzie patrolowe, takie jak *Protector*, opracowany przez izraelską firmę Rafael, który może zabrać na pokład karabiny maszynowe różnego kalibru lub granatnik automatyczny bądź też armatkę wodną do zadań nieśmiercionośnych. Patrolowiec ten, konstrukcyjnie przypominający małą motorówkę, został już przetestowany przez izraelską marynarkę u wybrzeży Strefy Gazy.

Izraelski bezzałogowy pojazd naziemny *Guardian* patroluje granicę Strefy Gazy.
Fot. Cahal

W nie tak bardzo odległej przyszłości roboty – w powietrzu i na ziemi – opanują szturmem linię frontu. Jeśli konieczne okaże się mimo wszystko

wysłanie żołnierzy, będą oni wyglądali zupełnie inaczej niż dziś. Zamiast standardowych butów i kamizelek kuloodpornych będą mieli robotyczne pancerze zapewniające ochronę, a do tego pozwalające im poruszać się szybciej i przenosić bez wysiłku większe ciężary. Będą wyposażeni w osobiste wyświetlacze nagłowne – zwiększające ich świadomość sytuacyjną – a ich broń będą stanowiły karabiny szturmowe z pociskami zdolnymi odróżnić swojego od wroga.

Czołgi wysyłane do walki również będą bezzałogowe, a ich hybrydowe silniki będą mogły pracować nieprzerwanie całymi tygodniami. Zasilanie latającym dronom zapewnią ogniwa paliwowe w połączeniu z zainstalowanymi na skrzydłach bateriami słonecznymi. Będą musiały lądować jedynie w celu rutynowych przeglądów technicznych.

Roje miniaturowych nanosatelitów, wystrzeliwanych przez siły powietrzne nad obszarami walk, dostarczą siłom naziemnym obrazy w czasie rzeczywistym, a także posłużą jako przekaźniki dla izraelskich urządzeń telekomunikacyjnych operujących daleko od kraju. Precyzyjne rakiety będą razić wyznaczone cele, pozwalając niewidocznym dla radarów myśliwcom skupić się na strategicznych operacjach dalekiego zasięgu.

Gdyby miała się powtórzyć wojna sześciodniowa, niewykluczone, że Izrael nie musiałby nawet wysyłać myśliwców do niszczenia egipskich i syryjskich sił powietrznych. Mógłby zatrzymać wszystkie swoje samoloty na ziemi, a zamiast nich posłużyć się wyrafinowaną i potężną cyberbronią.

Tak wygląda przyszłość arsenału izraelskich sił zbrojnych.

* * *

Wszystko to jednak nie będzie miało żadnego znaczenia, jeśli działaniom Izraela brakować będzie międzynarodowej akceptacji. Państwo może opracowywać, produkować, a nawet sprzedawać broń na cały świat, ale nie na wiele się to zda, jeżeli świat odmówi poparcia dla jego poczynań.

Dla kraju takiego jak Izrael nie jest to sprawa trywialna. Silnie uzależnione od międzynarodowego – a zwłaszcza amerykańskiego – poparcia państwo żydowskie niemal zawsze zabiegało o aprobatę, choćby tylko milczącą, zanim podjęło jakiekolwiek działania zbrojne. Tak było w wypadku niedawnych interwencji w Strefie Gazy i w Libanie, ale także przy izraelskich rozważaniach na temat irańskiego programu nuklearnego

i ostatecznej decyzji o wstrzymaniu się od militarnej akcji, której gwałtownie sprzeciwiała się reszta świata.

Wojny, zwłaszcza przeciwko podmiotom niepaństwowym, nie kończą się na polu bitwy. Trwają dalej w mediach, na salach sądowych i przy stole obrad Rady Bezpieczeństwa ONZ. Poparcie społeczne znaczy dziś znacznie więcej niż dziesięć lat temu, a jego brak może zakończyć wojnę, nim jeszcze osiągnięte zostaną cele wojskowe.

To właśnie wydarzyło się rankiem 30 lipca 2006 roku, w trzecim tygodniu wojny Izraela z Hezbollahem. Miastem Kana na południu Libanu wstrząsnęła eksplozja zrzuconej poprzedniej nocy izraelskiej bomby, która z powodu jakiejś usterki nie wybuchła od razu.

Początkowe doniesienia mówiły o przeszło sześćdziesięciu ofiarach – z czego połowę stanowiły dzieci – i niemal wszystkie międzynarodowe sieci informacyjne retransmitowały relację na żywo, którą Al-Dżazira nadawała z gruzowiska. Choć Izrael twierdził, że w sąsiedztwie budynku znajdowały się wyrzutnie katiusz, z których prowadzono ostrzał jego terytorium, dowody na to przedstawił dopiero ponad dwanaście godzin później.

Ów dzień stał się punktem zwrotnym wojny. Amerykańska sekretarz stanu Condoleezza Rice, która przebywała akurat w Izraelu, wykorzystała wybuch bomby, by skłonić państwo żydowskie do zawieszenia na najbliższe czterdzieści osiem godzin wszelkiej aktywności powietrznej nad Libanem – gorzka pigułka do przełknięcia w samym środku wojny. W następnych dniach międzynarodowe poparcie dla izraelskiej kampanii przeciwko Hezbollahowi spadło niemal do zera.

Niewykluczone, że gdyby Izrael szybciej zaprezentował dowody na to, co działo się w Kanie, poparcie to by się utrzymało. Tak czy inaczej, Kana oraz inne, późniejsze incydenty zmusiły Izrael do dostosowania się do nowych realiów, dotykających nie tylko jego korpus dyplomatyczny, ale także oficerów Cahalu, którzy przed zaatakowaniem celów muszą myśleć o kamerze być może filmującej ich w tym właśnie momencie – i o międzynarodowych konsekwencjach prawnych, jakie może pociągnąć za sobą atak. Czy ten wojskowy będzie mógł podróżować swobodnie po świecie, bez obawy przed aresztowaniem? Czy może za najwyższymi izraelskimi oficerami zostaną rozesłane międzynarodowe listy gończe?

* * *

Kiedy przybyliśmy do stojącego nad samym morzem apartamentowca na północnych obrzeżach Tel Awiwu, nie byliśmy pewni, czego się spodziewać. Za kilka minut mieliśmy się spotkać z dziewięćdziesięciotrzyletnim Szimonem Peresem, byłym premierem i prezydentem Izraela. Nie wiedzieliśmy jednak, jak wiele starszy pan będzie miał dla nas czasu ani czy jeszcze pamięta historie, które mieliśmy nadzieję usłyszeć. Czekała nas niespodzianka.

Peres był jednym z najwybitniejszych izraelskich mężów stanu. Na regałach z książkami, którymi zastawione było jego mieszkanie, stały tu i tam pamiątki z jego siedemdziesięciu lat w rządzie – zdjęcia ze światowymi przywódcami, zagraniczne odznaczenia oraz kontrowersyjna Pokojowa Nagroda Nobla, którą otrzymał wspólnie z Icchakiem Rabinem i Jasirem Arafatem.

Jeśli mielibyśmy wskazać jednego Izraelczyka, który widział niemal wszystko, to był nim właśnie Peres. Stał u boku Ben Guriona podczas pierwszej wojny izraelsko-arabskiej, a później kierował zakupami broni dla młodego państwa. To on przekonał Ala Schwimmera, by przeniósł się do Izraela i założył Israel Aerospace Industries, i to on był architektem strategicznych powiązań Izraela z Francją, których ukoronowaniem były narodziny ściśle tajnego izraelskiego programu nuklearnego.

W rządzie przeszedł przez niemal wszystkie ministerstwa – transportu, obrony, finansów oraz spraw zagranicznych. Dwukrotnie był premierem Izraela, a na swym ostatnim stanowisku – od 2007 do 2014 roku – prezydentem kraju.

Jeśli ktokolwiek, uznaliśmy, mógł wyjaśnić sekret izraelskiego sukcesu w tworzeniu najbardziej nowatorskich broni świata, to właśnie Peres.

Peres został bliskim współpracownikiem Ben Guriona czystym przypadkiem. Był rok 1947 i kibuc w dolinie Jordanu, w którym dorastał Peres, postanowił wysłać tego dwudziestoczterolatka do Tel Awiwu, by zaciągnął się do Hagany. Pewnego sobotniego wieczoru sekretariat kibucu przeprowadził głosowanie, a następnego ranka Peres był już w drodze do „Czerwonego Domu” w Tel Awiwie – kwatery głównej Hagany – z trzema lirami, które przyjaciele z kibucu włożyli mu do kieszeni.

Ale kiedy dotarł na miejsce, nikt nie wiedział, co z nim zrobić. Szwendając się po budynku, natknął się na starego przyjaciela.

– Wiesz może, co miałbym tu robić? – zapytał go.

– Nie – odparł tamten. – Naprawdę nic dla ciebie nie mamy.

Peres wpadł w lekką panikę. Czy odbył całą tę podróż na darmo? Co powie przyjaciołom z kibucu, kiedy wróci dzień po tym, jak wyprawili go w drogę? Gdy tak stał, zastanawiając się, co począć, usłyszał donośny głos z klatki schodowej:

– Ach, ty tutaj?

Peres odwrócił się i zobaczył przed sobą Dawida Ben Guriona, nowego premiera Izraela. Obaj znali się z Mapai, lewicowej partii, do której należeli w owym czasie i która później weszła w skład izraelskiej Partii Pracy.

– Tak – odparł Peres.

Ben Gurion podszedł do niego, wyjął z kieszeni kartkę papieru i podał mu ją.

– To jest wykaz broni i sprzętu wojskowego, które mamy – powiedział, przytaczając liczbę karabinów maszynowych i nabojów w arsenale Hagany. – Jeśli nie będziemy mieli broni i zostaniemy zaatakowani, będzie po nas. Potrzebujemy broni. To najważniejsze zadanie. Tym właśnie musisz się zająć.

Pozytywne przyjęcie Ben Guriona nie pomogło Peresowi. Inni przywódcy Hagany w dalszym ciągu go ignorowali. Nieco później odszukał go przyjaciel. Powiedział mu, że choć nie ma dla niego żadnej konkretnej pracy, może iść posiedzieć w gabinecie Jaakowa Doriego, szefa sztabu Hagany, nieobecnego z powodu choroby.

Peres poszedł do gabinetu Doriego i usiadł za jego wielkim drewnianym biurkiem. Nie wiedząc, co robić, zaczął z nudów szperać w szufladzie i znalazł w niej dwa listy zaadresowane do Ben Guriona. Otworzył jeden z nich i doznał szoku, który zapamiętał na całe życie.

Pewien generał wyjaśniał w nim Ben Gurionowi swoją decyzję w sprawie złożonej mu przez premiera propozycji, by objął funkcję nowego szefa sztabu Sił Obronnych Izraela. Pisał, że choć czuje się zaszczycony, postanowił ją odrzucić, odkrył bowiem, że państwo żydowskie ma w swoim arsenale zaledwie sześć milionów kul.

„Na wojnie będziemy potrzebować miliona kul dziennie, a ja nie mam ochoty zostać szefem sztabu tylko na sześć dni”, stwierdził generał.

Peres nie zdawał sobie sprawy, że sytuacja jest aż tak tragiczna. Szok nie trwał jednak długo. Trzeba było działać. Wkrótce znalazł się u boku Ben Guriona, kierując siecią rozsianych po całym świecie agentów, którzy mieli za zadanie robić wszystko, by zdobyć broń i amunicję dla Państwa Izrael. Wypełniał z oddaniem tę misję przez większą część następnej dekady.

Doświadczenia te ukształtowały jego osobowość. Choć pracował niezmordowanie na rzecz pozyskania broni, sporo też fantazjował, wyobrażając sobie, jak Izrael mógłby przezwyciężyć swe groźne niedostatki militarne. W owym czasie Izrael nie miał na przykład czołgów ani samolotów, nikt też nie był skłonny mu ich sprzedać. Tak więc Peres wymyślał nieszablonowe sposoby obejścia tych problemów, jak samodzielne opracowanie przez Izrael pocisków przeciwpancernych i dział przeciwlotniczych, tak by kraj był przynajmniej zdolny do obrony.

– Gdy trafi się na mur, głupotą jest po prostu walić w niego głową – powiedział nam. – Trzeba wtedy znaleźć inny sposób na osiągnięcie celu. Trzeba być kreatywnym.

Nie wszystko szło jak po maśle. W latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku, na przykład, Izrael rozpoczął produkcję własnego karabinu. Ale kiedy Cahal testował ten karabin, naboje wybuchały wewnątrz lufy. Żołnierze sięgnęli po inny egzemplarz, ale naboje znów eksplodowały. Oficerowie byli zbici z tropu. Przyjrzeli się nabojom i karabinom, ale nie mogli ustalić źródła problemu, dopóki pewien inżynier nie postanowił zbadać miedzi, z której wykonano naboje. Okazało się, że w magazynie, gdzie składowano miedź, zagnieździły się szczury, a ich mocz osłabił metal, przez co cała partia nabojów była do wyrzucenia [1].

Z Ben Gurionem u boku Peres przystąpił do „unaukowiania” kraju. Kiedy zasugerował Cahalowi kupno superkomputerów, wyrzucono go za drzwi. Kiedy zaproponował zainwestowanie w rozwój pocisków rakietowych, generałowie znów wybuchnęli śmiechem.

– Nie mamy nabojów karabinowych, a pan mówi o pociskach rakietowych i superkomputerach – powiedzieli drwiąco.

Przeszkód nie ubywało, ale Peres obdarzony był niespotykanym uporem. Kiedy na przykład minister finansów oświadczył mu, że nie przyzna „choćby złamanego grosza” na budowę reaktora jądrowego, Peres zdobył potrzebne do tego miliony dolarów poza budżetem. Kiedy izraelskie uniwersytety odmówiły współpracy przy opracowywaniu broni, znalazł naukowców gdzie indziej. Dostrzegał okazje tam, gdzie inni widzieli zagrożenia. Nie poddawał się ani nie zwracał uwagi na wyzwiska i obelgi, które, jak wiedział, rzucano cichcem za jego plecami.

– Od początku byliśmy atakowani, więc nie miałem innego wyjścia – powiedział nam z powagą, wspominając, jak razem z Ben Gurionem siedzieli wieczorem 29 listopada 1947 roku, kiedy ONZ przegłosował plan

podziału Palestyny. „Dzisiaj tańczą – powiedział wtedy Ben Gurion. – Jutro będzie wojna”.

Jednak jakimś cudem Izrael wytrwał i pokonał swoich wrogów. Peres stwierdził, że na sukces ten złożyli się wartościowi ludzie i zdumiewająca motywacja.

– Jest w naszym DNA coś, co sprawia, że my, Żydzi, nigdy nie czujemy się usatysfakcjonowani – powiedział. – Daj Żydowi cokolwiek, a on wzbogaci to albo usprawni. Daj siłom powietrznym samolot, a one przerobią go po swojemu… Wierzymy, że wszystko jest możliwe.

Ale – zapytaliśmy sędziwego izraelskiego męża stanu – czy nie obawia się pan, że Izrael utraci swoją jakościową przewagę militarną? W ostatnich latach, przypomnieliśmy, Stany Zjednoczone ogłosiły plany sprzedaży Arabii Saudyjskiej swych najbardziej zaawansowanych platform bojowych, wartych łącznie miliardy dolarów. Ponadto Hezbollah i Hamas coraz bardziej przypominają regularne armie i dysponują taką bronią jak kierowane pociski przeciwpancerne i drony, zarezerwowaną niegdyś wyłącznie dla konwencjonalnych sił zbrojnych.

Peres zastanowił się chwilę, po czym przedstawił swoją wizję przyszłości.

– Aby utrzymać jakościową przewagę Izraela – powiedział nam – musimy inwestować w mózgi żołnierzy, nie tylko w ich mięśnie.

To dlatego właśnie Peres zaproponował niedawno szefowi sztabu Cahalu, by wprowadził dla wszystkich żołnierzy wymóg odbycia studiów i uzyskania licencjatu przed służbą wojskową. Dlatego też zalecił ostatnio, by ministerstwo edukacji wprowadziło w żłobkach naukę drugiego języka dla dwu- i trzylatków.

Nie ma rzeczy niemożliwych, powiedział, ale dodał, że nic też nie dzieje się samo. Jeśli się chce, żeby coś się stało, trzeba się o to starać, choćby i w pojedynkę.

Peres, jak przekonaliśmy się tego dnia, był marzycielem. Człowiek, który zbudował izraelskie siły zbrojne oraz domniemany potencjał nuklearny Izraela, mówił o nauce, technice, robotach i pokoju. Przyszłość broni i sztuki wojennej, powiedział nam, tkwi w kosmosie, gdzie „możliwości są nieograniczone”, i w zrozumieniu, jak ograniczyć zużycie energii. „Jak osiągnąć więcej mniejszymi środkami”, powiedział, opowiadając z entuzjazmem o nanotechnologii i możliwościach, jakie

otwiera ona przed Izraelem, pozwalając tworzyć mniejsze, bardziej inteligentne i niezawodne sensory i bronie.

Lata wojen, stwierdził pod koniec naszej rozmowy, nauczyły Izraelczyków pesymizmu i podejrzliwości. Technika, podkreślił, może to zmienić.

– Przyszłość nie jest pewna jak szwajcarski zegarek – powiedział. – Możemy jednak wpłynąć na charakter ludzi. Możemy wykorzystać technikę, by uczynić ludzi lepszymi, poprawić jakość ich życia i sprawić, żeby z większą nadzieją patrzyli w przyszłość.

Nieważne, czy miał rację, czy nie. Nie mogliśmy po prostu wyjść z podziwu, że w wieku dziewięćdziesięciu trzech lat były prezydent wciąż miał dość hucpy, by wybiegać myślami pięćdziesiąt lat naprzód.

* * *

Pracując nad tą książką, mieliśmy poczucie, że żyjemy w przełomowych czasach. Bycie dziennikarzami w Izraelu, relacjonującymi codzienne aspekty konfliktu izraelsko-arabskiego, w połączeniu z przyglądaniem się, jak w regionie powstają i wykorzystywane są coraz to nowe bronie, dało nam wrażenie złożonej, jednak przede wszystkim fascynującej epoki.

Izraelskie uzbrojenie rewolucjonizuje współczesne pole walki. Jego wpływ na sposób prowadzenia wojen promieniuje daleko poza granice Izraela – na cały Bliski Wschód, Europę, Afrykę i Azję. Historia tych broni urzekła świat jedynym w swoim rodzaju połączeniem zdobytego w boju doświadczenia wojskowego i niezmordowanego nowatorstwa.

Pisząc tę książkę, kursowaliśmy między różnymi krajami – w Azji, w Europie oraz oczywiście między Izraelem i Stanami Zjednoczonymi. We wszystkich miejscach, które odwiedziliśmy, przeciętny człowiek ma mgliste wyobrażenie o Izraelu, ale rzadko o jego potędze technicznej i nowoczesnym arsenale.

Ukończyliśmy tę książkę przekonani, że niemal nikt w państwie żydowskim nie chce wojny, ale jako kraj, który toczył walki w każdej dekadzie od początków swojego istnienia i wciąż jeszcze ma na swych granicach wrogów wzywających do jego zniszczenia, Izrael będzie do niej zawsze przygotowany. Nie udajemy, że znamy przyszłość, nie mamy jednak wątpliwości, że izraelska broń będzie ją kształtować.

1. Chodzi tu zapewne o pękanie łusek przy strzale, co musiało skutkować ich zaklinowaniem w komorze nabojowej (przyp. red.). [wróć]

Podziękowania

Książka ta nie powstałaby bez setek ludzi, którzy zgodzili się z nami rozmawiać i podzielić się swoimi spostrzeżeniami. Wielu z nich opowiadało o roli, jaką odegrali w izraelskim establishmencie wojskowym i obronnym. Inni byli dyplomatami toczącymi wojny w światowych korytarzach władzy. Niektórzy prosili o anonimowość, a my uszanowaliśmy tę prośbę.

Jaakow ma ogromny dług wdzięczności wobec Ann Marie Lipinski oraz reszty niesamowitego zespołu Nieman Foundation for Journalism z Uniwersytetu Harvarda, gdzie koncepcja tej książki zaczęła nabierać kształtów. Warsztaty pisarskie, w których uczestniczył tam pod kierunkiem cudownego duetu – Anne Bernays i Paige Williams – wpłynęły wyraźnie na jej postać. Dziękuje także „The Jerusalem Post", gdzie pracuje obecnie jako redaktor naczelny, która przez większą część ostatnich piętnastu lat służyła mu za trybunę, skąd opowiadał światu historię Izraela.

Amir chciałby wyrazić wdzięczność wobec „Walla!", czołowego internetowego serwisu informacyjnego Izraela, który był jego domem przez ostatnie sześć lat. Amir trafił do niego po dwunastu latach w dzienniku „Maariw" i znalazł tam organizację informacyjną, która pozwoliła mu wznieść jego kunszt gawędziarski na nowe wyżyny w partnerstwie ze znakomitym, nowatorskim i twórczym zespołem.

Amir dziękuje również Uniwersytetowi Bar-Ilan, gdzie pisze właśnie pracę doktorską pod kierunkiem profesora Szlomo Szapiry, jednego z najlepszych izraelskich specjalistów od świata wywiadu i terroryzmu.

Szczególne podziękowania należą się naszej redaktorce, Elisabeth Dyssegaard, która od początku zapałała entuzjazmem dla tej książki, a także naszym oddanym agentom, Peterowi i Amy Bernsteinom, którzy pomogli dopracować nasz pomysł i towarzyszyli nam przez cały proces. Dziękujemy wam wszystkim.

I wreszcie obaj mamy głęboki dług wdzięczności wobec naszych rodzin. Chaja (żona Jaakowa) i Fani (żona Amira) dawały nam wsparcie, przestrzeń

i czas, których potrzebowaliśmy, by ukończyć pracę – jednocześnie troszcząc się o siódemkę naszych dzieci (Jaakowa – Atarę, Mikiego, Rajlę i Eliego, oraz Amira – Rona, Jahli i Tamari). Chaja i Fani zawsze zmuszały nas, żebyśmy dawali z siebie wszystko, co najlepsze. Gdyby nie one, ta książka nigdy by nie powstała.

Przypisy

1. Gili Cohen, *Israeli Arms Exports Down $1 Billion in 2014*, „Haaretz”, 21 maja 2015, https://www.haaretz.com/.premium-israeli-arms-exports-down-1-billion-in-2014-1.5364983. [wróć]
2. Markus Becker, *Israel's War Business*, „Spiegel Online”, 27 sierpnia 2014, http://www.spiegel.de/international/world/defense-industry-the-business-of-war-in-israel-a-988245.html. [wróć]
3. Fareed Zakaria, *Israel Dominates the Middle East*, „Washington Post”, 21 listopada 2012, https://www.washingtonpost.com/opinions/fareed-zakaria-israel-dominates-the-middle-east/2012/11/21/d310dc7c-3428-lle2-bfd5-e202b6d7b501_story.html. [wróć]
4. Reuven Gal, *A Portrait of the Israeli Soldier*, Greenwood Press, Westport, CT 1986, s. 10. [wróć]
5. Arthur Herman, *How Israel's Defense Industry Can Help Save America*, „Commentary”, 1 grudnia 2011, https://www.commentarymagazine.com/articles/how-israels-defense-industry-can-help-save-america/. [wróć]
6. Becker, *Israel's War Business*. [wróć]
7. Ann Scott Tyson, *Youths in Rural U.S. Are Drawn to Military*, „Washington Post”, 4 listopada 2005, http://www.washingtonpost.com/wp-dyn/content/article/2005/11/03/AR2005110302528.html??noredirect=on. [wróć]
8. Christopher Rhoads, *How an Elite Military School Feeds Israel's Tech Industry*, „Wall Street Journal”, 6 lipca 2007, https://www.wsj.com/articles/SB118368825920758806. [wróć]
9. Ben Caspit, *Talpiot Industrial Zone*, „Maariv”, 29 marca 2010, s. 10. [wróć]
10. Golda Meir, *My Life*, Dell, Nowy Jork 1975, s. 213, 222, 224. [wróć]
11. Yuval Steinitz, *The Growing Threat to Israel's Qualitative Military Edge*, „Jerusalem Issue Brief”, t. 3, nr 10, Jerusalem Center for Public Affairs, 11 grudnia 2003. [wróć]
12. Ignacia Klich, *The First Argentine-Israeli Trade Accord: Political and Economic Considerations*, „Canadian Journal of Latin American and Caribbean Studies”, t. 20, 1995, oraz Shimon Peres i David Landau, *Ben-Gurion: A Political Life*, Schocken Books, Nowy Jork 2011, s. 16 [wyd. polskie: *Ben Gurion. Żywot polityczny*, przeł. Hanna Jankowska, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2013]. [wróć]
13. Michael Bar Zohar, *Shimon Peres: The Biography*, Random House, Nowy Jork 2007, s. 81. [wróć]
14. Tamże, s. 77. [wróć]
15. Tamże, s. 106. [wróć]
16. Avner Cohen, *Israel and the Bomb*, Columbia University Press, Nowy Jork 1998, s. 53. [wróć]
17. *The Dronefather*, „The Economist”, 1 grudnia 2012, http://www.economist.com/news/technology-quarterly/21567205-abe-karem-created-robotic-plane-transformed-way-modern-warfare. [wróć]

18. Richard Whittle, *The Man Who Invented the Predator*, „Air & Space Magazine", kwiecień 2013, https://www.airspacemag.com/flight-today/the-man-who-invented-the-predator-3970502/. [wróć]
19. *Military UAVs: Up in the Sky, an Unblinking Eye*, „Newsweek", 31 maja 2008, http://www.newsweek.com/military-uavs-sky-unblinking-eye-89463; oraz Phil Patton, *Robots with the Right Stuff*, „Wired", 1 marca 1996, http://archive.wired.eom/wired/archive/4.03/robots_pr.html. [wróć]
20. Jeden z autorów przeprowadził wywiad z Karemem latem 2013 r. [wróć]
21. Frank Strickland, *The Early Evolution of the Predator Drone*, „Studies in Intelligence", t. 57, nr 1, marzec 2013, https://www.cia.gov/library/center-for-the-study-of-intelligence/csi-publications/csi-studies/studies/vol.-57-no.-1-a/vol.-57-no.-1-a-pdfs/Strickland-Evolution%20of%20the%20Predator.pdf. [wróć]
22. George Arnett, *The Numbers Behind the Worldwide Trade in Drones*, „Guardian", 16 marca 2015, https://www.theguardian.com/news/datablog/2015/mar/16/numbers-behind-worldwide-trade-in-drones-uk-israel. [wróć]
23. Zob. Anshel Pfeffer, *WikiLeaks: IDF Uses Drones to Assassinate Gaza Militants*, „Haaretz", 2 września 2011, http://www.haaretz.com/news/diplomacy-defense/wikileaks-idf-uses-drones-to-assassinate-gaza-militants-1.382269. [wróć]
24. Nick Meo, *How Israel Killed Ahmed Jabari, Its Toughest Enemy in Gaza*, „Daily Telegraph", 17 listopada 2012, http://www.telegraph.co.uk/news/worldnews/middleeast/israel/9685598/How-Israel-killed-Ahmed-Jabari-its-toughest-enemy-in-Gaza.html. [wróć]
25. Poniższy opis domniemanej izraelskiej akcji w Sudanie jest oparty na doniesieniach zagranicznej prasy, m.in. „Time" i „Sunday Times", oraz na wyobrażeniach autorów o tym, jak przeprowadzane są tego rodzaju operacje. [wróć]
26. *How Israel Foiled an Arms Convoy Bound for Hamas*, „Time", 30 marca 2009, http://content.time.com/time/world/article/0,8599,1888352,00.html, oraz Uzi Mahnaimi, *Israeli Drones Destroy Rocket-Smuggling Convoys in Sudan*, „Sunday Times", 29 marca 2009, https://www.thetimes.co.uk/article/israeli-drones-destroy-rocket-smuggling-convoys-in-sudan-rp5sgvbp5jt. [wróć]
27. Mahnaimi, *Israel Drones Destroy Rocket-Smuggling Convoys in Sudan*. [wróć]
28. WikiLeaks, depesza dyplomatyczna 09KHARTOUM249 z 24 lutego 2009, https://wikileaks.org/plusd/cables/09KHARTOUM249_a.html [wróć]
29. Tamże. [wróć]
30. Jak już wspomnieliśmy, fragment dotyczący Sudanu został oparty na doniesieniach prasy zagranicznej, w tym „Time" oraz „Sunday Times", a także na wyobrażeniach autorów o tym, jak przeprowadzane są tego rodzaju operacje. [wróć]
31. Amnon Barzilaj, *Wyjaśnienie w wieży* [w jęz. hebrajskim], „Globes", 29 lipca 2006, http://www.globes.co.il/news/article.aspx?did=1000137025. [wróć]
32. Josh Mitnick, *Mighty Merkavas Fail in War Gone Awry: „Boom, Flames and Smoke"*, „Observer", 21 sierpnia 2006, http://observer.com/2006/08/mighty-merkavas-fail-in-war-gone-awry-boom-flames-and-smoke-2/. [wróć]

33. Deganit Paikowsky, *From the Shavit-2 to Ofeq-1: A History of the Israeli Space Effort*, „Quest", t. 18, 2 listopada 2011. [wróć]
34. Zob. Paikowsky, *From the Shavit-2 to Ofeq-1* oraz I. Rabin, *Dziennik* [w jęz. hebrajskim], Sifrijat Maariw, Tel Awiw 1979, t. 2, s. 497–498. [wróć]
35. Bob Woodward, *CIA Sought 3rd Country Contra Aid*, „Washington Post", 19 maja 1984, A13. [wróć]
36. E.L. Zorn, *Israel's Quest for Satellite Intelligence*, https://www.cia.gov/library/center-for-the-study-of-intelligence/kent-csi/vol44no5/pdf/v44i5a04p.pdf. [wróć]
37. Bernard Gwertzman, *Israel Asks US for Gift of Jets, Citing Saudi Sale*, „New York Times", 4 kwietnia 1981, s. 2. [wróć]
38. Amnon Barzilaj, *Budujemy tu mnożnik siły* [w jęz. hebrajskim], „Haarec", 25 września 2001, http://www.haaretz.co.il/misc/1736130. [wróć]
39. Glenn Frenkel, *Israel Puts Its First Satellite into Orbit*, „Washington Post", 20 września 1988, A16. [wróć]
40. Lawrence Wright, *Thirteen Days in September*, Knopf, Nowy Jork 2014, s. 35. [wróć]
41. Moshe Nissim, *Leadership and Daring in the Destruction of the Israeli Reactor*, w: *Israel's Strike Against the Iraqi Nuclear Reactor 7 June, 1981*, Menachem Begin Heritage Center, Jerozolima 2003, s. 31. [wróć]
42. Shlomo Nakdimon, *Begin's Legacy: "Yehiel, It Ends Today"*, „Haaretz", 22 lutego 2010. [wróć]
43. Barzilaj, *Budujemy tu mnożnik siły*. Zob. też *Meeting Minutes Regarding Israel-South Africa Agreement*, Woodrow Wilson Center Digital Archive, http://digitalarchive.wilsoncenter.org/document/114148. [wróć]
44. Amnon Barzilai, *Somewhere Beyond the Horizon*, „Haaretz", 26 września 2001. [wróć]
45. Paikowsky, *From the Shavit-2 to Ofeq-1*. [wróć]
46. Uzi Eilam, *Eilam's Arc*, Sussex Academic Press, Eastbourne, UK 2011, s. 232–237. [wróć]
47. Tamże. [wróć]
48. *Działamy na granicy wyobraźni* [w jęz. hebrajskim], „Mako", 27 marca 2014, http://www.mako.co.il/pzm-units/intelligence/Article-0b71c430eb30541006.htm. [wróć]
49. Amnon Barzilaj, *Jak zbudować mur* [w jęz. hebrajskim], „Haarec", 13 listopada 2002, http://www.haaretz.co.il/misc/L839763. [wróć]
50. Lior Awni, *Dekada pod ostrzałem. 10 lat do pierwszego Kasama* [w jęz. hebrajskim], NRG, 14 kwietnia 2011, http://www.nrg.co.i1/online/l/ART2/232/334.html. [wróć]
51. David Horovitz, *Only a Drill?*, „Jerusalem Post", 25 maja 2010, https://www.jpost.com/Opinion/Columnists/Editors-Notes-Only-a-drill. [wróć]
52. Anszel Pfeffer, *Za kulisami Żelaznej Kopuły* [w jęz. hebrajskim], „Haarec", 23 listopada 2012, http://www.haaretz.co.il/news/politics/1.1871793. [wróć]
53. Zob. *Report of the Special Rapporteur on Extrajudicial, Summary or Arbitrary Executions*, maj 2010,

http://www2.ohchr.org/english/bodies/hrcouncil/docs/14session/A.HRC.14.24.Add6.pdf. [wróć]

54. Laura Blumenfeld, *In Israel, a Divisive Struggle over Targeted Killing*, „Washington Post", 27 sierpnia 2006, https://www.washingtonpost.com/archive/politics/2006/08/27/in-israel-a-divisive-Struggle-over-targeted-killing/2e6d9107-6a81-4500-a7e4-001b4fc853c9/. [wróć]
55. Steven R. David, *Fatal Choices: Israel's Policy of Targeted Killing*, „Mideast Security and Policy Studies" nr 51, The Begin-Sadat Center for Strategic Studies, Bar-Ilan University, Ramat, Izrael 2002. [wróć]
56. Yaakov Katz, *Analysis: Lies, Leaks, Death Tolls & Statistics*, „Jerusalem Post", 29 października 2010, s. 1. [wróć]
57. David Sanger, *Confront and Conceal: Obama's Secret Wars and Surprising Use of American Power*, Crown, Nowy Jork 2012, s. 188. [wróć]
58. Tamże, s. 195. [wróć]
59. Peter Beaumont, *Stuxnet Worm Heralds New Era of Global Cyberwar*, „Guardian", 30 września 2010. [wróć]
60. Tamże. [wróć]
61. Ralf Langner w telefonicznym wywiadzie z jednym z autorów. [wróć]
62. John Markoff, *In a Computer Worm, a Possible Biblical Clue*, „New York Times", 29 września 2010. [wróć]
63. Ellen Nakashima, *U.S., Israel Developed Flame Computer Virus to Slow Iranian Nuclear Efforts, Officials Say*, „Washington Post", 19 czerwca 2012. [wróć]
64. James Clapper, zeznanie przed Specjalną Komisją Senatu do Spraw Wywiadu, 31 stycznia 2012. [wróć]
65. Barbara Opall-Rome, *Israeli Cyber Exports Double in a Year*, „Defense News", 3 czerwca 2015, https://www.defensenews.com/2015/06/03/israeli-cyber-exports-double-in-a-year/. [wróć]
66. Poniższy opis domniemanej izraelskiej akcji w Syrii oparty jest na doniesieniach zagranicznej prasy, m.in. „Spiegla" i „New Yorkera", oraz na wyobrażeniach autorów o tym, jak przeprowadzane są tego rodzaju operacje. [wróć]
67. Sharon Weinberger, *How Israel Spoofed Syria's Air Defense System*, „Wired", 4 października 2007, http://www.wired.com/2007/10/how-israel-spoo/. [wróć]
68. Tamże. [wróć]
69. Eric Foliath, *The Story of Operation Orchard: How Israel Destroyed Syria's Al Kibar Nuclear Reactor*, „Spiegel Online", 2 listopada 2009, http://www.spiegel.de/international/world/the-story-of-operation-orchard-how-israel-destroyed-syria-s-al-kibar-nuclear-reactor-a-658663-2.html. [wróć]
70. Tamże. [wróć]
71. David Makovsky, *The Silent Strike*, „New Yorker", 17 września 2012, https://www.newyorker.com/magazine/2012/09/17/the-silent-strike. [wróć]
72. Tamże. [wróć]
73. Tamże. [wróć]
74. Tamże. [wróć]

75. Yoram Evron, *Sino-Israel Relations: Opportunities and Challenges*, „INSS Strategic Assessment", t. 10, nr 2, sierpień 2007, http://www.inss.org.il/index.aspx?id=4538&articleid=1479. [wróć]
76. *Weizman zainicjował udział Eisenberga w sprzedaży broni do Chin 20 lat temu* [w jęz. hebrajskim], „Globes", 4 lutego 1999, http://www.globes.co.il/news/article.aspx?did=82076. [wróć]
77. Thomas Friedman, *Israel and China Quietly Form Trade Bonds*, „New York Times", 22 lipca 1985. [wróć]
78. Amnon Barzilai, *The Phalcons Didn't Fly*, „Haaretz", 26 grudnia 2001. [wróć]
79. A.M. Rosenthal, *On My Mind; The Deadly Cargo*, „New York Times", 22 października 1999. [wróć]
80. Sharon Samber, *Congress Urged Not to Link Israel Aid to China Arms*, Jewish Telegraphic Agency, 13 czerwca 2000. [wróć]
81. Sadanand Dhume, *Revealed: The India-Israel Axis*, „Wall Street Journal", 23 lipca 2014. [wróć]
82. Poniższy fragment dotyczący powiązań Izraela z Singapurem jest w znacznej mierze oparty na autobiografii ojca założyciela Singapuru, Lee Kuan Yewa, *From Third World to First: The Singapore Story – 1965–2000*, Harper, Nowy Jork 2000. [wróć]
83. Amnon Barzilaj, *Izraelscy oficerowie ujawniają: Tak zorganizowaliśmy singapurskie siły zbrojne* [w jęz. hebrajskim], „Haarec", 15 lipca 2005. [wróć]
84. Lee Kuan Yew, *From Third World to First*, s. 15. [wróć]
85. Zob. Barzilaj, *Izraelscy oficerowie ujawniają*. [wróć]
86. Tamże. [wróć]
87. Duncan Lennox, red., *AGM-142 Popeye 1/2 (Have Nap/Have Lite/Raptor/Crystal Maze) (Israel)*, *Offensive Weapons*, „Jane's Strategic Weapon Systems", wyd. 50, Jane's Information Group, Surrey, styczeń 2009, s. 78–80. Zob. też: „Nuclear Threat Initiative's" Israel Section, http://www.nti.org/country-profiles/israel/delivery-systems/. [wróć]
88. Nicholas Clayton, *How Russia and Georgia's "Little War" Started a Drone Arms Race*, „Global Post", 23 października 2012. [wróć]
89. WikiLeaks, depesza 09TELAVIV2757_a, https://wikileaks.org/plusd/cables/09TELAVIV2757_a.html. [wróć]
90. WikiLeaks, depesza 08Moscow2785, https://wikileaks.org/plusd/cables/08MOSCOW2785_a.html. [wróć]
91. WikiLeaks, depesza 09MOSCOW2800_a, https://search.wikileaks.org/plusd/cables/09MOSCOW2800_a.html. [wróć]
92. WikiLeaks, depesza 09MOSCOWllll_a, https://wikileaks.org/plusd/cables/09MOSCOWllll_a.html. [wróć]
93. WikiLeaks, depesza 09ABUDHABI192_a, https://wikileaks.org/plusd/cables/09ABUDHABI192_a.html. [wróć]
94. WikiLeaks, depesza 09TELAVIV1340_a, https://search.wikileaks.org/plusd/cables/09TELAVIV1340_a.html. [wróć]

95. WikiLeaks, depesza 09TELAVIVl688_a, https://search.wikileaks.org/plusd/cables/09TELAVIV1688_a.html. [wróć]
96. Wywiad z Mary Beth Long, listopad 2015. [wróć]
97. Zob. WikiLeaks, depesza 09TELAVIV2757_a. [wróć]
98. Adam Ciralsky, *Did Israel Avert a Hamas Massacre?*, „Vanity Fair", 21 października 2014, http://www.vanityfair.com/news/politics/2014/10/gaza-tunnel-plot-israeli-intelligence. [wróć]
99. Asa Fitch, *Early Failure to Detect Gaza Tunnel Network Triggers Recriminations in Israel*, „Wall Street Journal", 10 sierpnia 2014. [wróć]
100. Saul Singer i Dan Senor, *Start Up Nation*, Twelve Books, Nowy Jork 2009, s. 42 [wyd. polskie: *Naród start-upów. Historia cudu gospodarczego Izraela*, przeł. Anna Wojtaszczykowa, StudioEMKA, Warszawa 2013]. [wróć]

Tytuł oryginału: *THE WEAPON WIZARDS: How Israel Became a High-Tech Military Superpower*

Copyright © 2017 by Yaakov Katz and Amir Bohbot
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2018

Informacja o zabezpieczeniach
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Grzegorz Dziamski

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Zbigniew Mielnik

Fotografia na okładce © Alamy/BE&W

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Czarodzieje broni*, wyd. I, Poznań 2018)

ISBN 978-83-8062-973-8

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08
fax: 61 867 37 74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**